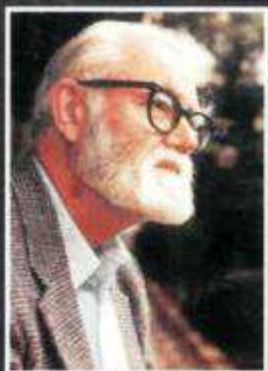




OPERACJA WERWOLF



IB MELCHIOR



IB MELCHIOR jest amerykańskim pisarzem, scenarzystą, reżyserem, a także producentem filmowym i telewizyjnym. Urodził się w Danii. W przededniu wybuchu II wojny światowej wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Po ataku Japonczyków na Pearl Harbor zgłosił się ochotniczo do wojska. Ze względu na znajomość wielu języków otrzymał przydział do służb specjalnych, następnie został przeniesiony do wywiadu wojskowego i wreszcie kontrwywiadu.

Ogromną popularnością cieszą się jego powieści oparte na doświadczeniach wojennych: "Operacja Werwolf" ("Order of Battle, Hitler's Werewolves"), "Sleeper Agent", "The Haagerloch Project", "The Watchdogs of Abbadon", "The Mercus Device", "Eva", "The Thombstone Cipher", "V-3", "Code Name: Grand Gaignol", "Case by Case". Utwory te zostały opublikowane w 25 krajach.

Wspólnie z Frankiem Brandenburgerem napisał też "Quest". "Searching for Germany's Nazi Past" - zbiór sensacyjnych rozmów z żyjącymi jeszcze członkami hitlerowskiego establishmentu średniego i wyższego szczebla.

Kwiecień 1945, pokonane Niemcy dogorywają. Jednak losy wojny mogą się odwrócić. Powołana wcześniej przez Himmlera podziemna terrorystyczna organizacja Werwolf otrzymuje rozkaz zamordowania generała Eisenhowera.

Czy dwaj agenci amerykańskiego kontrwywiadu zdołają pokrzyżować desperackie plany Oberkommando der Wehrmacht? Czy Werwolf przetrwa, kładąc podwaliny pod przyszłą III Rzeszę?

Osmuta na autentycznych wydarzeniach, fascynująca powieść ujawnia sensacyjne, mało u nas znane epizody II wojny światowej.

Cena:
29,90...

ISBN 978-83-928215-5-7



9 788392 821557



IB MELCHIOR
OPERACJA
WERWOLF

PRZEŁOŻYŁ
BARTŁOMIEJ ZBORSKI

Tczew 2010

Tytuł oryginału ORDER OF BATTLE: HITLER'S WEREWOLVES

Przekład z języka angielskiego

Bartłomiej Zborski

Redakcja techniczna

Jarosław Bartosiński

Korekta

Marek Barylewski

Projekt okładki

Jarosław Wróbel

Przygotowanie okładki do druku

Agencja Reklamowa ZENIT

www.zenitreklamy.pl

Opracowanie graficzne, skład i łamanie

GRAFIKO, Krzysztof Pałubicki

Druk i oprawa

ARSPOL Sp, z o.o. Bydgoszcz

© Copyright © 1972 by Ib Melchior

Copyright © 1991 by Ib Melchior

Copyright © for the polish translation by Bartłomiej Zborski

Copyright © 2009 for the Polish edition by Wydawnictwo SDK

ISBN 978-83-928215-5-7

Wydanie I

Tczew 2010

Wydawca

Sprzedaż Dobrej Książki

Alicja Bartosińska

83-110 Tczew, ul. Piaskowa 3

tel. (058) 777-43-28

fax (058) 777-32-05

e-mail: jarbart@vp.pl

Z serdecznościami dla mojej żony, Cleo Baldon, dzięki której niezmiennemu zrozumieniu oraz wsparciu, ilekroć przyłapała mnie na pustym wpatrywaniu się w przestrzeń, udało mi się ukończyć pisanie tej książki

Jestem niezmiernie wdzięczny Autorowi oraz pułkownikowi Michałowi Gluzie za cenne uwagi i informacje, których mi nie szczędzili, gdy tłumaczyłem „Operację Werwolf”.

Bartłomiej Zborski

Na dane wywiadowcze zawarte w *Ordre de Bataille* składają się starannie wyselekcjonowane i poddane wnikliwej ocenie informacje uzyskane z rozmaitych źródeł, dotyczące liczebności organizacji i gotowości bojowej nieprzyjaciela. Informacje te oddają dokładnie stan rzeczy i ułatwiają nie tylko planowanie działań wojennych, ale również pomagają dowódcom na froncie w ocenie zdolności operacyjnych przeciwnika na lokalnym szczeblu oraz w podejmowaniu stosownych decyzji.

ORDRE DE BATAILLE
ARMII NIEMIECKIEJ
1943

WOJSKOWE SŁUŻBY WYWIADOWCZE,
WASZYNGTON, D.C.

Do użytku wewnętrznego

Prolog

Gdy piszę te słowa, bandy terrorystów, poszczute przez zdeterminowanego i niepokornego Saddama Husajna na kilka tygodni przed klęską jego armii, sieją na świecie ziarna zła i szerzą panikę:

W Manili, na Filipinach, terroryści iraccy zaatakowali amerykańską instytucję, Bibliotekę imienia Thomasa Jeffersona, co zakończyło się śmiercią jednego z napastników i zranieniem drugiego. Pierwszy sekretarz Ambasady Iraku został wydalony z Filipin za współudział w tym gwałcie.

W Kairze przewodniczący egipskiego parlamentu zginął od kul irackiego terrorysty, który zastrzelił także kierowcę dyplomaty i jego ochroniarza.

W tureckich miastach Izmir, Sztambuł, Ankara i Adana eksplodowały bomby podłożone w amerykańskich instytucjach oraz w konsulacie francuskim; zginął również, zastrzelony na ulicy, obywatel USA.

Na granicy indyjsko-pakistańskiej od wybuchu bomby podłożonej w samochodzie poniosło śmierć pięć osób, a dwadzieścia siedem odniosło rany.

W Atenach wykorzystuje się żołnierzy do wspierania policji usiłującej powstrzymać falę zamachów bombowych i raketowych, dokonywanych na instytucje brytyjskie i amerykańskie przez terrorystów

popierających prezydenta Iraku Saddama Husajna.

Lista takich bezsensownych okrucieństw powiększa się z dnia na dzień. Blisko pół wieku temu inny bezwzględny dyktator, Adolf Hitler, spuścił ze smyczy swoje własne bandy terrorystów - werwolfowców. Gdy rozpadające się Niemcy hitlerowskie zmierzały ku Götterdämmerung, w listopadzie 1944 Reichsleiter Martin Bormann, działający w myśl rozkazów Führera, zarządził niezwłoczne sformowanie organizacji partyzancko-terrorystycznej znanej później pod nazwą „Werwolf. Jej członków miano rekrutować z szeregów Hitlerjugend oraz BDM (Bund Deutscher Mädchen), jej żeńskiego odpowiednika, jak również z SS, Wehrmachtu, a nawet spośród ludności cywilnej.

Nadzór nad Unternehmen Werwolf - operacją „Werwolf” - Bormann powierzył oficerowi swojego sztabu, Gruppenführerowi Hansowi Prützmannowi. Prützmann miał koordynować i nadzorować rekrutację oraz przygotowania do działań; zachowało się jednak stosunkowo niewiele dokumentów bądź informacji świadczących o jego rzeczywistej działalności. Schwytyany przez Brytyjczyków po zakończeniu wojny, popełnił samobójstwo przegryzając ukrytą w ustach ampulkę z cyjankiem potasu, a że nie został wcześniej przesłuchany, całą wiedzę o Werwolfie zabrał do grobu - w przeciwieństwie do innych wysokich rangą hitlerowców, na przykład Baldura von Schiracha, przywódcy Hitlerjugend, Hansa Fritzsche, szefa wydziału radia w goebbelsowskim ministerstwie propagandy, oraz Alberta Speera, ministra uzbrojenia Rzeszy, których zeznania dotyczące Unternehmen Werwolf można znaleźć w aktach procesów norymberskich (*Międzynarodowy Trybunał Wojenny*, tomy XIV, XVI i XVII). Gdy korespondowałem z Albertem Speerem po jego zwolnieniu z więzienia Spandau w Berlinie, w liście z 3 kwietnia 1972 roku napisał mi co następuje:

Do wysyłania w eter codziennych wiadomości Werwolfu wykorzystywany był największy i najsilniejszy niemiecki nadajnik. Oprócz tego doktor Robert Ley (przywódca Niemieckiego Frontu Pracy - IM.)

oraz kilku innych popędliwych panów skupiło swoje wysiłki na rozszerzeniu akcji sabotażowych prowadzonych na tyłach wojsk amerykańskich i brytyjskich. Akcjom tym nadano ogólny kryptonim „Werwolf”. Wcześniej miały miejsce narady z udziałem przedstawicieli armii oraz innych instytucji i organizacji, podczas których ustalano sposób zaopatrywania werwolfowców w broń i amunicję - oraz inne tego typu sprawy.

Nazwa „Werwolf” została trafnie wybrana. Źródła etymologiczne podają bowiem, iż słowo *werewolf* pochodzi od skandynawskich słów: *wer* - człowiek, oraz *wulf*- wilk. Jest to ktoś, kto według średniowiecznych wierzeń przybiera postać okrutnego wilka-mordercy grasującego nocą, o świcie zaś zmienia się ponownie w człowieka. Wzorując się na legendzie, hitlerowscy werwolfowcy uchodzili za dnia za zwykłych obywateli, a z zapadnięciem nocy wyruszali ślad śmierci i zniszczenia w szeregach przeciwnika.

Od samego początku organizacja nadawała własną audycję radiową przeznaczoną zarówno dla żołnierzy wojsk Sprzymierzonych, jak i dla tych Niemców, którzy mogli ulec pokusie kapitulacji wobec nieprzyjaciela czy nawet współpracy; programy te rozpoczynały się ścinającym krew w żyłach wyciem wilka, po którym anonimowy głos oświadczał: „Amerykanie, strzeżcie się!” Co wieczór podawano informacje o nowych aktach terroru dokonanych na wrogu.

Artykuł redakcyjny w gazecie US Army, „Stars and Stripes” z 21 kwietnia 1945 roku, cytuje tekst audycji Werwolfu z 1 kwietnia, w której określono cele organizacji:

Na naszych ziemiach, które znalazły się pod okupacją wroga, powstał niemiecki ruch wolnościowy – „Werwolf”. Celem jego działań będzie każdy Brytyjczyk i Amerykanin, który postawi stopę na niemieckiej ziemi. Również każdy Niemiec - bez względu na przynależność do klasy społecznej i zawód - który podejmie współpracę z wrogiem, poczujecie naszą

karzącą dłoń. Werwolf jest organizacją zrodzoną z ducha nazizmu. Nie zna ograniczeń w prowadzeniu walki, jakie obowiązują wojsko regularne. Każdy środek jest dobry, jeśli służy do zadania ciosu wrogowi. Bądźcie dzielni jak lwy i jadowici jak węże. Działajcie w nocy - uczynicie noc waszym sprzymierzeńcem. Spadajcie na karki wroga przy każdej nadarzającej się okazji. Nie zawahajcie się przed pozabawieniem go życia, albowiem on pragnie pozbawić życia naszych rodaków. Musicie odpłacić każdemu obcemu żołnierzowi, który znalazł się na naszej ziemi. Mamy tylko jedno hasło: zwycięstwo lub śmierć.

Oprócz odezwo takich jak zamieszczona powyżej, ozdobionych dziwnie zdeformowanymi swastykami, w całych Niemczech zaczęły się pojawiać ulotki o następującej treści:

25.4.1945
Do ludności wszystkich miast
Werwolf
Górna Bawaria

UWAGA

Ostrzega się wszystkich zdrajców oraz kolaborantów

Organizacja „Werwolf” działająca w Górnej Bawarii ostrzegła wszystkich, którzy zechcieliby udzielić poparcia wrogowi, działać na szkodę Niemców oraz ich sprzymierzeńców i wypowiedzieć wierność Führerowi. Ostrzegamy was! Zdrajcy i zbrodniarze, dokonujący przestępstw przeciw ludności niemieckiej, zapłacą za to życiem.

Miasta, w których zostanie narażone na szwank życie naszych rodaków lub też w których pojawią się białe flagi kapitulacji, ugodzi wcześniej czy później straszliwy odwet.

Nasza zemsta będzie krwawa!

Werwolf
Górna Bawaria

Werwolfowcy dali niebawem o sobie znać. „Stars and Stripes” informowały o wielu popełnianych na żołnierzach alianckich morderstwach oraz innych zamachach szerzących terror wśród ludności niemieckiej. Natrafiano na przeciągnięte w poprzek dróg znajdujące się na wysokości karku cienkie, mocne druty, ucinające głowę kierowcy otwartego dżipa albo motocykliście; wielu żołnierzy padało ofiarą napadów; minowano trasy dla wojska.

W Gieseen, trzydzieści mil na północ od Frankfurtu, werwolfowcy dowodzeni przez oficera belgijskich formacji SS wtargnęli za amerykańskie linie i dokonali tam egzekucji lekarza, którego oskarżono o kolaborację z „Amis” - jak Niemcy pogardliwie określali Amerykanów. Dalej na południe, opodal miasta Ulm w Bawarii, znaleziono zastrzelonego szeregowca: do piersi miał przyczepioną ulotkę Werwolfu, a w ustach odcięty penis.

W Bawarii stanęły w płomieniach i wyleciały w powietrze składy gazoliny należące do 4 Dywizji Pancерnej. Nie był to odosobniony przypadek. W kwietniu, również w Bawarii, zginęło ośmiu żołnierzy amerykańskich, trzech zaś odniosło rany, gdy ludzie z oddziału rozbijającego bomby podnieśli pudło z TNT ustawione na czterech skrzyniach niemieckich materiałów wybuchowych; choć skrzynie wcześniej sprawdzono i nie znaleziono min-pułapek. Jak podali świadkowie zdarzenia, tego samego dnia po południu widziano opodal składów trzech skradających się chłopców. Jednego z nich schwytano: przyznał się, że należy do Werwolfu, gdzie został przeszkolony do takich akcji.

Na północy, niedaleko Lubeki, w nocy z 3 na 4 maja żołnierze brytyjscy zastrzelili werwolfowca - strzelca wyborowego w cywilnym ubraniu, ale zaraz potem w innej zasadzce snajperskiej zginął John Poston, młody oficer łącznikowy marszałka polnego Bernarda Montgomery'ego - zabójstwa tego dokonała grupa młodocianych werwolfowców.

Jednak najgłośniejszy akt terroru, noszący kryptonim „Karnawał”, miał miejsce w Akwizgranie, w północnej Nadrenii-Westfalii, tuż przy granicy holendersko-belgijskiej. Ze zdobyczej „Latającej Fortecy” w pobliżu miasta zrzucono na spadochronach grupę werwolfowców. Było ich siedmioro: szesnastoletni członek Hitlerjugend, dziewczyna z BDM i esesmani. Ich ofiarą stał się mianowany przez Amerykanów

burmistrz Akwizgranu - Franz Oppenhoff. 25 marca wtargnęli do jego domu i zastrzelili go. „Radio Werwolf przez całe tygodnie trąbiło o tej akcji, czyniąc z niej ostrzeżenie dla wszystkich, którzy zamierzali pójść na współpracę z wrogiem.

W SHAEF (Naczelne Dowództwo Sojusznicznych Sił Ekspedycyjnych) poczynania Werwolfu bardzo niepokoiły sztabowców - stanowiły wielką niewiadomą w strategicznych działaniach wojennych. Nawet po oblężeniu Berlina przez Rosjan, kiedy jasne już było, iż za kilka dni nastąpi koniec wojny, generał Omar Bradley uważał, że werwolfowcy mogą skupić się w Reducie Narodowej położonej w Alpach Bawarskich, czyli w Alpenfestung - Twierdzy Alpejskiej, jak nazywali ją hitlerowcy - żeby bronić się tam do ostatka.

Generał Dwight D. Eisenhower tak pisze w swojej *Krucjacie w Europie*:

(...) Równie ważne było zdobycie tak zwanej Reduty Narodowej i jej zniszczenie. Od wielu tygodni otrzymywaliśmy meldunki, że hitlerowcy zamierzają wycofać elitę SS, gestapo i innych fanatycznie oddanych Hitlerowi organizacji w góry południowej Bawarii, zachodniej Austrii i północnych Wioch. Chcieli zablokować kręte przejścia górskie i tam stawić czoło aliancom.

Dalej Eisenhower opisuje jedną z organizacji, która - jak się tego obawiał - miałyby stanowić część załogi Reduty:

Celem tej organizacji, składającej się z wiernych wyznawców Hitlera, było szerzenie terroru w całym kraju. Miała wchłonąć chłopców, dziewczęta i ludzi dorosłych wszystkich regionów dla utrudnienia okupacji.

Wiarygodność podanych wyżej informacji potwierdziło w swoich pracach wielu historyków o międzynarodowej renomie.

Wśród nich są takie nazwiska jak H. R. Trevor-Roper i Glenn B. Infield, Gerhard Boldt i Simon Wiesenthal, wreszcie Cornelius Ryan i Charles Whiting, który w książce *Hitler 's Werwolves* podaje szczegółowy opis operacji „Karnawał”, zakończonej zamordowaniem burmistrza Akwizgranu.

Niniejsza książka znajduje wierne oparcie w faktach, a powieściowa forma została wybrana z przyczyn dramaturgicznych: autorowi chodziło o możliwość zaprezentowania obu stron konfliktu: Amerykanów i Niemców. Osnową zdarzeń jest sprawa, którą zajmował się autor, gdy pełnił służbę jako agent kontrwywiadu w 212 oddziale CIC (Counter-Intelligence Corps - Korpus Kontrwywiadu) XII Korpusu, członek zespołu śledczego Wojskowych Służb Wywiadowczych 425-G. Z powodu specyfiki obowiązków agenta CIC jego stopień wojskowy pozostawał tajny: nie nosił żadnych dystynkcji na mundurze, z wyjątkiem oznaki oficera Armii Stanów Zjednoczonych na kołnierzyku - bez względu na to, czy był oficerem, czy nie. Ilekroć ktoś pytał agenta o jego stopień, otrzymywał odpowiedź: „mój stopień jest tajny, ale w tej chwili nikt z tu obecnych nie przewyższa mnie stopniem”. Jedynie generałowie mieli prawo do pełnej odpowiedzi.

„Operacja Werwolf” zawiera dokładny opis wykrycia oraz likwidacji podziemnego dowództwa Werwolfu, Sonderkampfgruppe Paul. Akcja książki rozpoczyna się 28 kwietnia 1945 roku, jedenaście dni przed zakończeniem wojny. Jest godzina 11.00. Werwolfowcy znajdują się na swoich pozycjach i są gotowi do podjęcia działań. Niczym jadowny wąż, którego postać nakazał im przyjąć Reichsführer SS Heinrich Himmler, ukąszą każdego, kto ich zaatakuje.

Ib Melchior
luty 1991

Część I

12-17 kwietnia 1945

12 kwietnia 1945

Neustadt

Godzina 9.17

Erik spojrział na powalonego na podłogę, wspartego plecami o ścianę Niemca. Przed chwilą uderzył go z całej siły w twarz.

Niemiec sprawiał wrażenie porażonego: jego szeroko otwarte oczy wyrażały jednocześnie zaskoczenie, niedowierzanie - i strach.

Erik Larsen rozpoznawał nieomylnie ów strach. Podszedł do leżącego i spojrział na niego z góry. Nieoczekiwanie zaswedziła go prawa dłoń. Doznał dziwnego uczucia, że na skórze odcisnął mu się szpeci-niasty zarost Niemca. Z trudem zwalczył pokusę roztarcia tego miej-sca. Być może będzie potrzebny kolejny cios...

Niemiec wyglądał, jakby chciał się wtopić w brudną ścianę bawar-skiej Bauernstube. Wpatrywał się nieufnie w Erika. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie obaj w oczy.

Erik poczuł skurecz w krtani. Z wysiłkiem przybrał nieugięty wyraz twarzy. Nie mógł dopuścić do tego, żeby Niemiec wyczuł jego wąt-pliwości. Na ułamek sekundy ogarnęły go złość i zawód. Do diabła, chcąc nie chcąc człowiek musiał polegać jedynie na własnym in-stynkcie. Nie było czasu na prawdziwe przesłuchania. Procedura przebiegała w każdym wypadku właściwie tak samo: grzęzło się w bagnie rutynowych pytań i wykrętnych odpowiedzi - oraz w przeni-kającym wszystkim odorze strachu.

A teraz ten skurwiel na podłodze. Erik wiedział, że Niemiec jest jakiś niewyraźny. Ale jak, do jasnej cholery, można dojść do prawdy w ciągu kilku minut? Bo przecież tylko tyle czasu mógł przeznaczyć na każde badanie. Niemieccy uchodźcy już od dawna przekraczali całymi tabunami wschodnią linię frontu, usiłując desperacko ująć nadciągającej Armii Czerwonej. Kim byli? Wielu z nich na pewno miało uzasadnione powody, by unikać spotkania z Rosjanami. Zada-niem CIC, którego agentem był Larsen, było sprawdzenie tych ludzi przed zezwoleniem im na marsz w głąb Niemiec.

Anton Gerhardt był jednym z nich. Wjechał do małego bawarskiego miasteczka Neustadt niewielkim citroenem wyładowanym aż po dach sprzętem gospodarczym, jakimiś pudłami i walizkami. Bez sprzeciwu pozwolił się zatrzymać, po czym posłusznie wysiadł z samochodu i dołączył do kolejki uciekinierów oczekujących na przesłuchanie. Żandarmi odprowadzili citroena na pobocze i zaczęli przeszukiwać stertę kłamotów, Gerhardta zaś doprowadzono do Erika Larsena.

Po kilku wstępnych pytaniach Erik miał już pewność.

Gerhardt przekroczył niedawno pięćdziesiątkę. Miał przy sobie jedynie nieważną kenkartę, w której figurował jako niższy urzędnik pocztowy w Budweis, miasteczku w sudeckim obszarze Czech. Nic szczególnego. Gdyby przedstawił pełniejszy zestaw papierów, byłby jednym z tysięcy i potraktowano by go jak wszystkich innych. Jednak w tym człowieku było coś innego. Przejawiał zbytnią pewność siebie, zachowywał się niemal profesjonalnie, brakowało mu też właściwej innym uciekinierom służalczości.

Erik miał nieomyślne przeczucie, tak jak miałyby je każdy, kto przesłuchał setki podejrzanych. Takie przeczucie trudno było racjonalnie uzasadnić - ale rzadko się nie sprawdzało.

Gerhardt nie był żadnym drobnym urzędnikiem.

Takich urzędników było wielu w hitlerowskich Niemczech. W rozmowach z petentami przejawiali arogancję i wyniosłość, natomiast przed władzą płaszczyli się i popisywali służalczością. Erik poznał ich dobrze podczas podróży po przedwojennych Niemczech, lecz stereotyp, jaki zachował w pamięci, nie pasował do postaci Antona Gerhardta.

Wypytywanie nie przyniosło spodziewanego efektu. Niemiec trzymał się swojej wersji. W Budweis zrobiło się gorąco. Zagrożenie rosyjską okupacją wywołało panikę wśród Niemców. Służby pocztowe przestały normalnie działać, zanikła wszelka dyscyplina, toteż Gerhardt doszedł do wniosku, iż najlepiej byłoby powrócić do ojczyzny. Wydawał się bardzo pewny siebie, a Erik nijak nie mógł udowodnić mu kłamstwa.

Drażnił go bezczelny uśmiezek, który nie schodził z twarzy szkopa. Przypatrywał mu się badawczo.

- Nie wierzę w wasze opowieści - oświadczył. Jego niemczyzna była bez zarzutu. Gerhardt wzruszył ramionami.

- Mówię prawdę.

- To bzdury, a nie prawda.

Niemiec nic nie odpowiedział. Erik mierzył go beznamiętnym spojrzeniem. Po chwili odezwał się rzeczowym tonem:

- Zdajecie sobie oczywiście sprawę z tego, że jeśli nie powiecie mi prawdy, ktoś inny ją z was wyciągnie, ktoś, kto będzie miał więcej czasu niż ja.

Niemiec uśmiechnął się blado.

- Grozi mi pan? Przemoc fizyczna? - w jego głosie zabrzmiało lekkie szyderstwo. - Proszę mi wybaczyć, ale teraz to ja panu nie wierzę. Wiem, że amerykańscy oficerowie są zbyt cywilizowani, żeby uciekać się do takiego... do takiego rosyjskiego barbarzyństwa. Poza tym ja naprawdę nie kłamię.

Erik już wiedział, jak ma postąpić.

Wstał z krzesła i zbliżył się do Niemca stojącego naprzeciw biurka. Powoli, z namysłem obszedł go dookoła.

- Więc jesteście przekonani, że nie użyjemy wobec was przemocy? - rzucił obojętnie.

- Ależ oczywiście. Nigdy nie dawałem wiary propagandowym bredniom doktora Goebbelsa. To dla bardziej łatwowiernych.

- A wy naturalnie nie jesteście łatwowierni?

- Nie.

- Byliście zbyt rozsądni, żeby dać się ogłupić, prawda?

- Tak.

- Ale mimo to należeliście do partii faszystowskiej? Popieraliście ją?

Gerhardt milczał. Miał słuszność, Amerykanie to głupcy. Czuł wewnętrzną satysfakcję. Wszystko przebiegało tak, jak przypuszczał. Zadając te idiotyczne pytania, Larsen nigdy nic z niego nie wyciągnie. Nie mają pojęcia, jak się powinno prowadzić przesłuchania. On już by sobie z nimi pogadał, gdyby sytuacja się odwróciła!

- A ponieważ jesteście tak rozsądni, doszliście do przekonania, że nie dobierzemy się wam do skóry, chcąc dojść prawdy, czy tak? - wyrwało go z zamyślenia pytanie Erika.

Wzruszył ramionami.

- Ale ja powiedziałem prawdę. A wy przestrzegacie przecież Konwencji Genewskiej...

Erik przytaknął.

- Oczywiście. Żadnej przemocy.

- Tak. Żadnej przemocy wobec jeńców.

Erik popatrzył uważnie na Niemca.

- Czy wiecie, gdzie teraz jesteście?

- Nie, nie wiem. Ale się domyślam. W amerykańskim Sicheerheitsdienst?

- Ciepło, ciepło. Jestem agentem do zadań specjalnych w Korpusie Kontrwywiadu Armii Stanów Zjednoczonych. Moim obowiązkiem jest zmusić was do mówienia. I to natychmiast!

Zaintrygowany Gerhardt łypnął na przesłuchującego go młodego człowieka. Zaczął się zastanawiać, jaki tamten posiada stopień. Amerykanin nie miał na mundurze żadnych insygniów czy korpusówek, informujących o rodzaju broni lub jednostce - jedynie ciemnożółte dystynkcje oficerskie na wypustkach kołnierzyka ciemnooliwkowej wełnianej koszuli wojskowej. Wysoki i postawny, o uczciwej, jasnej twarzy - i bardzo młody. Dwudziestopięciolatek? Najwyżej. Chłopiec, któremu wyznaczono zadanie dla mężczyzny.

- Przecież już powiedziałem - oświadczył cierpliwie. - Ma pan zresztą moje dokumenty.

- Mogą być fałszywe.

- Ale mogą być i prawdziwe. A moje są prawdziwe. - Wzruszył ramionami w geście rezygnacji. - Przysięgam, że powiedziałem panu prawdę.

- Niezupełnie - odezwał się nieoczekiwanie lodowatym tonem Erik. - Ale wkrótce powiecie!

Uśmiezek Gerhardta zamienił się nagle w grymas.

- Nie dobierze się mi pan - jak to sam pan określił - do skóry, żeby zmusić mnie do powiedzenia tego, co chciałby pan usłyszeć.

- Skąd taka pewność?

- Czytałem sporo o Ameryce. Wiem, jacy są Amerykanie. Gracie uczciwie. Nie uznajecie nikogo za winnego, dopóki nie udowodnicie mu winy. - Uśmiechnął się. - Chce pan, żebym się bał. Usiłuje mnie pan zastraszyć. Myśli pan, że jeśli coś wiem, to powiem, ponieważ

będę przerażony. - Ponownie wzruszył ramionami. - Tylko, że ja naprawdę nic nie wiem.

Erik obserwował Niemca. Wyglądało, że tamten czuje się zupełnie swobodny i wierzy w to, co mówi. Jest przekonany, że nikt nie wyrządzi mu krzywdy. A już na pewno nie Amerykanie, ci słabi, dekadency demokraci. Stał twarzą w twarz z Gerhardtem. Rzucił mu twarde spojrzenie.

- Wiecie co? - powiedział. - Zagramy sobie teraz obaj w małą grę...

Gerhardt popatrzył na agenta CIC tak, jak się patrzy na opóźnione w rozwoju dziecko, które na dobitkę zachowuje się w sposób szczególnie irytujący. Erik ciągnął:

- Jej reguły są bardzo proste. Staniecie na baczność, a ja będę zadawać pytania. Za każde kłamstwo rąbnę was tak, że przeleciecie na drugą stronę pokoju.

Niemiec, nie przestając się uśmiechać, wyprężył się posłusznie na baczność. Poblązał temu dużemu dziecku. Erik stanął dokładnie naprzeciw Gerhardta.

- Czy przybyliście z Budweis? - rzucił.

- Tak.

- Samochód należy do was?

- Tak.

- Byliście członkiem partii hitlerowskiej?

Gerhardt zawahał się na moment, ale po chwili wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

- No tak. Było to przecież obowiązkiem każdego urzędnika państwowego. - Zbliżył się nieco do Niemca. - Czy pracowaliście na poczcie?

- Tak.

Erik uderzył Niemca z całej siły. Cios zwałił tamtego z nóg i rzucił o ścianę. Gerhardt dotknął z niedowierzaniem twarzy; w kąciu ust wystąpiła mu krew. Nie zdawał sobie z tego jednak sprawy, patrzył tylko z przerażeniem na górującą nad nim postać agenta CIC.

Amerikanin zakomenderował ostro:

- Wstańcie!

Niemiec ani drgnął, ale uśmiezek zniknął mu z twarzy.

- *Los!* Nasza gra się zaczęła! *Aufstehen!* Wstawać!

Wzrok Gerhardta wyrażał zdumienie. Amerykanin go uderzył. A więc popełnił jakiś błąd. Co jeszcze może go spotkać? Czy Amerykanie są naprawdę tacy jak Rosjanie? Albo tacy jak... jak jego rodacy? Świat logicznych pewników, który budował tak starannie, walił się teraz w gruzy...

- No i co? Odpowiedzcie mi teraz? Czy byliście urzędnikiem pocztowym?

Gerhardt wstał powoli. Jego arogancka protekcyjność zniknęła bez śladu.

Gdyby tak się zachowywał od początku, pomyślał Erik, uwierzyłbym mu. Ponaglił Niemca:

- No dalej, gadaj!

Gerhardt poczuł się obnażony, bezbronny. Wszystkie jego racjonalne przeświadczenia runęły, nie miał gdzie szukać schronienia. Wyprostował się z dumą.

- Jestem Standartenführer Gerhardt Wilke - oświadczył.

- Stanowisko? - rzucił szorstko Erik.

- Szef gestapo w Budweis.

Erik podszedł do biurka. Nie musiał niczego sprawdzać w instruktażu. Ten człowiek powinien być natychmiast aresztowany.

- Murphy! - zawołał.

Do pokoju wszedł sierżant Jim Murphy. Erik skinął w kierunku Niemca. Nagle poczuł zmęczenie.

- Przyskrzyniliśmy pułkownika gestapo, Jim - powiedział znużonym głosem.

Murphy rzucił Gerhardtowi zdumione spojrzenie.

- Dajcie temu ptaszкови coś do pisania. Opisz nam zaraz całą swoją hitlerowską karierę. - Spojrzał na oficera gestapo. - *Verstanden?*

- *Jawohl.*

- Gdy skończy, zamknijcie go w celi. Porozmawiamy sobie z nim jeszcze.

- Okay, sir. - Murphy odwrócił się do Gerhardta. - Zbieraj się. Idziemy.

Erik przysiadł na chwilę na biurku. Powinien się cieszyć, a jednak ogarnęły go niewesołe myśli.

Odkąd ponad dziesięć miesięcy temu wbiegł bryzgając wodą na Omaha Beach*, prowadził setki spraw i przesłuchiwał tysiące osób, ale teraz po raz pierwszy zastosował siłę fizyczną. Zawsze wydawało mu się, że taki czyn zrówna go z hitlerowcami.

Omaha Beach - zachodni odcinek lądowania sił amerykańskich podczas inwazji w Normandii w 1944 r. (przyp. tłum.).

Przypomniawszy sobie nagle zażarty spór, jaki wiódł ze znajomym oficerem liniowym, który pobił jeńca.

- Jeśli będziesz działać w rękawiczkach, nic nie wskórasz - rzucił mu wtedy tamten pogardliwie w twarz. - Tych drani można traktować tylko w jeden sposób. Musisz być wobec nich skurwysynem i nie wolno ci mieć żadnych skrupułów - tak jak oni nie mają ich wobec nas.

- Ale co to da? - zaproponował.

- Co się z tobą dzieje? Boisz się poświęcić jedną ze swoich cennych zasad?

- Tylko jedną? A potem może i drugą...? I następną? Gdzie jest granica?

- Och, na litość boską! Musisz im tylko pokazać...

- A jeśli to nie wystarczy...?

- Pieprzysz, człowieku! Co jest ważniejsze: życie bandy cholerycznych szkopów czy kilkuset naszych żołnierzy wachających kwiatki od spodu?

Erik westchnął. Mimo wszystko nie potrafił się wtedy z tamtym zgodzić.

Ale teraz?

Właśnie uderzył człowieka, podejrzanego, wkładając w cios całą siłę mięśni. I co najgorsze, chciał go uderzyć. Czy upodobał się przez to do nich - Niemców?

Też wybrałem sobie chwilę na takie ponure mędrkowanie, zreflektowałem się. Ale nie potrafiłem myśleć o niczym innym.

Okay. No więc uderzył szkopa. Niech to diabli, postąpił słusznie!

Tym razem.

A gdyby Niemiec nie kłamał...?

Był to podręcznikowy przypadek. Dokładnie to, czego w Camp Ritchie w Marylandzie uczyli ich specjaliści od przesłuchań jeńców

wojennych: „Działajcie z zaskoczenia. Złamcie jeńca jak najszybciej. A gdy już odkryjecie fundament obrony przesłuchiwanego, nie macie wyboru: musicie go zniszczyć”.

Westchnął. No cóż, sam prosił o tę robotę. Nawet na piśmie.

Przypomniawszy sobie list, jaki wysłał do Departamentu Wojny 8 grudnia 1941 roku...

Ukończył uniwersytet w Minneapolis, wybierając jako specjalność dziennikarstwo, po czym powrócił do rodzinnego Rochester w stanie Minnesota. Urodził się i wychowywał w tym mieście i czuł się z nim mocno związany. Jego ojciec, Christian Larsen, przybył do Rochester w roku 1913, z kopenhaskiego Instytutu Badań Światła imienia Fin-sena, i podjął pracę w Klinice Mayo jako ekspert od promieniowania; teraz nadal zajmował tam stanowisko kierownika katedry. Po czterech latach od przybycia do Minnesoty poślubił Karen Borg, młodą dziewczynę z drugiego pokolenia rodziny duńsko-amerykańskiej, a we wrześniu 1918 roku urodził się Erik.

Po uzyskaniu dyplomu młody Larsen spędził osiemnaście miesięcy w Kopenhadze wraz z siostrą ojca, ciotką Birte. Uczył się języków i studiował psychologię na tamtejszym uniwersytecie, wakacje zaś spędzał na podróżach rowerem po Europie; zimą wyjeżdżał do Norwegii na narty. Ponieważ znał doskonale Danię, Francję i Niemcy oraz władał językami tych krajów, doszedł do wniosku, iż jego umiejętności mogą posłużyć do specjalnych celów w jakiejś placówce wywiadu wojskowego, i właśnie to zasugerował w liście do Departamentu Wojny, proponując swoje usługi.

Zanim upłynął tydzień, otrzymał odpowiedź: *Niniejszym potwierdza się otrzymanie Pańskiego zgłoszenia do pracy w wywiadzie wojskowym*. Papier listowy nosił nagłówek: „DEPARTAMENT WOJNY, SZTAB GENERALNY, Sekcja Wywiadu Wojskowego, G-2”. Dokument podpisał kapitan SWW.

Po kilku dniach otrzymał kolejny list z potwierdzeniem, dokładnie tej samej treści co poprzedni, tym razem jednak podpisał go komandor-podporucznik Rezerwy Marynarki Wojennej USA. Nazajutrz nadszedł trzeci list, opatrzony podpisem cywila. Przez kilka następnych miesięcy jego przyjaciiele i znajomi - w tym nawet fryzjer - dziwnie na niego patrzyli, a z miejscowości, w których kiedyś był,

otrzymał kilka kartek pocztowych wyrażających zaniepokojenie nadawców. Kiedy wreszcie przyszła kolej na wypytywanie: „Hej! Coś takiego narozrabiał? Było tu FBI i wypytywali o ciebie!” - wiedział już, że go „prześwietlają”.

Pewnego dnia zatelefonowała młoda kobieta. Powołała się na jego list do Departamentu Wojny i zaprosiła na rozmowę z dwoma oficerami - pułkownikiem i kapitanem. Erika zdziwiło, że spotkanie miało się odbyć w niewielkim, skromnym hoteliku na przedmieściach Rochester, ale oczywiście poszedł. Dwaj ubrani po cywilnemu mężczyźni byli przyjacielscy i rozluźnieni. Przed rozmową postawili mu tęgiego drinka, po którym Erikowi porządnie zaszumiało w głowie. Zapamiętał jednak wyraźnie jedno pytanie. Pułkownik rzucił mu: „Słuchajcie, Larsen, a gdybyście tak musieli wbić komuś nóż w plecy?” Nie mógł sobie przypomnieć, co wtedy odpowiedział, wiedział jednak, że mówił coś o miejscowym sklepiku z wyrobami żelaznymi, prowadzonym przez kumpla, i upierał się, żeby nóż dostarczył właśnie ten kumpel. Nazajutrz poszedł do hotelu, żeby przeprosić za swój „występ”, ale nie znalazł tam poznanych poprzedniego wieczoru oficerów. Co zaś najdziwniejsze, zarządzający hotelem twierdził, iż nigdy tych ludzi nie widział. Erik również nigdy więcej ich nie zobaczył.

Po trzech miesiącach otrzymał kolejny list, podpisany tym razem przez porucznika marynarki wojennej. W kopercie znajdowała się również ankieta, którą musiał wypełnić; pytano również, kiedy najwcześniej mógłby uporządkować swoje sprawy osobiste i zgłosić się do służby - nie precyzowano jednak, do jakiej. Odpisał: „Podajcie miejsce i datę, to przyjadę”, po czym otrzymał telegram z wojskową pieczęcią w kształcie małej czerwonej gwiazdki, nadającą depeszy oficjalny charakter. Zawierała polecenie zatelefonowania pod pewien ministerialny numer w Waszyngtonie. Zadzwoił. Przeprowadził miłą rozmowę z dziewczyną o seksownym głosie, która kazała mu zgłosić się za tydzień do Tymczasowego Obozu Kwaterowania Q*.

Podczas wojny wzniesiono w Waszyngtonie kilkanaście „tymczasowych” budynków, przeznaczonych dla osób przybywających do stolicy nie tylko w sprawach wojskowych; po wojnie większość z nich rozebrano (przyj. tłum.).

„Niech się pan przygotuje na całkowite odcięcie od świata przez co

najmniej trzy miesiące - zaszcebiotała słodko. - I proszę zabrać ze sobą tylko szczoteczkę do zębów!”

Gdy wyznaczonego dnia zgłosił się do obozu Q, zaprowadzono go do biura Martina Harrisa, porucznika marynarki wojennej, którego podpis figurował pod listem. Harris miał surowe rysy twarzy i bujną grzywę przedwcześnie posiwiałych włosów. Kiedy Erik wszedł, spojrział na niego sponad papierów.

- Wejdźcie, Larsen - powiedział. - I zamknijcie drzwi za sobą.

- Kiedy Erik spełnił polecenie, porucznik Harris rzekł z emfazą:

- Za tym progiem pozostawia się tożsamość! - Wyjął z szuflady biurka kartkę papieru i wyciągnął ją w kierunku Erika. - Czy wyście to napisali? - zapytał. Erik przyjrzał się kartce. Harris trzymał w dłoni jego list do Departamentu Wojny. - Świetnie - oznajmił porucznik. Popchnął w kierunku Erika inną kartkę. - Podpiszcie.

Był to krótki i zwięzły dokument: *Niniejszym oświadczam, iż zgłaszam się do służby i nie domagam się żadnych wyjaśnień.* Pod spodem znajdowało się miejsce na podpis jego i świadka, przypuszczalnie Harrisa.

Zaskoczony Erik zastanawiał się, w co właściwie wdepnął. Czuł na sobie badawczy wzrok oficera. Nie miał odwagi odmówić, więc podpisał.

Harris złożył obok swoją parafę - jako świadek. Podniósł wzrok.

- Od tej chwili nazywacie się Lars G-8 - powiedział. - Nikt nie może poznać waszej prawdziwej tożsamości. Czy wszystko jasne?

Erik skinął głową. Porucznik wyjaśnił mu, że przez następne trzy miesiące będzie przechodzić specjalne szkolenie, podczas którego musi zachować anonimowość. - Będą usiłowali dowiedzieć się, kim jesteście - ostrzegł. - Nie możecie do tego dopuścić.

Cała ta gadanina nie miała dla Erika najmniejszego sensu, ale posłusznie przytaknął.

- Czy macie szczoteczkę do zębów? - Erik pokazał mu ją.

- Dobrze. A teraz zdejmijcie ubranie. Erik popatrzył zdumiony na Harrisa.

- Zdejmijcie wszystko - nakazał tamten. Wstał, wyciągnął z szafki dużą papierową torbę i wręczył ją Erikowi. - Włóżcie tutaj swoje rzeczy.

Po chwili Erik stał przed porucznikiem golusieńki jak Bóg go stworzył, ściskając w dłoni szczoteczkę.

- To wszystko! - Harris wskazał mu drzwi. - Tędy. Powiedzą wam, co dalej.

Erik spełnił otrzymane polecenie i znalazł się w obszernej sali, wypełnionej chyba trzema setkami osób - przynajmniej tak mu się wtedy wydawało.

Stanął jak wryty. Nie wypuszczał z ręki szczoteczki do zębów, która stanowiła teraz jego jedyny łącznik z normalnością. Rozejrzał się uważnie dokoła.

W sali znajdowało się nie trzystu, a trzydziestu mężczyzn. Wszyscy goli jak święci tureccy i wszyscy trzymali w dłoniach szczoteczki. Pochylali ku sobie uprzejmie głowy, prowadząc banalne rozmowy.

Erik szybko pojął reguły gry i niebawem wdał się w ożywioną dyskusję na temat trwałości „tymczasowego” budynku obozu z dwoma młodzieńcami: pierwszy miał obficie owłosioną klatkę piersiową, drugi zaś imponujące jądra oraz bardzo wyraźną bliznę po operacji wyrostka. Wszyscy omijali tematy związane z życiem prywatnym.

Wkrótce otrzymali mundury szeregowców, po czym nakazano im załadować się do dwóch dużych ciężarówek. Zatrzaśnięto drzwiczki samochodów. Podczas długiej nocnej jazdy nikt nie rozpoznał celu podróży.

Dopiero po czterech tygodniach Erik odkrył, że znalazł się w bazie Służb Strategicznych, czyli OSS.

Zapoznał się już wtedy z podstawowym programem szkoleniowym B-5, obozu ćwiczebnego ukrytego w odludnej leśnej okolicy. Następnego ranka po przybyciu wszystkich wygnano z budynku o szóstej rano. Zaprowadzono ich w wydzielone miejsce poza obrębem obozu, które okazało się niewielkim cmentarzem. Ujrzeni kilka nagrobków oznaczonych tylko nazwą kodową i numerem oraz jeden otwarty grób, gotowy do przyjęcia nieboszczyka. Poznali wtedy swojego instruktora. Nazywał się Porter. Ostrzegł ich, że dostaną w kość.

Niektórzy nie wytrzymają. Z poprzedniego kursu nie wszyscy do-
trwali do końca. Mówiąc o tym, instruktor jakby od niechcienia wska-
zał na groby. Następnie z kabury na brzuchu dobył colta army 45 i
pokazał go gromadzie zaspanych rekrutów. Powiedział, iż wie, że
niektórzy z nich przeszli jedynie krótkie przeszkolenie wojskowe.
Cierpliwie wyjaśniał budowę broni, a potem nieoczekiwanie dał
ognia w kierunku wystraszonych rekrutów, opróżniając cały bębe-
nek: pociski gwizdały tuż obok głów i lądowały w kupie śmieci. Kilku
słuchaczy się cofnęło, inni padli plackiem na ziemię, kilku rzuciło się
do ucieczki. Erika zamurowało, toteż stał nieruchomo. Całą tę wa-
riacką zabawę obserwowało dwóch cichych, ponurych facetów zapi-
sujących coś w czarnych notatnikach. Nazajutrz grupa stopniała do
dwudziestu ośmiu osób.

Taki był początek kursu ćwiczebnego, który przechodzili kandy-
daci na agentów OSS.

Po upływie pierwszego miesiąca Erik wstawał rano z łóżka i my-
ślał: oto mój ostatni dzień życia, jeśli dotrwam do końca dnia. Po
drugim miesiącu myślał już inaczej: dawać tutaj tych skurczybyków!
damy sobie radę i z Niemcami, i z Japonią! Kurs był zwięzły i
wszechstronny. Niczego nie pominięto. Od łączności do kryptografii,
od orientacji terenowej do nauki cichego zabijania oraz tajników
„brudnej” walki wręcz, którego to przedmiotu uczył major Fairburns,
przedtem zatrudniony w policji w Hongkongu. Młodzi ludzie uczyli
się strzelania z każdego rodzaju broni, produkcji zarówno państw
alianckich jak i Osi, oraz prowadzenia każdego pojazdu. Uczono ich
forsowania zapór, wdzierania się do chronionych pomieszczeń, a
także obchodzenia się z materiałami wybuchowymi, a milczący po-
nuracy z notesikami nieustannie obserwowali ich z boku. Jeśli ktoś
wzbraniał się przed założeniem zębami wysoko czulej nasadki na
detonator, raczej nie przewidywano jego obecności na dalszych zaję-
ciach.

Wreszcie nadszedł czas szkolenia spadochronowego. Ćwiczenia
wstępne odbywali przez całe dwa dni. Potem jednego popołudnia
wykonali po pięć kwalifikujących skoków. Przerzucono ich następnie
ciężarówką do bazy morskiej Quantico w stanie Wirginia, stamtąd
zaś wystartowali samolotem C-47, z którego pokładu mieli skakać na

niewielką polaną w pobliskim lesie. Potem samochód odwoził ich do bazy i powtarzano całą procedurę, aż wszyscy wykonali przewidzianą liczbę skoków.

Zaliczanie skoków spadochronowych stanowiło coś w rodzaju egzaminu dyplomowego. Podstawowe szkolenie dobiegało końca. Z trzydziestosześcioosobowej grupy pozostało tylko sześciu kursantów. „Lars G-8” był jednym z nich.

Niebawem otrzymał pierwsze zadanie, które miał wykonać na terytorium okupowanym przez nieprzyjaciela. Dołączył do oddziału jedenastu norweskich komandosów, których miano zrzucić w Norwegii celem wysadzenia w powietrze fabryki ciężkiej wody obsługiwanej przez hitlerowców. Spośród żołnierzy jedynie Erik nie był pochodzenia norweskiego, wybrano go wyłącznie z jednego powodu: droga do fabryki prowadziła wzdłuż narciarskiego szlaku, który doskonale znał. Przeszedł wraz z Norwegami intensywny instruktaż, po czym wszystkich przewieziono samolotem do bazy Sił Lotniczych USA w Westover w stanie Massachusetts, skąd, również drogą lotniczą, mieli dostać się przez Islandię do Norwegii. Jednak w bazie zdjęto Erika z pokładu i zawrócono do Waszyngtonu. Nikt mu nie wyjaśnił, dlaczego podjęto taką decyzję. Nikt w ogóle niczego nie wyjaśniał. Przez tydzień przebywał w ścisłym odosobnieniu. Wreszcie wszystko mu wyjaśniono. Jak się okazało, operacja została spalona. Ktoś wkradł się podstępnie w szeregi organizacji i zdradził plany. Zadanie miało jednak zbyt wielkie znaczenie, toteż o odwołaniu go nie było mowy. Zrzut musiał się odbyć w wyznaczonym czasie, opóźnienie oznaczało klęskę. W ostatniej minucie zmieniono jednak trasę marszu i Erik przestał być użyteczny - w tej sytuacji jako jedyny komandos pochodzenia nienorweskiego tylko by zawadzał. Szpiega wytropiono, a zadanie wykonano. Ale jedenastu komandosów usiłujących wycofać się po zniszczeniu fabryki wpadło w ręce wroga. Wszystkich rozstrzelano.

Erik doznał wstrząsu. Początkowo zareagował na wiadomość o tragedii myślą: „dzięki Bogu, że nie musiałem iść z nimi”, zaraz potem jednak doświadczył przytłaczającego poczucia winy, ponieważ nie towarzyszył kolegom. Organizacja dała mu dwa tygodnie na dojście do psychicznego ładu. Spożytkował ów czas, pisząc dla Biura

Informacji Wojennej scenariusze audycji radiowych nadawanych na krótkich falach.

Gdy zameldował się ponownie w bazie, sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. Każdej ze stron przypadł w udziale obszar, na którym prowadzono operacje wedle zasad ustalonych przez OSS. Kraje skandynawskie znalazły się w brytyjskiej strefie operacyjnej, toteż przed Erikiem - wyszkolonym pod kątem udziału w operacjach organizowanych w tych krajach - postawiono wybór: albo miałyby podlegać brytyjskim władzom wojskowym, albo pozostać pod rozkazami Amerykanów. Wybrał tę drugą możliwość.

Ponieważ znał języki obce - chodziło zwłaszcza o francuski i niemiecki - otrzymał przydział do Korpusu Kontrwywiadu Wojskowego, co być może wynikało z zasady: „na złodzieja naślij złodzieja”, po czym odbył intensywny kurs prowadzenia dochodzeń oraz przesłuchań. Zawsze pamiętał, ile dobrego zawdzięcza szkoleniu, jakie przeszedł w OSS. Często bardzo mu się przydawało...

Nie wszystko okazało się kaszką z mleczkiem, wiedział jednak, że gdyby czas się cofnął, napisałby ten cholerny list jeszcze raz.

Wstał z łóżka, podszedł do jednej z kartotekowych szafek stojących pod ścianą, otworzył ją i zaczął szukać „czarnej listy”. Gdyby znalazło się na niej nazwisko pułkownika Gerhardte Wilkego, mógłby je skreślić.

Murphy wsunął głowę przez drzwi.

- Czy może pan przyjąć następnego klienta?

Erik uśmiechnął się krzywo.

- Okay - zgodził się. - Następny! Następny. Jeszcze jeden. I jeszcze. I...

Mijały ostatnie tygodnie wojny. Niemcy leżeli na wszystkich frontach. Nawet sam Berlin był zagrożony. Ale kontrwywiad dopiero rozpoczynał pracę. Przez kilka tygodni wiele jeszcze mogło się zdarzyć.

Potań dłoń. Ten przeklęty zarost na brodzie Niemca podrażnił mu skórę.

Była godzina 9.30. W Dachau, trzysta kilometrów na wschód, dwóch oficerów Waffen SS przechodziło właśnie przez kontrolę w głównej bramie obozu koncentracyjnego...

Dachau

Godzina 16.34

Untersturmführer Wilhelm Richter spojrział z ukosa na kłęby dymu buchające z wysokich ceglanych kominów. Tłusty szary pióropusz wiał się płamiąc czyste bawarskie niebo. Piece krematoryjne Dachau huczały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego pozostało już niewiele czasu.

Młody porucznik Waffen SS opierał się o ścianę przysadzistego budynku ukrywającego korzenie piekielnych kominów. Cegły były rozgrzane i pokryte warstwą czarnej sadzy, ale Willi starannie wyszukał sobie czyste miejsce. Kilkunastu więźniów obozu ładowało coś na zaparkowaną opodal wojskową ciężarówkę. Willi obserwował załadunek.

Nieszczęśnicy przypominali żywe szkielety. Zniszczone pasiaki wisiały na ich wychudzonych ciałach. Na plecach każdej bluzy wymalowano duże „S” - symbol Sonderkommando, specjalnej grupy robotniczej, wykonującej ochotniczo najgorsze z krematoryjnych zajęć w zamian za kilka tygodni życia.

Zaledwie kilka tygodni, pomyślał Willi. I to jakiego życia? Przecież wszyscy oni prędzej czy później skończą tak samo. Wylecą kominem.

Patrząc na więźniów, zaczął cicho pogwizdywać:

*Du keine Fliege,
Wenn ich dich kriege...*

Była to stara niemiecka dziecinną piosenka, którą pamiętał z najmłodszych lat.

Więźniowie pracowali w milczeniu. Drewniane skrzynie były ciężkie, a oni bardzo słabi. Każdą skrzynię musiało podnosić i ładować na platformę ciężarówki aż czterech. Mozolili się w głuchej, martwej

ciszy, sześciu czarno umundurowanych strażniku w- esesmanów z formacji Totenkopfverband otaczało kołem wynędzniałą ekipę, leniwie kołysząc w ramionach schmeissery.

Z tyłu ciężarówki, nie spuszczać więźniów z oka stał Sturmbannführer Kratzer.

Major SS nie był imponującą postacią: nie grzeszył wzrostem. Emanowała zeń jednak jakaś wewnętrzna siła, coś władczego, toteż Willi nie czuł się zbyt pewnie.

Ostatnia skrzynia znalazła się na platformie. Członków Sonderkommando stłoczono w niewielką gromadkę. Więźniowie wiedzieli, że oto wykonali swoje ostatnie zadanie. Wyblakłe, zapadnięte oczy wbili w ziemię; tylko kilku odważyło się podnieść spojrzenie.

Sturmbannführer Kratzer skinął na podoficera Totenkopfverband dowodzącego strażnikami i wskazał w kierunku grupki więźniów.

- Znacie swoje obowiązki - powiedział beznamiętnym tonem, jakim mógłby wydawać polecenia urzędnikowi. Podoficer skinął głową.

- *Jawohl, Herr Sturmbannführer.*

Kratzer spojrzał na Willego.

- Richter! - rzucił. - Jedziemy!

Dwóch strażników zajęło miejsca z tyłu ciężarówki, a Willi podszedł do szoferki. Nie patrzył na więźniów. Nieoczekiwanie powietrze wypełniło się fetorem. Z przyjemnością opuścił to miejsce. Wspiął się na fotel i ujął kierownicę; obok usiadł Kratzer.

Ciężarówka kolebała się niezgrabnie na zapuszczonej, wyboistej nawierzchni. Mieli z tyłu ciężki ładunek, więc Willi prowadził ostrożnie. Nie mogli pozwolić sobie na złamanie resoru czy osi. Zagwizdał cichutko do siebie: „Du kleine Fliege...” Przypomniawszy sobie, jak Mutti śpiewała mu tę piosenkę dawno, dawno temu.

Du kleine Fliege,

Wem ich dich kriege,

Dann reiss ich dir dein kleines Beinchen aus.

Dann mussi du hinken

*Auf deinen Schinken -
Dann kommst du nicht mehr wieder nach deinem Haus*

To zabawne, że przysłała mu na myśl akurat teraz.

Willi był dzieckiem wojny. Jego ojciec, Walter, zginął na froncie zachodnim w 1916, dokładnie w dniu powrotu z urlopu. Po dziewięciu miesiącach urodził się Willi. Wychowała go matka. Pamiętał ją dobrze z czasów wczesnego dzieciństwa. Śpiewała mu stare niemieckie piosenki i czytała historyjki z *Der Struwwelpeter**: o Konradzie, który ssał palce, więc uciął mu je krawiec, o płacze, której wypłynęły oczy, o okrutnym Pawelku i Piotrusiu Niechlujku oraz o małym Fritzu, którego pożarł wilk, o Hansie, który został przecięty na pół zjeżdżając po poręczy ze schodów, i o spalonej dziewczynce, z której pozostała tylko kupka popiołu...

Zbiór wierszowanych historyjek umoralniających dla dzieci, napisany i zilustrowany w 1844 r. przez poetę, lekarza i malarza w jednej osobie - Heinricha Hoffmanna; w Polsce wydany jako *Złota różdżka* (przyp. tłum.).

Wciąż miał przed oczami okładkę książki: przedstawiała Konrada z krwawiącymi palcami. Tytuł dziełka brzmiał: *Wesołe historyjki i zabawne obrazki dla dzieci od lat trzech do sześciu*. Początkowo Willi nie lubił patrzeć na Konrada, gdyż rysunek napawał go lękiem przed ssaniem palca, wkrótce jednak przestał się bać i był z tego dumny. Bogiem a prawdą zawsze był święcie przekonany, że Konrad zasłużył na obcięcie palców.

Później czuł się coraz mniej związany z Mutti, szczególnie przez cztery lata poprzedzające jego dziewiętnaste urodziny: należał wtedy do Hitlerjugend. Potem oczywiście wstąpił do Waffen SS...

Z marzeń wyrwał go głos Kratzera.

- To już tutaj - powiedział. - Skręcamy w lewo. W las.

Na niewielkiej leśnej polanie, niewidocznej od strony drogi, czekała już inna ciężarówka. Nie należała do Wehrmachtu, był to zajeżdżony do cna cywilny pojazd o silniku przerobionym na gaz drzewny - zgodnie z wytycznymi wojennymi, które nakazywały oszczędzanie

surowców strategicznych. Za szoferką zainstalowano wielki walcowaty piec oraz zasobnik na drzewo. Obok pojazdu stał ubrany po cywilnemu mężczyzna: miał na sobie skórzaną kurtkę i czapkę, palił fajkę. Kiedy Willi zatrzymał wóz, starannie zgasił ją zrogowaciałym keciem i schował do kieszeni. Esesmani zeskoczyli z platformy.

- *Los!* - nakazał Kratzer. - *Die Kisten umladen!* Wszystkie skrzynie na drugą ciężarówkę! Szybko! - Poruszył niecierpliwie pistoletem maszynowym.

Dwóch członków eskorty odłożyło broń. Wspomagani przez cywila, zaczęli natychmiast przenosić ciężkie paki. Willi oglądał ze zdziwieniem sfatygowany wehikuł. Kratzer podszedł do niego i uśmiechnął się chytrze.

- W ten sposób nie będziemy rzucać się zbyt w oczy - wyjaśnił. - Nieprzyjaciel patroluje z powietrza tereny, przez które mamy przejeżdżać. Będzie mu jednak szkoda amunicji na tego starego grata!

- Czy damy radę? - zapytał Willi z powątpiewaniem. - W górach?

- Oczywiście. Stąd do Rattensdorfu jest tylko czterysta dwadzieścia kilometrów. Będziemy tam jutro. Rankiem.

Willi miał nadzieję, że major się nie myli. Nie będzie łatwo pokonać alpejskie drogi zajeżdżonym na śmierć gazowym trupem.

Esesmani niemal ukończyli przeładunek. Trzech huśtało ostatnią ciężką skrzynię, chcąc ustawić ją na stosie innych. Nagle najbliższemu esesmanowi paka wysunęła się z rąk. Jego dwóch pomocników nie utrzymało ciężaru, skrzynia runęła na ziemię i rozbiła się.

Trzej mężczyźni patrzyli w osłupieniu na rozwalone pudło. Spośród połamanych desek wyzierały sztabki złota! Jeden z esesmanów spojrzął na Kratzera i zamarł z przerażenia.

Major SS trzymał ich wszystkich na muszce swojego schmeissera.

- Przykro mi, panowie - powiedział cicho.

Dwie szybkie serie z pistoletu maszynowego przeleciały po nich krótkim łukiem. Pociski przecięły esesmanów wpół. Jeden ze

strażników patrzył z niedowierzaniem na krwawe wnętrzości wylające mu się na dłonie z otwartej jamy brzusznej. W chwilę później upadł na swoich zabitych towarzyszy.

Z pobliskiego drzewa poderwało się stado wron - i odleciało gdzieś daleko nad blade pola, protestując wrzaskliwie przeciw zakłóceniu spokoju natury.

Willi poczuł w ustach gorzki smak żółci, a w nogach nagłą miękkość. Zmusił się do przełknięcia śliny. Z przerażeniem patrzył na majora SS.

Matko Boska, pomyślał, przecież to byli Niemcy! Nie byli Żydami, lecz Niemcami!

Kratzer przypatrywał się beznamiętnie trzem ciałom. Przez ułamek sekundy Willi doznał wrażenia, iż oficer ma zamiast oczu dwa czarne otworki. Mimo woli również skierował spojrzenie na nieruchome zwłoki i znów poczuł w gardle żółć. Miał trudności z oddychaniem.

Kratzer nie zwracał na niego uwagi. Podszedł do ciał drobnym, tanecznym krokiem. Zawsze potrafił bezbłędnie zdemaskować udających śmierć. Ale tym razem obyło się bez Genickschuss*. Trzej mężczyźni byli martwi.

Strzał w kark (przyp. tłum.).

Nagle major zauważył obecność Willego.

- Chodź tutaj - nakazał łagodnym tonem. Willi podszedł i przystanął obok Kratzera. Jeszcze nie otrząsnął się z szoku.

- Wiedzieli, dokąd jedziemy - wyjaśnił major. - A my nie możemy dopuścić do powstania pogłosek, że w Rattensdorfie znajduje się dwadzieścia milionów Reichsmarek w złocie.

Ma oczywiście rację, pomyślał Willi. Odzyskał już panowanie nad sobą i czuł lekki wstyd. Mało brakowało, a byłby się rozkleił.

Kratzer kopnął sztabki złota.

- Zęby! - Uśmiechnął się krzywo. - Całe kupy zębów! Roześmiał się zimno. - Ci Żydzi wcale nie są tacy źli - dodał po chwili. - W każdym tkwi ziarenko złota. Te żydowskie ziarenka pomogą przetrwać Trzeciej Rzeszy. Już my się o to postaramy. A teraz chodźmy - skinął

na Willego. - Musimy załadować resztę złota. Im szybciej dotrzemy do Rattensdorfu, tym prędzej będziemy mogli powrócić do Thürenbergu...

Stary wehikuł pędził z turkotem po wybojach. Prowadził Willi. Było już późne popołudnie. Na niebie płynęło tylko kilka szarych obłoków. A może to dym z krematorium...?

Kratzer drzemał obok, na siedzeniu pasażera. Willi znów zaczął pogwizdywać swoją ulubioną piosenkę z dzieciństwa, którą śpiewała mu Mutti: „Du kleine Fliege...”

*Ach, muszko, mała muszko,
Kiedy cię złapię,
Urwę ci nóżki.
Będziesz kuśtykać
Na zadku -
Nie dojdiesz do domu,
W żadnym wypadku.*

Nagle przerwał.

Nie wiedzieć czemu wyszło mu w ustach.

Berlin

Godzina 23.37

Berlińskie Stadtmitte - centrum miasta - stało w płomieniach. Rajd bombowców RAF dopiero co skąpał stolicę Niemiec w śmierci i zniszczeniu. Wiele budynków odniosło poważne uszkodzenia. Wielki, modny hotel Adlon u zbiegu Unter Den Linden i Wilhelmstrasse trawił pożar. Ale położony dalej gmach Ministerstwa Propagandy wyszedł z nalotu stosunkowo cało.

Śmiertelnie zranione miasto walczyło o życie. Wozy straży pożarnej, karetki pogotowia oraz pojazdy wojskowe pędziły z rykiem syren przez ulice-pobojowiska, na których żołnierze, cywile i strażacy usiłowali desperacko stłumić szalejącą pożogę. Pracownicy Czerwonego Krzyża, z ciężkimi kordelasami w dłoniach, cięli i rozkopywali dymiące zgliszcza, próbując dotrzeć do zasypanych gruzem umierających i zabitych.

Płomienie z ruin Kancelarii Rzeszy strzelały w wolne już od samolotów nocne niebo i odbijały się w ciemnych oknach Ministerstwa Propagandy, upodabiając jego gmach do górującej nad otoczeniem ogromnej bestii o setkach lypiących nienawistnie czerwonych ślepi.

Z chaosu pożogi, od strony płonącego hotelu Adlon, nadjechała niewielka kolumna pojazdów. Duża czarna limuzyna, otoczona przez czwórkę esesmanów na motocyklach, po dwóch z przodu i z tyłu, przedzierała się przez labirynt gruzu z taką szybkością, na jaką pozwalały działania ratownicze i przeciwpożarowe. Kawalkada podjechała pod wejście do gmachu ministerstwa i zatrzymała się.

Z limuzyny wyskoczył ordynans i otworzył drzwiczki. Samotny pasażer wysiadł szybko. Był niewysoki, nosił czapkę wojskową i długi płaszcz skórzany z szerokimi klapami i pasem. Wyraźnie utykając na jedną nogę, zbliżył się do schodów, przystanął i popatrzył na zniszczenie dokoła.

Doktor Joseph Goebbels, minister propagandy Trzeciej Rzeszy, był przerażony. Jego twarz o groteskowych małpich rysach przybrała ponury wyraz. Pomyślał, że teraz nic nie pójdzie gładko. Dobrze wiedział, że coraz więcej berlińczyków nie podziela jego niezachwianej wiary w Führera. Oczywiście nie mieli racji. Nie było jednak łatwym zadaniem zapewnienie ich poparcia wobec nieustannych dziennych i nocnych nalotów - takich jak ten.

Zaczął wchodzić po szerokich schodach. Nieoczekiwanie z budynku wyłoniła się niewielka grupa osób. Wszyscy byli bardzo poruszeni i podnieceni; zatrzymali Goebbelsa w połowie drogi i sekretarz ministerstwa z nie ukrywaną radością zaczął mówić coś „Doktorowi”.

Płomienie odbijały się w pochylonej twarzy ministra propagandy. Sekretarz usiłował przekrzyczeć dochodzący zewsząd hałas. Nagle Goebbels uściśnął mu dłoń, a jego twarz zajaśniała radosnym blaskiem uniesienia. Na czele całej grupy wkroczył szybko do budynku.

Skierował kroki wprost do gabinetu. Gdy śpieszył korytarzem, usługne dłonie pomogły mu zdjąć obszerny skórzany płaszcz. We wszystkich pracowników najwyraźniej wstąpiło nowe życie.

Goebbels podszedł do masywnego biurka, dominującego w bogato i solidnie umeblowanym pomieszczeniu. Zasiadł w fotelu i spojrzał na zgromadzonych ludzi, których wzrok wyrażał oczekiwanie i nadzieję.

Zatarł ręce z triumfującym uśmiechem.

- Doskonale - powiedział. - Przynieście najlepszego szampana. I połączcie mnie z Führerem.

Ktoś wybiegł, żeby spełnić polecenie, a sekretarz zajął się telefonem. Musiał uzyskać połączenie z bunkrem, w którym Führer schronił się przed nalotem. Goebbels potoczył dokoła radosnym okiem. Zauważył na biurku duży kalendarz. Pokazywał datę 12 kwietnia 1945. Minister propagandy zerknął na zegarek i zdarł kartkę. Rozpoczął się nowy dzień.

Sekretarz wręczył Goebbelsowi słuchawkę, pozostali wpatrywali się weń pilnie. W wielkiej sali zaległa cisza. Przerwał ją głos Goebbelsa.

- *Mein Führer* - rzekł z patosem. - Moje gratulacje! W gwiazdach zapisano: „Druga połowa kwietnia stanie się dla nas punktem zwrotnym!” Dziś mamy piątek, trzynasty kwietnia! Ten dzień stał się rzeczywiście punktem zwrotnym. Właśnie otrzymałem wiadomość, że prezydent Roosevelt nie żyje!*

Scena historyczna (przyp. tłum.).

13 kwietnia 1945

Berlin

Godzina 2.49

Ukryte za szklanymi kloszami, rozmieszczone u sufitu żarówki rzuciły jasnożółte światło na betonowe ściany długiego korytarza, łączącego bunkier sztabowy z bunkrem Adolfa Hitlera w głębokich podziemiach Kancelarii Rzeszy.

Oberst Hans Heinrich Stauffer, adiutant Generalfeldmarschalla Wilhelma Keitla, szefa Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych, śpiesząc korytarzem dopinał guzik bluzy. Rozkaz stawienia się w bunkrze Führera należało wykonać natychmiast, nawet jeśli była godzina trzecia nad ranem. W kompleksie pomieszczeń bunkra znajdowało się więcej osób niż zwykle o tej porze, toteż Stauffer zastanawiał się, co zaszło. Być może Sprzymierzeni w końcu skapitulowali - pomyślał z wisielczym humorem.

Przeszedł przez kantinę, gdzie kilku strażników-esesmanów popijało gorącą namiastkę czarnej kawy, i skierował się schodami na dolne piętro bunkra, piętnaście metrów pod poziomem miasta. Przemierzył szybkim krokiem pustą poczekalnię i znalazł się w sali konferencyjnej.

Zastał tam garstkę oficerów, między innymi starszego adiutanta Führera, generała Wilhelma Bergdorfa, oraz osobistego adiutanta Hitlera, a zarazem jego ochroniarza, pułkownika SS Ottona Günshiego. Wszyscy odwrócili głowy w kierunku wchodzącego, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Panowała atmosfera napięcia i oczekiwania.

Stauffer rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu feldmarszałka, nie odnalazł go jednak. Pewnie szef sztabu przebywa u Hitlera. Spojrzał pytająco na Günshiego, który potwierdził jego domysły skinieniem głowy.

Dołączył do grupy oczekujących oficerów. Bywał w tej Sali wiele razy, ale nigdy nie przywykł do jej wystroju. Umieblowano ją wygodnie, choć przypadkowo, krzesłami i stołami ściągniętymi z biur

Kancelarii znajdujących się na górnym poziomie. Ściany zawieszono niemieckimi krajobrazami, były tam również dwie duże mapy: Wielkich Niemiec oraz Berlina i okolic. Obie pokrywało mnóstwo wojskowych oznaczeń i symboli. Tereny położone na wschód od Berlina czerwieniły się od oznaczeń i wyglądały, jakby pochłapano je krwią. Na długim stole leżały stosy dodatkowych map. Stauffer zaczął dociekać, skąd się wziął zbytkowny perski dywan, który żadną miarą nie pasował do cementowej podłogi. Żeby zmieścić się w sali, musiało zostać go po bokach. Zauważył, iż załamania na zgięciach są wyraźnie widoczne.

Pozostali oficerowie cicho rozmawiali między sobą. Pułkownik Stauffer siedział i czekał. Przywykł do czekania. Był zawodowym żołnierzem...

Godzina 3.27

Stalowe drzwi gabinetu Hitlera nagle się otwały. Oczekujący oficerowie umilkli. W drzwiach ukazał się Generalfeldmarschall Wilhelm Keitel. Stauffer ujrzał wewnątrz gabinetu. Było to niewielkie, prosto umeblowane pomieszczenie: sofa, biurko, kilka krzeseł i stół, na którym piętrzyły się mapy. Tylko kilka przedmiotów było wyrazem osobistych upodobań gospodarza: ozdobny zegar oraz wiszący nad biurkiem owalny wizerunek Fryderyka Wielkiego, pruskiego króla-wojownika, którego Hitler otaczał wielką czcią. Führer stał odwrócony do ściany, z rękami założonymi z tyłu, i wpatrywał się w portret.

Keitel już miał zamknąć drzwi, kiedy Hitler nie odwracając się przemówił:

- *Sie! Herr Feldmarschall! Ich verlasse mich auf Sie!*

Głos Hitlera zabrzmiał nieoczekiwanie silnie - niemal tak, jak dawniej. Było to coś niezwykłego. Führer był już załamany psychicznie człowiekiem. Pochylał się i garbił, drżała mu zraniona lewa ręka, a idąc powłóczył lewą nogą. Jego oczy jednak wciąż błyszczały, emanując osobliwą, hipnotyzującą siłą.

- *Mein Führer*, uczynię wszystko, co w mojej mocy - obiecał Keitel.

Wykonał gest pozdrowienia i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę przyglądał się oczekującym w sali oficerom.

Generalfeldmarschall Wilhelm Bodewin Johann Gustav Keitel był uosobieniem pruskiego junkra. Wysoki, prosty jak świeca, z krótko podstrzyżonymi siwiejącymi włosami, dobrze utrzymanymi wąsikami, o zimnych, bladych oczach (w lewym oku tkwił czasem monokl), ubrany w nieskazitelnie czysty mundur i noszący na nogach wyczyszczone do lustrzanego połysku buty, stanowił wręcz podręcznikowy okaz wyniosłego pruskiego arystokraty. Nie był jednak ani Prusakiem, ani arystokratą.

W głębi duszy pozostał rolnikiem, uwielbiał proste wiejskie obowiązki. Posiadał własne gospodarstwo rolne Helmscherode w Braunschweig i przebywał tam, ilekroć mógł oderwać się choćby na kilka dni od wykonywania rozkazów Führera i podpisywania dokumentów pozbawiających życia miliony osób...

Ale już od dłuższego czasu nie widział swojej ukochanej posiadłości. Dwa dni temu zajęli ją Amerykanie i od tamtej pory nie miał stamtąd żadnych wieści. A teraz to. Nie entuzjazmował się najnowszym pomysłem Hitlera - otrzymał jednak rozkazy, rozkazy od Wodza, i nie mógł ich zmienić. Było jednak coś, co mógł uczynić.

- *Meine Herren...* - zaczął poważnym tonem. - Nic z tego, co tutaj usłyszycie z moich ust, nie ma prawa wydostać się poza tę salę.

Popatrzył po twarzach. Obserwowano go z napięciem. Podeszedł do dwóch dużych map ściennych.

- Panowie - ciągnął - kolejnie wojny niedługo ulegną zmianie. Führer polecił mi przekazać panom, co następuje: prezydent Roosevelt nie żyje...

Odczekał cierpliwie, aż minie żywa reakcja oficerów.

Stauffer również poczuł przyspieszenie tętna. Uważnie obserwował swojego dowódcę. Jego zaintrygowanie rosło. Pomyślał, że to, co usłyszeli, jest tylko wstępem.

Od dawna pracował z Keitlem, znał większość jego nawyków i wiedział, że tamten nie wyjawiał jeszcze wszystkiego. Im bardziej feldmarszałek był przejęty tym, co miał przekazać, tym bardziej wydawał się sztywny w obejściu i nienaturalny w mowie. Teraz też tak było.

Keitel kontynuował:

- Oto słowa Führera: „Nie będziemy się sprzeciwiać przeznaczeniu!” - Odwrócił się ku mapie. - Rosjanie poniosą największą porażkę w tej wojnie właśnie u bram Berlina! - Stał przodem do oficerów, mierząc ich beznamiętnym, chłodnym spojrzeniem; za plecami miał mapę pokonanych Niemiec. - Führer powiedział: „Zwycięzca ostatniej bitwy wygra tę wojnę”. Ta ostatnia bitwa, *meine Herren*, będzie nasza!

Stauffer skurczył się w sobie. Mój Boże! - pomyślał. - Kolejna niezwykła tajna broń! Pozostali oficerowie słuchali i patrzyli na szefa sztabu, ich twarze wyrażały rozmaite uczucia: od fascynacji po niewiarę. Stauffer nigdy nie darzył swego przełożonego zbyt dużym szacunkiem. Uważał Keitla za pozbawionego kręgosłupa włazidupca, ślepo posłusznego swemu jednemu bogu - Adolfowi Hitlerowi...

Keitel sprawował stanowisko szefa OKW (Oberkommando der Wehrmacht) - czyli szefa Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych - od 4 lutego 1938 roku. Odpowiadał idealnie wymaganiom Hitlera. Jego lojalność była niekwestionowana, a dossier miał czyste jak lza. Na początku lat trzydziestych brał udział w konspiracji hitlerowskiej, której celem była odbudowa armii niemieckiej, co stało w jawnej sprzeczności z Traktatem Wersalskim. Wykonywał swoje zadania z całkowitym oddaniem, wydając rozkazy i polecenia najczęściej ustnie, kierował się bowiem zasadą głoszącą, iż „to, co przekazano ustnie, nie da się udowodnić, i zawsze można temu zaprzeczyć”. Od początku podporządkował się bez reszty wszystkim rozkazom i żądaniom Hitlera, nigdy nie podając w wątpliwość motywów postępowania Wodza - i nikomu na to nie pozwalając. Był pedantem o sztamowym sposobie myślenia i bez poczucia humoru, dbał jednak pieczołowicie o najdrobniejsze szczegóły, był więc jakby stworzony do rutynowej administracyjnej pracy. Rolnik Wilhelm Keitel stanowił idealny typ oficera sztabowego, bez pytań i sprzeciwów wypełniającego wszelkie życzenia najwyższego dowództwa. Był zawsze cieniem Hitlera. To na jego ramieniu wspierał się Führer wychodząc ze zniszczonego wybuchem bomby baraku w Rastenburgu: ranny, poparzony

i poturbowany, o osmalonych włosach i twarzy - po nieudanym zamachu pułkownika Stauffenberga. Sam Keitel doznał wtedy wstrząsu, ale nie odniósł żadnych obrażeń.

Keitel zbliżył się do stołu z mapami, oficerowie otoczyli go kołem. Feldmarszałek wybrał mapę, a Stauffer rozłożył ją na stole. Przedstawiała alpejskie tereny Bawarii, Austrii i północnych Włoch. Wszyscy znali z poprzednich odpraw zarówno głos, jak i sposób wysławiania się Keitla, czuli jednak, że tym razem chodzi o coś więcej.

- Nadszedł już czas - oświadczył Keitel. - Przy najbliższej sposobności przegrupujemy się i skonsolidujemy nasze siły tak, jak to planowaliśmy... o, tutaj. - Położył dłoń na mapie. - Bawarska Twierdza Górská, Alpenfestung. Stąd wygramy wojnę! Poleciałem Führerowi marszałka polnego Kesselringa na stanowisko dowódcy Obszaru Południowego.

Popatrzył po oficerach.

- Amerykanie doznali straszliwego ciosu tracąc w tak decydującej chwili swojego ogarniętego żądzą wojny prezydenta. Są ogłupiali, zdemoralizowani. Niemcy - nasze jednostki - potrzebują punktu zbornego. Teraz. Trzeba wykonać śmiały, zdecydowany ruch, który wznieci ponownie w nich zapal do walki i uczyni Alpenfestung prawdziwie niezdobytą twierdzą. Wykonamy taki ruch!

Stauffer wpatrywał się w feldmarszałka jak urzeczony. Czy ten człowiek naprawdę wierzy w to, co mówi? Keitel kontynuował:

- Los powalił Amerykanów na kolana. Teraz kolej na nas. Musimy dokończyć rozpoczętego dzieła! Hydra straciła polityczną głowę. Pozbawimy ją również wojskowej! *Meine Herren...* - dramatycznie zawiesił głos, po czym obwieścił: - *Meine Herren*, Führer rozkazał zgładzić generała Eisenhowera. Natychmiast!

15 kwietnia 1945

Feldstein

Godzina 20.47

Sunący na pozbawionych dętek metalowych obręczach zdezelowany rower zgrzytał i chrzęścił na zwirowanym poboczu. Grupa składająca się z sześciu mężczyzn i kobiety maszerowała w ciemnościach wiejską drogą. Wszyscy nieśli tobołki i plecaki. Jeden z mężczyzn miał przewieszane przez plecy dwie stare walizki, drugi prowadził rower, na którym piętrzył się stos pakunków. Cała siódemka była obszarpana i wyglądała na zmęczoną - ot, gromadka włóczących się bez celu cywilnych uchodźców, ofiar wojny. Noc była ciemna, niebo zachmurzone, zaczynał siąpić chłodny deszcz.

Pięć i pół kilometra na zachód od Feldstein droga biegła przez skąpo zalesioną okolicę. Spory jej obszar został odgradzony drutem kolczastym. Za jego splotami majaczyły rozproszone wśród drzew sterty kanistrów i metalowych beczek, a nad strzeżonym wejściem widniał dobrze oświetlony napis, informujący, że znajduje się tutaj magazyn zaopatrzeniowy armii amerykańskiej z rezerwami III klasy, czyli benzyną i ropą naftową.

Grupka utrudzonych uchodźców minęła ciężkim krokiem bramę po przeciwnej stronie drogi i zniknęła za zakrętem.

T5* Henry Williams patrzył na idących. Upływała czwarta godzina jego służby wartowniczej i tęsknił już za zlurowaniem. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien wezwać dyżurnego sierżanta i zameldować mu o uchodźcach, ale postanowił dać sobie spokój. Nie był pewny, od której obowiązuje tu godzina policyjna, a nie chciał, żeby dobrano mu się do tyłka, gdyby coś pokręcił. Te szkopy mogły być całkowicie w porządku - a poza tym i tak już przeszli. Po cóż więc miałby zwracać sobie nimi głowę?

T5 (Technician Fifth Grade) - „technik piątej rangi” (odpowiednik kaprała), jeden ze stopni nadawanych w dawnej armii amerykańskiej specjalistom w rozmaitych dziedzinach (przyp. tłum.).

Ogrodzenie z drutu kolczastego kończyło się za zakrętem drogi, która skręcała w las pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Uchodźcy skierowali się poboczem w kierunku narożnika składowiska. Zeszli z głównej drogi i podążyli polną ścieżką prowadzącą wzdłuż zapory przez ciemny las. Po chwili nastąpiło zdumiewające przeobrażenie.

Niemal w jednej sekundzie utrudzona grupka uciekinierów zamieniła się w zespół sprawnych komandosów. Dwaj mężczyźni podnieśli rower z ziemi i wzięli go na ramiona. Wszystko odbywało się w niezmaconej ciszy. Następnie, jakby na nie wypowiedziany rozkaz, cała siódemka padła w trawę tuż przy zasiekach.

Przez kilka minut Niemcy bacznie nad słuchiwali, a potem spojrzeli w stronę jednego z mężczyzn. Ten skinął głową. Nikt się nie odezwał. Z tobołków wyłoniła się para nożyc do cięcia drutu, schmeisser i dwa lugery. Czterech dywersantów zajęło się zawartością plecaków.

Dwóch mężczyzn fachowo i bezgłośnie przecinało drut, kawałek po kawałku, aż powstał otwór wystarczająco duży, żeby mogli przejść przezeń jeden za drugim. Kobieta pozostała z tyłu wraz z uzbrojonym w pistolet maszynowy mężczyzną. Reszta błyskawicznie wtopiła się w ciemność, znikając wśród stosów pojemników i beczek.

Starszy szeregowiec David Rosenfeld był rozgoryczony. Siedział już od tygodni w tym zapomnianym przez Boga i ludzi obozie uzupełnień w Normandii, oczekując na przydział. Miał dziewiętnaście lat i aż się palił, żeby powąchać prochu. No i co? Przed dwoma dniami otrzymał wreszcie rozkaz.

To jest to! - pomyślał wtedy. Nareszcie coś się zacznie dziać. Drzyjcie Niemcy, oto nadchodzę!

Kopnął ze złością kamień. Oto i wąchanie prochu! Pilnuje teraz jakichś pierdolonych stosów kanistrów. Jak dotąd nic, tylko wartownicza służba piesza.

Popatrzył na niewielkie skupisko baraków położone w głębi terenu. Opodal stało kilka dżipów, samochód sztabowy oraz ciemnooliwkowy cadillac-sedan. Kilku kierowców wałęsało się w pobliżu pojazdów. Najwyraźniej w dowództwie coś się działo. Przybyło sporo wyższych szarż. Rosenfeld pomyślał, że może ma to coś wspólnego z wyznaczeniem kolejnej trasy zaopatrzenia, czyli „wszystko jak zwykle, wszystko spierdolone”.

Westchnął. Z kwaśną miną kontemlował kanistry złożone w wielopiętrowych stosach i piramidy beczek z ropą. Wącha proch, niech to diabli!

Nie dostrzegł skradającego się cienia, który zniknął między dwoma stosami kanistrów. Był zbyt głęboko pogrążony w swoich gorzkich myślach...

Nocną ciszę rozdarł potężny ryk wybuchu. W ułamek sekundy później kolejny wybuch wstrząsnął składowiskiem, potem jeszcze jeden. Magazyn w mgnieniu oka przeistoczył się w piekło. Płonąca benzyna wyrzucona w powietrze siłą eksplozji zalewała baraki dowództwa. Wybuchy wyrwały budynki z posad.

Jeden z kierowców, obłany benzyną, zmienił się w pochodnię. Niczym wymachujący rękami płomienisty strach na wróble biegł potykając się, aż wpadł w stos kanistrów. Został przywalony lawiną zbiorników. W jednej chwili ogarnął go wulkan ognia.

Z baraków wybiegło kilkunastu ludzi. Usiłowali rozpaczliwie ukryć się przed deszczem płonących szczątków. Kilku wskoczyło do dwóch samochodów. Pierwszy ruszył pełnym gazem wóz sztabowy, niemal natychmiast podążył za nim sedan. Nabierając szybkości, torował sobie drogę wśród ogromnych stosów beczek z ropą. Nagle straszliwa eksplozja uniosła umykający pojazd w powietrze, po czym cisnęła go o ziemię. Samochód zadrżał w śmiertelnym skurczu, gdy eksplodował zbiornik paliwa.

W pogrzebowym stosie całopalnym tkwiły trzy ciała, zwęglone i zniekształcone nie do poznania. Jednak wciąż można było rozpoznać prostokątny kawałek metalu przytwierdzony do przedniego zderzaka, na nim zaś amerykańską generalską gwiazdkę.

W chwilę później na całym terenie rozpoczęła się gorączkowa akcja ratownicza.

Ale starszy szeregowiec Rosenfeld już jej nie doczekał.

16 kwietnia 1945

Kranach

Godzina 10.19

W sali łączności sąsiadującej ze ściśle tajną salą operacyjną na drugim piętrze budynku dowództwa korpusu było stosunkowo spokojnie, gdy Erik wszedł do niej wraz ze swoim kolegą z zespołu, agentem do zadań specjalnych, Donaldem Lee Johnsonem. Szefujący tu major Lund meldował właśnie o sytuacji generałowi brygady oraz dwóm pułkownikom, stojącym przy stoliku z rozłożoną mapą. Skinął przyjacielsko na przywitanie dwóm agentom kontrwywiadu, nie opuszczając ani przecinka w swoim meldunku.

Erik i Don sami przywieźli do dowództwa szefa gestapo, Standartenführera Gerhardta Wilkego, którego miano poddać szczegółowemu przesłuchaniu. Jeniec okazał się prawdziwą encyklopedią wiedzy dotyczącej struktur gestapo w Sudetenlandzie. Czesi będą bardzo zainteresowani.

Do Kronach, gdzie stacjonowały jednostki pierwszego rzutu XII Korpusu, przybyli poprzedniego dnia, zdążyli więc na nabożeństwo żałobne za duszę prezydenta Roosevelta odprawione w ogrodzie na tyłach dowództwa. Przemówienie wygłosił dowódca korpusu, generał major „Matt” Eddy.

Nagły zgon głównodowodzącego armii poruszył głęboko wszystkich żołnierzy. Choć Erik nigdy nie widział go na oczy, również odczuł jego śmierć jako dotkliwą osobistą stratę. Odkąd pamiętał, FDR* zawsze był prezydentem. Wydawało się, że wraz z nim zniknął kawałek historii Stanów Zjednoczonych.

Franklin Delano Roosevelt (przyp. tłum.).

Erik usadowił się na skrajku biurka i zaczął przerzucać stertę powielonych raportów wywiadowczych. Don podszedł niespiesznie do okna i wyjrzał na zewnątrz.

Ze skalistego wzgórze po drugiej stronie rzeki na starą i nową część Kronach spoglądała wyniosłe ogromna średniowieczna

twierdza Feste Rosenberg - lekceważąc jak gdyby kompleks dwu- i trzypiętrowych ceglanych budynków o dachach krytych szarym gontem, stanowiących kwaterę dowództwa korpusu.

Przed oczami Dona roztaczał się wspaniały widok na wiekowe zamczysko. Uwielbiał mu się przypatrywać. Zawsze zresztą uwielbiał oglądać i zwiedzać miejsca godne uwagi. W Anglii, we Francji, w Luksemburgu - i w Niemczech. Ku swojemu zdziwieniu skonstatował, iż jego zamiłowanie do zwiedzania zabytków historycznych bynajmniej nie przeszkadza mu w wykonywaniu ponurych wojennych obowiązków. Niekiedy, powodowany niejakim poczuciem winy, nazywał sam siebie „turystą w wojskowych butach” - choć nigdy się do tego głośno nie przyznawał, a już zwłaszcza Erikowi, który przeszedł wraz z nim wzdłuż i wszerz całą Europę i mówił płynnie w pięciu czy sześciu językach. No właśnie. Jasne, że ktoś taki zawsze będzie miał przewagę nad kimś urodzonym w Amarillo w stanie Teksas - kimś, kto miewa kłopoty nawet z angielskim!

Masywne kamienne zamczysko na wzgórzu emanowało dumą i grozą, nawet pod nieprzyjacielską okupacją. Historia zawsze się powtarza, pomyślał. Jakies trzy wieki temu z Feste Rosenberg uczynił swoją siedzibę król szwedzki Gustaw Adolf, gdy najechał Niemcy, pragnąc przynieść wolność swym niemieckim braciom-luteranom. W tym stuleciu przyszła kolej na Żydów, skonstatował z goryczą Don.

Podszedł do Erika. Major Lund podprowadził generała i dwóch pułkowników do wiszącej na ścianie dużej mapy, sąsiadującej z mapą przedstawiającą lokalną sytuację wojenną. Legenda na pierwszej mapie głosiła:

Przypuszczalne obiekty wojskowe rozlokowane na terenie REDUTY ALPEJSKIEJ

Mapa przedstawiała alpejskie rejony Bawarii, Austrii i Włoch: na północy leżało Monachium. Rozległy obszar w środku oznaczono grubą łamaną linią i upstrzono wojskowymi symbolami. Lund wskazał mapę trzem oficerom.

- Tak to wygląda - stwierdził. - To najświeższe dane.

- Ale nie potwierdzone - zauważył cierpko generał.
- Mamy jednak sygnały, że hitlerowcy przygotowują się do prowadzenia walki właśnie z tego ośrodka.

- Czyli można powiedzieć, że jest to ich ostatnie gniazdo oporu - generał brygady przybrał z lekka protekcyjny ton. Miliard P. McGraw był oficerem liniowym i nie považał zbyt wielu oficerów zza biurka, prowadzących bitwy na papierze.

- W rzeczy samej. - Major Lund odwrócił się do mapy. - Jak pan widzi, generale, Reduta Narodowa - czyli tak zwana Twierdza Alpejska - położona jest częściowo w Alpach Bawarskich, częściowo w zachodniej Austrii oraz północnych Włoszech. Ogółem zajmuje obszar około dwudziestu tysięcy mil kwadratowych całkowicie niedostępnego górskiego terenu.

- Ładny kawałek gruntu! - zauważył jeden z pułkowników.

- No myślę! Warownia Hitlera, Berchtesgaden - leży dokładnie pośrodku. - Lund wskazał jakiś punkt na mapie. - O, tutaj.

Generał wpatrywał się w mapę ze sceptyczną miną. - A te rzekome fortyfikacje? Obiekty wojskowe?

- Otrzymaliśmy setki doniesień, panie generale.

- Z jakich źródeł? Czy którekolwiek z nich jest wiarygodne?

Major Lund spojrzał na generała. Ta jego cholerna uszczypliwość może doprowadzić do szalu, pomyślał.

- Tak, panie generale - potwierdził. - Pochodzą z naszych własnych źródeł wywiadowczych, z OSS. A także ze źródeł neutralnych, ze Szwajcarii. I od antyhitlerowskich grup w Niemczech.

Generał chrząknął. Major Lund wskazał na widniejące na mapie symbole i starając się, żeby w jego głosie nie było słycać rozdrażnienia, mówił dalej:

- Jak pan widzi, generale, symbole te oznaczają zapasy żywności, paliwa, amunicji, magazyny broni chemicznej - większość niemieckich zapasów gazów bojowych znajduje się właśnie tam - oraz schrony, bunkry żelbetonowe, elektrownie. Miejsca koncentracji wojsk połączone są podobno wielomilowymi liniami kolejki podziemnej... Meldowano nam nawet o podziemnych fabrykach ukrytych przed bombardowaniem.

Generał McGraw popatrzył na niego spod oka.

- Majorze, wszystko to brzmi diablo groźnie, nawet jeśli tylko w połowie jest prawdą. - W jego głosie zabrzmiała nuta sarkazmu. Lund poczuł, jak kark nabrzmiwa mu krwią. Cholerny jednogwiazdkowy sukinsyn, pomyślał. Weryfikowanie raportów nie należało do niego, ale chyba będzie musiał wysłać ludzi w teren, by takie sukinsyny jak ten tutaj nie kłapały paszczkami. Wiedział oczywiście, co ma sądzić o Twierdzy Alpejskiej. Dużo w tym propagandy i przechwałek Goebbelsa, ale to, co pozostawało po odsianiu, wystarczało, by spędzić sen z powiek. Zerknął na generała, który powrócił do studiowania mapy.

- Amunicja...? - zapytał tamten.

Jeśli chcesz mieć obraz sytuacji, to będziesz go miał, stary draniu! - wściekł się Lund. Powiedział:

- Tak, panie generale. Wszystkie rodzaje...

Generał lekko uniósł brew. Lund kontynuował:

- ...w tym również pociski raketowe V-2, zdolne do przenoszenia większej ilości materiałów wybuchowych niż te, którymi potraktowano Londyn. Szef wywiadu Siódmej Armii donosi, iż poczynając od lutego w rejon Reduty Alpejskiej przybywa co tydzień kilkanaście pociągów, a na niektórych wagonach widziano nowy typ dział. W raporcie wymienia się też podziemną fabrykę, która ma ponoć produkować messerschmitty.

Generałowi nie udało się ukryć wrażenia, jakie wywarła na nim ta wiadomość.

- To informacje ze służb wywiadowczych Patcha? - zapytał z niedowierzaniem w głosie.

- Tak, panie generale. Od szefa wywiadu, generała porucznika Alexandra Patcha.

- Nie do wiary!

- A jednak, panie generale.

Generał spojrział na niego spod oka. Czyżby ten oficerek robił go w konia? Lund dodał szybko:

- Chciałem powiedzieć, iż zarówno generał Marshall, jak generał Bradley są w najwyższym stopniu zaniepokojeni...

Generał odchrząknął. Cóż, tamten miał rację. Druty prowadzące do jego sztabu aż puchły od depsz. Popatrzył ponownie na mapę. A niech to sto diabłów porwie, pomyślał. Jeśli hitlerowcy na dobre

zakotwiczą się w tym skurwysyńskim miejscu, mogą stawiać opór całymi latami.

- Ilu żołnierzy może stacjonować na obszarze Reduty? - zapytał.

- Około trzystu tysięcy, panie generale.

Generał McGraw milczał przez chwilę, a potem spojrzął na Lunda.

- Dziękuję za te wyczerpujące informacje, majorze. Na pewno okażą się bardzo przydatne.

Odwrócił się i w towarzystwie dwóch pułkowników opuścił salę.

Don uśmiechnął się łobuzersko do Lunda.

- Kim jest ten twój „przyjaciel”? - zapytał.

- To taki dywizyjny dowódca, który wyżej sra niż dupę ma, ale jeszcze nie dorósł do naramienników z gwiazdką.

- Miałeś niezłą przeprawę z tym żalosnym sukinsynem. - Don wskazał na mapę Reduty. - No a co powiesz o tym? Sądziysz, że to wszystko jest możliwe?

Lund tylko się uśmiechnął.

- Ja jedynie sporządzam obrazy sytuacji, chłopaki. - Nie potrafił ukryć lekkiej nuty goryczy w głosie.

Jeden z podoficerów wywiadu przyniósł mu kubek kawy. Major podziękował żołnierzowi skinieniem głowy.

- Wracamy do roboty. Masz dla mnie coś szczególnego? - zapytał Don.

Lund powoli sączył gorącą kawę.

- Na początek możesz poczytać sobie meldunki dotyczące „aktualnej sytuacji nieprzyjaciela”.

Erik podniósł z biurka jeden z powielonych raportów i przyjrzał mu się uważnie.

- Czy to pełny raport o Reducie? - zapytał.

Lund kiwnął głową znad kawy i powiedział:

- Chyba tak. Jakoś nigdy nie miałem okazji, żeby to przeczytać.

Erik przebiegł wzrokiem dokument. Jego treść go zaintrygowała. Nagle spojrzął na Dona.

- Posłuchaj... Posłuchaj tylko! Koniec świata! To wyciąg z raportów wywiadowczych SHAEF - Naczelnego Dowództwa Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych, z jedenastego marca. - Zaczął czytać: „...wykorzystując warunki naturalne Reduty oraz moc rażenia

najskuteczniejszych z dotychczas wynalezionych tajnych broni, siły, które kierowały dotychczas Niemcami, przetrwają i doprowadzą do wskrzeszenia państwa... Korpus starannie dobranych młodych mężczyzn zostanie przeszkolony w wojnie partyzanckiej, stając się załóżnikiem podziemnej armii, której zadaniem będzie uwolnienie Niemiec spod okupacji wroga”.

Don potrząsnął głową.

- To brzmi jak wzięte z mitologii hitlerowskiej, a nie jak raport wywiadowczy!

Major Lund odstawił na biurko opróżniony kubek.

- Bradley i SHAEF nie zgodziliby się z tobą. Ostatnio nastąpiły maleńkie zmiany. Naszym głównym celem jest obecnie rozbięcie Niemiec poprzez centrum, uniemożliwienie ich wojskom umocnienia się w Reducie. Żeby taki manewr się powiódł, z rozkazu SHAEF weźmie w nim udział ponad połowa naszych sił.

- Wygląda na to, że zdrowo się pościgamy - zauważył Erik. - Czy zdążymy ich dopaść, zanim schronią się w tej swojej Twierdzy Alpejskiej?

Don uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Hej! - zawołał. - Chciałbym postawić coś niecoś w tej gonitwie. Gdzie tu kasa z dwudolarowymi biletami?

Major Lund także się uśmiechnął. Zaraz jednak spowaźniał.

- Szkoda pieniędzy, Don. Gonitwa jeszcze się nie rozpoczęła.

Berlin

Godzina 22.07

Niebo nad przedmieściami stolicy Niemiec rozświetlał purpurowy blask, a przez zrujnowane miasto przetaczały się fale odległej, basowej kanonady ciężkiej artylerii.

Punktualnie o godzinie 4.00 rano sponad wschodniej linii frontu, dochodzącej niemal do bram Berlina, podniósł się potężny, rozrywający uszy ryk: to dwadzieścia tysięcy dział marszałka Georgija Żukowa wystrzeliło swoje pociski na niemieckie pozycje obronne.

Rozpoczęła się rozstrzygająca bitwa o Berlin. Armaty głośno hukaniem Götterdämmerung...

Ulica Potsdamerstrasse, prowadząca do Potsdamer Platz i dalej do Kancelarii Rzeszy, została niemal w całości zniszczona amerykańskimi i brytyjskimi bombami. Z budynków ocalały tylko gołe ściany. Mury okalające wypaloną pustkę stały niczym rzędy niepotrzebnych już dekoracji na jakimś gigantycznym składowisku na zapleczu studia filmowego. Jezdnie i chodniki pokrywała warstwa gruzu. Jeden ze zrujnowanych narożników odgrodzono, a tabliczki z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami głośiły ostrzegawczo: ACHTUNG! MINEN! W rumowisku tkwiło wiele niewypałów bomb, kryjących uwięzioną w swoim wnętrzu śmierć. Woda z rozerwanych rur bulgotała w grząskich lejach po bombach i płynęła leniwie zarzuconymi gruzem rynsztokami. Wśród murów, tam gdzie jeszcze pozostało coś palnego, dogasały pożary.

Choć oczyszczonym środkiem ulicy biegła wąska ścieżka, Stabsgefreiter Werner miał trudności z wymijaniem swoim motocyklem odłamków pokruszonego muru i wyrwanych płyt chodnikowych. Na dobitkę odczuwał ból w lewym ramieniu. Rana nie zagoiła się prawidłowo. Na szczęście od Kancelarii Rzeszy i bunkra Hitlera dzieliło go już tylko kilkanaście bloków.

Stabsgefreiter Stefan Werner od ponad roku służył w Berlinie jako zmotoryzowany łącznik Wehrmachtu. 19 stycznia, przed dwoma laty, został ranny pod Stalingradem. Jeszcze dziś dręczyły go koszmary, ilekroć śnił o tamtym dniu...

Wraz z dwoma kolegami obsługiwał wtedy karabin maszynowy. Ich stanowisko znajdowało się w ruinach budynku. Opodał upadł rosyjski pocisk artyleryjski, wybuch zwałił na nich ścianę. Jego towarzysze broni zginęli na miejscu, on zaś został do połowy zasypany i stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, ujrzał żołnierzy rosyjskich przedzierających się przez rumowisko. Wcisnął twarz w odłamki cegieł i leżał nieruchomo. Wiedział, że Rosjanie nie biorą jeńców. Usłyszał, jak jeden z żołnierzy podchodzi bliżej: czuł, że tamten patrzy na niego. Wstrzymał oddech, po krzyżu przebiegł mu, niczym lodowaty pajak, dreszcz strachu. A potem poczuł przeszywający ból, gdy Rosjanin zanurzył bagnet w jego plecach. Niemal przegryzł wargi, nakazując sobie bezruch i ciszę. Po chwili znów stracił przytomność.

Miał szczęście. Jego płaszcz z grubego sukna oraz kość łopatki odchyliły ostrze bagnetu. Otwarta rana szybko skrzepla na zimnie, toteż się nie wykrwawił. Gdy się ocknął, leżał w wagonie pociągu szpitalnego, który wiozł go do domu...

Werner przejechał na ukos przez Potsdamer Platz i skierował się ku Wilhelmstrasse. W perspektywie widział zniszczone, wypalone budynki Kancelarii.

Nagle usłyszał przed sobą huk dwóch wystrzałów. Ciemną ulicą biegł samotny mężczyzna w furkoczącym wokół kostek długim wojskowym płaszczu. Ścigały go dwie umundurowane postacie z klekoczącymi blachami na piersiach. Żandarmeria.

Znów padł strzał, ale uciekinier schował się za spalony wrak pojazdu wojskowego. Jeden z żandarmów wrzasnął za nim:

- *Halt!*

Werner zahamował, nie chcąc znaleźć się na linii strzału. Dezerter, pomyślał. Albo szabrownik. Poczul współczucie dla ściganego. Wiedział, co się z nim stanie, jeśli go dopadną żywego.

Kolejny strzał. Pocisk odbił się od karoserii wraka. Niespodziewanie mężczyzna wyskoczył z kryjówki i puścił się biegiem wzdłuż ulicy. Jeden z żandarmów podniósł pistolet maszynowy i wypuścił serię do uciekającego. Ten upadł, wrzeszcząc z bólu. W tej samej chwili Werner poczuł silne uderzenie w lewe ramię. Zaskoczony, spojrzął na nie, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Ramię mu zdrętwiało. Zdjął grubą skórzaną rękawicę i dotknął uderzonego miejsca. Popłamił sobie palce krwią.

Kurwa! - zaklął w duchu. Rykoszet!

Ręka zaczęła nagle palić go żywym ogniem. Wygiął palce i ostrożnie poruszył ramieniem. Widocznie naruszony był tylko mięsień, ale bolało jak sto diabłów.

Tymczasem żandarmi dopadli leżącego w rynsztoku mężczyznę. Próbowali postawić go na nogi. Nieszczęśnik krzyczał - miał przestrzelone kostki obu nóg. Żandarmi ujęły go pod ramiona i powlekły w kierunku samotnej lampy ulicznej.

Werner zszedł z motocykla, sprawdził swoją torbę kurierską i zaczął iść piechotą w stronę Kancelarii.

Zagrodziło mu drogę dwóch esesmanów stojących na warcie pod osłoną poznaczonego odłamkami pocisków krytego przejścia

prowadzącego do gmachu. Werner przystanął. Trzymał się za lewe ramię, pragnąc zmniejszyć do minimum ból, nasilający przy ruchach ciała.

- *Papiere herzeigen!* - zażądał jeden z wartowników.

- Pilna depesza. Do Generalfeldmarschalla Keitla - wyjaśnił Werner, wręczając esesmanowi rozkaz wyjazdu.

Tamten przyjrzał się dokumentom w świetle ręcznej latarki. Z ramienia Wenera kapnęło kilka kropel krwi.

- *In Ordnung.*

Esesman zwrócił mu papiery i skierował go do mrocznego przejścia.

Werner przyspieszył. Już wcześniej przywoził depesze do bunkra Hitlera i zdążył się zapoznać z surowymi środkami bezpieczeństwa.

Wyszedł z ruin Kancelarii do ogrodu, po czym skierował się wprost do masywnego, pozbawionego okien blokhauzu o pojedynczych ciężkich stalowych drzwiach prowadzących do bunkra ukrytego głęboko pod ziemią. Wysoko ponad głową czarne, puste otwory okienne wpatrywały się w zdewastowany ogród niby otchłanne oczodoły, z których wypływały gałki oczne. Pięknie utrzymany niegdyś ogród został bezlitośnie zniszczony, między wyrwanymi z korzeniami drzewami Werner dostrzegał leje po bombach, kawały gruzu, połamane kolumny i strzaskane posągi. Obok blokhauzu leżała porzucona betoniarka z zastygłą zawartością.

Przy wejściu do blokhauzu papiery Wenera zostały ponownie sprawdzone. Gdy podążył długimi wąskimi schodami na dolny poziom bunkra, usłyszał za sobą łoskot zamykanych stalowych drzwi. Zranione ramię przeszywał pulsujący ból.

Schody się skończyły i ujrzał jasno oświetlony korytarz o betonowych ścianach; w tej samej chwili zatrzymali go dwaj ponurzy esesmani uzbrojeni w schmeissery.

To nienormalne, pomyślał. Chyba już nikomu nie ufają po tym nieudanym zamachu. Odezwał się do strażników:

- Pilna depesza. Do Generalfeldmarschalla Keitla.

- Nie ruszaj się z miejsca - rzucił szorstko jeden z esesmanów. Podszedł bliżej. - Torba!

Werner wręczył mu ją posłusznie.

Drugi ze strażników trzymał go na muszce, podczas gdy pierwszy przeglądał zawartość torby. Werner czekał cierpliwie, podtrzymując zranione ramię. Ból narastał.

Esesman odwrócił się do niego i machnął pistoletem maszynowym.

- Podnieść ręce do góry!

Werner, nie wierzył własnym uszom. Otworzył usta, chcąc zaprotestować.

- Prędkiej! - warknął strażnik.

Werner uniósł rękę. Esesmani patrzyli nań beznamiętnie. Co tu się dzieje, do diabła, pomyślał ze złością. Czy oni sądzą, że przyjechałem tu z dynamitem? A może w tej przeklętej ranie ukryłem pistolet? Niech ich piekło pochłonie! Przygryzając z bólu wargi, z trudem uniósł zranione ramię. Czuł, jak pod pachę spływa mu ciepły strumyczek krwi, nie spuszczał jednak wzroku. Te esesmańskie skurwysyny nie zobaczą, że cierpi.

Strażnicy obszukali go - brutalnie i dokładnie.

Z oddalonej części korytarza nadszedł kapitan SS. Objął jednym spojrzeniem rozgrywającą się na korytarzu scenę. Esesmani stanęły na baczność. Oficer zwrócił się do jednego ze strażników:

- Co się tu dzieje?

- Kurier z depeszą do Generalfeldmarschalla Keitla, *Herr Hauptsturmführer* - odpowiedział natychmiast esesman.

Kapitan popatrzył na Wenera.

- Chodźcie ze mną.

Werner opuścił ręce. Jego lewe ramię rozsadzał ból. Chwycił rzuconą mu przez esesmana torbę i pośpieszył za oficerem.

Pułkownik Hans Heinrich Stauffer czuł pulsujący ból głowy. Miał za sobą długi dzień. Wariacki dzień. W dodatku jeszcze się nie skończył. Spojrzał sponad rozłożonych na biurku papierów na kapitana SS prowadzącego Stabsgefreitera Stefana Wenera. Na widok esesmana poczuł niesmak. Ci fanatycy z każdym dniem stają się coraz bardziej gorliwi, coraz trudniej z nimi wytrzymać. A ten tutaj wlaź jak do chlewa!

Kapitan SS uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu.

- *Heil Hitler!*

Stauffer wsadził nos w papiery. Pozdrowienia nie oddał. Nie podnosząc głowy, rzekł kwaśnym tonem:

- Wejdźcie, kapitanie. Nie słyszałem pukania. O co chodzi?

Esesmanowi skurczyła się twarz. Rzucił chrapliwie:

- Kurier z pilną depeszą dla Generalfeldmarschalla Keitla, *Herr Oberst!*

Stauffer podniósł wzrok i wyciągnął dłoń. Werner pośpiesznie wyjął z torby dużą zapieczętowaną kopertę, podszedł do pułkownika i wręczył mu dokument. Lewe ramię zwisało mu bezwładnie wzdłuż tułowia, po przegubie spływał strumyczek krwi. Wygiął palce, usiłując zatrzymać strużkę, nim popłynie na dywan.

Stauffer wziął depezę. Zauważył krwawiące ramię kuriera. Ogarnęła go fala irytacji. Wlepił ostre spojrzenie w kapitana SS. Przecież ten drań musiał widzieć ranę. I nawet palcem nie kiwnął. Rzucił lodowatym tonem:

- Ten żołnierz jest ranny. Krwawi. Sądzę, że pan to zauważył? Proszę udzielić mu pomocy. Natychmiast! Najdalej za godzinę chcę otrzymać raport o stanie jego zdrowia!

Esesman zacisnął tylko usta i skinął głową.

- Według rozkazu, panie pułkowniku.

Stauffer spojrział na depezę, którą trzymał w dłoni.

- To wszystko. Możecie odejść.

Kapitan SS znów uniósł dłoń w geście hitlerowskiego pozdrowienia.

- *Heil Hitler!*

Stauffer zignorował go. Oficer obrócił się na pięcie i opuścił gabinet majestatycznym krokiem. Werner pospiesznie podążył za nim. Bynajmniej nie uśmiechało mu się dłuższe przebywanie w tym bunkrze. Ale ramię paliło go żywym ogniem...

Stauffer rozerwał kopertę i szybko przeczytał wiadomość. Nachmurzył się.

Do licha! - pomyślał ze złością. Wszystko spartaczyli. Ból głowy błyskawicznie przybrał na sile. Ale Keitel będzie wściekły...

Feldmarszałek spacerował sztywnym krokiem po gabinecie. Uderzał gniewnie w lewą dłoń świeżo przeczytaną depeszą. Z twarzy było mu rozczarowanie pomieszane z goryczą.

- Idioci! Niekompetentni kretyni!

Stauffer zateęsknił za proszkiem od bólu głowy. Próbował przypomnieć sobie, gdzie mógłby je znaleźć. Usiłował załagodzić, sytuację:

- *Herr Feldmarschall*, to bardzo sprawna, bardzo pewna grupa... Keitel rzucił się na niego.

- Pewna, też coś! Będą mieli szczęście, jeśli Führer nie każe ich rozstrzelać!

- To ta sama grupa, która w grudniu podłożyła bomby z zapalnikiem czasowym w Saint Avoird, *Herr Feldmarschall*..

Keitel uniósł dłoń na znak, iż nie przyjmuje do wiadomości jego argumentów. Stauffer udał, że nie zauważył tego gestu. Kontynuował:

- Było sześćdziesiąt dziewięć ofiar. Wielu wysokich rangą amerykańskich oficerów. Co ważniejsze, nieprzyjaciel został zmuszony do całkowitej zmiany procedur okupacyjnych. Amerykanie musieli wypracować nowy system bezpieczeństwa. Wprowadziło to ogromne zamieszanie. Dowódcę grupy odznaczono.

Keitel milczał. Stauffer dodał cicho:

- Mieli bardzo niewiele czasu na przygotowanie tej operacji.

- Nie ma żadnego wytłumaczenia!

- Plany zmieniono dosłownie w ostatniej chwili. Eisenhower nie pojechał do Feldstein, wysłał tam kogoś innego. Nie mogli o tym wiedzieć...

- Tak więc mają na swoim koncie tylko kilka kanistrów benzyny i jakichś tam oficerów - rzucił Keitel sarkastycznym tonem. - Führer się ucieszy, gdy usłyszysz, jak wypełnia się jego rozkazy!

Stauffer nie odpowiedział.

Keitel podszedł do wiszącej na ścianie mapy przedstawiającej sytuację na froncie. Patrzył, ale nie widział. Był bardzo zafrasowany. Wprawdzie nigdy nie wątpił w swojego Führera, ale nie potrafił dzielić jego niewzruszonego przekonania, że losy wojny mogą jeszcze się odwrócić i że będzie można wygrać ją w Berlinie. Uznał za konieczne opuszczenie przez Hitlera stolicy i ucieczkę na południe, do

Obersalzburga. Walkę można by kontynuować z tamtejszych górskich umocnień. Właśnie tam klęska mogłaby zamienić się w zwycięstwo.

Spoglądał przed siebie ponurym wzrokiem. Sprawy niekiedy toczyły się dla niego zbyt szybko. Odczuwał poirytowanie. Nienawidził wprowadzania zmian do raz na zawsze ustalonych planów. A tutaj wszystko zostało przecież ustalone.

Już przed tygodniem Führer wysłał do Berghofu osobistą służbę, żeby przygotowała na jego przyjazd to górskie schronienie. Planował wyjazd 20 kwietnia, w dniu swoich pięćdziesiątych szóstych urodzin. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że zamierza pozostać w Berlinie i osobiście dowodzić obroną miasta.

Sytuacja rozwijała się w szybkim tempie. Keitel zmarszczył brwi. Miał tylko nadzieję, że tempo to nie okaże się zbyt szybkie. Obecność Hitlera w Alpenfestung była konieczna. Gdyby tylko Führer tak długo nie zwlekał.

Mars na czole Keitla pogłębił się. Jak ma powiedzieć Führerowi o porażce? Zresztą cała sprawa napawała feldmarszałka niepokojem. Uważał, iż Führer przywiązuje zbyt wielką wagę do spraw niewojсковych, do wskazówek mistyków i astrologów. Dotyczyło to specjalnych zadań, na przykład planów zamachu czy konstruowania nowych superbroni, choćby tych nieudanych eksperymentów z reakcją łańcuchową, jakie naukowcy prowadzili w Haigerloch*. Powiedzieli Führerowi, że potrafią wyprodukować bombę wielkości ananasa, której wybuch może zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasto! Brednie! Trawią tylko bezużytecznie czas w jaskiniach Schwarzwald. Wszystko to pachnie na kilometr czarną magią! Duszę Keitla drażniły niepokojące podejrzenia, ale nie zamierzał się z nimi przed nikim zdradzać.

Znajdował się tam próbny niemiecki reaktor atomowy, w którym usiłowano skonstruować bombę jądrową (przyp. tłum.).

Obsesją Führera, począwszy od fiaska operacji „Wielki Skok”, nieudanej próby zamachu na Wielką Trójkę w Teheranie, dokonanej zimą 1943 roku, stało się zgładzenie nieprzyjacielskich przywódców, zarówno politycznych, jak wojskowych. Keitel był przekonany, że

tym razem Führer nie puści fuszerki płazem. Zbyt poważnie się we wszystko zaangażował.

Trzeba będzie doręczyć mu raport. A to się Keitlowi nie uśmiechało. I tak ma na głowie wiele kłopotów. Ten obowiązek powinien należeć do kogoś innego.

Do kogoś innego? Ależ oczywiście!

- Gdzie obecnie jest Krueger? - zwrócił się do Stauffera.

- W Thürenbergu. - Stauffer stanął obok Keitla przy mapie. Dobrze ci tak, Willi! - pomyślał ze złośliwym zadowoleniem. Wiadomo, że Keitel zawsze znajdzie sposób, żeby uniknąć blamażu!

Feldmarszałek powiedział sztywno:

- Wykonawcą rozkazów Führera zostanie Krueger. Będzie to częścią większego zadania. Chcę, żeby natychmiast przygotowano odpowiednie polecenia.

- Tak jest.

Keitel był zachwycony swoim rozwiązaniem. Było proste i logiczne.

- Co on teraz robi? - zapytał.

- Otrzymał polecenie zamknięcia ośrodka w Thürenbergu. Ma być gotowy do akcji. To rozkazy Reichsführera Himmlera.

- Kiedy je dostał?

- Przed dwoma dniami. Przygotowują dla niego stanowiska.

- Gdzie?

Stauffera wskazał na mapie rozmieszczenie stanowisk. Wszystkie znajdowały się w południowej Bawarii.

- Tutaj... tutaj... i tutaj. Główna kwatera niedaleko Schönsee - o, tutaj, w pobliżu miejsca wyznaczonego w Alpenfestung.

- Doskonale! Jego nowe rozkazy otrzymują klauzulę najwyższej ważności. Ma przystąpić do wykonania zadania bez chwili zwłoki. Führer pragnie efektów.

- *Jawohl, Herr Feldmarschall* - odparł Stauffer.

Feldmarszałek studiował mapę frontu.

- Rosjanie szturmują bramy Berlina - mówił do siebie. - Amerykanie wciąż cisną. - I dodał niemal szeptem: - Musimy kontynuować walkę z Twierdzy Alpejskiej...

Stauffera skierował się ku wyjściu.

- Proszę poczekać!

Oficer przystanął i spojrzał pytająco na Keitla.

- Krueger jest tylko pułkownikiem, prawda?

- Tak.

- Awansujcie go. Do stopnia generała. W imieniu Führera!

Milczał przez chwilę.

- I jeszcze jedno. Czy Reichsamtsleiter von Eckdorf nadal przebywa w Berlinie?

- Chyba tak, *Herr Feldmarschall*

- Von Eckdorf ma rodzinę gdzieś w pobliżu Schönsee. Rolnicy, jeśli dobrze pamiętam. - Westchnął. - Wyślijcie go do Thürtembergu. I natychmiast przystąpcie do wykonywania rozkazów. Chcę, żeby Eckdorf zameldował się bezpośrednio u mnie. Będzie odpowiedzialny wyłącznie przede mną - i osobiście przed Führerem!

- Tak jest.

Stauffer odszedł. Keitel odprowadził go spojrzeniem. Jeśli plany Führera zostaną zrealizowane, Amerykanie zainkasują miażdżący cios; Krueger i jego kadrowa organizacja zaczną działać, Alpenfestung osiągnie gotowość bojową - i wtedy niemiecki feniks może odrodzić się z popiołów...

17 kwietnia 1945

Thürenberg

Godzina 13.22

Werwolf! - pomyślał z pogardą Reichsamtsleiter Manfred von Eckdorf. Po raz setny zmienił pozycję na tylnym siedzeniu szarego sedana rocznik 1939.

Czuł wszystkie kości. Na dobitkę był wściekły. Berlin i czeskie miasteczko Thürenberg oraz stare germańskie zamczysko o tej samej nazwie dzieliło bez mała trzysta kilometrów. Trzysta kilometrów. Trzysta tysięcy metrów - i trzysta tysięcy dziur, bo na tej cholernej drodze dziura przypadała dosłownie na każdy metr.

Von Eckdorf był w wisielczym nastroju. Siedział w samochodzie ponad siedem godzin. Obudzono go wczesnym rankiem, po czym zawieziono do bunkra Hitlera. Tam od jakiegoś nieznośnego pułkownika Wehrmachtu otrzymał rozkaz najwyższej wagi oznaczający zsyłkę do jakiejś zapomnianej przez Boga dziury w Czechach. Na przygotowania do wyjazdu otrzymał mniej niż dwie godziny.

Odprawa u pułkownika była krótka i treściwa, von Eckdorf doznał jednak niepokojącego uczucia, że w słowach tamtego dźwięczy ukryta drwina. Co gorsza, zupełnie nie spodziewał się tego, co mu przedstawiono. Przybył z Monachium do Berlina w celu złożenia Führerowi raportu o sytuacji finansowej Bawarii. Czyniąc to, zamierzał przede wszystkim dowieść swej lojalności, ale wcale nie przewidywał takiego obrotu spraw. Przewodząc stada werwolfowców, też coś!

Samochód znów podskoczył na wybojach i von Eckdorfem szarpnęło do przodu. Wpadł w złość, gdyż wyrznął się w głowę.

Przed odprawą w bunkrze niewiele wiedział o Werwolfie. Jakoś nie żywił nabożeństwa do tej organizacji. Przypuszczał, że założył ją ów nieduży „trujący karzeł”, Goebbels, i był szczerze zaskoczony, gdy się dowiedział, że Werwolf stworzył ładnych kilka lat wcześniej - oczywiście za pełną aprobatą Hitlera - sam Reichsführer SS,

Heinrich Himmler. Hitler zawsze miał słabość do słowa „wilk”. We wczesnym okresie ruchu narodowo-socjalistycznego używał go nawet jako pseudonimu. Jego kwatera w Rastenburgu w Prusach Wschodnich otrzymała nazwę Wolfsschanze - „Wilcza Jama”. Była też Wolfsschlucht - „Wilcza Gardziel”, oraz Werwolf w Winnicy na Ukrainie. A teraz ci werwolfowcy. Byli znakomicie wyćwiczonymi, dysponującymi specjalnym wyposażeniem i działającymi według tajnych rozkazów żołnierzami sił podziemnych. Mieli utworzyć trzon sił oporu w Alpenfestung.

Odprawa była stratą czasu, pomyślał szyderczo. Wiedział obecnie niewiele więcej niż przedtem. Polecono mu przeprowadzenie inspekcji w głównej kwaterze organizacji, dowodzonej przez jakiegoś świeżo mianowanego Generalmajora Kruegera, oraz sprawdzenie, czy werwolfowcy są gotowi do natychmiastowego działania. Będąc wysokim dygnitarzem partyjnym, miał również obserwować operacje Werwolfu i raportować o nich. W ciągu kilku następnych dni werwolfowcy mieli wykonać jakieś szczególnie ważne, ściśle tajne zadanie.

Kierowca zбочył z drogi. Na wprost majaczyło wśród wzgórz stare zamczysko Thürenberg.

Wiosna zabarwiła już zbocza wzniesień wczesną bladą zielenią. Szpalery ciemniejszych iglaków kontrastowały łagodnie z obfitością świeżych pędów i listowia. Wzniesiony z masywnych bloków kamienia górskiego zamek wydawał się stanowić element naturalnego krajobrazu.

Na dziedziniec prowadziło sklepione przejście z kamienia, w którym utworzono prowizoryczną zaporę.

Zatrzymano samochód i dwóch uzbrojonych żołnierzy z formacji Waffen SS sprawdziło rozkazy von Eckdorfa pod baczynym okiem innych uzbrojonych strażników stojących opodal. Podniesiono szlaban i mogli jechać dalej.

Dziedziniec zamku Thürenberg okazał się nadspodziewanie rozległy; otaczały go ze wszystkich stron zabudowania oraz wysoka kamienna ściana. Naprzeciw portalu znajdowały się okazałe schody, które prowadziły do głównego wejścia. Panowała tu prawdziwie średniowieczna atmosfera. Samochód zbliżał się powoli dziedzińcem

do masywnych schodów. Von Eckdorf pochylił się do przodu i ze zdumieniem wyjrzał przez okienko. Wszystkiego się spodziewał, ale z pewnością nie tego, co ukazało się jego oczom.

Na rozległym kamiennym dziedzińcu panował straszliwy rozgardiasz. Na środku ustawiono kilkanaście rzędów konnych platform i furmanek. Von Eckdorf szybko je przeliczył. Co najmniej sześćdziesiąt. Pod ścianą zaparkowano niewielki tabor pojazdów silnikowych - wojskowych i cywilnych, w tym również starą ciężarówkę z motorem przerobionym na gaz drzewny. Dwóch mężczyzn - cywil ubrany w krótkie bawarskie spodnie „lederhosen” i szarą wełnianą kurtkę w zielone liście dębowe oraz Rottenführer Waffen SS - ładowało do zasobnika ciężarówki polana.

Nieco dalej czterech innych mężczyzn w pocie czoła wciągało na furmankę ciężki moździerz. Sąsiedni furgon wypełniono pudłami ze sprzętem gospodarczym. Kilku żołnierzy Wehrmachtu układało na ciężarówce karabiny maszynowe, inni ustawiali na niej skrzynki z amunicją. Wśród platform konnych, furmanek i samochodów kłębiło się od ludzi. Między pojazdami leżały stopy rozmaitego sprzętu. Ułożona w pojemnikach broń krótka, moździerze, karabiny maszynowe, paczki z racjami żywnościowymi i baryłki z produktami żywnościowymi, kanistry z paliwem, kryte kosze wypełnione odzieżą, meble oraz skrzynie wyposażenia biurowego. Na jednej z furmanek piętrzyły się wysoko sterty akumulatorów, na innej poukładano narzędzia, zwoje drutu, deski.

Kilku mężczyzn krzątających się przy stojącej na uboczu ciężarówce ładowało ostrożnie stopy skrzyń. Na każdej widniał duży czerwony napis: MATERIAŁY WYBUCHOWE.

Von Eckdorf przypatrywał się temu wszystkiemu ze zdumieniem. Niczym mrówki, pomyślał. Niczym mrówki w świeżo rozkopanym mrowisku. Ale nie było tu jednolitości. Na dziedzińcu kłębili się żołnierze Wehrmachtu, Waffen SS, członkowie Hitlerjugend i cywile; wielu mężczyzn nosiło zdekompletowane mundury.

Żałosna zbieranina, doszedł do wniosku von Eckdorf.

Sedan zatrzymał się u podnóża schodów. Porucznik Waffen SS, Willi Richter, zszedł pośpiesznie na dół i otworzył drzwi samochodu przed Reichsamtsleiterem von Eckdorfem.

Urzędnik NSDAP był niskim, żyłastym człowieczkiem liczącym sobie około pięćdziesięciu pięciu lat. Miał na sobie tradycyjnie skrojone cywilne ubranie. Willi uniósł energicznie prawą rękę.

- *Heil Hitler!*

Von Eckdorf odwzajemnił pozdrowienie młodego oficera. Twarz sięgnął mu grymas pogardy.

- Witamy w Thürenbergu, *Herr Reichsamtsleiter*.

Von Eckdorf nie odpowiedział. Odwrócił się i z jawnym niesmakiem zlustrował krzątanicę na dziedzińcu.

- Pułkownik Krueger oczekuje pana.

Von Eckdorf zaczął iść po schodach, eskortowany z tyłu przez Willego. Przed wielkimi, ciężkimi podwójnymi drzwiami musieli przepuścić dwóch ludzi taszczących konsolę łączności polowej Wehrmachtu. Rzucając na kipiący ruchem dziedziniec ostatnie pełne rozdrażnienia i dezaprobaty spojrzenie, von Eckdorf wkroczył w proggi zamczyska Thürenberg.

Ciężkie, bogato rzeźbione biurko miało co najmniej dwa i pół metra długości. Doskonale pasowało do wystroju dużego pokoju ozdobionego drewnianymi kasetonami, o szybach w ołowianych ramach, osadzonych w grubym kamiennym murze. Nie można było tego jednak powiedzieć o funkcjonalnych metalowych szafkach stojących wzdłuż jednej ze ścian. Większość z nich miała wysunięte i opuszczone ukośnie puste szuflady. Kilkunastu mężczyzn opróżniało pracownice pozostałe, przebierając dokumenty i przekładając je do rozmaitych pudeł; inni zamykali i pieczętowali owe pudła, po czym wynosili je na zewnątrz.

Przy wielkim biurku, układając sterty papierów, stał oficer w mundurze pułkownika Wehrmachtu. Spojrzał na wchodzących.

- Reichsamtsleiter von Eckdorf, *Herr Oberst* - zaanonsował Willi gościa.

Von Eckdorf wyrzucił do góry dłoń w hitlerowskim pozdrowieniu:

- *Heil Hitler!*

Krueger obszedł biurko i zbliżył się do nich. Był szczupły i choć miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, już siwiał. Jego pociągła twarz,

w której zwracały uwagę bystre oczy pod krzaczastymi brwiami, była poznaczona głębokimi bruzdami wokół nosa oraz znamionującymi stanowczość i zdecydowanie rowkami na krańcach zaciśniętych ust.

- *Heil Hitler!* - oddał bez szczególnego entuzjazmu pozdrowienie.
- Albo, jak wkrótce będziemy mówić: *Grüss Gott!*

Von Eckdorf przyjrzał się bacznie pułkownikowi. Nic dziwnego, pomyślał ponuro. Nic dziwnego, że panuje tu taki nieporządek. Oficer witający gościa chłopskim pozdrowieniem!

- Generalfeldmarschall Keitel przesyła panu pozdrowienia - powiedział. Mówił nieprzyjemnie wysokim głosem.

Krueger skinął głową.

- Dziękuję. Musi nam pan wybaczyć ten bałagan. Nie jesteśmy przygotowani na przyjmowanie gości.

Von Eckdorf wyprostował się dumnie.

- Nie, jestem gościem, pułkowniku Krueger - rzucił gniewnie. - Jestem wysłannikiem feldmarszałka Keitla. Przywozłem rozkazy dla pana. Feldmarszałkowi niezmiernie zależy, żeby jak najszybciej przystąpił pan do ich wykonywania.

Mały, złośliwy karzeł, pomyślał Krueger.

- Oczywiście - powiedział.

Von Eckdorf rzucił znaczące spojrzenie na ludzi segregujących akta.

- Jestem nieco zdziwiony - cedził powoli słowa - stanem rzeczy, jaki tu zastałem, pułkowniku. Sądziłem, że powinien pan być dawno gotowy - a nawet powinien pan już wyruszyć.

Krueger popatrzył spod oka. A więc w to się bawimy, pomyślał. Wielka szycha chce się tutaj szarogęścić. Ale niedoczekanie!

- Byłoby to nierozsądne, *Herr Reichsamtsleiter* - odparł.

Ani słowa więcej. Niech ten pokurcz zadaje pytania, postanowił. Von Eckdorf spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego? - zapytał poirytowanym tonem.

- Nie zdążono by przygotować dla nas na czas stanowiska - wyjaśnił zwięźle Krueger. - Musi pan o tym wiedzieć, jak sądzę.

Willi obserwował pilnie obu mężczyzn. Był zafascynowany rozgrywającą się na jego oczach walką. Przewaga należała jednak do pułkownika Kruegera.

Złość ściągnęła twarz von Eckdorfa.

- Został pan, jak mi niemam, poinformowany, iż występuję tutaj w charakterze osobistego przedstawiciela Führera?

- Oczywiście.

- Dobrze. Zakwateruję się w miasteczku. Gdy pan i pańscy ludzie osiągniecie już gotowość operacyjną, oczekuję, że zostaną o tym powiadomiony.

- Oczywiście.

- Ale kiedy to będzie, pułkowniku? - W głosie von Eckdorfa zabrzmiało coś więcej aniżeli sarkazm. Znów poczuł się górą. - Wszystko tutaj... jak by to powiedzieć... znajduje się w stanie poważnego nieładu.

Krueger spojrział spod oka na niewysokiego człowieczka. Tylko tego mi brakowało, pomyślał ze złością, żeby włożył mi na głowę jakiś zarozumiały waźniak! Przybrał ton udanego zdziwienia.

- Oczywiście dokładnie w wyznaczonym dniu, *Herr Reichsamtsleiter* - wycedził powoli. - Sądzę, że zna pan tę datę?

Von Eckdorf poczerwieniał na twarzy. Nie prosił nikogo, żeby go tutaj wysyłano, ale nie ma najmniejszego zamiaru puszczać płazem impertynencji!

Miał już na końcu języka ciętą ripostę, gdy Krueger odwrócił się i przywołał podoficera, który wszedł akurat do pokoju. Wezwany zbliżył się pospiesznie.

Miał około trzydziestu pięciu lat, rumianą cerę i szczerę, jasnobłękitne oczy. Trzymał w rękach stos ubrań - parę szarych, noszonych przez leśników krótkich spodenek zapinanych pod kolanami, grube wełniane skarpety, zieloną koszulę uszytą z samodziałowej tkaniny oraz szarą bawarską kurtkę z kościanymi rzeźbionymi guzikami. Krueger zaczął przeglądać niespiesznie odzież, nie przerywając rozmowy z von Eckdorfem. Nawet nie usiłował ukryć tonu lekceważenia, kiedy mówił:

- Pierwsze grupy wyruszają dziś wieczorem. Reszta ludzi, w tym ja i mój sztab - jutro.

Von Eckdorf gorączkowo szukał słów, które stanowiłyby godną odpowiedź. Czuł, że traci grunt pod nogami.

- Znajdziemy się na stanowiskach następnego dnia, *Herr Reichsamtsleiter* - zgodnie z planem - zakończył Krueger.

- Dobrze - uciał szorstko von Eckdorf. - Ale chciałbym osobiście sprawdzić stan pańskiej gotowości. - Tylko na tyle było go stać.

Krueger spojrział nań z lekkim, nieco ironicznym uśmiechem.

- Oczywiście - odparł z protekcyjną grzecznością. - Untersturmführer Richter jest na pańskie rozkazy.

Wyjął bawarską kurtkę z rąk żołnierza.

- Zechce mi pan wybaczyć, ale muszę przymierzyć swój nowy mundur. - *Schon gut*, Plewig - zwrócił się do jednego z żołnierzy segregujących papiery. - Nie przerywajcie pracy.

Von Eckdorf spojrział na Kruegera z nie ukrywaną niechęcią, po czym odwrócił się i zaczął iść w kierunku wyjścia; tuż za nim szedł Willi. Nagle von Eckdorf przystanął. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął kopertę, odwrócił się do Kruegera i wręczył mu ją.

- A, jeszcze jedno - rzekł zimno. - Führer przesyła panu gratulacje, *Herr Generalmajor!* - Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z pokoju.

Krueger odprowadził go wzrokiem. Ogarnęło go rozbawienie. Mały człowieczek do wielkich zadań, pomyślał. Spojrział na kopertę. Wytłoczono na niej oficjalny emblemat hitlerowski - dumnego orła trzymającego swastykę otoczoną wieńcem liści dębowych. Cisnął kopertę na blat wielkiego biurka nie otwierając jej. Westchnął. W zamyśleniu przesunął palcami po szarej bawarskiej kurtce, uszytej z ciężkiego, zgrzebnego materiału.

Von Eckdorf boleśnie odczuł zuchwałstwo Kruegera. Krocząc szerokim korytarzem miał ponurą minę i zaciśnięte usta. Mijali go żołnierze i cywile nie ustający w gorączkowej krzątaninie. Szkoła We-rwolfu zamykała podwoje, przygotowując się do zejścia do podziemia. Von Eckdorf powoli się rozluźniał. Przysłano go tutaj, żeby obserwował, obliczał i oceniał. I żeby składał raporty. Właśnie to będzie robić. Porządnie i precyzyjnie. Poczul się lepiej. Znalazł się bowiem na znajomym terenie.

Mijali wejście. Masywne, rzeźbione drzwi dębowe stały otworem. Von Eckdorf zajrzał do środka. Ujrzał ogromną zbrojownię. Wielka płaszczyzna rzeźbionej boazerii, wąskie, głęboko osadzone okna,

dwa rzędy starych barwnych chorągwi szarych od kurzu, zawieszonych pod bogato malowanym sufitem; duży jaśniejszy prostokąt na jednej z kamiennych ścian - niewątpliwie wisiały tam niegdyś arras. Sala była pusta, jedynie w jej drugim końcu dwóch mężczyzn paliło papiery i dokumenty w ogniu rozpalonym w wielkim kominku.

Von Eckdorf przekroczył próg i skierował się w stronę kominka. Willi dotrzymywał mu kroku. Milczał. Postanowił trzymać głowę na kłódkę, dopóki Reichsamtsleiter sam go o coś nie zapyta.

Jeden z mężczyzn klęczących u stóp paleniska wyciągnął ze stosu na podłodze duży kawałek tektury. Połamał go i wrzucił do ognia, po czym sięgnął po następny. Von Eckdorf wyciągnął rękę.

- Chciałbym to zobaczyć - powiedział rozkazującym tonem. Zagadnięty rzucił szybkie spojrzenie Willemu. Ten skinął głową.

- *Bitte.*

Von Eckdorf odwrócił tekturę. Wydrukowano na niej następujące słowa:

| | | |
|--------|--------|--------|
| RISE | ROSE | RISEN |
| RUN | RAN | RUN |
| SAY | SAID | SAID |
| SEE | SAW | SEEN |
| SEEK | SOUGHT | SOUGHT |
| SELL | SOLD | SOLD |
| SEND | SENT | SENT |
| SET | SET | SET |
| SHAKE | SHOOK | SHAKEN |
| SHALL | SHOULD | SHOULD |
| SHED | SHED | SHED |
| SHINE | SHONE | SHONE |
| SHOOT | SHOT | SHOT |
| SHOW | SHOWED | SHOWN |
| SHRINK | SHRANK | SHRUNK |
| SHUT | SHUT | SHUT |
| SING | SANG | SUNG |
| SINK | SANK | SUNK |
| SIT | SAT | SAT |
| SLAY | SLEW | SLAIN |

Spojrzał pytająco na swego przewodnika.

- Co to jest?

- To z naszych lekcji angielskiego, *Herr Reichsamtsleiter* - wyjaśnił Willi. - Gramatyka. Członkowie naszej grupy wywiadowczej doskonale mówią po angielsku.

- So.

Von Eckdorf odrzucił tabliczkę na bok i rozgarnął butem kupkę innych. Jedna z nich była kolorowa. Wyciągnął szyję, chcąc się jej lepiej przyjrzeć. Zestawiono na niej stopnie podoficerskie i oficerskie armii amerykańskiej ze stopniami brytyjskimi oraz niemieckimi, po czym opatrzone podpisami w języku angielskim i niemieckim. Pomyślał, że takie tabelki to dobry pomysł. Przynajmniej jakieś uporządkowanie. Sztywnym krokiem opuścił salę.

Kiedy znów znaleźli się na korytarzu, minęła ich grupa dziewcząt. Każda była ładna i wyglądała jak typowa niemiecka dziewczyna - naturalnie, zdrowo i schludnie. Wszystkie miały na sobie sukienki o tyrolskim kroju z prowokacyjnymi dekolantami i wszystkie trzymały w dłoniach niewielkie cywilne walizeczki. Von Eckdorf i Willi patrzyli na nie z przyjemnością. Dziewczyny były pełne wdzięku i zalotnej kobiecości, lecz poruszały się miarowym, żołnierskim krokiem. Von Eckdorf spojrzał pytająco na Willego.

- Są wykwalifikowanymi biuralistkami, *Herr Reichsamtsleiter* - na amerykańską modłę. Liczymy na to, że będą pracować w amerykańskich wojskowych instytucjach rządowych. - Willi wyszczerzył zęby w uśmiechu. - I że Amerykańcy je polubią!

- Rozumiem.

Von Eckdorf zmarszczył brwi. Miał pewne zastrzeżenia wobec takich praktyk. Poświęcenia są konieczne, to jest oczywiste, czy jednak niezbędne jest - szukał w myślach właściwego słowa - brukanie czi niemieckich kobiet?

Willi wskazał ścienną tablicę ogłoszeń.

- Oto spis angielskich kursów biurowych, *Herr Reichsamtsleiter* - wyjaśnił. - Dowie się pan bliżej, co zdziałaliśmy na tym polu.

Von Eckdorf popatrzył na tablicę. Kursy wydały mu się dobrze rozplanowane i wyczerpujące. Zaczął studiować spis.

Willi obserwował tymczasem znikające w zatłoczonym korytarzu dziewczyny. Nawet z tyłu przedstawiały miły dla oka widok. Zwłaszcza ta blondynka, która tak kokieteryjnie na niego patrzyła.

Podobna do Gerti Meissner, pomyślał. Ma taką samą jak ona małą okrągłą pupkę, rozkosznie poruszającą się pod sukienką. Kiedy to było? Dwa lata temu? Chyba był jeszcze wtedy w podchorążówce.

Nie wracał często myślami do Bodenheim. Nigdy właściwie nie podjął ostatecznej decyzji - czy powinien być z tego dumny, czy żałować.

Czuł się bardzo niepewnie, gdy komendant podchorążówki wezwał go do gabinetu. Stał sztywno w postawie na bacność. Szef rozłożył na biurku jego akta. Powiedział, że jest bardzo zadowolony. Willi Richter jest właśnie takim młodym Niemcem, jakich potrzebuje Trzecia Rzesza. Sprawdzili dokładnie jego przeszłość, rodzinę, przodków - aż do osiemnastego wieku. Sprawdzili też stan jego zdrowia. Upewnili się, czy jest zdrowym aryjczykiem czystej krwi. A teraz chcieliby wiedzieć, czy spędziłby dwa tygodnie w Bodenheim.

Willego aż zamurowało. Ogarnęło go podniecenie. Słyszał o takich ośrodkach jak Bodenheim. Dowcipkowali o nich między sobą w koszarach. Farmy ogierów, jak niektórzy je nazywali. W Niemczech było ich kilkanaście, wszystkie rozlokowane w najpiękniejszych okolicach. Bodenheim na terenie Schwäbische Alb opodal Stuttgartu było jednym z nich. Placówka Lebensbornu – „Źródła Życia”.

Oficer wyjaśnił mu wszystko. Trzecia Rzesza już dawno zrozumiała, iż sprawą najwyższej wagi jest utrzymanie czystości niemieckiej rasy. Jeśli skojarzy się rasową klaczkę z ogierem czystej krwi, ich potomek będzie również pełnej krwi. Miało to coś wspólnego z chromosomami i podobnymi sprawami, które przekazywały cechy dziedziczne, wyjaśnił Willemu. Niemcy potrzebowały takich „czystorasowców” - niemieckich dzieci płodzonych przez osobników czystej aryjskiej krwi. Pierwsze pokolenie czystych aryjczyków, czystych

faszystów - zrodzone dla Ojczyzny! Młode niemieckie dziewczęta, wybrane dla ich doskonałych nordyckich cech, udostępniano tam młodym mężczyznom, również czystej aryjskiej rasy. Żadnej odpowiedzialności, żadnych zobowiązań. Potomstwo powstałe z ich związków należało do Trzeciej Rzeszy!

Wprawdzie Willi poczuł się jakoś nieswojo, słuchając tych klinicznych wyjaśnień, jednak niepokój wkrótce ustąpił miejsca dumie z tego, że to właśnie na niego padł wybór. Dumie i podnieceniu. Jakby ziszczal się sen. Dwa tygodnie gimnastyki łóżkowej! - pomyślał radośnie, wyobrażając sobie czekające go przyjemności. I wszystko na koszt państwa!

Gdy dotarł do Bodenheim, w jego radosne uniesienie wkradło się nieco obaw. Zastanawiał się, w co właściwie wdepnął.

Bodenheim przycupnęło w porośniętej lasem górskiej dolinie. Niegdyś było małą miejscowością, którą w całości zajął Lebensborn. Wśród starszych zabudowań widać było liczne nowe. Główna siedziba instytucji mieściła się w dawnym domku myśliwskim, jedynym większym budynku w okolicy.

Kiedy Willi znalazł się wewnątrz, uderzyła go chłodna, bezosobowa atmosfera tego miejsca. Pod jej wpływem jego i tak już niewielki entuzjazm zmalał jeszcze bardziej. Obojętna kobieta o ostrych rysach, odziana w podoficerski mundur BDM, odebrała jego rozkaz wyjazdu, po czym wypełniła kartę pobytu. Placówkę prowadziła więc organizacja Bund Deutscher Mädel. Prawdopodobnie większość dziewcząt rekrutowała się z jej szeregów. Willi rozejrzał się zdziwiony. Jak dotychczas nie dostrzegł ani jednej ze swoich przyszłych kochanek.

Przydzielono mu pokój w niewielkim domku opodal. Miał tam mieszkać przez dwa tygodnie. Tam również miał spełniać swoje zadania.

Potem wezwano go na kolejne badania lekarskie.

Gdy lekarz, Stabstarzt z SS, wykonał swoje obowiązki, Willi trafił w ręce sanitariusza, wielkiego niesympatycznego faceta, z którego gęby nie schodził nieprzyjemny, głupawy uśmiešek. Być może gość jest zazdrosny, bo nic nie korzysta, pomyślał Willi z rozbawieniem.

W takim męskim raju musi to być piekielną torturą! Sanitariusz tymczasem pobrał do analizy próbki jego krwi i moczu.

Krew i mocz, ironizował w duchu Willi. Krew i mocz - oto miara człowieka!

W chwilę później sanitariusz wręczył mu małą zlewkę opatrzoną jego nazwiskiem.

- Proszę - powiedział. - Musi pan oddać tu nasienie.

Nasienie? Willi spojrział nań całkowicie zbity z tropu. Nagle zrozumiał. Poczul, że purpurowieje na twarzy. Nasienie! Ale w jaki sposób? Jak ma to zrobić? Popatrzył niepewnie na tamtego.

- Nie może pan go przecież wysikać - warknął niecierpliwie sanitariusz. - Poleć pan w konia!

Willi skamieniał. Tamten ruchem głowy wskazał na drzwi.

- Wszystko jest tu do pana dyspozycji. - Popatrzył kpiąco na Williego. - Mamy tam trochę pisemek z panienkami. Mogą się przydać!

Willi wszedł do niewielkiego pokoju badań. Zamknął drzwi za sobą. Zauważył, że brakuje w nich zamka. Usiadł. Wiedział, że nie potrafi. Nie potrafi tak na komendę. Przecież nawet nie dostanie erekcji.

Zaczął się wiercić na krześle. Muszę choćby spróbować, pomyślał. Rozpiął spodnie. Jezu! - przeraził się. Nic z tego. Przychodził mu na myśl tylko tamten odrażający facet za ścianą.

Na stoliku o szklanym blacie ujrzał pisma, o których mówił sanitariusz. Wziął do ręki jedno z nich i zaczął przerzucać. Fotografie były fantastyczne i bardzo szczegółowe. Willi przyjrzał się zdjęciom i ku swojemu zaskoczeniu poczuł znajome uczucie nabrzmiewania w kroczu. Spojrzął w dół. A niech to licha, zdumiał się.

Dotknął niepewnie członka, a potem zaczął go delikatnie pocierać. Wybrał sobie zdjęcie zmysłowej blondynki w przezroczystym negliżu spoczywającej w kuszącej pozie na sofie i skupił się na niej. Ani się spostrzegł, gdy zaczął odczuwać przyjemność.

Wypełnienie zlewki zabrało mu mniej czasu, aniżeli sądził. Popatrzył z ciekawością na naczynko. Podniósł je pod światło. Właściwie nigdy wcześniej nie przypatrywał się własnemu nasieniu. Miliony doskonałych małych aryjczyków, pomyślał z ironią.

Zapiął spodnie. Teraz, już po wszystkim, odczuwał nieokreślony wstyd i poniżenie. Robić coś takiego dla ojczyzny to diablo trudna sprawa!

Ujrzał ją następnego wieczoru w salonie. Dziewczyna stała samotnie w niewielkim bezalkoholowym barku, popijając lemoniadę. Wyglądała bardzo młodo - i jakoś bezbrinnie. Pomyślał, że jest prześliczna. Polecono mu nawiązać znajomości. Im szybciej i im bliższe - tym lepiej.

Ruszył w kierunku barku, przeciskając się przez tańczące w rytm gramofonowej muzyki pary. Na parkiecie naliczył co najmniej dwadzieścia, inne siedziały dookoła w wygodnych niszach. Wszyscy młodzi mężczyźni nosili mundury. Głównie esesmańskie, ale były także mundury wszystkich rodzajów broni.

Kiedy Willi był już blisko celu, obok jego wybranki zatrzymał się młodzieniec w mundurze Luftwaffe i coś do niej powiedział.

Willego ogarnęła fala niepokoju. Czy dziewczyna odejdzie wraz z lotnikiem? Uczucie niepokoju było tak dojmujące, że aż sam się sobie zdziwił. Ale nie - potrząsnęła głową i młody człowiek w mundurze Luftwaffe oddalił się.

Nazywała się Gerti Meissner i pochodziła z Norymbergi. Miała osiemnaście lat.

Z miejsca poczuli do siebie sympatię. Miesiące zapoznawania się, chodzenia na randki, odkrywania osobowości skurczyły się do kilku godzin. Wynikało to oczywiście z konieczności. Nie dbali o to.

Zrobiło się późno. Wiele par opuściło już salon. Willi wciąż tańczył z Gerti, przytulając ją mocno. Była wiotka i uległa w jego ramionach. Poczul, że narasta w nim podniecenie. Nie mógł się pohamować. Poczul wzbieranie w kroku. Nagle przestraszył się - tańczyli przecież przytuleni, na pewno poczuje. Nieco się odsunął, ale Gerti przylgnęła do niego całym ciałem. Między nogami czuł dotyk jej ud. Wiedział, że musiała poczuć jego erekcję. Spojrzała na niego rozszerzonymi źrenicami.

- Willi - szepnęła cicho - będziesz pierwszym. Pierwszym.

Trzymając się za ręce opuścili salon. Przechodzili właśnie przez foyer recepcyjne, gdy nagle usłyszeli wołanie:

- Hej, wy tam! Chwileczkę!

Głos należał do kobiety o ostrych rysach, podoficera BDM. Podeszła bliżej i wlepiła spojrzenie w Willego.

- Czy bierzecie ją? - rzuciła krótkie pytanie. Willi poczuł, że całe podnienie opada z niego.

- Tak.

- Proszę okazać kartę - zażądała kobieta. - I wy też - zwróciła się do dziewczyny. W milczeniu wręczyli jej karty.

- Nie czytaliście instrukcji? - fuknęła kobieta. - Nie możecie ot tak sobie wyjść stąd i pofrunąć do łóżka nie poddawszy się właściwej procedurze! - Odwróciła się i pomaszerowała w stronę biurka. - Pozwólcie no tutaj.

Podeszli do niej.

- Muszę podstemplować wasze karty. - Z rozmachem uderzyła urzędową gumową pieczętką w każdą z kart. Następnie wpisała coś szybko do dużego brązowego rejestru. - Wasz związek musi zostać odnotowany. - Spojrzała na Gerti, a potem na Willego. - Wiecie chyba, że nie możecie wybrać po raz drugi? Jeśli zdecydowaliście się właśnie na siebie, musicie oboje pozostać razem aż do waszego wyjazdu.

Gerti przez cały czas milczała. Jej dłoń, którą trzymał Willi, zamieniła się w bryłkę lodu. Poczul ucisk jej paznokci. Kobieta wręczyła im prawidłowo ostemplowane karty.

- *In Ordnung* - oświadczyła.

Willi spociał się jak mysz. *In Ordnung*, pomyślał. Zgodnie z przepisami bodenheimskiego Lebensbornu!

Niespodziewanie stanęła mu przed oczami śmieszna, oprawiona w złote ramki fotografia na kominku w rodzinnym domu. Mutti w długiej białej sukni, ojciec z imponującymi wąsami. Oboje sztywni, oficjalni i dumni. Absurdalna fotografia ślubna Mutti i Vati.

Kiedy znaleźli się w jego domku, Gerti, powodowana odruchem jakiejś przekory, podeszła wprost do łóżka i usiadła na kołdrze, czujna i sztywna.

- Twoja karta została podstemplowana - rzuciła beznamiętnie. - Moja także. - Spojrzała na niego poważnie. Jej oczy jarzyły się nienaturalnym blaskiem. Willi milczał. Usiadł bez słowa obok, wyczuł jednak, że dziewczyna jeszcze bardziej sztywnieje.

Nie dotykał jej.

- Tak jej współczuję - powiedział łagodnie.

Gerti rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

- Naprawdę współczuję tej kobiecie - ciągnął. - Nigdy nie pozna tego, co ty i ja możemy wspólnie przeżyć. - Wstał. - Nigdy się nie dowie, jak to jest. - Odszedł od łóżka, zbliżył się do okna i odchylił zasłonę. - Jak pięknie - zauważył. - Światło księżyca cudownie prześwieca przez listowie. Chodź, sama zobacz.

Przez chwilę w sypialni panowała cisza. Później usłyszał, że dziewczyna wstaje. Podeszła do niego i razem podziwiali cichą leśną noc za oknem. Objął ją w pół, a ona złożyła mu głowę na ramieniu.

Nagle znalazła się w jego objęciach. Jej szczupłym ciałem wstrząsał gwałtowny szloch.

Tulił ją delikatnie, zanurzając twarz w jej jasnych włosach. Nie poruszał się, milczał. Dziewczyna stopniowo ucichła.

Ujął w dłonie jej twarz i pokrywał pocałunkami suche oczy, które już nie potrafiły płakać. Całował gładką szyję, czując gwałtowne pulsowanie krwi pod skórą. Potem odnalazł jej rozchylone usta, czekające na jego usta.

Powoli poprowadził Gerti do łóżka. Delikatnie, a jednocześnie niezgrabnie, zaczął ją rozbierać. Dziewczyna pomagała mu niecierpliwie. Wkrótce patrzyli, podnieceni i radośni, na swoje młode nagie ciała.

Pieścił jej chłodną, jedwabistą skórę. Całował niewielkie sterczące piersi, czując jak twardnieją ich brodawki. Gładził jej biodra i miał wrażenie, iż za chwilę rozsądzi go pożądanie.

Natrafiał na przeszkodę zamykającą dostęp do wnętrza jej ciała i nacisnął, czując jednocześnie, jak paznokcie dziewczyny drapią mu plecy. Zaraz jednak przeszkoda ustąpiła. A potem stopili się w jedno. Gerti jęczała. Jej zapach oszołamiał go. Nagle krzyknęła. Poczuł, że sam również eksploduje w zmysłowym spazmie.

W tej chwili należeli tylko do siebie. Bez reszty.

Potem ogarnęło ich ponowne nienasycenie. Gdy wreszcie zasnęli, niebo już szarzało. Kiedy Willi się obudził, Gerti jeszcze spała. Szeroki promień słoneczny przenikał przez zaciągnięte zasłony, kładąc na jej włosach złociste pasmo. Uwolnił się delikatnie z jej ramion, wstał z pościeli i przyjrzał się swemu ciału. Ze zdumieniem odkrył na udzie plamkę zaschniętej krwi. Spojrzał uważniej. Na włosach łonowych

odnalazł więcej takich plamek. Popatrzył na śpiącą. Nieoczekiwanie poczuł przyływ czułości. Postanowił nie zmywać jej krwi z ciała - krwi niewinności, w której zostało poczęte jego dziecko.

Na dworze zawarczał motocykl. Ośrodek Lebensbornu w Boden-heim budził się do życia.

Willi poszedł wziąć prysznic.

To zdarzyło się dawno temu. Teraz Willi wiedział, że był jedynie „ogierem” w narodowosocjalistycznym ośrodku rozplodowym. Jak inni. Wiedział, że jego dziecko - syn? - było „dzieckiem Hitlera” i należało da Trzeciej Rzeszy. Nigdy go nie zobaczy. Pozostały mu jedynie wspomnienia.

Von Eckdorf przestudiował już spis zajęć i ruszył w dalszą drogę zatłoczonym korytarzem. Willi poszedł za nim. Z przeciwnego kierunku zbliżył się do nich niski, krępy mężczyzna w cywilnym ubraniu. Trzymał w dłoni zatłuszczoną szmatę. Von Eckdorf spojrzął nań z obrzydzeniem. Gdy się zrównali, przystanął i wyciągnął dłoń.

- Wasze papiery!

Mężczyzna przystanął zaskoczony i popatrzył na von Eckdorfa. Potrząsnął głową. Wydawał się skonfundowany i wystraszony. Wybełkotał jakieś niezrozumiałe słowa.

- Dokument tożsamości, idioto - warknął von Eckdorf.

Tamten cofnął się o krok, lecz nic nie odpowiedział.

- Czekam.

Mężczyzna skurczył się w sobie ze strachu. Gwałtownie pokręcił głową.

- *Nein... verstehen...* - wymamrotał.

Von Eckdorf wybałuszył na niego oczy. Ten zamek to istny dom wariatów, pomyślał. Willi wtrącił się z lekkim uśmiechem:

- Temu człowiekowi wolno mówić wyłącznie po rosyjsku, *Herr Reichsamtsleiter*.

- Po rosyjsku? - powtórzył zdziwiony von Eckdorf. - Ale on jest chyba Niemcem?

- Oczywiście. Jednak dla Amerykanów będzie cudzoziemskim robotnikiem. Ukraińcem. Otrzymał instrukcje, żeby mówić tylko po

rosyjsku, nawet tutaj, Ma przywyknąć do tego języka i do swojej przyszłej roli. - Zwrócił się do wystraszonego nie na żarty „robotnika”: - Możecie odpowiadać, Kunze.

Mężczyzna natychmiast stanął na baczność.

- *Jawohl, Herr Untersturmführer.*

Wyciągnął pośpiesznie dokumenty i wręczył je von Eckdorfowi. Reichsamtsleiter przeglądał je zaintrygowany.

- Są całkowicie autentyczne - powiedział Willi nie ukrywając dumy. - Każda pieczętka, każdy podpis. Wszystko. Nic nie zostało sfałszowane. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Z wyjątkiem danych, które zawierają.

Von Eckdorf przerzucał papiery.

- Po co ta maskarada? - zapytał.

- Kunze będzie „wtyczką”. Będzie zbierać dla nas informacje - wyjaśnił Willi. - Jego dokumenty cudzoziemskiego robotnika to kamuflaż. Wiemy, że Amerykanie często wykorzystują cudzoziemców - nazywają ich „dipisami”* - do rozmaitych zajęć. Na przykład w charakterze kelnerów albo sprzątaczy w swoich klubach wojskowych. - Uśmiechnął się. - Amerykanie nie kalają sobie rąk brudną robotą, jeśli mogą znaleźć kogoś, kto ją wykona za nich. Z radością posłużymy im pomocą.

Displaced Persons - osoby przymusowo wysiedlone (przyp. tłum.).

- Rozumiem. Agent Werwolfu wśród Amerykanów. Oczywiście. To może okazać się bardzo przydatne - stwierdził niechętnie von Eckdorf. Następnie zwrócił się do Kunzego: - Macie broń?

- Nie.

- Nie ma nawet noża, *Herr Reichsamtsleiter* - wtrącił Willi. - Zwykła broń by go zdradziła. Ale jest uzbrojony.

Von Eckdorf nie potrafił ukryć zaskoczenia. Willi zaczynał rozumieć, jak ma z nim postępować. Czuł, że wszystko dookoła wzbudza ciekawość Reichsamtsleitiera i wiedział, jak ważne jest, by go sobie nie zrazić. Zdawał sobie sprawę, iż wszystko, co obecnie dzieje się w Niemczech, dzieje się za sprawą takich jak von Eckdorf dostojników partyjnych, i że inaczej być nie może. A Krueger był przede wszystkim żołnierzem. Najlepszym! Willi by w ogień za nim poszedł. Pułkownik - teraz już generał - brzydził się jednak politykami

wtykającymi swoje wścibskie nosy w wojskowe sprawy i nie potrafił z nimi postępować. Jeśli on, Willi, może mu pomóc „oblaskawiając” Reichsamtsleiterra von Eckdorfa, na pewno spróbuje to zrobić. Sięgnął do górnej kieszeni wyświechtanej kurtki Kunzega i wydobył z niej ołówek. Wręczył go von Eckdorfowi.

- Jest uzbrojony - oznajmił. - W to!

Von Eckdorf wziął ołówek do ręki i obejrzał go uważnie. Skrobnął paznokciem. Sprawdził czubek.

- Ależ to zwyczajny ołówek - oświadczył.

- Istotnie - zgodził się Willi. - Zwyczajny ołówek. A jednak... - Spojrzał na von Eckdorfa jak dziecko chwalące się swoją nową zabawką. - Jeśli można, *Herr Reichsamtsleiter*...

Zmierzył wzrokiem ludzki strumień płynący szerokim korytarzem i przywołał żołnierza z karabinem, wziął go wraz z Kunzem na stronę i wydał im kilka krótkich poleceń. Odebrał od von Eckdorfa ołówek, po czym zwrócił Kunzemu, który włożył go z powrotem do przedniej kieszeni kurtki w ten sposób, że trochę wystawał. Von Eckdorf obserwował te poczynania niecierpliwie marszcząc brwi. Willi odstąpił o krok od dwóch mężczyzn i stanął obok.

- Proszę popatrzeć, *Herr Reichsamtsleiter* - powiedział. - Oni wszystko panu pokażą. - Dał znak ruchem głowy.

Żołnierz przewiesił karabin przez ramię i przyjął postawę wartownika.

- Niech pan sobie wyobrazi - ciągnął Willi konspiracyjnym *sotte voce* - że ten żołnierz jest strażnikiem, którego należy wyeliminować. Cicho i skutecznie. Proszę popatrzeć...

Kunze i żołnierz weszli w swoje role z należyтым entuzjazmem. Przerabiali tę scenę już wcześniej, podczas treningu.

„Ukrainiec” podszedł do żołnierza. Ten zsunął broń z ramienia i wezwał go do zatrzymania się. Kunze z szerokim, rozbajającym uśmiechem uniósł do góry puste ręce, mówiąc coś po rosyjsku.

- Gadaj po niemiecku! - warknął żołnierz. - Czego chcesz?

Kunze uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie... ja nie mówić - wyjąkał i wybuchnął strumieniem słów rosyjskich. Żołnierz niczego nie rozumiał, ale ponieważ Kunze się do

niego nie zbliżał, uznał, iż nie przedstawia sobą żadnego niebezpieczeństwa.

Willi spojrzął spod oka na von Eckdorfa. Reichsamtsleiter obserwował rozgrywającą się scenę z ostrożnym zainteresowaniem.

Wreszcie Kunze jakby zrozumiał, że jego gadanina na nic się nie zda, i zamilkł. Nagle zawołał rozpromieniony:

- *Towariszcz!* Ja... pokazać...

Z kieszeni na piersiach wydobyl ostrożnie brudny skrawek papieru i ołówek. Starannie poślinił jego czubek i zaczął skrobać coś pracowicie na papierze. Wydawało się, że ta czynność pochłonęła go bez reszty. Jednocześnie powoli podchodził do przypatrującego mu się żołnierza.

Choć Willi wiedział, co za chwilę nastąpi, poczuł rosnące napięcie. Von Eckdorfa również pochłonęła dziwaczna scena. Zapomniał o dokumentach Kunzego, które ścisnął w dłoni.

Nieoczekiwanie Kunze wymierzył ołówkiem cios w brzuch żołnierza. Ten instynktownie cofnął tułów i przez ułamek sekundy trwał lekko pochylony do przodu z wyciągniętą, odsłoniętą szyją. Ale cios w żołądek był jedynie zamarkowany. Kunze uderzył zaostrzonym końcem ołówka w górę, celując wprost w odsłoniętą szyję ofiary. W ostatnim momencie odchylił dłoń, uniósł płynnym ruchem ołówek wysoko do góry i uderzył z całej siły - tym razem tępym końcem, zaopatrzonym w metalową skuwkę - kierując swoją „broń” w dół. Żołnierz upadł, jego karabin zagrzechotał na posadzce. W prawdziwych okolicznościach werhrechtowiec byłby już martwy.

Wszystko to nie trwało więcej niż dwie sekundy.

Von Eckdorf wpatrywał się w leżącego człowieka. Willi odezwał się:

- Zaostrzony koniec ołówka przebija żyłę szyjną, *Herr Reichsamtsleiter*. Śmierć jest natychmiastowa. Można też wbić ołówek w oko ofiary, aż do mózgu. Kość jest w tym miejscu bardzo cienka.

Von Eckdorf milczał. Scena, której był świadkiem, poruszyła go mocno, nie mógł jednak pozwolić sobie na okazywanie uczuć. Nie była to ku temu ani pora, ani miejsce.

Willi odprawił żołnierza.

- To bardzo skuteczny sposób - zauważył. Spojrzał na von Eckdorfa, który wciąż ścisnął w dłoni dokumenty Kunzego. Ten mały sukinsyn musi być pod nielichem wrażeniem, skonstatował. Ale jest uparty jak osioł i nic nie daje po sobie poznać! Nieważne. To dopiero początek, kurduplu!

- Również tak sędzę - powiedział von Eckdorf, siląc się na obojętność. Nagle zauważył, że nadal trzyma papiery. Natychmiast zwrócił je właścicielowi. Dokumenty były zmięte i pogniecione. Skinął krótko głową. - Możecie odejść - polecił.

Kunze strzelił obcasami i oddalił się. Willi odprowadził go wzrokiem. Był bardzo zadowolony.

- Dysponujemy wieloma takimi „dipisami” - oświadczył z satysfakcją. - Będą nam dostarczać wiarygodnych informacji o wielu ważnych celach. To bardzo skuteczna metoda. Oczywiście jest to pomysł generała Kruegera. Von Eckdorf nic nie odpowiedział.

W pudełku znajdowało się czternaście „liliputów”*. Hauptmann Ludwig Schmidt przeliczył siedzących przy stole. Wystarczy. Jeszcze zostanie przynajmniej pół tuzina. Musi powiedzieć Steinerowi, żeby je dołączył do wyposażenia dowództwa.

„Liliput” był niemieckim pistoletem skonstruowanym w 1927 r. Waga - 175 g, długość - 91 mm, 6 pocisków w magazynku, swobodny odrzut zamka (przyp. tłum.).

Kątem oka dostrzegł Willego Richtera, nadchodzącego w towarzystwie niewysokiego cywila o władczym wyglądzie. To chyba ów przybysz z Berlina, którego zapowiadał Krueger. Wyszedł im naprzeciw.

- *Herr Reichsamtsleiter* - zwrócił się Willi do von Eckdorfa. - Chciałbym panu przedstawić kapitana Schmidta, naszego oficera operacyjnego.

Schmidt podniósł dłoń:

- *Heil Hitler!*

Von Eckdorf odwzajemnił pozdrowienie. Obrzucił Schmidta bawczym, a zarazem spłoszonym spojrzeniem. Prawą nogę i prawą rękę kapitana krępowały stalowe szyny i skórzane rzemienie.

- Jesteście inwalidą, *Herr Hauptmann*?

- Jak wielu z nas - odparł Schmidt z chłodnym uśmiechem. Wskazał na pozostałych mężczyzn przy stole. Jeden z nich, dobiegający czterdziestki, właśnie wstał. Miał na sobie cywilne ubranie. Brakowało mu lewej ręki, pusty rękaw kurtki zgiął się w pół i przyczepił do ramienia. Na lewym oku nosił opaskę, oprócz tego kulał.

- Heinz stracił rękę i oko pod Alamein, służąc w Afrika Korps - wyjaśnił Schmidt. Poklepał się kontuzjowaną ręką po unieruchomionej w szynach nodze. - A ja oberwałem pod Salerno. - Rzucił von Eckdorfowi twarde spojrzenie. - Jesteśmy inwalidami, ale nie osłabiło to naszej lojalności wobec Führera.

Von Eckdorf popatrzył na niego z uznaniem. Oto wreszcie prawdziwy niemiecki oficer, pomyślał.

- Znakomita postawa - pochwalił kapitana.

Wszyscy trzej podeszli do stołu. Podoficer Steiner rozdawał ludziom broń, odnotowując jej numery w rejestrze. Schmidt wyjął z pudełka jeden z pistoletów i wręczył go von Eckdorfowi. Reichsamtsleiter obejrzał go ostrożnie.

- To „liliput”, *Herr Reichsamtsleiter* - powiedział Schmidt. - Niemiecka robota. Kaliber cztery dwadzieścia pięć. Łatwy do ukrycia. Najmniejszy na świecie pistolet samopowtarzalny.

Von Eckdorf zważył pistolecik na dłoni. Był rzeczywiście maleńki. Broń wywarła na nim duże wrażenie. Niemiecka technika jest najlepsza, skonstatował z dumą. Oddał „liliputa” Schmidtowi.

- To nasze podstawowe uzbrojenie, *Herr Reichsamtsleiter* - utracił Willi. - A teraz chciałbym pokazać panu coś specjalnego...

- Oczywiście.

- Steiner! - zawołał Willi. - My też chcielibyśmy to zobaczyć!

Steiner uśmiechnął się.

- *Jawohl, Herr Untersturmführer!*

Odszedł kilka kroków od stołu. Pozostali żołnierze rozstąpili się. Steiner był wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną, odzianym w brunatną koszulę o podwiniętych rękawach i szare spodnie mundurowe, ściśnięte w talii zwykłym szerokim pasem z ciężką metalową

klamrą, na której pysznił się hitlerowski orzeł. Zatrzymał się, a potem błyskawicznie odwrócił w stronę opartego o ścianę dużego lustro w rzeźbionych ramach, uderzając prawą dłonią w klamrę. Otworzyła się i w tej samej chwili wychynęły z niej cztery krótkie lufy. Steiner dotknął palcami boku klamry - i natychmiast huknęły jeden po drugim cztery wystrzały. Pociski roztrzaskały lustro, odbicie strzelca zniknęło w kaskadzie spadających na podłogę odłamków.

Von Eckdorf wzdrygnął się gwałtownie. Zreflektował się jednak, pomny, iż obecni bacznie go obserwują, świadom ich starannie maskowanego rozbawienia. Chcieli, żebym tak zareagował, pomyślał gniewnie. Specjalnie to przygotowali. Steiner podszedł do niego.

- Celuje się brzuchem - powiedział, wyszczerzając zęby w uśmiechu. - Nie można chybić! - Tę broń skonstruowano specjalnie dla nas - dodał Willi. Steiner zdjął pas i wręczył mu go. Willi miał się na baczności, żeby przypadkiem nie zdradzić gestem czy słowem, jak bardzo ubawił go widok podskakującego von Eckdorfa. Podał mu pas. - Broń jest wbudowana w klamrę - wyjaśnił. - Naboje kalibru 32 ACP. Kiedy naciśnie się tę dźwigenkę z boku, uwolnione zostają cztery lufy. Każda z osobna może wystrzelić swój pocisk, naciska się wtedy indywidualny spust, albo też wszystkie cztery dają jednoczesną salwę, tak jak przed chwilą*.

Broń w postaci strzelającej klamry, przetrwała z czasów II wojny w jednym egzemplarzu; nie jest jednak pewne, czy rzeczywiście skonstruowano ją dla potrzeb Werwolfu (przyp. tłum.).

Von Eckdorf niemal go nie słyszał. Udawał, że ogląda dokładnie konstrukcję urządzenia. Potrzebował czasu, żeby zebrać się w sobie i przejść do porządku dziennego nad upokorzeniem, jakiego doznał. Zaskoczyli go, nie ma co mówić. Podskoczył jak zajęc. Wszyscy to widzieli. Broń wywarła na nim duże wrażenie, ale przede wszystkim trapiło go to, iż na oczach wszystkich zachował się jak baba.

Wręczył pas Willemu, a potem zwrócił się do Steinera. Zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- To lustro bez wątpienia było własnością Rzeszy! - wycedził. Steiner przybrał zaskoczony wyraz twarzy.

- Tak jest - potwierdził.

- Zatem odpowiada pan za jego zniszczenie. Osobiście - dodał z lodowatym spokojem. Odwrócił się i odszedł majestatycznym krokiem.

Willi szybko podążył za nim.

Niczego nie pominęli. Von Eckdorf był bardzo sumienny. Jednak mimo wysiłków Willego Reichsamtsleiter okazywał przez cały czas arogancję i wyniosłość.

Zbliżali się do głównego wejścia. Zza drzwi oznaczonych czerwonym krzyżem wyszedł na korytarz mężczyzna. Był nagi do pasa, górną część jego lewego ramienia spowijał świeżo nałożony bandaż. Willi zatrzymał go.

- Ilu jeszcze zostało, Pitterman?

- Już tylko dwóch albo trzech, *Herr Untersturmführer*.

Willi skinął głową. Mężczyzna odszedł. Von Eckdorf spojrział w ślad za nim.

- Zagoi się przez tydzień - powiedział Willi. - Bez śladu. Jeszcze tydzień i nikt nie pozna. - Zerknął na Reichsamtsleitiera. Żadnej reakcji. No i co tu począć z takim sukinsynem? - Pomyśleliśmy o wszystkim - dodał.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu - powiedział chłodno von Eckdorf. - Proszę nie odprowadzać mnie do samochodu. Sądzę, że ma pan wiele pracy. I przekażcie moje gratulacje generałowi. Jeśli wasza misja zakończy się fiaskiem, to nie dla tego, że Wódz i Ojczyzna nie potrafili was przygotować.

- Nie znamy słowa „fiasko”, *Herr Reichsamtsleiter*.

- Dobrze powiedziane. *Heil Hitler!*

Von Eckdorf odwrócił się na pięcie i odszedł, odprowadzany niechętnym spojrzeniem Willego. Młody oficer doszedł do wniosku, iż niewiele wskórał. Na dobitkę nie rozumiał, dlaczego. Zorganizował temu człowiekowi fascynującą luksusową wycieczkę po całym tym przeklętym zamku. Wyjaśnił mu zadania, taktykę, sposób działania. Zademonstrował mu całą maszynię. A potem skurwysyn okazał tyle entuzjazmu co śnięta ryba! Dlaczego, do diabła, dlaczego?

Patrzył, jak von Eckdorf znika za wielkimi podwójnymi drzwiami. Wciąż wisiało nad nimi wielkie, oprawione w metal motto Werwolfu: ES GIBT KEINE KAMERADEN...

NIE ISTNIEJE KTOŚ TAKI JAK „PRZYJACIEL”.
JEŚLI TWOJE ZADANIE ZOSTAŁO PRZEZ
NIEGO ZAGROŻONE, ZWRÓĆ SIĘ PRZECIWIW
NIEMU - W RAZIE POTRZEBY ZABIJ!

Heinrich Himmler

Ciekawe, czy to pozostawią, zastanowił się Willi ni w pięć, ni w dziewięć. Przestał zaprzętać sobie głowę von Eckdorfem. Niech go diabli porwą. Ale ten karzełek w jednym miał słuszość. Było jeszcze wiele do zrobienia!

Odwrócił się i odszedł szybko korytarzem. Zagwizdał cichutko:

*Du kleine Fliege,
Wenn ich dich kriege...*

Godzina 23.09

Wielkie, masywne biurko stało w kręgu światła pośrodku mrocznego, opustoszałego pokoju. Ciężkie draperie zaciągnięte na ogromnych oknach nie przepuszczały na zewnątrz ani promyczka blasku samotnej lampy stojącej obok rozłożonych papierów. Nawet tutaj, w górach Masywu Czeskiego, ściśle przestrzegano przepisów o zaciemnieniu.

Generał Krueger przebywał samotnie w swoim biurze. Siedział za biurkiem, na którym leżały rozkazy i raporty przywiezione przez von Eckdorfa. Każdą kartkę, każdą fotografię, każdy oleat opieczętowano napisem GEHEIMSACHE - „ściśle tajne”. Przestudiował dokładnie cały materiał. Nie miał zbyt wiele czasu. Amerykanie znajdowali się niecałe sto kilometrów od jego stanowisk w Schönsee.

Krueger z trudem przebrnął przez sztywny i oficjalny język wojskowy, jakim napisano ostatnie rozkazy z Führerhauptquartier. Wszystko sprowadzało się do dwóch zadań, na pozór oddzielnych,

a jednak ściśle ze sobą powiązanych. Zadanie numer jeden - wyeliminowanie Naczelnego Dowódcy Sprzymierzonych, generała Dwighta D. Eisenhowera.

Nie odczuwał żadnych rozterek. Nie uważał tego zadania za morderstwo. Będzie to operacja wojskowa różniąca się od innych operacji jedynie konsekwencjami. Eisenhower, jako Naczelnny Dowódca, stanowił uzasadniony cel militarny. Krueger rozumiał konieczność wykonania rozkazu. Eliminacja Eisenhowera wpłynie bezpośrednio na wiele operacji o zasadniczym znaczeniu dla planów Trzeciej Rzeszy. Wywoła bez wątpienia pewne zamieszanie oraz, w konsekwencji, opóźni przebieg alianckich kampanii. Dzięki temu niemieckie siły zbrojne będą miały trochę tak potrzebnego czasu i być może złapią nieco oddechu, który wykorzystają na konsolidację i umocnienie się w Alpenfestung. Obecnie sytuacja Niemiec pogarsza się w tempie daleko szybszym, aniżeli ktokolwiek przewidywał. Krueger jednak nie sądził, że eliminacja Eisenhowera może zmienić przebieg wojny. Naczelnny Dowódca Sprzymierzonych nie jest przecież osobą niezastąpioną. Na jego miejsce przyjdą inni. Ale gdyby operację przeprowadzono w taki sposób, iż można by przypisać ją jednoznacznie werwolfowcom, Amerykanie zostaliby zmuszeni do skierowania do walki z Werwolfem wielu żołnierzy. W rezultacie niemieckie siły zbrojne otrzymałyby nieco wytchnienia, którego tak bardzo im potrzeba. Dodatkowo całe przedsięwzięcie będzie miało oczywiście niezaprzeczną wartość propagandową, wzmocni niemieckiego ducha oporu - zarówno u cywilów, jak i żołnierzy. Plan może się udać, jeśli wykona się go prawidłowo. Gdy tylko przeniosą się do Schönsee, podda analizie jego założenia.

Zadanie numer dwa - dla Kruegera wciąż najważniejsze - było zadaniem długofalowym: mieli stać się trzonem, podstawową siłą bojową Alpenfestung. Ich zadaniem miało być zwalczanie wroga metodami centralnie kierowanej, dobrze zorganizowanej partyzantki.

Siedząc samotnie w pustym pokoju, Krueger uśmiechnął się do własnych myśli. Był to uśmiech ironii. Pomysł powołania Werwolfu wyszedł wprawdzie od Himmlera, ale do niego, Karla Kruegera, należało wprowadzenie go w życie. Reichsführer wybrał go do tego

osobiście. Miał ku temu powody. On, Krueger, wiedział więcej niż jakikolwiek inny niemiecki oficer, ile można osiągnąć prowadząc wojnę nieregularną. Przez prawie dwa lata zwalczał jugosłowiańskich partyzantów w Alpach Dynarskich. Doznał wtedy wielu upokarzających porażek, ale i wiele się nauczył.

Nauka rozpoczęła się wczesną jesienią 1941 roku, kiedy był jeszcze w stopniu podpułkownika. W okupowanej Jugosławii nieregularne formacje Tity szybko stały się najskuteczniejszą i najbardziej niebezpieczną siłą walczącą z najeźdźcą. W ciągu następnych miesięcy raz po raz organizowano przeciw partyzantom ofensywy na wielką skalę, niekiedy nawet rzucając przeciw nim i po dziesięć dywizji wspieranych ciężką artylerią oraz lotnictwem. Jednak ciosy zawsze padały w próżnię: partyzanci uchodzili i niebawem wznawiali działania.

Krueger uśmiechnął się smutno. Przegrał wtedy sromotnie. I to z kim - z chorwackim metalowcem! A jednak czuł, iż w pewnym sensie powinien być mu wdzięczny. Dwa lata temu przeklinał Tita i jego partyzantów, dziś zaś sam przygotowywał się do pójścia w ich ślady, do spożytkowania wszystkiego, czego się od nich nauczył! Wysoko ocenił skuteczność takich nieortodoksyjnych operacji. Uderzać niespodziewanie. Atakować nieprzyjaciela tam, gdzie jest najbardziej odsłonięty. Uderzać w jego najsłabsze miejsca - tam, gdzie najmniej tego oczekuje. A po ataku błyskawicznie zniknąć, roztopiać się w okolicy. Ot i cała partyzancka taktyka. Teraz zastosują ją werwolfowcy.

Wiedział, że ma rację. Ostatnie lata udowodniły niezbicie, iż dobrze zorganizowane siły partyzanckie stanowią czynnik militarny o pierwszorzędym znaczeniu, czynnik, wobec którego nowoczesna armia okupacyjna jest w znacznej mierze bezsilna.

Werwolfowcy staną się taką siłą. Z ironicznym rozbawieniem Krueger przypomniał sobie słowa, które Goebbels wypowiedział przed kilkoma tygodniami, kiedy to podjęto decyzję o publicznym ujawnieniu istnienia Werwolu, ogłaszając ów fakt na falach państwowego radia. „Werwolfowcy odegrają rolę Miecza Zygryda, który uśmierci Smoki pragnące pożreć naszą Ojczyznę” - zapowiedział mały Doktor. A potem dodał: „Od nich zależy powodzenie Wielkiego Planu!”

Cóż, niech więc tak będzie.

Przysunął do siebie leniwym ruchem grubą kopię raportu.

GEHEIMSACHE

Zustand der Alpenfestung

Führerhauptquartier den 15.4.45

W teczce znajdował się zestaw oleatów oraz - jako uzupełnienie raportu - plik zdjęć lotniczych. Wyciągnął jedną z fotografii i przyjrzał się jej w zamyśleniu. Był to widok z lotu ptaka, przedstawiający spokojną dolinę leżącą między dwoma alpejskimi łańcuchami gór; pasmo górskich łąk otoczonych wiecznie zielonymi lasami, z kilkoma stodołami i chatami. Odwrócił zdjęcie. Po drugiej stronie znalazł długi wykaz szczegółów opatrzony u góry symbolem LwUFH-7. Znów wpatrzył się w alpejską panoramę. Kamuflaż był genialny. Najmniejszy szczegół nie zdradzał, iż łąka jest w rzeczywistości podziemnym lotniskiem Luftwaffe. Podjazd do pasa startowego został całkowicie ukryty w lesie. Chaty i stodoły maskowały skutecznie otwory wlotowe i wylotowe systemu wentylacyjnego. Odsunął na bok fotografię górskich łąk i wziął do ręki foliową nakładkę na mapę. Zapoznał się z objaśnieniami. Każdy z symboli wskazywał położenie skrytek o specjalnym charakterze. Były w nich pieniądze, kosztowności i złoto. O niektórych schowkach wiedział. Zbiór złotych monet pochodzący z klasztoru Kremsmünster ukryty w Tyrolu opodal Salzburga. Przypomniał sobie z niesmakiem niewysokiego majora SS, Helmuta von Hummla, jednego z przybocznych Martina Bormanna, zajmującego się przygotowaniem skrytki. Tylko ta jedna musi być warta przynajmniej dwadzieścia pięć milionów marek. Ładunek obcych walut w Berchtesgaden. Kto wie, ile? Kryjówka ze złotem opodal Rattensdorfu. Co najmniej drugie dwadzieścia milionów. A były przecież inne. Zaczął się zastanawiać, jakimi właściwie środkami dysponowali na pokrycie obrony Alpenfestung. Machnął ręką. Na pewno mieli więcej niż potrzeba.

Zebrał dokumenty do kupy, przeciągnął się i spojrzął na zegarek. Było już późno. Usłyszał pukanie do drzwi.

- *Herein!* - zawołał.

Weszli Schmidt i Willi. Zatrzymali się w progu.

- Odjechały ostatnie jednostki, *Herr General*- oznajmił Schmidt.

- Wszystko jest gotowe do naszego jutrzejszego wyjazdu.

- Znakomicie. Dziękuję.

Dwaj młodszy oficerowie przyjęli na moment zasadniczą postawę, po czym odwrócili się, chcąc wyjść.

- Zaczekajcie! - Krueger wstał z krzesła i obszedł wielkie biurko. - Sądzę, że taki wieczór wymaga małego uroczystego sznapsa - stwierdził. - Co o tym sądzicie? - Był rozluźniony, nieoficjalny.

- Z przyjemnością - powiedział Schmidt. Uśmiechnął się. - Gratulujemy panu, generale!

- Gratulujemy - powtórzył Willi.

- Dziękuję, panowie. - Krueger otworzył drzwi prowadzące na korytarz. - Plewig! - zawołał. - Plewig! Odwrócił się i zatoczył szeroki łuk ręką po pustym pokoju. - Niewiele już pozostało - stwierdził z żalem. Wskazał na opróżnione szafki biurowe. - Dajcie tu jedną. Rozgościć się!

Willi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Według rozkazu!

Nadbiegł Plewig. Był bez butów i podtrzymywał spodnie dłonią. Zatrzymał się raptownie.

- Pan generał mnie wzywał?

- Pan generał wzywał - potwierdził Krueger. - Przynies z piwnicy butelkę brandy. Ostatnią butelkę armagnacu. I daj tu trzy kieliszki.

- Tak jest.

- Aha, Plewig, jeszcze coś. Weź butelkę sznapsa dla siebie i dla kolegów.

- Tak jest. Dziękuję! - Mały ordynans zniknął. Krueger cofnął się do pokoju.

Willi i Schmidt ustawili pionowo segregator i przysunęli go do biurka. Generał usiadł na krześle. Wskazał im szafkę.

- Siadajcie, panowie. Może nie jest to najwygodniejsze siedzisko na świecie, ale wcale nie zawadzi, jeśli przywykniecie do niewygód.

Nocni goście generała uśmiechnęli się i usiedli na odwróconej szafce. Metalowe ścianki zaprotestowały przeciągłym skrzypnięciem. Krueger położył dłoń na dokumentach.

- Znamy nasze zadania... - zaczął i przyjrzał się badawczo twarzom młodszych oficerów. - Co o tym wszystkim sądzicie?

Willi i Schmidt spojrzeli po sobie. Wreszcie Schmidt odezwał się:

- Nie pozostało nam zbyt wiele czasu, panie generale, jeśli mamy przerzucić do Alpenfestung jak najwięcej wojska.

Krueger skinął głową.

- Zgadzam się. Czas nas mocno goni. Ale Himmler obiecał mi osobiście, że drogi prowadzące do tego obszaru zostaną utrzymane dopóty, dopóki będzie to możliwe.

- Monachium? - domyślił się Willi.

Krueger potwierdził.

- Oddziały SS otrzymały rozkaz stawiania oporu do końca.

Rozległo się pukanie, po czym do pokoju wkroczył Plewig z butelką armagnacu i trzema kieliszkami. Miał na sobie buty i bluzę.

- Znakomicie - ucieszył się Krueger. - To najlepsza brandy na świecie. Może stawać w zawody z najzaciejszym koniakiem. Jakość ta sama, ale więcej wyrafinowania. - Spojrzał z szacunkiem na butelkę. - Trzydziestoletni. Z Grand Bas-Armagnac. Najwspanialsze brandy pochodzą z tego właśnie regionu. Poczęstujcie się, panowie.

Plewig napełnił kieliszki na dwa centymetry, postawił butelkę na biurku i wyszedł. Krueger podniósł swój kieliszek.

- *Prosit!* - wzniósł radosny toast.

Dwaj oficerowie podnieśli kieliszki.

- *Prosit!*

Wypili. Połykając mocny, jedwabisty armagnac, Willi poczuł w ustach i krtani przyjemne palenie. Powoli wypuszczał powietrze nosem, pragnąc delektować się jak najdłużej pełnym bukietem trunku. To jest życie, pomyślał. Popijając z generałem!

- Macie rację, Schmidt - powiedział Krueger. - Rzeczywiście, czas ma zasadnicze znaczenie. Tylko od nas zależy, czy będziemy mieli tego czasu tyle, ile nam potrzeba.

Willi spojrział uważnie na generała. Dlaczego nie? - pomyślał. Co mi szkodzi spróbować? Ostatecznie zadam tylko pytanie. Odchrząknął.

- Panie generale - zaczął. - A kiedy zajmiemy już pozycje w Alpenfestung... - przelknął ślinę - jakie mamy szansę? Tak naprawdę?

Krueger przyglądał się przez chwilę młodemu oficerowi.

- Chyba powinienś wiedzieć, Willi. - W jego głosie zabrzmiał niemal ojcowski ton.

Zaczął oglądać uważnie kieliszek, obracając go powoli w palcach. Po chwili milczenia uniósł głowę i skierował spojrzenie na swoich rozmówców.

- W tej chwili - oświadczył z powagą - Ojczyzna stoi w obliczu klęski. Wojna jest przegrana.

Willego ogarnęło przynębnienie. Owszem, sam również rozważał tę możliwość. Ale co innego usłyszeć to z generalskich ust. Krueger kontynuował:

- Jednak z dzisiejszej klęski wciąż jeszcze możemy uczynić jutrzejsze zwycięstwo. Jest tylko jeden sposób, żeby to osiągnąć. Wielki Plan Reichsführera SS, Heinricha Himmlera!

Oparł się wygodniej na krześle. Willi i Schmidt patrzyli na niego z napięciem. Generał pociągnął powoli brandy.

- Sami już tej wojny nie wygramy - powiedział. - Taka możliwość została pogrzebana w czerwcu zeszłego roku, kiedy Sprzymierzeni utworzyli przyczółki w Normandii. Potem już tylko cud mógł przynieść nam zwycięstwo. Ale żaden cud nie nastąpił. Nie, moi panowie, potrzebujemy pomocy. Albo Rosji, albo... Ameryki.

Willi poderwał się. Krueger jakby tego nie zauważył. Ciągnął:

- Himmlerowi udało się już zasiać ziarno nieufności w duszach Rosjan. Przekonał ich, iż Amerykanie mają zamiar uderzyć na Berlin, pozostawiając w spokoju Alpenfestung, cierń w oku Stalina. Wschodni i zachodni sojusznicy już się nie kochają. Są na krawędzi konfliktu. My ich zepchniemy za tę krawędź! Można tego dokonać rozmaicie. Przede wszystkim środkami dyplomatycznymi, organizując fałszywe „przecieki” albo puszczając w obieg „tajne” materiały. W neutralnych krajach. W Szwecji, w Szwajcarii. A jeśli chodzi o nas, to poprzez specjalne operacje. Prowokacje. Nasi żołnierze w rosyjskich mundurach atakują jednostkę amerykańską. Amerykanie zabijają

Rosjan! Drobne incydenty, same w sobie pozbawione znaczenia. Ale kroki odwetowe będą już realne. Gdy dojdzie do konfrontacji zbrojnej Wschód-Zachód, szybko się okaże, kto jest silniejszy. Silniejszemu zaś Himmler - w imieniu Führera - będzie mógł zaoferować potencjał wojskowy Trzeciej Rzeszy zgromadzony w Alpenfestung, potencjał, który odegra rolę jęczyzka u wagi. Na naszych warunkach! Wielki Plan obróci przegraną w ostateczne zwycięstwo.

Upił łyk armagnacu.

- Ale musimy działać szybko i zdecydowanie. W najlepszym razie mamy czas do końca miesiąca. - Zmierzył wzrokiem obu oficerów. W oczach zabłysły mu ponure ogniki. - Dzięki eliminacji Eisenhowera zyskamy być może kilka dodatkowych dni. Po wykonaniu tego zadania natychmiast wkraczamy do Alpenfestung.

Wypił jeszcze łyk. Dwanaście lat, pomyślał. Dwanaście długich i trudnych lat - połowa to lata wojny - podczas których narodowosocjalistyczna Trzecia Rzesza walczyła o zajęcie należnej jej czołowej pozycji w świecie. A dziś o losach kraju mają zdecydować dwa tygodnie! Ogarnął go lęk. Popatrzył na dwóch młodych mężczyzn. Czy zdają sobie sprawę, jakie role przypadną im w procesie tworzenia historii?

- Za dwa tygodnie, panowie - oświadczył - Amerykanie zamkną obszar Alp. Chyba że my im w tym przeszkodzimy.

Wstał. Willi i Schmidt pospiesznie poszli w jego ślady. Uniósł kieliszek.

- Za Wielki Plan - powiedział uroczyście. - *Sieg Heil!*

- *Sieg Heil!*

Wypili. Krueger przyjrzał się kieliszкови, a potem przeniósł spojrzenie na swoje bawarskie cywilne ubranie, na krótkie spodnie, zieloną koszulę uszytą z prostego materiału, szarą kurtkę z rzeźbionymi kościanymi guzikami. Znów uniósł kieliszek. Był niemal pusty. Wyprostował się i rzekł cicho:

- *Es lebe Werwolf.*

Część II

28 kwietnia 1945

Weiden

Godzina 9.57

Białe prześcieradła oznaczające kapitulację zwisały z okien nieruchomości i pośepnie, znacząc stare kolorowe budynki niewielkiego bawarskiego miasteczka Weiden symbolami uległości. Przywitały amerykańskich żołnierzy wkraczających do miasteczka tydzień wcześniej i wciąż jeszcze wisiały, stanowiąc zabezpieczenie przed wojenną przemocą.

Erik i Don wysiedli z dżipa i skierowali się ku miejscowemu więzieniu. Jako jeden z niewielu niezbyt zniszczonych i większych budynków Weiden, służyło za kwaterę Korpusowi Kontrwywiadu.

Erik spojrzał w głąb ulicy. Nie mógł się nadziwić, jak szybko mieszkańcy małych niemieckich miasteczek godzili się z końcem dawnego świata. Obywatele Weiden już krzatali się wokół swoich spraw, całkowicie ignorując świeże wojenne blizny szpecące większość domów. Na ścianach wielu starych zabudowań widniały, niestarannie wymalowane i pokryte szczerbami od odłamków, wszechobecne swastyki i hitlerowskie slogany propagandowe. SIEG ODER SIBIRIEN - „Zwycięstwo albo Syberia”; EIN VOLK EIN REICH EIN FÜHRER - „Jeden naród, jeden kraj, jeden przywódca”; HITLER BRINGT BROT, STALIN DEN TOD - „Hitler daje chleb, Stalin sieje śmierć”. Były również inne, bardziej przyziemne obwieszczenia: WIR SIND IM KELLER - „Jesteśmy w suterenie” - wypisane na jedynej ocalałej ścianie zrujnowanego bombami budynku. Albo zwięzła informacja: ABGEREIST - „Wyjechaliśmy” - na ruinach sklepu.

Samo więzienie, solidna kamienna konstrukcja, niemal uniknęło zniszczeń. Jedynie ościeżnica głównych drzwi oraz sąsiedni fragment muru ucierpiały od odłamków pocisku, który eksplodował na ulicy. Starszawy Niemiec-cywil w poplamionej skórzanej czapce naprawiał zniszczenia, starannie odrywając ze ściany wypisany ręcznie szyld mający posłużyć do częściowego zasłonięcia otworu. Szyld głosił: POKOJE Z RĘCZNIKAMI.

Gdy Erik i Don mijali Niemca, ten zdjął czapkę. Amerykanie nie odwzajemnili pozdrowienia, nie zauważyli też błysku nienawiści w

oczach spoglądającego za nimi mężczyzny.

W korytarzu panował tłok. Niemieccy cywile i żołnierze, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy - wszyscy spięci i przestraszeni. W oddalonym końcu znużony żandarm pilnował drzwi. Na najbliższej ścianie umieszczono błękitno-pomarańczowy emblemat przypominający śmigła wiatraka, opatrzony literami CIC. Pod nim biegł napis: SELEKCJA I PRZESŁUCHANIA. Erik i Don pchnęli drzwi i weszli do środka.

- ...i wasza cała jednostka została rozwiązana ponad tydzień temu?

Zadane ostrym, nieufnym tonem pytanie było skierowane do niemieckiego żołnierza, stojącego na baczność przed dużym biurkiem zarzuconym papierami i książkami. Dwóch agentów kontrwywiadu siedzących naprzeciw przesłuchiwanego patrzyło na niego jadowicie. Niemiec skurczył się w sobie, twarz aż poszarzała mu z napięcia.

- *Ja!* T... tak jest! - wyjąkał.

Przesłuchujący utkwili w nim złowrogie spojrzenie.

- Jak zatem wytłumaczycie fakt, iż nikt więcej z waszej jednostki nie pojawił się u nas? Tylko wy! - rzucił.

- Dlaczego właśnie wy? - zapytał ostro drugi agent.

- Co kombinujecie? - warknął pierwszy.

Niemiec był skołowany, zupełnie stracił głowę. Patrzył błagalnie to na jednego prześladowcę, to na drugiego.

- N... nie wiem. Nie rozumiem. Powinni też tu być. *Herr Hauptmann*, to prawda! Mówię prawdę!

Erik i Don przystanęli w drzwiach. Erik wiedział, że to ulubiona strategia Hackera. Żołnierz był prawdopodobnie w porządku. Jego zmieszanie na wiadomość, iż tylko on z całego rozpuszczonego oddziału zgłosił się do władz okupacyjnych, było z pewnością szczere i wiarygodne. Gdyby przedstawił rozsądne, logiczne wytłumaczenie tego faktu, stanowiłoby to powód do podejrzeń i podstawę do wszczęcia dokładniejszego śledztwa.

Erik rozejrzał się po pokoju. Pomyślał smętnie o godzinach, jakie tu spędził, i o kolejnych, które go czekały.

Pokój był posepny i zimny. Przez połamany parapet biegle przewody połączone z dwoma telefonami połowymi stojącymi na biurku.

Na tylnej ścianie rozpięto dużą mapę okolicy, na której brakowało jakichkolwiek oznaczeń. W kącie sterczała niewielka pękata „koza”; poczerniała rura piecyka znikła w okolonym kożuchem sadzy otwórze w murze. Piecyk był wygaszony. Na brudnej ścianie widać było sporą, wyraźnie jaśniejszą prostokątną płaszczyznę. Erik dałby sobie głowę uciąć, że jeszcze do niedawna wisiał tam portret Führera.

Agent Hacker wręczył Niemcowi świstek papieru.

- Okażecie to w urzędzie do spraw wojskowych. Sierżant na korytarzu wyjaśni wam, gdzie to jest. Otrzymacie tam przepustkę.

Żołnierz strzelił obcasami.

- *Jawohl, Herr Offizier!* Dziękuję bardzo! Zasalutował.

- Możecie odejść.

Niemiec odwrócił się i wyszedł. Don podszedł leniwym krokiem do biurka.

- Okay, chłopcy - oznajmił przyjacielskim tonem. - Jesteście wolni. Przejmujemy waszą robotę.

- Możecie już jej nie oddawać - mruknął wyraźnie rozeźlony Pierce, współpracownik Hackera.

- O co chodzi? - zapytał Don z udanym zdumieniem. - Myślałem, że lubisz selekcję?

Pierce skrzywił się.

- Tylko mnie nie rozśmieszaj. Bo mi żyłka pęknie.

Erik przerzucał stos papierów leżących w koszyku na biurku.

- Jest coś ciekawego?

Hacker wzruszył ramionami.

- Dwóch oficerów SS i strażnik z obozu koncentracyjnego.

- Niezły połów - zauważył Don.

Hacker uśmiechnął się.

- Był jeszcze facet, którego odesłaliśmy do Ośrodka Śledczego Armii. Jakoś poczułem szóstym zmysłem, że mógłby powiedzieć nam ciekawe rzeczy.

Otworzyły się drzwi i przez szparę wsunął głowę sierżant Jim Murphy.

- Szefie, chce pan jeszcze jednego klienta? - Uśmiechnął się szeroko. - Myślę, że ten szczególnie pana zainteresuje.

- Okay, Jim. Ale tylko jednego. Dawaj go tu.

Murphy zniknął.

- Następni są wasi - rzucił Hacker w kierunku Erika i Dona.
Don podszedł do kartotek.

- Aż się skręcam z niecierpliwości - mruknął.

Erik stanął obok przyjaciela. Wyczuł nieoczekiwaną zmianę nastroju. Zerknął na Hackera i Pierce'a. Dla nich przybrać maski zimnych, okrutnych drani to jak splunąć, pomyślał. Ale chyba wszyscy jesteście tacy, stwierdził. Usłyszał, jak otwierają się drzwi, i spojrział w tamtym kierunku.

Dziewczyna, którą wprowadził Murphy, należała do kategorii kobiet, jakie młodzi żołnierze określali z szacunkiem mianem „klasa babka”. Była piękną wysoką blondynką. Miała na sobie tyrolską spódniczkę o żywych barwach, ściśle przylegającą do zgrabnej talii, oraz kusą bluzkę z krótkimi rękawami, bogato zdobioną na piersiach.

Erik zerknął na Pierce'a i ujrzał, że jego sroga gęba przybiera łagodniejszy wyraz - trwało to jednak tylko przez chwilę.

- Proszę uprzejmie! - W oczach Murphy'ego zabłyśły wesołe ogniki, z trudem zachowywał marsową minę sprawnego służbisty. Wycofał się z pokoju. Hacker obrzucił dziewczynę beznamiętnym spojrzeniem.

- *Kennkarte, bitte!*

Dziewczyna pogrzebała w małej torebce, znalazła swój dowód tożsamości i wręczyła go Hackerowi. Wydawała się spłoszona, ale nie ujmowało jej to bynajmniej urody. Rzuciła nerwowe spojrzenia to na jednego, to na drugiego Amerykanina. Tymczasem Hacker studiował dokument.

- Anneliese Leubuscher, czy tak?

- Tak - odpowiedziała cichym, miękkim głosem.

- Lat?

- Dwadzieścia dwa.

Hacker napisał kilka słów na skrawku papieru i dał to przeczytać Pierce'owi. Obaj popatrzyli badawczo na dziewczynę, po czym Pierce zaczął wertować jakiś obszerny tom. Zdenerwowanie Anneliese wzrosło.

- Co pani robi w strefie walk? - Głos Hackera brzmiał oschle i beznamiętnie.

- Byłam w Pilźnie. W Czechach. Przygryzła wargi. - Ja... Chciałam wrócić do domu, nim Rosjanie...

Nie dokończyła. Pochyliła głowę. Jej milczenie mówiło wszystko. Hacker przyjrzał się dziewczynie badawczo.

- Dokąd się pani udaje?
- Do Ratzbony. Myślę, że wciąż mieszkają tam moi rodzice.

Pierce zamknął opasły tom i niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Co pani robiła w Pilźnie?
- Pracowałam w biurze. Jako stenotypistka.
- W jakim biurze? - zapytał Pierce.

Anneliese zmieszła się.

- W NSKK*. - Zniżyła głos niemal do szeptu.

Narodowosocjalistyczny Korpus Transportu Zmotoryzowanego, National Sozialistisches Kraftfahrer Korps (przyp. tłum.).

- Ach tak. - Słowa Pierce'a zabrzmiały złowieszczo. - Ale po co im było biuro w Pilźnie?

- Nie wiem. - Anneliese zmarszczyła brwi. - Może dlatego, że jeździło tam mnóstwo ciężarówek z piwem...

Don dostał nagłego napadu kaszlu. Do rozmowy szybko wtrącił się Hacker.

- Członkini partii?

Anneliese aż podskoczyła.

- Słucham?
- No, czy należała pani do partii?
- Tak... do BDM

- A która dziewczyna tam nie należała? Chodzi nam o to, czy wstąpiła pani do partii hitlerowskiej - Hacker był nieustępliwy.

Anneliese wydawała się osaczona. Spuściła wzrok.

- Tak - szepnęła. - Kiedy?
- Dwa lata temu. W Ratzbonie.
- Dlaczego?
- Musiałam. Jeśli chciałam znaleźć zatrudnienie.

Pierce nagle wstał i podszedł do dziewczyny. Przeszył ją zimnym spojrzeniem.

- Proszę podnieść lewą rękę! - rzucił ostro. Anneliese wydawała się zaskoczona, ale posłuchała.

Pierce obejrzał starannie jej pachę i wrócił bez słowa na swoje miejsce.

Hacker spojrział na przesłuchiwaną. Stała nieruchomo, wciąż trzymając w górze lewą rękę.

- Wystarczy.

Anneliese opuściła rękę niezgrabnym, choć jednocześnie pełnym wdzięku ruchem. Stała upokorzona i bezbronna - niczym sarna na muszce myśliwego.

Erik popatrzył w okno.

- Jeśli, panią puścimy, czy powróci pani wprost do Ratyzbony? - zapytał Hacker nieco łagodniejszym tonem.

- Tak! Na pewno, proszę pana!

Hacker napisał coś na kartce papieru, po czym wręczył ją dziewczynie.

- Proszę. To dla pani. Sierżant objaśni, co ma pani dalej robić.

Anneliese wzięła papierek.

- Dziękuję - wyszeptwała. - Dziękuję bardzo! - Wydawało się, że zamierza rzucić się agentowi na szyję.

- To wszystko. Może pani odejść.

Szybki dyg i dziewczyny już nie było w pokoju. Hacker wstał z krzesła. Przeciągnął się.

- No i to byłoby na tyle. Teraz twoja kolej. Idziesz? - zwrócił się do Pierce'a.

- Okay.

- Tymczasem. - Hacker ruszył w kierunku drzwi, za nim Pierce. Don zawołał:

- Hej, Hacker!

- Taa?

- Uważaj, żebyś się zbytnio nie sfraternizował!

Hacker wzruszył ramionami i powiedział z udaną powagą:

- Wiesz, tak dawno nie miałem kobiety, że i tak nie wiedziałbym, co robić.

- Spokojna głowa - zapewnił go Don równie poważnym tonem. - Z tym jest tak jak z jazdą na rowerze. Wsiadasz na siodełko i od razu przypominasz sobie, co i jak.

Do pokoju wetknął głowę sierżant Murphy.

- Czekaj ich taki tłum, że nie ma gdzie szpilki wcisnąć - oznajmił tonem wymówki.

- Okay, Jim - powiedział Don. - Przyślij nam następnego. Kogoś równie ciekawego. Podszedł do biurka opadł na krzesło obok Erika.

- No i znów zaczynamy. - Westchnął. - Te przesłuchania mnie dobijają. Są tak samo nudne jak dzierganie ciepłych skarpetek dla Czerwonego Krzyża.

Zjawił się Murphy i wprowadził do pokoju kobietę, typ gospodyni domowej w średnim wieku, o zimnej, wrogiej twarzy. Popatrzyła spode łba na dwóch agentów.

- Ze wszystkich oczekujących chyba właśnie ta osoba najbardziej spełnia pańskie wymagania - powiedział kpiąco Murphy.

- Jestem wam wdzięczny, sierżancie. Niewymownie wdzięczny - zareplikował Don. Gdy Murphy wyszedł, rozpoczął przesłuchanie.

- *Kennkarte, bitte.*

Godziny wlokły się w nieskończoność. Te same pytania zadawane kolejnym przesłuchiwanym, te same, znane na pamięć odpowiedzi:

- ...nie, nie byłem hitlerowcem. Nigdy nie należałem do partii ani do żadnej podobnej organizacji...

- ...cóż, docierały do nas pogłoski o tych obozach. Ale im nie wierzyliśmy...

- ...wszystkich nas wcielano rutynowo do Waffen SS. Nie mieliśmy wyboru. Ja tylko wykonywałem rozkazy...

Murphy wprowadził do pokoju żołnierza. Trzynasta osoba tego ranka. Żołnierz stanął w drzwiach na baczność i czekał w milczeniu.

Erik przyjrzał się mu uważnie. Facet niczym się nie wyróżniał - był podobny do setek innych. Miał około trzydziestu pięciu lat, rumianą cerę i duże, niewinne, jasnoniebieskie oczy. Rzucił Amerykaninowi spojrzenie pełne życzliwej ufności. Erik wyciągnął dłoń.

- *Soldbuch, bitte.*

Żołnierz wręczył mu książeczkę żołdu. Erik zaczął ją przeglądać.

- Dokąd chcecie iść?

- Nad Ren - padła szybka, prosta i jasna odpowiedź. - Mam winnicę nad samą rzeką. Bardzo długo nie było mnie w domu.

Erik spojrział na niego znad książeczki.

- Waszą jednostkę rozwiązano tydzień temu?

- Tak, *Herr Offizier*.

- I nakazano wam po prostu powrócić do domów?

- Tak jest. - Żołnierz wyciągnął złożoną kartkę. - Mam tu zaświadczenie. - Wręczając papier Erikowi, stuknął obcasami.

- Nazywacie się Plewig?

- *Jawohl*. Joseph Plewig.

Don wstał z krzesła i zbliżył się do Niemca.

- Zdejmijcie bluzę - nakazał - i koszulę.

Plewig natychmiast zaczął ściągać odzież. Wiedział dobrze, czego szuka ten Amerykanin. Niech sobie szuka! Czuł się całkowicie pewny siebie. Wiedział, że zostanie przesłuchany przez amerykańskie gestapo. Wszystko przebiegało dokładnie tak, jak mu powiedziano w Thürenbergu. Otrzymał dokładne instrukcje, a podczas treningu niezliczoną ilość razy przeszedł identyczną procedurę. Znał odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Podnieście lewą rękę.

Usłuchał polecenia. Don obejrzał mu lewą pachę.

- Czy wiecie, czego szukam?

- Tak, wiem. Wytatuowanej grupy krwi. Tylko esesmani mają taki tatuaż. Ale jak pan widzi, ja go nie mam.

Posłał Erikowi rozbijający uśmiech. Erik oddał Niemcowi książeczkę żołdu.

- Wasze papiery chyba są w porządku - oświadczył. W jego głosie zabrzmiało lekkie wahanie. - Weźcie swoje rzeczy, przejdźcie tam i ubierzcie się. - Wskazał na oddalony kraniec pokoju.

- *Jawohl, Herr Offizier*.

Plewig wycofał się. Don usiadł obok Erika.

- Ty też? - rzucił ciche pytanie.

- Taa. - Erik zamyślił się. - Niby nie można się do niczego przyczepić, ale...

- Ale człowiek coś wyczuwa, prawda?

- On jest zbyt gładki. Zbyt pewny siebie, zbyt niefrasobliwy. Nie wiem. Po prostu mu nie ufam. - Spojrzął w kierunku Niemca.

Co to takiego? - zastanowił się. Jego zachowanie? Papiery ma chyba w porządku... nie są może doskonałe, nikt takich nie miał, ale dostatecznie pewne. Odpowiada logicznie na pytania. Jego nazwisko nie figuruje na żadnej liście, a jednak... - Popatrzył spod oka na Dona. - Napiłbym się teraz kawy. Co byś powiedział, gdybyśmy przepuścili tego jegomościa przez wyżymaczkę?

- Niezła myśl.

Erik skinął na Niemca. Plewig już się ubrał. Podszedł do biurka i stanął na baczność. Erik zmierzył go wzrokiem.

- Jeszcze jedno, Plewig - powiedział. - Chcemy, żebyście opisali nam cały przebieg waszej służby. Tyle, ile pamiętacie.

Jednostki, kampanie, daty, nazwiska dowódców. Wykonywane zadania. Czy to jasne?

Plewig poczuł nagły przyływ niepokoju. Pilnował się jednak, żeby nie zdradzić swoich obaw. Nie ma powodu do obaw, zapewnił sam siebie w duchu. Może być tysiące powodów, dla których Amerykanie potrzebują od niego tak szczegółowych informacji. Prawdopodobnie chcą po prostu zebrać jak najwięcej danych do swoich kartotek. Tak czy inaczej, został przecież do tego przygotowany. Powróciła mu zimna krew.

Erik wskazał mały stolik.

- Tam leży papier i ołówek.

Plewig strzelił obcasami. Podszedł do stolika, usiadł, wziął arkusz papieru, poślinił czubek ołówka i zaczął pisać. Don stanął w drzwiach.

- Sierżancie Murphy! - zawołał.

- Słucham?

Don wskazał głową zatopionego w pisaniu Plewiga.

- Mieście na niego oko. Pisze dzieje swojego życia. Dajcie nam znać, gdy skończy. Będziemy w świetlicy.

Betty Grabie spoglądała zalotnie przez ramię, fascynująca Lucilie Bali uśmiechała się promiennie, Ann Miller czarowała fantastycznym ciałem w seksownym kostiumie kąpielowym. Pod galerią fotografii dziewczyn wyciętych z magazynu „Yank” i przyszpilonych do ściany jakiś dowcipniś napisał ołówkiem dużymi literami: DLA ODŚWIĘZENIA PAMIĘCI.

Świetlicę wypełniono wygodnymi fotelami, najwidoczniej pozbieranymi z rozmaitych domów. Na stoliku stało przenośne radio, w palenisku stanowiącej obowiązkową część wyposażenia pękatej „kozy” płonął wesoły ogień, a na fajerce cicho szumiał duży czajnik.

Don skierował się ku odbiornikowi.

- Chyba czas na naszą przyjaciółkę. Nieco swojskiej muzyki.

Zakręcił gałkami. Erik rozlał do kubków czarną kawę i poczęstował Dona. Przez szumy i zakłócenia dobiegał słodki damski głos. Don dostroił aparat.

- ...i pamiętajcie, żołnierze, że one tęsknią za wami tak samo mocno jak wy za nimi, nawet jeśli nie piszą wam o tym w swoich listach. Oczywiście jeśli nie znalazły sobie kogoś innego! A teraz kilka taktów muzyki z ojczyzny dla moich amerykańskich chłopców.

Don rozsiadł się w fotelu klubowym.

- Masz świętą rację, Sally - mruknął.

Ze zdezelowanego odbiornika popłynęła słodka, melodyjna ballada.

- Harry James - mruknął Don.

- „Rozkochałeś mnie w sobie, choć tego nie chciałam, choć tego nie chciałam...” - śpiewała refrenistka.

Erik kołysał trzymanym oburącz ciepłym kubkiem. Potrzebował odpoczynku. Zaczął myśleć o każdym mięśniu z osobna, poczynając od nóg; świadomie nakazywał im rozluźnienie. Nie upłynęła minuta, a poczuł się całkowicie odprężony. Nauczył się tego sposobu od ciotki Birte, gdy mieszkali razem. Przypomniawszy sobie, jak się zdziwił, kiedy pewnego razu po powrocie do domu zastał ją rozciągniętą na dywanie. „Relaksuję się - wyjaśniła. - Każdy mięsień po kolei. Kilka minut takich ćwiczeń daje tyle, ile kilka godzin drzemki”. Miała rację. Nawet nie musiał kłaść się na podłogę.

Powrócił myślą do przesłuchiwanej niedawno dziewczyny. Kiedy stała z uniesionym ramieniem, wyglądała tak... kusząco, tak uroczo. Niezgrabnie, a jednocześnie czarująco. Miała na imię Anneliese, czy tak? Oczywiście, że tak. Znał już to imię na pamięć. Czy musiał udawać przed samym sobą, że zapomniał jego brzmienia? Anneliese...

Nie! Nie chciał o niej myśleć. Czuł, że znów narasta w nim napięcie. Nie miało to żadnego sensu. Próbował zmusić się do rozmyślenia o czymś innym, ale nie bardzo mu się to udawało.

Nagle został brutalnie wyrwany z marzeń. W jego świadomość wświdrował się ostry, przeraźliwy wrzask. Dudnił w pokoju niczym złowieszczy ryk jakiegoś potwora.

Ryk dochodził z głośnika.

Erik i Don wlepili wzrok w radiodbiornik.

- „Strzeżcie się! Strzeżcie się! Tu mówi Radio Werwolf! Śmierć wszystkim Amerykanom!”

Zgrzytliwy męski głos o twardym, gardłowym akcencie ustąpił miejsca miarowemu dźwiękom „Horst Wessel Lied”. Don i Erik odechnęli z ulgą. Obaj jednocześnie mimowolnie zamachali rękami. Don roześmiał się.

- Za każdym razem aż podskakuję! - Znów usadowił się w fotelu.
- Ale posłuchajmy. Zawsze dają dobre przedstawienie.

Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i do pokoju wpadli Hacker i Pierce. Hacker rozejrzał się szybko.

- Co tu się dzieje, u diabła? Aha, audycja Werwolfu. Co oni zamierzają? Postraszyć nas tak, że aż się zesramy w spodnie?

- Jasne, że o to im chodzi - powiedział Don. - Proszę, napijcie się kawy.

Hacker i Pierce wzięli kubki. Tymczasem muzyka dobiegła końca.

- „Tu Radio Werwolf. Strzeżcie się, Amerykanie! Nigdy nie będziecie się czuć bezpiecznie na naszej świętej niemieckiej ziemi. Zawsze towarzyszyć wam będzie śmierć!”

Hacker opadł na krzesło.

- Nareszcie coś lepszego niż gadanina Pierce'a - zachichotał.

- Ale śmieszne. - Pierce miał jak zwykle kwaśną minę.

- „Niczym średniowieczne wilkołaki, wyłaniające się z mroku nocy, żeby siać strach i zadawać cierpienie, tak i my, nieśmiertelni obrońcy Adolfa Hitlera, uderzamy z ciemności, szerząc śmierć i zniszczenie!”

Hacker potrząsnął głową.

- Ale wałą!

- Erich von Stroheim był subtelniejszy - zauważył Erik.

- „Strzeżcie się, Amerykanie! To wy pierwsi poczujecie na sobie śmiertelne kleszcze naszych kłów! *Sieg Heil! Sieg Heil!* Strzeżcie się Werwofu!”

Powietrze znów rozdarło mrozące krew w żyłach wycie. Don wyłączył radio.

- Kogo oni chcą na to nabrać? Kto da wiarę tym melodramatycznym pierdołom? - zapytał z powątpiewaniem. Erik pociągnął kawy.

- Chyba chcą podbudować swoje własne morale.

Hacker przytaknął.

- Macają na oślep.

- Czy naprawdę mają jakieś zaplecze? - rzucił trzeźwe pytanie Pierce.

- Być może - odparł Erik. - Ale wątpię.

- Czy ktoś spotkał kiedyś takiego werwofowca?

- Nie słyszałem nic o tym.

W drzwiach ukazała się głowa Murphy'ego. Podoficer zwrócił się do Erika.

- Ma pan gości.

Erik zmarszczył brwi.

- Tylko mi nie mówcie, że to oni...

- Oni, oni! Rover Boys*.

Bohaterowie serii ówczesnych amerykańskich książek młodzieżowych, przeżywający osobliwe przygody (przyp. tłum.).

- Niech to cholera! - Erik skrzywił się, lecz wstał. - No cóż, chyba powinienem się z nimi zobaczyć. Jim - zwrócił się do Murphy'ego - przynieś mi ostatnią wersję *Ordre de Bataille*, dobrze?

Murphy zaczął z powątpiewaniem: - Nie wiem, czy...

- Musisz, choćbyś nawet miał ją wyrwać z gardła chłopcom przesłuchującym jeńców!

Murphy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Okay. Załatwione - odparł i wyszedł z pokoju.

- Co się stało? - zainteresował się Hacker.

- Po prostu przecucie. Mamy tu jakiegoś faceta z Nadrenii. Chce wracać do domu. Papiery ma w porządku, zwolnienie, wszystko. Ale...

- Ale coś tu nie gra, czy tak?

- Taa. Chcemy porównać jego wersję przebiegu służby z informacjami zawartymi w *Ordre de Bataille*.

Erik wyszedł.

- Zwerbowanie informatorów nie zabrało mu zbyt wiele czasu, prawda? - indagował Dona Hacker. Wydawał się pod wrażeniem tego faktu.

- Chodzi ci o Rover Boys? - uśmiechnął się krzywo Don. - Powiedz tylko słowo, a będą do twojej dyspozycji!

Jedna z grubych, zatłuszczonych soczewek okularów osadzonych na nosie przysadzistego człowieczka była pęknięta, ale właścicielowi szkieleł jakby zupełnie to nie przeszkadzało. Stał milczący i spokojny obok swojego kompana, mężczyzny w nieokreślonym wieku, wysokiego, kościstego, niemal zupełnie łysiego i pozbawionego zębów. Obaj byli więźniowie obozu koncentracyjnego wyglądali groteskowo i zarazem patetycznie, stojąc w zniszczonych pasiakach przed Erikiem w pokoju przesłuchań. Wpatrywali się bacznie w twarz Amerykanina, a ich zapadnięte oczy jarzyły się gorączkowo.

Erik studiował raport. Niczym się nie różnił od tych, które wręczano mu codziennie przez ostatni tydzień. Dwie kartki papieru pokryte drobnym pismem. Na dobitkę ten gotyk. Podniósł spojrzenie na dwóch mężczyzn w pasiakach.

- Dziękuję za informacje - powiedział uprzejmie. - Zawsze jesteśmy za nie wdzięczni.

Przysadzisty człowieczek skłonił się nisko, wysoki trwał nieruchomo.

- Zapraszam na posiłek do naszej kantyny. Sierżant Murphy wskaże panom drogę... - Erik skinął głową.

Człowieczek znów się skłonił.

- *Auf wiedersehen!*

Byli więźniowie podążyli za sierżantem. Erik popatrzył na raport i westchnął. Przeczytanie tego zabierze mu kilka ładnych godzin. Przerzucił stronę, spojrzął na początek następnej i nagle znieruchomiał. Szybko podniósł głowę. Jego rozmówcy byli już niemal za progiem.

- Chwileczkę! - zawołał. Z powodu podniecenia jego głos zabrzmiał dość ostro. Dwaj mężczyźni stanęli jak wryci. Natychmiast przybrali wygląd osaczonych, przerażonych zwierząt.

Erik zbliżył się do nich i podsunął im raport.

- Co to znaczy? - Wskazał na kilka słów. -, „Prawa ręka Hitlera”?

Mężczyźni opuścili wzrok i stali nieruchomo - wystraszeni, sztywni. Milczeli.

- Przecież tak tu jest napisane! - Erika zaczynało ponosić.

Stuknął palcem w kartki. - O, tutaj: „W Katzbach, w ostatnim gospodarstwie leżącym opodal drogi do Ratzbony, ukrywa się »prawa ręka Hitlera«”. - Spojrzał bacznie na informatorów. - Kim jest „prawa ręka Hitlera”?

Podszedł jeszcze bliżej. Obaj drżeli, ale nie odpowiadali.

Chryste, westchnął w duchu Erik. Spieprzyłem sprawę. A przecież powinienem wiedzieć. Biedne sukinsyny. Trzymali ich tyle czasu w tych piekielnych kazamatach, toteż nic dziwnego, że tak się zachowują. Tam, w obozie, każdy ostrzejszy ton głosu mógł oznaczać śmierć. Zaczął mówić spokojnie i łagodnie:

- Nie obawiajcie się. Chcę tylko poznać znaczenie tych słów. Kto się tam ukrywa? Kto wam o nim powiedział?

Nadal nie było odpowiedzi. Zwrócił się wprost do niskiego człowieka. Mówił cierpliwym, uspokajającym tonem:

- Proszę, powiedzcie mi. Skąd o tym wiecie?

Odwrócił wzrok, ponieważ nagle pojął, iż jego badawcze spojrzenie może niepokoić i onieśmielać przysadzistego więźnia. Dodał cicho:

- Oczywiście nie musicie mi niczego mówić. Nic się wam nie stanie, jeśli nie powiecie. Będę jednak wdzięczny za pomoc. Kim jest „prawa ręka Hitlera”? Kto wam o nim powiedział?

Człowieczek wbił wzrok w podłogę. Pocił się ze strachu. Mrugał gwałtownie oczami ukrytymi za grubymi soczewkami okularów, tocząc z samym sobą walkę o odrobinę odwagi, którą pragnął wykręsać z udręczonego, osłabionego ducha. Wreszcie wyszeptał:

- Ludzie...

- Jacy ludzie? Kto?

Więzień wzdrygnął się, znieruchomiał, kuląc się w sobie, jakby przerażony własną śmiałością.

- Nie musicie niczego się bać - uspokajał go Erik. - Nikt wam tu nie zrobi krzywdy. Proszę mi wierzyć. Odpowiedzcie na moje pytania...

Ale odpowiedzi nie było. Obaj indagowani stali milczący, wystraszeni - i zamknięci w sobie.

Erik patrzył na nich z mieszaniną współczucia i zawodu, zrozumiał jednak, że nic nie wskóra. Westchnął i skinął na Murphy'ego.

- Zamówcie dla nich coś do jedzenia, sierżancie - poprosił podoficera zmęczonym głosem. - A potem zaczekajcie na mnie w dziupie.

- Okay. - Murphy przywołał szybkim ruchem dłoni dwóch informatorów. - Chodźcie, ludzie!

Ujrzał ją, gdy tylko wyszedł z budynku. Stała na ulicy przy niewielkim drewnianym wózku załadowanym deskami i narzędziami, pogrążona w rozmowie z naprawiającym mur Niemcem. Zamierzał minąć ją jak najszybciej, oboje jednak odwrócili głowy i zauważyli go. Mężczyzna dotknął daszka poplamionej skórzanej czapki, podniósł narzędzie i podjął przerwana pracę. Anneliese patrzyła na zbliżającego się Erika. Uśmiechnęła się.

- *Grüss Gott.*

Erik przystanął. Nakazał sobie wewnętrzną obojętność. Ot, po prostu dziewczyna jak wiele innych.

- No i cóż? - zapytał. - Czy wszystko w porządku? - Wydawało mu się, że mówi nienaturalnym tonem.

- Tak. Dziękuję panu. - Ujrzał uroczy, dziecięcy uśmiech. Potem Anneliese zmarszczyła brwi. - Ale muszę jeszcze raz zgłosić się do władz wojskowych. Jutro rano.

- Jutro? - Erik poczuł się zaniepokojony. Jednocześnie narastała w nim złość na siebie. Do diabła ciężkiego, zaklął siarczyście w duchu. Czy nie pora, żebym przestał się zadręczać tymi wszystkimi bzdurami? Ona po prostu znalazła się w kłopotcie. Tylko tyle. Popatrzył na dziewczynę z zawodową troską.

- A dzisiejsza noc? - zapytał. - Czy ma pani gdzie spać?

Dziewczyna potrząsnęła głową bez uśmiechu.

- Usiłuję znaleźć sobie pokój. - Spojrzała na starszego Niemca. - Herr Krauss twierdzi, że będzie to bardzo trudne. Tyle tu uchodźców. Ale coś znajdę.

Było jednak jasne, że nie ma na to wielkiej nadziei.

Erik unikał jej wzroku.

- No cóż - zaczął powoli - być może...

Odwrócił głowę, gdyż w tej samej chwili nadjechał dżip prowadzony przez Murphy'ego; samochód zahamował raptownie. Sierżant uśmiechał się szeroko.

- Przepraszam, że tak długo trwało!

Erik szybko wspiął się na siedzenie.

- Jestem pewien, że coś pani znajdzie. Jeśli nie, zobaczę, czy będę mógł pomóc, kiedy wrócę.

- Dziękuję.

- Jedziemy - powiedział do Murphy'ego.

Anneliese stała w milczeniu i odprowadzała spojrzeniem znikającego w perspektywie dżipa. Na jej ustach zagościł nikły uśmiech. Obejrzała się na Kraussa i uśmiech zniknął z jej twarzy.

Wyjechali z Weiden szosą ratyzbońską, kierując się ku Katzbach. Erik siedział milcząc, na kolanach trzymał karabinek Murphy'ego.

Sierżant spojrział na zegarek.

- Ci dwaj faceci... - zaczął. - Dostarczają panu informacji za codzienny posiłek, tak? A co jest właściwie w tych ich raportach?

- Wszystko i nic. Pogłoski, ich własne obserwacje, plotki. Ale oni nie chcą tylko jałmużny. Naprawdę starają się nam pomóc.

- Tylko że ta ich pomoc jest niewiele warta, prawda?

- Musimy sprawdzać wszystko, co wydaje się interesujące.

- A teraz kogo szukamy?

- „Prawej ręki Hitlera”. Murphy drgnął, zaskoczony.

- Jakaś hitlerowska gruba ryba, co?

- Być może. - Erik wzruszył ramionami. - Może to być każdy - od rolnika, który kiedyś ich przegnał, aż po samego Martina Bormanna.

Ostatnie gospodarstwo przy szosie ratyzbońskiej było typowym bawarskim folwarkiem. Dom mieszkalny połączony w jedno ze stajniami i stodołą. Kilka szop i duże gnojowisko, z którego sączyło się na brukowane podwórko.

Kiedy dżip zajeżdżał przed dom, młoda dziewczyna siedząca na drewnianej ławie opodal drzwi poderwała się na równe nogi tak

gwałtownie, że zawartość koszyka z szyciem, który trzymała na kolanach, wysypała się na ziemię. Dziewczyna wbiegła co tchu do środka.

Murphy zatrzymał samochód i obaj wysiedli. Gdy zmierzali w stronę drzwi, te nieoczekiwanie się otwarły. Erik podszedł bliżej. Murphy z karabinkiem w dłoniach trzymał się nieco z tyłu, osłaniając dyskretnie agenta.

Kobieta stojąca na progu wraz z dziewczyną była potężnie zbudowana, najwyraźniej nawykła do ciężkiej pracy fizycznej. W jej wzroku tliła się cicha wrogość. Dziewczyna miała może siedemnaście, osiemnaście lat; była opalona, błękitnooka i o w pełni rozwiniętych kształtach, dwa długie warkocze blond owinęła sobie wokół głowy. Ona również patrzyła na Amerykanów z niemal jawną wrogością.

Erik przystanął przed kobietami.

- *Grüss Gott!* - pozdrowił je uprzejmie.

Obie milczały.

Zapytał starszą stanowczym, zdecydowanym tonem:

- Jak się pani nazywa?

Wieśniaczka patrzyła na niego spode łba.

- Hoffmann. Anna Hoffmann.

- Kto jest właścicielem gospodarstwa?

- Mój mąż.

- Gdzie on jest? - wzruszyła ramionami.

- W Rosji.

Erik wskazał głową dziewczynę.

- A ona?

- To moja córka, Lise.

- Kto jeszcze tu mieszka?

- Tylko my... - Kobieta lekko się zawahała, uciekła na chwilę spojrzeniem w bok. - I mój brat. Erik zauważył reakcję kobiety.

- Gdzie on jest? - zapytał szorstko.

Niemka wskazała lasy za obejściem.

- Tam, w lesie. Jest gajowym.

- Rozumiem.

Erik cofnął się do Murphy'ego i powiedział przyciszonym głosem:

- Rozejrzę się po domu. Wezmę ze sobą starszą. Ty zostaniesz z dziewczyną.

- Pewnie, że zostanę - wyszczerzył zęby Murphy. - To najlepsza dupa, jaką widzę w tym tygodniu! Chciałbym być jej instruktorem podczas kilku lekcji łózkowej gimnastyki!

Erik parsknął gniewnie.

- Zamknij się, cholerniku! - wybuchnął. - Skoncentruj się na swoich obowiązkach!

Odwrócił się i podszedł szybko do Frau Hoffmann. Oboje zniknęli wewnątrz domu.

Murphy odprowadził go spojrzeniem. Był zaskoczony. Co go, u diabła, ugryzło? Zaraz jednak zapomniał o incydencie i zaczął gapić się na dziewczynę.

Młoda Niemka ignorowała go. Zbierała z ziemi rozrzucone kłębki nici i wkładała je z powrotem do koszyka. Przykucnęła tyłem do sierżanta. Sukienka opięła się na jej zaokrąglonych pośladkach.

Kawał fajnej dupy, pomyślał z podziwem. Poczul przyjemne pęcznienie w kroczu i poddał się marzeniom. Wyobraził sobie tę dziewczynę w swoich łapach.

Niemka odwróciła się i zauważyła wzrok sierżanta. Wyprostowała się i usiadła na ławie, wyjęła z koszyka jaskrawą chustkę i zawiązała ją wokół głowy.

Murphy z zadowoleniem skonstatował, że ma erekcję. Dobra rzecz, gdy w starym pniu krążą soki, pomyślał z satysfakcją. Wtedy człowiek czuje się prawdziwym mężczyzną! Ależ z niej fajna dupeńka. Chyba przypomina mi kogoś, zastanowił się leniwie. Ano tak. Ta chusteczka...

Nagle jego umysł zalala fala wspomnień. Nabrzmienie w kroczu osłabło, poczul zimny pot. Matko Najświętsza! - wyszeptał w duchu. Tylko nie to...!

Cofnął się w czasie o siedem miesięcy. Baraville. Niewielkie francuskie miasteczko nad Mozelą. Stała mu przed oczami tamta scena.

Dziewczyna przyszła do biura kontrwywiadu. Była Ukrainką. „Dipiską”. Ładna, młoda, z wielkimi, wypełnionymi bólem oczami.

Warkoczyki blond owinęła sobie chustką. Weszła do pokoju przesłuchań człapiąc jak kaczka, rozstawiając szeroko stopy.

Wydawało się, że jest w szoku. Mamrotała cicho po ukraińsku, po czym wyjęczała łamaną niemczyzną:

- Proszę... pomóżcie mi... Esesmani... esesmani... Proszę... pomóżcie mi...

Wciąż jęcząc, podniosła kolorową spódnicę. Spomiędzy nóg wyciągnęła ostrożnie duży opatrunek - był przesiąknięty zakrzepłą krwią i ropą.

I wtedy Jim ujrzał to.

Słodki Jezusie! Wprost nie wierzył własnym oczom. Wycięli jej!

Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, wpatrywał się w potworną, ziejącą ranę, otwierającą się niczym piekielne czeluście. Po białych udach dziewczyny ściekała powoli cuchnąca krew. Zachłysnął się wymiocinami, które napłynęły mu do gardła - i nagle poczuł ciepło i wilgoć w kroku. W obojętnym osłupieniu skonstatował, że stracił panowanie nad pęcherzem.

Oderwał spojrzenie od upiornego widoku i odwrócił się w stronę Erika.

Tamten zbladł jak ściana, twarz miał ściągniętą. Złapał słuchawkę telefonu i wezwał doktora Sokola.

Jim zawsze lubił dziewczyny. W łóżku i poza nim. Odkąd opuścił Stany, nigdy nie narzekał na kłopoty ze znalezieniem chętnej - Amerykanki, Francuzki czy nawet Niemki. Ale od chwili, gdy ujrzał młodą Ukrainkę, nawet jeśli nadarzyła się sposobność przygruchania sobie ładnego ciała, pozostawał obojętny. Zawsze stawiała mu wtedy przed oczami szkarłatna, potworna rana.

Nie był jednak przyzwyczajony do ascetycznego trybu życia. Zaczął odczuwać ucisk w jądrach, ucisk, który stawał się niekiedy niemal nie do zniesienia; nawet nocne polucje nie przynosiły ulgi. Przestraszył się i zasięgnął rady kumpla, który orzekł, że musi się wyładować. Jeśli nie może z dziewczyną, to z własną ręką.

Próbował. Wydawało mu się, że powróciły szkolne czasy w Beloit w stanie Wisconsin. Ilekroć jednak doznał erekcji, znów widział krwawe, okaleczone narządy płciowe ukraińskiej dziewczyny - i

znów nie nadawał się do niczego. Po prostu nie mógł. A napięcie coraz bardziej mu dokuczało.

W końcu którejś nocy przyśnił mu się seksualny koszmar, na którego wspomnienie jeszcze teraz chwycił go zimny dreszcz - potem jednak nastąpiło wyzwolenie.

Tyle że zanim znów mógł spojrzeć na dziewczynę i doznać erekcji nie widząc jednocześnie zmasakrowanej Ukrainki, upłynęło kilkanaście miesięcy...

Znowu, pomyślał smutno. A może to ta przeklęta chustka, która przypominała mu tamtą scenę? Czy Erik też pamiętał? Czy również on...?

Zaczął gorączkowo przypominać sobie kobiety, z którymi spał. Analizował zmysłowe doznania, przywoływał na pamięć podniecające szczegóły, usiłując odegnać blaknące już wspomnienia.

Spojrzał na młodą dziewczynę siedzącą na ławie. Ale nie odczuwał już żadnej przyjemności.

Tymczasem w Bauernstube, obszernym pomieszczeniu spełniającym funkcje kuchni, jadalni i salonu zarazem, ogrzewanym, jak w innych wiejskich domostwach, piecykiem na drewno, Erik stał przed starszą z kobiet, siedzącą sztywno na ławie przy masywnym stole.

- Gdzie jest pani brat? - zapytał.

- Już mówiłam. - Anna Hoffmann z trudem ukrywała wrogość. - W lesie.

- Ale gdzie? Wzruszyła ramionami.

- Kiedy wróci?

Znów obojętne wzruszenie ramion.

- Odkąd tu mieszka?

- Od zawsze.

- W jakiej bronii służył?

- Nie służył. - W głosie Bawarki zabrzmiała pogarda. - Był za stary. Ma pięćdziesiąt trzy, nie... pięćdziesiąt cztery lata.

- A czym się zajmuje?

Kobieta westchnęła z pogardliwą irytacją.

- Przecież już mówiłam. Uprawia rolę i pracuje w lesie.

- I od początku wojny przebywa w gospodarstwie?

- Tak...

Uwagi Erika nie uszło lekkie zawahanie, błysk w oczach.

- Nigdy stąd nie wyjeżdżał?

- Nigdy. - Erik patrzył jej w oczy, nie odzywając się ani słowem.

Kobieta spojrzała w bok. Zwilżyła usta. - Tylko...

- Tak?

- Owszem, wyjeżdżał. Na kilka miesięcy. Był w Volkssturmie. Opoдал Cham. - Nieoczekiwanie wybuchnęła wyzywająco: - No bo musiał!

- A kiedy powrócił?

- Jakiś tydzień temu...

- Doskonale. Proszę tu pozostać.

Erik podszedł do drzwi i przywołał Murphy'ego.

- Pilnuj jej, Jim - polecił, wskazując kobietę. - Dom jest czysty - dodał. - Jej brat zajmuje pokój w tylnej części. Nie ma go teraz, pracuje. - Spojrzał w kierunku Lise. - Porozmawiam sobie z dziewczyną.

Niemka była prześliczną dziewczyną. Młodą, pociągającą. Jak Tania... Jest tylko kolejną podejrzaną osobą, którą trzeba poddać przesłuchaniu, tłumaczył sobie stanowczo. Dzieje się tutaj coś dziwnego, kto wie, co takiego? Westchnął. Kto wie? Ktoś zawsze wie. To twój problem wykryć, kto, pomyślał. Być może tym kimś jest właśnie ona.

Spojrzał przelotnie na dziewczynę. Dojdę do prawdy, postanowił. Nie istnieją żadne tajemnice, których nie można poznać.

Podszedł bliżej. Dziewczyna siedziała sztywno na ławie, rozmyślnie ignorując jego osobę. Była na pozór zupełnie obojętna, ale Erik wyczuwał jej napięcie i lęk. Wierciła w brudnej ziemi palcami bosych, opalonych stóp. Erik zatrzymał się dwa kroki przed nią. Usiłował nadać swoim słowom przyjazne i łagodne brzmienie.

- Ile masz lat, Lise?

- Siedemnaście - odparła bezbarwnym głosem.

- Twój ojciec wyjechał?

- Tak.

- Jak dawno temu?

- Prawie trzy lata.

- Musisz za nim tęsknić.

Nie było odpowiedzi. Erik kontynuował:

- Ale za to twój wujek stale was odwiedza. - Lise zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- On tu mieszka - wycodziła. - Przez cały czas. - Jej młody głos ki-piał od pogardy i ledwie skrywanego triumfu. Tak łatwo nie da się jej oszukać!

- Czy nigdy nie wyjeżdżał? - nie dawał za wygraną Erik.

- Oczywiście, że tak - zbyła go opryskliwe dziewczyna. - Do Volkssturmu, na dwa miesiące. Matka musiała to panu powiedzieć.

Z rozmyślną bezczelnością zajęła się porządkowaniem zawartości koszyka z szyciem.

Erik patrzył na nią uważnie. Nagle coś go zaintrygowało. Wyciągnął dłoń i wyjął z koszyka niewielkie białe pudełko z czarnym nadrukiem na wieczku. Wydawało się zupełnie nowe. Potrząsnął nim. Coś zagrzechotało. Spojrzał na dziewczynę obserwującą jego poczynania z lekkim grymasem zdziwienia.

- Czy macie w domu broń? - zapytał ostro.

- Nie! - zaprzeczyła pośpiesznie dziewczyna. Może zbyt pośpiesznie?

Erik zmarszczył brwi i znów zagrzechotał pudełkiem.

- Co jest w środku?

- Guziki.

- Aha. - Erik jakby stracił rezon. - Skąd masz to pudełko?

- Dostałam od wujka.

Spojrzał na nią. Mierzyła go pogardliwym wzrokiem. Otworzył pudełko. Rzeczywiście zawierało guziki. Różnych rozmiarów, w różnych kolorach. Na twarzy Erika odbiło się rozczarowanie. Ale przecież guziki i naboje grzechoczą tak samo. Lise obserwowała go z szyderczym uśmiechem. Ta runda należała do niej!

Erik podszedł do drzwi, wywołał na podwórze Murphy'ego i starszą kobietę. Oddał pudełeczko Lise, po czym zwrócił się do Anny Hoffmann oficjalnym, beznamiętnym tonem:

- Chcielibyśmy porozmawiać z pani bratem, Frau Hofmann. Proszę mu powiedzieć, żeby się zgłosił jutro rano do biura kontrwywiadu w Weiden.

- Do amerykańskiego gestapo... - mruknęła Niemka. - Tak jest. Zawiadomię go.

Erik skinął głową kobietom.

- *Grüss Gott.*

Odwrócił się i wszedł do dżipa, a za nim Murphy. Kobiety patrzyły na pojazd aż do chwili, gdy zniknął za bramą. Murphy pochylił się nad kierownicą, kierując dżipa ku Weiden. Zmarszczył czoło i spojrział na Erika.

- Wie pan co... - zaczął obojętnym tonem. - Myślę, że u tych Hoffmannów coś śmierdzi. Czy jest pan pewien, że nie powinniśmy tam zostać dłużej?

- Dlaczego? - zapytał wesoło Erik. - Chodzi o tę dziewczynę?

Murphy spojrział na niego z ukosa. Ale szybka zmiana, pomyślał. I dlaczego, do diabła, jest mu tak wesoło? Przecież cała wizyta zakończyła się klapą.

- Nie, nie - zaprzeczył. - Po prostu coś mi się w tym wszystkim nie podoba... Ten facet, który wyjechał, i inne rzeczy. Wszystko było jakieś trefne.

- Trefne! - Erik parsknął śmiechem. - Myślałem, że jesteś Irlandczykiem.

- Bo jestem. Ale Irlandczycy nie mają monopolu na celne określenia.

- Prawdziwie mądre słowa, Jim. Wciąż czegoś się uczysz.

- Uczę się? Jeśli czegoś się uczę, proszę mi wyjaśnić, czego. Nie mogę się niczego uczyć, skoro pan nic mi nie mówi.

Erik obejrzał się. Kilkanaście jardów przed nimi skręcała w las wąska dróżka.

- Nie widzą nas. Skręć tam - wskazał na szlak.

Murphy zбочzył dżipem na boczną drogę. Była piaszczysta, z głębokimi koleinami. Włączył napęd na cztery koła. Niebawem zagłębili się w las i znaleźli przy zбочzu wznoszącego się nad okolicą pagórka.

Stanęli i wysiedli. Erik wyciągnął lornetkę i po chwili przedzierali się obaj przez gąszcz na szczyt wzgórza. Tutaj las się kończył. Z drugiego krańca wzniesienia aż do gospodarstwa Hoffmannów ciągnęły się łąki i zaorane pola. Erik i Murphy ukryli się w krzakach na skraju lasu, po czym agent skierował szkła lornetki na zabudowania.

Wybrali znakomity punkt obserwacyjny. Samotny folwark leżał w dole, skąpany w promieniach słońca.

- Nie powinniśmy długo czekać - zauważył cicho Erik. Poczł fałę podniecenia, które zawsze ogarniało go, ilekroć miało nastąpić coś ważnego.

Murphy spojrzł na Erika z udaną irytacją.

- Niech pan wreszcie będzie cicho! - burknął.

Erik tylko się uśmiechnął. Przez cały czas obserwował gospodarstwo. Nagle szepnął:

- Są.

Z oddalonego domu wylonily się pośpiesznie Anna Hoffmann z córką. Przystanęły na chwilę za progiem, rozejrzały się i nadśłuchiwały. Następnie Lise podbiegła do jednej z szop i zniknęła wewnątrz. Po upływie sekundy wyprowadziła stamtąd rower i niebawem pedałowała co sił przez bramę, a potem drogą prowadzącą ku odległym lasom. Anna pozostała na miejscu, patrząc przez chwilę w ślad za córką, po czym wróciła do domu.

Erik opuścił lornetkę i spojrzł z zadowoleniem na sierżanta. Skinął głową.

- Dokładnie według planu.

Murphy wpatrywał się w znikającą sylwetkę Lise.

- Co teraz, panie Holmes?

- Teraz czekamy.

- Skąd pan wiedział, że dziewczyna pojedzie?

- Wcale nie wiedziałem. - Erik spowaźniał. - Miałem tylko przecucie, że one coś zrobią. Zbyt wiele tu pytań bez odpowiedzi.

- Jakich odpowiedzi? Nie zadawał pan żadnych pytań.

- Bo też nie musiałem.

Murphy zmierzył go pytającym spojrzeniem.

- To pudełko... - zaczął Erik. - Widzieliście je?

- Jasne. Małe białe pudełko. No i co?

- Było w koszyku z szyciem należącym do Lise. Dostała je od wujka. Pudełko na guziki. Pochodziło z berlińskiego sklepu z galanterią i zawierało kiedyś wytworny biały krawat.

- Niech mnie piorun strzeli!

- Kiedyś pewnie to nastąpi - zgodził się cierpko Erik. - Ale nie wywoływałbym wilka z lasu. Zbadał drogę przez lornetkę. Lise zniknęła już z pola widzenia.

- To pudełko było całkiem nowe. - Zamyślił się. - Kiedy jej wujek był w Berlinie? Po co tam pojechał? I na co biednemu rolnikowi biały krawat?

Ponownie przepatrzył teren, cały czas myśląc głośno.

- Może od kogoś go dostał?

- Fakt, to ważne pytania - stwierdził Murphy. - A co z odpowiedziami?

- Mam nadzieję, że wkrótce je ujrzymy.

- A ja już myślałem, że odpuścił pan tym damom.

Erik uśmiechnął się.

- Liczę na to, że im też się tak wydawało. Chciałbym, żeby tak myślały.

Rozłożyli się wśród krzewów jak najwygodniej w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń. Ziemia pachniała słodczą i wilgocią. W powietrzu unosił się nieustanny brzęk ruchliwych owadów, niekiedy przerywany natrętnym bzyczeniem wścibskiej muchy.

Naraz Erik drgnął. Podniósł lornetkę do oczu i odezwał się szep-tem:

- Są!

W oddali Lise pedałowala drogą prowadzącą do gospodarstwa. Towarzyszył jej mężczyzna w średnim wieku, ubrany w strój bawarskiego gajowego: długie wełniane skarpety, krótkie spodenki i szarą wełnianą kurtkę. Dwoje rowerzystów szybko znalazło się w obrębie zabudowań i skierowało wprost do szopy.

Erik opuścił lornetkę. Spojrzał na zegarek.

- Dwadzieścia trzy minuty. Nie był zbyt daleko. Okay, Jim - powiedział do Murphy'ego. - Damy im kwadrans. Murphy również sprawdził czas. Erik dodał:

- Obejdiesz dom i zaczekasz z tyłu, a ja tymczasem zajadę dzi-
pem od przodu. Jeśli usłyszysz coś, co można oznaczać, że mam kłopoty, biegnij na odsiecz.

Podwórko zagrody Hoffmannów stało senne i spokojne w promieniach słońca. Wychudzone kury grzebały leniwie wśród kamieni.

Zatrzepotały rozpaczliwie w panicznej ucieczce, wydając głośne, skrzekliwe protesty, gdy Erik wjechał na podwórze i zahamował przed drzwiami domostwa tak raptownie, że aż spod opon chlusnęło błoto. Amerykanin wyskoczył z samochodu i wpadł jak bomba do środka.

W Bauernstube zastał tylko Lise. Stała przy stole z szeroko otwartymi oczami, znieruchomiła z przerażenia. Na stole leżał spory, na wpół wypełniony plecak, a dziewczyna ścisnęła w dłoni bochenek razowego chleba i kielbasę, częściowo owiniętą w gazetę.

- Gdzie twój wujek? - Głos Erika brzmiał ostro, rozkazująco.

Dziewczyna utkwiała w nim wystraszone spojrzenie. Nagle Erik usłyszał odgłos otwieranych tylnych drzwi. Odwrócił się błyskawicznie w tamtym kierunku. W dłoni opartej o brzuch trzymał rewolwer wymierzony w kogoś lub coś, co mogło czaić się za plecami. W drzwiach stanęła Anna. Miała zaciętą twarz, w oczach błyszczała nienawiść.

- Pani brat - rzucił krótko. - Chcę go widzieć. Natychmiast. - Wskazał na plecak. - Zanim znów wyjedzie.

Anna nawet nie drgnęła. Wydawało się, że nie dostrzegła wycelowanego rewolweru.

- Nie ma go tu - oświadczyła beznamiętnym tonem.

Erik bez słowa przecisnął się obok niej i wypadł na korytarz. Wąskie stopnie prowadziły na poddasze. Dwoje najbliższych drzwi należało do osobnych pokoi, trzecimi, najbardziej oddalonymi, wychodziło się na zewnątrz.

Podszedł do pierwszych drzwi i otworzył je silnym kopniakiem. Mały pokoik był pusty. Na nie pościelonym łóżku rozrzucono w nieładzie kilkanaście sztuk męskiej garderoby. Na stoliku leżała otwarta, na wpół spakowana walizka.

Krzyknął do dwóch kobiet kulących się w korytarzu:

- Gdzie on jest?!

- Nie ma go tu! - zawołała Anna. Jej ściągnięta twarz przybrała trupio blade kolor.

Erik postąpił krok w stronę dwóch kobiet. Poszarzała twarz Lise ściała strach; wpatrywała się milcząco w agenta. Nie spuszczał z niej

surowego spojrzenia. Naraz dostrzegł, jak jej wzrok umyka na sekundę w prawo i w górę...

Drzwi na poddasze.

Błyskawicznie spojrzął w tamtym kierunku. Drzwi były uchylone, ale nikt się nie poruszył, nie dochodził stamtąd żaden odgłos.

Nagle Lisa krzyknęła:

- On ma broń!

Niemal natychmiast z poddasza padł strzał, potem następny. Pociski świsnęły tuż obok Erika, który schronił się za balustradą, i utkwily w ścianie. Kobiety krzyczały.

Erik wystrzelił kilkakrotnie w drzwi. Trafił, ale ułamek sekundy wcześniej drzwi się zatrzasnęły.

W tej samej chwili od tyłu wbiegł z łomotem Murphy trzymając karabinek gotowy do strzału. Erik rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Oślaniaj mnie! - wrzasnął.

Murphy wycelował broń w drzwi na poddaszu, a Erik zaczął wspinać się ostrożnie po schodach. Kiedy był już prawie na górze, nieoczekiwanie spoza drzwi rozległ się przytłumiony odgłos wystrzału. Erik wziął jednym susem kilka ostatnich stopni i otworzył kopniakiem drzwi. Natychmiast cofnął się i oparł plecami o ścianę. Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu.

Zajrzał powoli do środka, a potem obejrzał się, skinął na Murphy'ego i przestąpił próg pokoju.

Ciało leżące na zakurzonej podłodze wyglądało groteskowo wśród fragmentów połamanych mebli i drewnianych skrzyń.

Brat Anny Hoffmann nie żył.

Erik podszedł i spojrzął na zwłoki. Szkliste, martwe oczy samobójcy wpatrywały się w niego z poplamionej krwią twarzy. Pęknięte wargi rozrywały surrealistycznie wypchnięte zęby. Z kącika ust sączył się powoli strumień krwi, tworząc kałużę na podłodze.

Erik poczuł przygnębienie. Śmierć przychodziła tak szybko, życie można było tak łatwo odebrać... sobie i innym.

Zbyt łatwo, pomyślał gniewnie. Przecież nie zamierzałem go zabić. Z niewiadomych powodów odczuwał w obliczu śmierci oburzenie. Wydawała mu się ohydna. Życie powinno być trwalsze, nie tak łatwe do odebrania.

Murphy stanął obok i popatrzył na ciało.

- Kurwa mać! - wyszeptał. Zabrzmiało to niemal jak modlitwa. Widać było, że jest wstrząśnięty.

Erik uklęknął obok trupa, wyciągnął mu z dłoni pistolet, a potem szybko odwrócił dłoń zabitego wnętrzem do góry.

- Nic dziwnego, że musiał się przed nami ukrywać - zauważył. Dotknął dłoni Niemca. Jej skóra była biała i delikatna. Pokrywały ją pęcherze, niektóre świeżo popękane.

- Taa... Rolnik, nie ma co gadać! - zgodził się Murphy. - Łapki mięciutkie jak pupcia noworodka!

Erik zmarszczył czoło. Wiedział, że dokonał ważnego odkrycia, zachodził tylko w głowę, jak naprawdę ważnego. Nie wszystko tu rozumiał. Obejrzał pistolet i aż gwizdnął ze zdumienia.

- To ci dopiero - mruknął przejęty. - *Ehrenwaffe*.

- *Ehren... waffe!* - powtórzył niepewnie Murphy.

- To znaczy „oręż honorowy” - wyjaśnił Erik. Wyprostował się i podał pistolet sierżantowi. - Walther 7,65. Spójrz na ten ornament. Ręczna robota. Hitler osobiście wręcza takie pistolety swoim najlepszym druhom.

Murphy uważnie oglądał walthera.

- Taa... O, tu jest nawet jego nazwisko. - Wskazał małą plaketkę na uchwycie. - A co znaczy reszta napisu?

- „Reichsamtsleiterowi Manfredowi von Eckdorfowi z wyrazami uznania - Adolf Hitler”.

Murphy spojrzął na martwego hitlerowca.

- Bardzo przydatny подарunek - zauważył w zamyśleniu.

Podniósł wzrok na Erika. - Ale czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego palnął sobie w łeb? I co tutaj robił? Żaden z niego brat tej pani Hoffmann, to pewnie jak dwa razy dwa. Ukrywająca się hitlerowska szycha? O co tu chodzi?

Erik pokręcił głową. Sam chciał poznać odpowiedzi na te pytania. Westchnął. Czekają go mnóstwo pracy. Pomyślał, że prędzej kaktus mu na dłoni wyrośnie, niż dowie się czegoś od Anny Hoffmann i jej córki.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł. Przyglądał się samobójcy. „Prawa ręka Hitlera”? No, może niezupełnie... Poczul się zbity z tropu. Zupełnie jakby coś przegapił.

Godzina 20.42

Gdy Erik i Murphy powrócili do więzienia w Weiden, zapadł już mrok. Ulica opustoszała. Na wpół naprawiony przez Kraussa fragment muru przypominał otwartą ranę, która ma się dopiero zagoić.

Erik zajął się szczegółami sprawy. Obie panie Hoffmann przebywały pod kluczem, zwłoki Reichsamtsleitiera Manfreda von Eckdorfa zostały wysłane do AIC, Centrum Kontrwywiadu. Wraz z sierżantem przeszukali dokładnie całe gospodarstwo - ale nie znaleźli niczego. Ostatecznie Anna Hoffmann przyznała się, że samobójca był obcym przybyszem. Pojawił się mniej więcej przed tygodniem, prosząc o schronienie. Miały go podawać za członka rodziny. Utrzymywały, iż zagroził im poważnymi konsekwencjami, jeśli go wydały. Erik w to nie wierzył.

Niezależnie jednak od tego, jaka była prawda, teraz już von Eckdorf i tak nie mógł kobietom nic uczynić.

Erik wysiadł powoli z dżipa. Był diabło zmęczony.

- Do zobaczenia jutro rano! - zawołał Murphy.

Wrzucił ze zgrzytem bieg i odjechał do bazy transportowej. Przez chwilę Erik stał pogrążony w myślach, potem skierował kroki ku wejściu do budynku więzienia. Pojedyncza naga żarówka zawieszona nad drzwiami oświetlała jedynie wąski fragment chodnika na dole.

Nagle usłyszał dochodzący z mroku cichy odgłos jakby szurania - gdzieś z prawej strony.

Odwrócił się w tamtym kierunku i przyjął postawę strzelecką, opierając dłoń z rewolwerem o brzuch.

- Wychodź - rozkazał. - Tylko powoli, bardzo powoli. U podnóża ściany zamajaczyła w ciemnościach jakaś skulona postać, która poruszyła się i wyprostowała.

- Podejź do światła!

Ciemny kształt znalazł się w kręgu bladego światła. Erik obracał się powoli, wodząc za nim lufą rewolweru. Nagle go rozpoznał.

- Anneliese! - zawołał zdumiony. - Co ty tu robisz?

Dziewczyna stała spokojnie w blasku żarówki. W rękach ścisnęła kurczowo starą walizeczkę przewiązaną skórzanym rzemykiem. Na jej policzkach widniały ślady łez. W swojej wygniecionej teraz bawarskiej spódnicy i bluzce wyglądała bezbrinnie, a jednocześnie kusząco. Erik schował broń i podszedł do niej.

- Co ty tu robisz? - powtórzył.

- Czekałam - powiedziała niemal szeptem. - Na pana.

Poczuł rosnące napięcie.

- Co się stało?

- Nie mam... nie mam dokąd pójść. Nie znalazłam pokoju.

Mrugała gorączkowo, usiłując powstrzymać płynące do oczu łzy. Opuściła wzrok. Samotna łza potoczyła się po jej policzku.

Erik patrzył na nią. Ta dziewczyna przyciągała go niczym magnes. Zaraz jednak odezwał się głos sumienia. Za sprawą Anneliese znów stanęły mu przed oczami upiorne wspomnienia. Ale przecież poprzysiął sobie, że nie pograży ich w mrokach niepamięci. Zmusił się do patrzenia dziewczynie prosto w oczy. Tak bardzo przypominała mu tamtą...

Baraville, Francja. Siedem miesięcy wstecz, wtedy to się stało. Tamta również miała łzy w oczach, tyle tylko, że były to łzy radości.

Erik wraz z całym zespołem CIC weszli do tego małego francuskiego miasteczka wprost za oddziałami szturmowymi, które je zajęły.

Tania miała dwadzieścia lat i była Ukrainką. W wieku zaledwie siedemnastu lat zabrano ją przemocą z rodzinnych stron i zapędzono do pracy dla Zwycięzców. Uwolniona, wprost nie posiadała się ze szczęścia. Lata niedoli, upokorzeń i rozpacz w jednej cudownej chwili przeistoczyły się w ogrom radości i miłości.

Dziewczyna oczarowała Erika. Spędzili wspólnie pamiętne, długie chwile. Tania ochoczo okazywała mu swoją wdzięczność i miłość.

Byli ze sobą tylko jedną noc. Ich pieśczoły były przepojone tą samą gorączkową żarliwością, choć zaspokajały różne potrzeby. On poprzez miłosne zbliżenie ciał i oddanie się uczuciu pragnął

zachować normalność, ona wprost przeciwnie - chciała zatracić świadomość czasu i przestrzeni.

Następnego dnia Niemcy przypuścili kontratak i wyparli Amerykanów z Baraville. Ale front przesuwał się nieubłagalnie w kierunku Renu i po niecałej dobie niemieckiej okupacji miasteczko znów zajęły wojska Stanów Zjednoczonych.

Powrócił i Erik.

Wciągnął go wir pracy. Nie miał nawet czasu pomyśleć o swojej Ukraince.

A potem Tania przyszła do jego biura.

Była straszliwie okaleczona. Ukarana przez mściwych esesmanów, którzy dowiedzieli się, że należała do wroga. Z wyrafinowanym okrucieństwem wyrwali z niej kobiecość, sprawiając, że nigdy już do nikogo nie będzie mogła należeć. Przez niego.

Przez niego! Przez niego...

Pomyślał wtedy, iż już nigdy nie będzie mógł wziąć kobiety w ramiona. Rozum podpowiadał mu, że nie ponosi winy za to, co się stało. Jego świadomość rozumiała to i akceptowała, jednak podświadomość nie pozwalała mu zapomnieć...

Popatrzył spokojnie na młodą Niemkę. Odzyskał już wewnętrzną równowagę. Nagle zauważył jej przygnębienie.

- Uszy do góry, Anneliese - powiedział i uśmiechnął się do niej. - Musi się znaleźć ktoś, kto cię przenocuje. Poszukamy.

- Nie pochodzę z tych stron - odparła cicho. - Nie chcę mnie tutaj. Nie mam dokąd pójść. - Spojrzała na niego ogromnymi, załamionymi oczami. - Chyba że... - urwała.

Erik podjął decyzję.

- Nie możesz tu zostać - rozstrzygnął sprawę. Skierował się ku drzwiom więzienia. - Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko spędzeniu nocy w tym budynku?

Anneliese uśmiechnęła się lekko.

- Pan również tu nocuje, prawda?

W oknie pokoju przesłuchań wisiała prowizoryczna zasłonka, służąca do zaciemniania podczas alarmu lotniczego. Wesoły ogieniek jarzący się w brzuchatym piecyku rzucał na klepki podłogi ciepły, migotliwy blask.

- Możesz zostawić tutaj swoje rzeczy - powiedział Erik. Nie włączył światła. - Zaraz znajdziemy ci jakieś miejsce do spania. - Spojrzał pytająco na dziewczynę. - Może by tak w celi...?

Anneliese nie wypuszczała z rąk zniszczonej walizki.

- Dziękuję panu - odparła. - Chyba jednak wolałabym nie spać w celi.

Erik poczuł się nieswojo, stracił rezon. Dziewczyna wyraźnie działała mu na zmysły. Aż się sam sobie dziwił. Koszmarne wspomnienia zdawały się blaknąć. Chciał wziąć Anneliese w ramiona, przytulić ją z całych sił, zatracić się w jej ciepłe, w jej delikatności, w zapachu jej ciała. Pragnął kochać i zapomnieć o całym świecie. Ale czy potrafiłby zapomnieć...?

Postąpił krok bliżej. Łagodny blask migoczącego ognia rozświetlał jej twarz, wzbudzając na niej subtelną grę światłocieni. Dziewczyna wyglądała uroczo i niewinnie. Erik poczuł jakiś ucisk w piersi.

- Anneliese - rzekł ochryplym głosem. - Nie ma innego wyjścia, chyba że...

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpakował się Don. Zapalił samotną żarówkę i w jednej sekundzie ogarnął spojrzeniem całą scenę.

- Już niemal najwyższa pora - burknął. - Gdzie się, do diabła, podziewałeś?

Erik odsunął się od dziewczyny.

- Miałem małe problemy. Ich rozwiązanie zabrało mi trochę czasu.

Don spojrział na Anneliese.

- Czy ona miała coś wspólnego z tymi problemami?

- Nie. - Erik poczuł się lekko dotknięty. - Ona nie ma dokąd pójść. Zostanie tutaj na noc.

Don uśmiechnął się.

- Tak się składa, że mam dla niej miejsce - oznajmił radośnie.

- Twoje łóżko!

Erik rzucił Anneliese szybkie spojrzenie. Dziewczyna opuściła oczy. Spochmurniał i już miał ofuknąć przyjaciela, gdy ten uniósł rękę niby to w obronie i dodał:

- Nie będziesz go potrzebować, kolego. W każdym razie nie dzisiejszej nocy. - Klepnął plik papierów, który trzymał w dłoni.

- Mamy tu niezły orzech do zgryzienia.

- Co się stało?
- Joseph!
- Jaki Joseph?

- Ten szkop, któremuśmy kazali napisać swój życiorys. Joseph Plewig. Trzymam go przez cały czas w „poczekalni”. - Spoważniał. - Ten facet łże jak pies!

Erik natychmiast stał się czujny. Wziął od Dona papiery, spojrział na nie i zmarszczył czoło. Anneliese obserwowała ich uważnie. Nie odzywała się ani słowem.

W otwartych drzwiach pojawił się Murphy.

- Coś jeszcze? - zapytał. - Bo chciałbym wreszcie trochę pospać. - Dostrzegł Anneliese i twarz rozjaśnił mu uśmiech. - *Gu-te A-bend Fräulein* - wydukał swoją ciężką, straszliwie akcentowaną niemiecką.

Anneliese odwzajemniła pozdrowienie niepewnym uśmiechem. Erik oderwał wzrok od dokumentów.

- Trzeba skonfrontować tę jego bajkę z *Ordre de Bataille*.

- Jasne! - zgodził się Don.

- Możesz przenocować w moim pokoju, Anneliese - zwrócił się Erik do dziewczyny. Doznał jednocześnie uczucia żalu i ulgi.

- Dziękuję panu.

- Jim, wskaż jej drogę, dobrze?

- Z przyjemnością! - Murphy sięgnął po walizkę dziewczyny. Oddała mu ją niechętnie. - Idziemy, laleczko.

- Chwileczkę, Jim - zatrzymał ich Don. Spojrział na młodego sierżanta z udawanym niepokojem. - Ty naprawdę sprawiasz wrażenie faceta, któremu przydałaby się solidna drzemka. Więc lepiej idź spać. - Uśmiechnął się złośliwie. - Miłych snów!

Murphy strzelił obcasami, po czym z godnością wyprowadził dziewczynę z pokoju.

Erik podszedł do stolika i wziął opasły tom *Ordre de Bataille*. - Chodź, Don. Przyduśmy tego szpiega!

Kwatera Werwolfu

Godzina 23.09

Porucznik Waffen SS, Willi Richter, nie miał na sobie munduru i czuł się jakoś nieswojo. Drażniły go cywilna kurtka i koszula bez krawata.

Ze złością popchnął ku ścianie skrzynkę opatrzoną napisem STIELHANDGRANATEN 24. Pomieszczenie przeznaczone na główną kwaterę generała Kruegera okazało się mniej przestronne, niż to zapowiadano. Typowy brak kompetencji, charakterystyczny dla wojska, pomyślał Willi z pogardą. Pod wyłożonymi drewnem ścianami piętrzyły się pudła i skrzynie, wszędzie wałała się broń. Trudno było poruszać się swobodnie.

Wszedł do małego pokoiku, w którym zainstalowano radiostację. Przed krótkofalówką siedział operator w cywilnym ubraniu. Na uszach miał słuchawki i zapisywał coś w notatniku. Zobaczywszy Willego, nakazał mu gestem ręki ciszę.

Richter oparł się o ścianę, obserwując radiooperatora. Tamten słuchał uważnie przez chwilę, po czym nadał krótkie potwierdzenie odbioru. Wydarł kartkę z notatnika i wręczył ją Willemu.

- Monachium - oznajmił lakonicznie.

Porucznik spojrział na depezę. Nareszcie! - ucieszył się. Zaczęło się! Wybiegł z pokoiku.

Osobista kwatera generała Kruegera zajmowała największe pomieszczenie w całym kompleksie. Jednak również tutaj piętrzyły się pod ścianami stosy sprzętu, broni, pudeł i skrzyń. Willi zastał generała przy dużym stole zasłanym mapami. Ubrany był w bawarski strój. Willi nie przywykł jeszcze do widoku Kruegera w cywilnej odzieży. Wydawało mu się, że takie przebranie ujmuje generałowi coś z autorytetu. Jego dowódca mógłby uchodzić teraz za ujmującego, całkiem nieszkodliwego starszego dżentelmena. Willi musiał stale pamiętać, że to tylko pozory. Wręczył generałowi otrzymaną wiadomość.

- Depesza, *Herr General!* - Z trudem ukrywał podniecenie.

- Od Hansa-32, Monachium.

Krueger wziął do rąk kartkę. Wiadomość była krótka i treściwa:

AMERYKAŃSKI OFICER-KURIER WYRUSZA DO DOWÓDZTWA ARMII USA W SCHWARTZENFELD 29.4. - GODZINA 6 RANO. MOŻE PRZEWOZIĆ WAŻNE INFORMACJE DOTYCZĄCE CELU NUMER JEDEN. HANS-32.

Krueger napisał coś pod spodem i wręczył kartkę Willemu.

- Niech to zostanie natychmiast wysłane - polecił. - Jednostka B. Oni się tym zajmą. Willi wyprężył się.

- *Herr General...* Krueger spojrział na niego.

- Co jeszcze, Richter?

- *Herr General*, chciałbym mieć honor dowodzenia tą pierwszą operacją werwolfowców!

Krueger zdziwił się.

- Jednostka B potrafi wykonać zadanie, nie sądzi pan, poruczniku?

- Oczywiście, *Herr General*. - Willi myślał gorączkowo. Musiał w tym uczestniczyć. - Ale ja mam pewien plan... Czy mogę go panu przedstawić, *Herr General*? - zapytał pośpiesznie. - Teren operacji znajduje się między naszym stanowiskiem i obszarem stacjonowania jednostki B. Wziąłbym od nich dwóch ludzi. Spotkalibyśmy się niedaleko miejsca wybranego na zasadzkę. Ryzyko wpadki przed akcją zostałyby w ten sposób zmniejszone do minimum. - Spojrział Kruegerowi prosto w oczy. - Mówię płynnie po angielsku. Pan generał otrzymałby mój raport jako pierwszy.

Krueger przypatrywał się uważnie stojącemu przed nim młodemu człowiekowi. Takich właśnie oficerów potrzebował. Takich oficerów potrzebowały Niemcy, żeby wyjść z tej wojny zwycięsko. Młodych, żarliwych i oddanych sprawie. Być może ten zapal należy wynagradzać, pomyślał. Uśmiechnął się do własnych wspomnień. Ze mną też tak było, pomyślał.

- *Einverstanden*, poruczniku Richter - oświadczył. - Zadanie jest pańskie.

Willi strzelił obcasami. Ogarnęła go fala podniecenia.

- Proszę sporządzić plan działania. I zameldować się zaraz po wykonaniu zadania - dodał Krueger.

- *Jawohl, Herr General!*

Willi jeszcze raz stuknął obcasami i pośpiesznie opuścił pokój. Rozpierała go radość. Popatrzył z szacunkiem na trzymaną w dłoni depeszę. Oto pierwszy, najpierwszy rozkaz przeprowadzenia operacji wydany przez Sonderkampfgruppe Karl - lokalne dowództwo Werwolfu - i on sam miał objąć dowodzenie akcją!

Jutro nieprzyjaciel pozna na własnej skórze, że werwolfowcy to coś więcej aniżeli wrzaski na falach eteru.

Jutro!

Część III

29 kwietnia 1945

Droga do Schwartzenfeld

Godzina 6.37

„Emmy Lou” prula pięćdziesiątką drogą prowadzącą do Schwartzenfeld. Była nowym dżipem Elberta Grahama T5 z Florida City w stanie Floryda, a jej imiona zostały uwiecznione wyrazistymi - acz nieco nierównymi - białymi literami na szaro-oliwkowej karoserii tuż pod przednią szybą. Prawdziwa Emmy Lou była dziewczyną jak ta lala, więc T5 Graham, zatrudniony w parku samochodowym korpusu postanowił nadać jej imię samochodowi. Sam je wymalował. Czuł się naprawdę dumny ze swego dżipa, niemal darzył go uczuciem. Ilekroć siadał za kierownicą, wyraźnie polepszał mu się nastrój. Sierżant z bazy żartował, że Elbert uczynił z dżipa symbol seksu. Stary dureń. Graham po prostu lubił prowadzić dobrze utrzymany, sprawny wóz. Ta przekłeta landara, którą jeździł w Stanach, miała tyle lat, że mogłaby śmiało przejść na rentę inwalidzką. Symbol seksu, też coś!

Droga była pusta. W świetle poranka okolica wydawała się senna i spokojna. Wojna przyszła tu i odeszła. Wokół panowała cisza. T5 Graham czuł się jak w siódmym niebie.

Spojrzał z ukosa na siedzącego obok oficera. Kapitan. Jak on się w końcu nazywa? Lorrimer? Lattimer? A, tak - Lattimer. Kurier. Z ramienia zwisała mu torba, na kolanach położył sobie pistolet maszynowy Thompsona. Patrzył wprost przed siebie.

T5 Graham rzucił szybkie spojrzenie na drogowskaz, który mignął przy rozgałęzieniu drogi. Na strzałce wskazującej ich kierunek widniał napis: SCHWARTZENFELD 60 KM. Znakomicie! Zdąży akurat na drugie śniadanie.

Przed nimi rozpościerał się niewielki lasek, który brał początek na wzgórzu po prawej stronie, i oskrzydlał szosę. T5 Graham nie zwolnił. Zauważył, iż siedzący obok oficer przesunął thompsona tak, żeby broń była gotowa do natychmiastowego użytku.

Wjechali w lasek.

Biorąc pierwszy zakręt, T5 nacisnął hamulec.

Drogę zagradała prymitywna zaporą z gałęzi, pozostał jedynie wąski przejazd z jednej strony. Opodał stał zaparkowany dżip, a przy

zaporze wartowało dwóch żandarmów. Jeden z nich zatrzymał „Emmy Lou” chorągiewką. Podeszli z obu stron do dżipa.

- Przykro nam, że zatrzymujemy pana - zwrócił się jeden z nich do kuriera.

- Co się stało?

- Saperzy. Rozminowują ten odcinek drogi. Tych cholernych min było tu jak pluskiew.

Oficer spojrzął niecierpliwie na zegarek.

- Ile czasu to potrwa?

- O, może pan jechać. Jedno pasmo zostało już rozminowane. Proszę tylko trzymać się lewej strony.

- Dziękuję. Ruszamy - zwrócił się do Grahama. - Słyszeliście, co tamten żołnierz powiedział?

- Co miałem nie słyszeć? Przez cały czas będę jechać dwoma kołami w lewym rowie.

Kiedy „Emmy Lou” przejechała około ćwierci mili nie zbacząc ani na piędź w prawo, pogrążonym w ciszy lasem wstrząsnęła nagle straszliwa eksplozja. T5 Graham mimowolnie wcisnął pedał hamulca i „Emmy Lou” zatrzymała się z wizgiem opon. Obaj z kapitanem instynktownie pochylili głowy. Fala uderzeniowa zakołysała dżipem jak cios ogromnej pięści.

Przez chwilę trwali nieruchomo zgięci wpół, a potem Lattimer wyprostował się, rozejrzał i gestem nakazał Grahamowi dalszą jazdę. „Emmy Lou” zaczęła zbliżać się powoli do następnego zakrętu.

Rozciągała się za nim rozległa polana. Na poboczu szosy przycupnęło kilku szeregowców. Opoдал zakrętu majstrowali przy detonatorze sierżant i kapral. Na odgłos jadącego powoli dżipa sierżant odwrócił głowę. Zatrzymał „Emmy Lou” ruchem ręki, po czym znów spojrzął w kierunku polany.

- Padnij! - wrzasnął. - Padnij!

Żołnierze przypadli do ziemi. Sierżant obrócił uchwyt detonatora i w tej samej chwili na łące podniósł się w gejzer piasku, błota i dymu. W ułamek sekundy później rozległ się potężny grzmot wybuchu. Sierżant podszedł do dżipa.

- Okay, teraz może pan jechać - powiedział. Wskazał polanę. - Pozbyliśmy się właśnie całej sterty szkopskich min. Dalej droga jest już czysta.

- Dobrze. Dziękuję. Lattimer kiwnął na T5 Grahama.
- Jedziemy.

„Emmy Lou” ponownie ruszyła w kierunku Schwartzenfeld. Niech to diabli porwą, pomyślał gorzko T5 Graham. Straciliśmy okrągłutki kwadrans. Chyba nici z drugiego śniadania. Ażeby to piorun strzelił!

Weiden

Godzina 6.59

Trzasnęły drzwi. Ktoś szedł korytarzem. Don spojrzął na zegarek. Było później, niż sądził. Rozprostował kości. Zaczynał odczuwać głód.

Odsunął się wraz z drewnianym krzesłem od biurka i wstał. Natychmiast zaczął mu doskwierać wypełniony pęcherz. Zaskoczyło go to. Siedząc przy biurku nie odczuwał potrzeby pójścia do toalety. Przeszedł przez pokój przesłuchań i stanął przy oknie. Prowizoryczna zasłona wciąż była zaciągnięta, ale spoza jej krawędzi wsączał się do środka blask świtu.

Don zdjął zasłonę, a potem podszedł do drzwi i wyłączył silną żarówkę wiszącą pod sufitem. Potrząsnął rusztem pękatego piecyka. Ogień dawno wygasł. Dobiała kresu piekielnie długa noc...

Spojrzał na zarzucone papierami i książkami biurko. Erik wciąż pochylał się nad *Ordre de Bataille* i rękopisem Plewiga.

Don ponownie się przeciągnął.

- Sukinkot świetnie to skomponował - ziewnął - ale zdradziły go drobiazgi.

- Właśnie - potwierdził Erik. - Popatrz tylko na to.

Don podszedł do biurka, pochylił się i zerknął przyjacielowi przez ramię.

- „Służyłem w 173 Batalionie Saperów wchodzącym w skład 73 Dywizji Piechoty generała Bünau” - czytał Erik z pokrytych staranym ołówkowym piśmem kartek. - „Uczestniczyłem w kampanii bałkańskiej. Brałem również udział w walkach na południowo-rosyjskim froncie. Moim dowódcą był major Horst von Weiterung”. Podniósł spojrzenie na Dona.

- Zgadza się?

Postukał oskarżycielsko palcem w otwartą stronę *Ordre de Bataille*:

- A tutaj mamy co następuje: „73 Dywizja Piechoty. Dowódca: generał porucznik Rudolf von Büнау. Miejsce stacjonowania: Würzburg - obsada złożona z Bawarczyków. Struktura...” Zobaczmy.

Przebiegł wzrokiem dane.

- „Piechota. Artyleria. Służby zwiadowcze. Służby łączności. Saperzy”. Okay, a teraz... Wskazał na kilka słów:

- „Dowódcy: 1. Major Horst von Weiterung. Udział w kampaniach: Polska, rejon Saary, Francja. Poległ we Francji...” Spojrzał triumfująco na Dona.

- Czyli Weiterung już nie żył, gdy nasz mały skurwysyn służył, jak utrzymuje, pod jego rozkazami! Don trzepnął dłonią w rękopis Plewiga.

- Ciekawe, co ten facet naprawdę robił i kim jest.

- Chyba już możemy zabrać się do wyciągania z niego wszystkich sekretów?

- Dobra - zgodził się Don. - Chcesz, żebyśmy zastosowali trick pod tytułem „porządny gość i cham”?

- Chyba nie. - Erik potarł w zamyśleniu nos. - To szczwany lis, nie da się nabrać na takie sztuczki. Niczego nie osiągniemy, tylko zmarujemy czas.

- Okay. Wobec tego walniemy w klienta z grubej rury! - oznajmił Don i wyprostował się. Pęcherz znów dał o sobie boleśnie znać.

- Ale może najpierw prysznic i coś na ząb przed całą ceremonią? Erik wstał.

- Jestem za.

Wyszli z pokoju. Kiedy toaleta znalazła się w zasięgu wzroku Dona, ledwie mógł wytrzymać. Zajmowanie największego i najlepszego budynku w mieście dla potrzeb kontrwywiadu ma jedną zaletę, skonstatował z zadowoleniem. Jest przynajmniej wewnętrzna kanalizacja!

- Zaraz będę! - zawołał przez ramię. - Przynies też mydło, dobrze? Pierce zużył ostatni kawałek.

Godzina 7.33

- Założę się, że on jest z SS.
- Nie ma tatuażu - Erik wskazał na swą lewą pachę.
- To nic nie znaczy. Może go nie mieć z wielu powodów - zripostował Don.

- Moim zdaniem to gestapowiec - poddał Erik. - Z jakiegoś miasteczka, które zajęli Rosjanie.

- Może - zgodził się Don. - Pewnie woli nas, „dekadentkich demokratów”, od „barbarzyńskich Słowian”.

Erik uśmiechnął się szyderczo. Dwaj agenci CIC ponownie zasiedli przy wielkim biurku w pokoju przesłuchań. Tym razem jednak blat biurka był niemal pusty - leżał na nim jedynie rękopis Plewiga oraz opasły tom *Ordre de Bataille*. Obaj Amerykanie byli gotowi do „związania sił nieprzyjacielskich” na własną modłę. Erik przewidywał pomyślny efekt przesłuchania. Dobrze poprowadzone - mogło się zakończyć tylko w jeden sposób.

Otworzyły się drzwi i sierżant Murphy wprowadził więźnia.

- Joseph Plewig - rzucił krótko.

Niemiec przyjął zasadniczą postawę. Agent spojrzał znad papierów.

- Możecie odejść, sierżancie.

Murphy zasalutował służbiście i wyszedł. Erik posłał Plewigowi przelotne spojrzenie.

- Spocznij - zezwolił i ponownie skupił uwagę na dokumentach. Don zapalił papierosa.

Plewig przyjął postawę „spocznij”. Na zewnątrz nie okazywał żadnego lęku, ale nie pozwolił sobie na odprężenie. Obserwował spod oka dwóch agentów CIC. Dostrzegł na biurku swój rękopis i poczuł ukłucie niepokoju. Czy popełnił jakieś błędy? Nie. Nie popełnił. W każdym razie nie takie, jakie mogliby wykryć ci Amerykanie. Zastanawiał się, co ta wielka otwarta księga na biurku ma wspólnego z jego przebiegiem służby, i słusznie się domyślił, że musi to być jakieś zestawienie informacji. Dym papierosowy szybował w jego stronę, kusił. Nagle poczuł się bardzo pewnie. Niech sobie palą swoje papierosy, niech czytają grube księgi, pomyślał. Jestem gotów.

- A więc - zaczął uprzejmie Erik - najpierw przebieg waszej służby. Wygląda na to, że wszystko się zgadza.
- *Jawohl, Herr Offizier.*
- Ale... - Erik nieoczekiwanie spochmurniał. - Ale chcielibyśmy zadać wam kilka pytań. Nie macie nic przeciwko temu, prawda?
- Oczywiście, że nie.
- Dobrze. Nie zabierze nam to dużo czasu...

Droga do Schwartzenfeld

Godzina 7.41

Silnik „Emmy Lou” grał na wysokich obrotach.

T5 Graham był we wspaniałym nastroju. Prowadzenie „Emmy Lou” środkiem pustej szosy i słuchanie ryku wiatru owiewającego przednią szybę sprawiało mu niewymowną frajdę.

Pomyślał, że to już niedaleko. Tylko kilkanaście mil. Mogli się jeszcze załapać na drugie śniadanie... Spojrzał na oficera. Oczywiście zdąży tylko wtedy, jeśli tamten nie wyjedzie ze swoim: „poczekajcie na mnie w dziupie, niedługo wrócę...”

Popatrzył przed siebie i zmrużył oczy. Słońce wciąż wisiało nisko na niebie, dokładnie nad szosą. Doznał wrażenia, że mały kamienny mostek przerzucony nad rzeczka, okolony drzewami i zaroślami, sunie wprost na nich. Dostrzegli trzech mężczyzn idących skrajem drogi w przeciwnym kierunku. Słyszac nadjeżdżającego dżipa, wszyscy trzej zatrzymali się. Jeden z nich zaczął machać ręką.

Kapitan dał znak Grahamowi, by zahamował. Stanęli w odległości około sześciu jardów od całej trójki.

T5 Graham spojrział na nich ze zdziwieniem. A cóż to znowu za diabeł? - pomyślał.

Trzech mężczyzn przedstawiało osobliwy widok. Dwóch było żołnierzami Waffen SS. Pierwszy splótł dłonie na karku, drugi trzymał prawą rękę na hełmie, a lewa zwisała mu na okrwawionym prowizorycznym temblaku. Trzeci był amerykańskim szeregowcem. Prowadził dwóch Niemców, celując w nich z karabinka. Miał rozprutą prawą nogawkę, spod której widać było rozluźniony bandaż omotany

wokół łydki. Bandaż był mokry od krwi. Lattimer wysiadł ostrożnie i skierował lufę swego tomigana w stronę dziwacznej grupki. Szeregowiec postąpił kilka kroków w kierunku „Emmy Lou”. Mocno kulał.

- Jak to dobrze, że pana spotykam, kapitanie! - wykrzyknął. - Już myślałem, że przyjdzie mi wachać kwiatki od spodu.

- Co się tu dzieje, żołnierzu? - Lattimer wskazał na dwóch Niemców. - Kim oni są?

- To esesmani, panie kapitanie. - Szeregowiec przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. - Dziś rano wykurzyliśmy ich z piwnicy. Na farmie, tam dalej. Było ich trzech. Mnie i kumplowi kazano doprowadzić tych sukinsynów do obozu jenieckiego niedaleko stąd.

- A gdzie pozostali?

Szeregowiec sposepniał.

- Tym cholernym draniom udało się nas zaskoczyć. - Spojrzał ponuro na dwóch Niemców. - Dali w czapę mojemu kumplowi... ale jeden szkop też gryzie ziemię. Ten drań oberwał w łapę - wskazał na esesmana z ręką na temblaku - a mnie posunęli kosą w nogę.

Spojrzał z nadzieją w oczach najpierw na „Emmy Lou”, potem na oficera.

- Może pan kapitan pomógłby mi dostarczyć tych wujków do obozu? - Uśmiechnął się przymilnie. - Byłbym bardzo zobowiązany...

Nie odwracając się, Lattimer wezwał T5 Grahama.

Graham wyszedł z „Emmy Lou” i zbliżył się do dwóch Niemców.

Cholera! - zaklął w duchu. Drugie śniadanie mam już na pewno z głowy!

Zaczął przeszukiwać pierwszego jeńca. Po chwili odwrócił się w stronę Lattimera.

- Ten tutaj jest czysty, panie kapitanie.

Staął naprzeciw żołnierza z ręką na temblaku. Esesman uśmiechnął się. Zranioną dłońią dotknął nieznacznie klamry pasa...

W tej samej sekundzie huknęły cztery szybkie strzały.

T5 Graham krzyknął i chwycił się oburącz za brzuch. Zdziwił go ciepły, gęsty płyn wyciekający spomiędzy palców. Osuwając się na

ziemię, popatrzył w twarz Niemca. Tamten nie przestawał się uśmiechać. T5 Graham zgiął się wpół i znieruchomiał. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, była „Emmy Lou”, która wydawała się wirować, wirować, wirować...

Gdy tylko padły strzały, kapitan natychmiast uniósł pistolet maszynowy, jednak fałszywy szeregowiec był szybszy. Wcisnął oficerowi lufę karabinka między żebra i krzyknął ostro:

- Spokojnie! Rzuć to!

Tomigán zagrzechotał na asfalcie.

Porucznik Waffen SS, Willi Richter, zerknął na martwego Amerykanina. Zadanie zostało wykonane. Przed oczami przesunął mu się obraz zmasakrowanych pociskami esesmanów rozciągniętych na rozsypanym żydowskim złocie. Teraz, gdy już było po wszystkim, ogarnęło go przygnębienie. Ostatecznie jednak tym razem trupy nie będą niemieckie.

Głową wskazał „rannemu” kuriera.

- Jest twój, Steiner - oświadczył.

Steiner uwolnił rękę z temblaka i starannie zatrzasnął klamrę. Uśmiechnął się chłodno na wspomnienie sytuacji, w której ostatni raz użyto tej broni. W Thürenbergu. Chciał wtedy zrobić wrażenie na tym kurduplu z Berlina. Tym razem jednak nie musi się przed nikim rozliczać z własności Rzeszy!

Przestąpił ciało T5 Grahama i podszedł do oficera. Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Proszę o depesze!

Weiden

Godzina 7.49

Jak dotąd, idzie nieźle, pomyślał Erik. Leżał przed nim rękopis Plewiga, a on udawał, że go studiuje. Padaly wyłącznie rutynowe pytania i wiarygodne odpowiedzi. Ten człowiek świetnie gra - albo rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, zwykłym wehrmachtowcem z rozpuszczonego oddziału, pragnącym powrócić do domu. Erik zmarszczył brwi i wpatrzył się w papiery. Może facetowi po prostu nie dopisała pamięć? Może dlatego popełnił błędy? W duszy Erika

zakielkowały niepokojące wątpliwości, ale natychmiast je odrzucił. Żarty się skończyły. Nadszedł czas poznania prawdy. Doznał dobrze znanego uczucia podekscytowania.

- A zatem twierdzicie, że służyliście w trzecim plutonie drugiej kompanii Sto Siedemdziesiątego Trzeciego Batalionu Saperów... Plewig strzelił obcasami.

- Nie inaczej, *Herr Offizier*.

Był pewny siebie. Odpowiedział bez wahania na wszystkie pytania amerykańskiego oficera. To musiało zrobić dobre wrażenie. Erik odsunął powoli papiery. Patrzył teraz wprost na Plewiga.

- Rozumiem. - Wydawało się, że przez chwilę nad czymś się zastanawia. - To częściowo zmotoryzowana kompania, której podstawowym zadaniem jest minowanie, czy tak?

Plewig poczuł nagle napięcie. Ten cholerny Amerykaniec wie więcej niż powinien, pomyślał. Nie, to przecież jest w wykazie. A gdyby chciał wiedzieć, gdzie jego kompania działała, też nie ma problemu. Zawsze może podać mu jakieś miejsce, którego nie będzie w stanie sprawdzić. Źrenice niebieskich oczu Plewiga niedostrzegalnie się zwięzły, napotkawszy badawcze spojrzenie Erika. W oczach Niemca pojawiła się czujność. Ten Amerykanin może być jednak niebezpieczny, doszedł do wniosku. Lepiej uważać na każde słowo.

- Tak jest- odparł.

Erik nie spuszczał z niego spojrzenia.

- Czy gdy wasza kompania została rozwiązana tydzień temu, miała pełny stan osobowy?

Cholera! Musiał coś na to odpowiedzieć. I to szybko. Myśli Plewiga pomknęły jak rakieta. Wyglądałoby podejrzenie, gdyby kompania była całkowicie obsadzona. Więc może w połowie? Wahanie trwało tylko sekundę. Tak łatwo się nie da!

- Mniej więcej połowę stanu, *Herr Offizier*.

Erik zanotował coś na kartce.

- Aha. Czyli około stu osiemdziesięciu żołnierzy, prawda?

- Właśnie tyłu.

Plewig doznał pewnej ulgi. Łatwiej, gdy ten drań sam sobie odpowiada na swoje własne pytania. Erik znów spojrzał na Niemca.

- Pełne uzbrojenie kompanii to dwanaście lekkich karabinów maszynowych i dwa działa przeciwzołgowe... Czy tak?

Plewig poczuł, że wraca przeciw mu pewność siebie. Przechytrzy ich. Oczywiście, że przechytrzy. Może powiedzieć im cokolwiek. Przecież nie udowodnią mu, że kłamie.

- Jedno z naszych dział przeciwzołgowych zostało rozbite - oświadczył. - Straciliśmy też pięć albo sześć karabinów maszynowych.

- I służyliście w tej kompanii jeszcze tydzień temu?

- Tak.

Cała uprzejma przyjacielskość Erika nagle gdzieś zniknęła. Amerykanin zmienił się na twarzy. Patrzył teraz zimno na Plewiga, pytania zaczęły padać niczym grad pocisków.

- A zatem jak wytłumaczycie to, że nie wiecie, iż stu osiemdziesięciu żołnierzy stanowi pełną obsadę tej kompanii, nie zaś połowę?

Plewig zeszywniał. Po plecach przebiegł mu dreszcz. Poczuł, że blednie, i nic nie mógł na to poradzić. Choć w głowie miał karuzelę, zaczął gorączkowo szukać jakiejś wiarygodnej odpowiedzi.

- Ja... ja...

Ale polowanie było już w toku. I miało zakończyć się nie wcześniej, aż zagoniona zwierzyna padnie. Erik rzucił mu prosto w twarz:

- Kompania jest uzbrojona w dziewięć, a nie w dwanaście karabinów maszynowych.

Niespodziewanie do nagonki przyłączył się Don. Przerażony Plewig spojrział w stronę nowego źródła zagrożenia.

- Siedemdziesiąta trzecia dywizja składa się z Bawarczyków. Wy pochodzicie z Nadrenii. Jak się tam znaleźliście?

- Major von Wetterling poległ we Francji. Na długo przed waszą rzekomą służbą pod jego dowództwem. Wytłumaczcie to!

Pytania uderzały niczym szybkie ciosy młota.

- Jak mógł być waszym dowódcą na froncie rosyjskim, skoro wtedy dawno już nie żył? Napisaliście to tutaj!

Erik wyrzucił dłoń w zyciorys. Plewig popatrywał gorączkowo to na jednego, to na drugiego prześladowcę. Bezwiednie przyjął postawę zasadniczą, szukając odruchowo pokrzepienia w bliskiej sercu

dyscyplinie. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Dwóch agentów CIC waliło w niego jak w bęben.

- Kto naprawdę dowodził batalionem?
- Wasza kompania była uzbrojona tylko w jedno działo przeciwczołgowe. Dlaczego twierdzicie, że w dwa?
- Nigdy nie byliście saperem!
- Wygadujecie kłamstwa!

Plewig był przerażony. Doznał wrażenia, że Amerykanie dosłownie wgrzyżają się w jego umysł. Jego świat się walił. Nie wiedział, dokąd uciekać. Ale musiał stawić czoło dręczycielom. Musiał im się oprzeć...

- Nie! - wykrzyknął. - Nie! Mówiłem prawdę!

Erik wstał i rzucił w Plewiga rękopisem.

- To ma być prawda?! - ryknął.

Plewig jeszcze nie skapitulował.

- Nie... tak...! To znaczy... ja... - Słowa zamarły mu na ustach.

W pokoju zapadła raptowna cisza. Erik usiadł spokojnie na krześle. Kiedy wreszcie przemówił nie patrząc na Niemca, w jego głosie zabrzmiało zmęczenie i obojętność:

- To nie ma sensu, Plewig. Wiemy, że kłamiecie. - Don wskazał gestem dłoni rozrzucone papiery. - Zbyt wiele drobnych błędów w twoim zmyślnym przebiegu służby, przyjacielu.

Erik obrzucił Plewiga ironicznym spojrzeniem.

- Nie sposób zapamiętać wszystkich drobnych szczegółików, prawda? - powiedział niemal uprzejmie, nawet jakby z ubolewaniem. Odwrócił się do drzwi i podniósł głos:

- Sierżancie Murphy!

Murphy nie kazał na siebie czekać.

- Słucham?

- Możecie odprowadzić więźnia. Paragraf dziewięćdziesiąt siedem, artykuł czwarty.

Sierżant wy dobył z kabury swojego colta kaliber 45, gotów do natychmiastowej reakcji. Plewig zerwał się z krzesła i wlepił spojrzenie w dwóch agentów. Ci jednak jakby stracili zainteresowanie

przesłuchiwanym. Przeglądali jakieś papiery. Murphy poruszył rewolwerem.

- Idziemy - rzucił krótko.

Plewig powoli postąpił krok w stronę drzwi i przystanął.

- Przepraszam, *Herr Offizier*... - zwrócił się do Erika.

- O co chodzi? - zapytał Amerykanin ze zniecierpliwieniem.

- Co teraz ze mną będzie?

Erik wyglądał na lekko zaskoczonego.

- Co będzie? Na pewno znacie międzynarodowe prawo wojenne, Plewig. A nasze państwa prowadzą ze sobą wojnę. - Przez chwilę spoglądał badawczo na Niemca, wreszcie wzruszył ramionami. - Ponieważ bezsprzecznie nie jesteście tym, za kogo się podajecie, musicie być sabotażystą albo szpiegiem. Skoro zaś nie nosicie munduru, nie można uznać was za jeńca wojennego objętego przepisami Konwencji Genewskiej.

Kwestia najwyraźniej została wyczerpana. Erik znów wetknął nos w papiery. Plewig przesunął nerwowo językiem po wargach. W pokoju, niczym dusząca mgła, wisiała cisza. Nikt się nie poruszał.

Wreszcie Niemiec odezwał się cicho:

- A więc ja...

Erik podniósł na chwilę spojrzenie.

- Zostaniecie rozstrzelani - powiedział spokojnie. - Wyprowadźcie więźnia, sierżancie - zwrócił się do Murphy'ego.

Żrenice Plewiga rozszerzyły się.

- Nie! Poczekajcie! Proszę...

Amerykanin z teatralną irytacją rzucił papiery na biurko.

- Co tam jeszcze? - warknął.

Plewig spoglądał teraz to na jednego, to na drugiego agenta. Na jego ściągniętej twarzy widać było ciężką rozterkę. Nagle wyrzucił z siebie:

- A jeśli będę mówił... Jeśli będę mówił? - Erik pozostał obojętny, poczuł jednak przypływ podniecenia. Znow się udało! Zmierzył Niemca chłodnym spojrzeniem.

- Co macie do powiedzenia?

- Jeśli wam powiem, co ja... Jeśli będę mówił... Czy mnie wtedy wypuścicie? - Erik zachnął się.

- My tu nie ubijamy takich interesów. Ale zobaczę, co będę mógł dla was zrobić.

Plewig poczuł się osaczony. Nieoczekiwanie poraziła go groza sytuacji. Stał w milczeniu.

- No więc...?

„Nie istnieje ktoś taki jak przyjaciel - przypomniały się nagle Plewigowi słowa stanowiące dewizę organizacji. - Jeśli twoje zadanie zostało przez niego zagrożone, zwróć się przeciw niemu. A w razie potrzeby zabij!” Jego myśli kłębiły się bezładnie. Dewiza Himmlera. Nic tam nie ma o twoim własnym życiu, prawda? Nie ma. Jeśli będzie mówić, może ocali własne życie. I swoje zadanie. Czy nie to im w końcu wpajali? Można poświęcić towarzyszy? Chyba można.

Spojrzał na Erika.

- Jestem werwolfowcem - powiedział.

Wyznanie wywarło piorunujący efekt. Gdyby Plewig nie bał się tak bardzo o własną skórę, byłby to zauważył. Murphy'emu aż szczeka opadła, a Don zakrztusił się papierosem. Erika zamurowało - po raz pierwszy usłyszał od przesłuchiwanego: „jestem werwolfowcem!”. Przez chwilę czuł nieprzewartą chęć śmiechu. Słowa, które usłyszał, brzmiały wprost groteskowo w ustach tego wystraszonego, błękitnokojego chłopaka. Szybko opanował się i przybrał znudzony wyraz twarzy.

- Ach, więc jesteście jednym z nich - zauważył beznamiętnie. - Cóż, chyba nie usłyszymy od was nic nowego.

Plewig zdębiał. Stracił rezon. Nagle zauważył, że ma spocone dłonie. Śmieszne, nigdy mu się nie pociły. Patrzył w milczeniu na Amerykanina. Nie wiedział, od czego zacząć. Erik niespiesznie wstał i podszedł do niego.

- Czyżby wydawało się wam, że jesteście ważną figurą? - W jego głosie zabrzmiała lekka pogarda i odraza. - Jesteście tylko zwykłym terrorystą. Sabotażystą. Szpiegiem. Możecie sobie wybrać któreś z tych określeń.

Plewig poczuł się oszukany. Jego plan wyraźnie spalił na panewce. Werwolf nawet ich nie zainteresował. Na litość boską, czyżby nic nie wiedzieli? Powiedział szybko:

- Może będę mógł powiedzieć panom o sprawach, których nie znacie.

Erik obrzucił go zimnym i sceptycznym spojrzeniem. Milczał.

- Należałem do tej organizacji od samego początku. Odkąd Heinrich Himmler osobiście nakazał założenie pierwszego ośrodka szkolenia werwolfowców w Polsce. W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim...

- Jakie były wasze obowiązki?

- Początkowo byłem osobistym kierowcą generała Kruegera... - udzielał skwapliwych wyjaśnień Plewig. Być może uda mu się wzbudzić w nich zainteresowanie, dzięki czemu ocali własną głowę, nie ujawniając przy tym zbyt wiele. - Generał miał wtedy stopień pułkownika.

Przerwał. Dalej powinno już pójść samo, pomyślał. Należy podawać wyłącznie mało znaczące informacje. Spokojnie, tylko spokojnie...

- Mówcie!

- Był komendantem ośrodka, *Herr Offizier*. Obecnie dowodzi całą organizacją. Podlega samemu Obergruppenführerowi* SS Prützmannowi. Ściśle współpracuje z Axmanem, przywódcą Hitlerjugend. Byłem jego ordynansem. Generał lubi dobre życie. Uwielbia najlepszy francuski armagnac. I kwiaty. Hodowałem dla niego kwiaty. Bardzo lubi róże...

Pod koniec wojny SS-Obergruppenführer, Hans Adolf Prützmann, właściwy dowódca Werwolfu, został mianowany SS-Oberstgruppenführerem (przyp. tłum.).

Erik przerwał mu ostro. Zbyt dobrze znał takie sztuczki. Powiedzieć wiele, a zarazem nic nie powiedzieć.

- Mówcie o waszych obowiązkach - zażądał. Cofnął się i przysiadł na skraju biurka. Nie patrzył na Dona. Zastanawiał się, czyjego przyjaciela jest równie podekscytowany. Pewnie tak. Ale ten Niemiec nie ma prawa się połapać, że dowiadują się czegoś nowego.

Plewig odzyskał nieco pewności siebie. A więc to tylko kwestia tego, ile im musi powiedzieć. Nie wyrządzi zbyt wielkiej szkody. Jest już za późno. Werwolfowców nie można już zatrzymać. Strzelił obcasami.

- *Jawohl, Herr Hauptmann*. Gdy we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku przeniesiono ośrodek z terenu Polski

do Thürenbergu w Czechach, włączono mnie do grupy wykładowców. Miałem szkolić werwolfowców. Nazywano to Unternehmung Werwolf.

- Gdzie są teraz ci werwolfowcy?

- Ci, którzy ukończyli kurs i opuścili szkołę? Nie wiem.

- Jak dotychczas, nie powiedzieliście nam nic istotnego, Plewig! - warknął ze złością Erik. - Co naprawdę wiecie?

Plewig stał się czujny. Ostrożnie! Nie wolno mu antagonizować Amerykanina. Nie teraz.

- Wiem, że generał otrzymał rozkaz wyjazdu z Thürenbergu do Niemiec i założenia tam głównej bazy. W kwietniu. W pierwszych dniach miesiąca.

- W jakim celu?

- Werwolf ma rozpocząć operację na terenach zajętych przez Amerykanów.

- Na naszych tyłach? Tajne operacje?

- Tak.

- Jakiego rodzaju?

Plewig zawahał się. Złapali go. Nie chciał wyjawić im wszystkiego. W każdym razie nic ważnego. Ale teraz nie mógł się zatrzymać. Jeśli to uczyni, Amerykanie natychmiast spostrzegą, że coś ukrywa. Na to nie mógł sobie pozwolić. Mimo wewnętrznych oporów mówił więc dalej:

- Zabijanie wysokich oficerów alianckich. Wysadzanie w powietrze składów amunicji, sprzętu i paliwa... zwłaszcza benzyny i ropy naftowej. Podkładanie bomb w koszarach i inne akcje terrorystyczne.

Erik i Don spojrzeli po sobie. Mieli zacięte twarze. Plewigowi bardzo zależało, żeby Amerykanie uwierzyli, iż naprawdę jest skory do współpracy. Pomyślał, że i tak musieli wiedzieć o wszystkim.

- Mają wszędzie agentów, którzy znają angielski - dodał. - Wielu z nich to inwalidzi wojenni. Rozpracowują dla nich cele.

- „Dla nich”? To znaczy dla takich jak wy?

Plewig potwierdził.

- Wyznaczono mnie na agenta. Ale ja nie chciałem. Proszę mi wierzyć, *Herr Offizier*. Sto razy bardziej wolałem pozostać przy generale. Wiedziałem, że wojna jest przegrana...

Erik patrzył w milczeniu na Niemca. Należało dać się wygadać przesłuchiwanemu.

- Musiałem ich jednak słuchać. Na przykład tego ważnego faceta z Berlina. Przyjechał do Thürenbergu i wygłosił do nas mowę. Pamiętam, co powiedział. - Zaczął cytować pompacyjne, napuszone zdania: - „Zwycięzca ostatniej batalii staje się zwycięzcą wojny. Obecnie przegrywamy bitwę. Naszą świętą, aryjską ojczyznę najeżdżają obce armie”... Ten facet powiedział nam również, że przed dwoma laty, po Afryce Północnej i Stalingradzie, Führer już wiedział, że przegramy pierwszy etap. Przygotował więc następny. Rozstrzygający. Jego wygranie da nam ostateczne zwycięstwo... *Herr Offizier*... powiedziałem panu bardzo wiele. Werwolfowcy to naprawdę poważna sprawa! Nigdy nie przysłaliby do nas takiej szczyh aż z Kwatery Głównej w Berlinie, gdyby było inaczej...

W głowie Erika zabłyśło alarmowe światełko. Ważny facet z Berlina. Ogarnęło go podniecenie.

- Kto to był? - rzucił szybko.

Plewig spojrzał na niego swoimi niewinnymi, jasnymi oczami.

- Kto, *Herr Offizier*?

- Ten ważniak z Berlina.

- Ach, ten. Był Reichsamtsleiterem. Bardzo ważnym.

- Jego nazwisko?

Plewig zastanawiał się przez chwilę.

- Von Eckdorf. Reichsamtsleiter Manfred von Eckdorf. Pamiętam. Był bardzo ważną figurą!

Murphy wlepił spojrzenie w Plewiga. Von Eckdorf!

- Po co przyjechał do Thürenbergu? - pytał dalej Erik.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem.

- Co on miał wspólnego z Werwolfem?

- Niech mi pan uwierzy, nie wiem. Rozmawiał z generałem. I wszystko obserwował.

Erik przypatrywał się badawczo Plewigowi. Ten Niemiec nie kłamał. Jego strach przed wywołaniem niezadowolenia przesłuchującego był szczery. Powiedział już zbyt wiele. I wyśpiewa wszystko. Erik mu wierzył - był przekonany, że cała ta opowieść o Werwolfie jest prawdziwa, mimo iż zakrawała na fantazję. Von Eckdorf miał jakies

powiązania z tą hitlerowską organizacją... Ten sam von Eckdorf, który zginął od własnej kuli w wiejskim domku zaledwie dwadzieścia mil stąd. Wolał umrzeć, niż zostać zmuszonym do mówienia!

Plewig mówił więc prawdę!

Niemiec zaniepokoił się. Nie wiedział, co oznacza zaszepiona mina przesłuchującego.

- Proszę, niech mi pan uwierzy - powtórzył błagalnie. - Nie wracałem do nich! Szedłem do domu, do Nadrenii. Powiedziałem panu wszystko, co wiem. Ja...

Erik mu przerwał:

- Kiedy Ostatnio kontaktowaliście się z werwolfowcami?
- Pięć dni temu. Dwudziestego czwartego kwietnia.
- I twierdzicie, że mają przejść do działań dopiero na naszym zapleczu?

- Tak.

- Co ma być ich pierwszym celem?

- Nie wiem, ale...

To „ale” wyrwało się chyba Plewigowi jakoś niechcący. Niemiec zamilkł. Przypominał teraz zwierzę w potrzasku. Erik wstał i natarł na przeciwnika:

- Jakie „ale”? Gadaj natychmiast!

Plewig przełknął ślinę. Sytuacja wyglądała nie najlepiej. Wreszcie wyjąkał:

- Nie wiem, co ma być ich pierwszym celem, *Herr Offizier*.

Erik utkwiał w nim wściekłe spojrzenie.

Plewig przeklinał swoją głupotę. Chlapnął coś, czego nie wolno mu było chlapnąć. Teraz musi podać im ostatni element ważnej informacji.

- Führungsstab, jednostka pod dowództwem generała Kruegera - ciągnął powoli - otrzymała zadanie najwyższej wagi... Zawahał się.

- Dalej! Co to jest to „zadanie najwyższej wagi”? - indagował Erik. Plewig zwilżył usta.

- Zabić... zabić... Likwidacja...

- Kogo?

- Waszego naczelnego dowódcy.

- Eisenhowera! - zawołał Don.

W pokoju zapadła śmiertelna cisza. Po chwili Erik podszedł zdecydowanym krokiem do dużej mapy wiszącej na ścianie za biurkiem i przywołał do niej Niemca.

- Wskażcie mi położenie kwatery Kruegera.

Plewig podszedł do mapy. Przyjrzał się jej. Symbole i oznaczenia były mu wprawdzie nie znane, ale łatwo się połapał. Odwrócił się do Erika z przeproszącą miną.

- Nie znam dokładnej pozycji, *Herr Offizier*... To gdzieś w tym lasku - o, tutaj. - Dotknął palcem mapy. Erik spojrział.

- O kurwa! - krzyknął Don. - Przecież to... - urwał. Erik odwrócił się do przyjaciela.

- Chyba udamy się na przejażdżkę. I to natychmiast! - zawyrokował.

Godzina 8.32

Postanowili zabrać Plewiga ze sobą. Chcieli przekazać go dowództwu korpusu - miał odegrać rolę asa w rękawie na wypadek trudności w przekonaniu wyższych szarż, iż opowieść o Werwolfie jest prawdziwa. Rozumieli, iż sprawa jest zbyt poważna jak na ich siły. Musieli uzyskać taktyczne wsparcie. I to solidne!

Podeszli wraz z więźniem do zaparkowanego przed wejściem dziupa, przepychając się przez niewielki tłumek, który zdążył się już zebrać przed budynkiem więzienia.

Krauss, starszy Niemiec naprawiający ścianę domu, stał na chodniku mieszając cement w zniszczonym, odrapanym szafliku. Na widok wychodzących agentów zdjął czapkę. Wkładał ją z powrotem, gdy ujrzał Plewiga. Znieruchomiał na ułamek sekundy, a potem odwrócił nagle pociemniałą twarz.

Przy kierownicy zasiadł Don, obok Plewiga, którego prawa dłoń została przykuta kajdankami do uchwyty na drzwiczkach pojazdu. Erik zajął miejsce z tyłu.

Krauss odprowadził wzrokiem znikającego w perspektywie ulicy dziupa, po czym kopnął szaflik i odszedł szybkim krokiem.

Reims, Francja

Główna Kwatera

Dowództwa Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych

Francuskie miasto Reims było czymś więcej aniżeli kolejną stacją „Ekspresu Czerwonego Koła”*. Rozlokowało się tam Dowództwo Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych, główna kwatera generała Dwighta D. Eisenhowera i jego sztabu.

„The Red Bau Express” (również „Red Bali Highways”) - prowizoryczny, jednokierunkowy szlak transportowy, którym dostarczano paliwo i prowiant szybko posuwającym się przez Francję oddziałom Sprzymierzonych podczas i po operacji „Overlord”. Szlak ów oznaczony był czerwonymi kołami (przyp. tłum.).

Na bocznej ulicy opodal dworca kolejowego stał trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły, siedziba College Moderne et Technique. Jak niegdyś kipiało tu życie, jednak nieustanny gorączkowy ruch panujący w budynku, nazywanym przez oficerów sztabowych „czerwoną szkółką”, miał znacznie poważniejsze konsekwencje niż najbardziej nawet szalone poczynania uczniów dawnego technikum,

Był 29 kwietnia 1945 roku, godzina ósma trzydzieści pięć. Odbywała się właśnie narada, na której podejmowano doniosłe decyzje mające zmienić przebieg kampanii wojennej.

W drzwiach pokoju na drugim piętrze stanął major z arkuszem papieru w dłoni. Miał już zamknąć drzwi za sobą, gdy zatrzymał go inny oficer. Zaczęli cicho rozmawiać. Spoza na wpół uchylonych drzwi dochodził głos:

- ...wszystkie raporty wywiadowcze na to wskazują, panie generale. Ostatni bastion niemieckiego oporu ma powstać w Alpenfestung, w tak zwanej Reducie Narodowej - o, tutaj. Jeśli pozwolimy Niemcom skupić tam siły wokół jakiegoś faszystowskiego jądra, jakiejś elitarnej grupy, mogą się utrzymać nawet przez dwa lata! Będzie to nas kosztować bardzo wiele ofiar. Chciałbym podkreślić, iż owa Reduta jest usytuowana na wyniosłym górskim terenie, podobnym do tego, dzięki któremu niewielka Szwajcaria pozostaje od wieków potężną fortecą, zabezpieczoną przed napaścią nieprzyjaciela, toteż

obecnie może zachować neutralność... Kluczem do Reduty jest z pewnością Monachium. Zalecam tedy z całym przekonaniem jak najszybszy marsz na to miasto - z użyciem jak największych sił!

Zrytą pociskami drogą prowadzącą do „Wysuniętej Góry Lodowej” (kryptonim wysuniętego punktu dowodzenia XII Korpusu), trzysta mil na wschód w linii prostej od miasta, przez ziemie ciężko dotkniętych wojną dwóch narodów, pędził amerykański dżip wojskowy.

Siedział w nim, przykuty kajdankami do drzwiczek, człowiek będący maleńkim trybikiem w hitlerowskiej maszynie wojennej.

Droga do Schwarzenfeld

Godzina 9.17

Mieścina została obrzucona bombami zapalającymi. Z domów i zabudowań gospodarczych pozostały same ściany. Wypalone szkielety zionące mroczną pustką, rzucające długie, upiorne cienie na wyboiste brukowane uliczki. Martwe bydło opodal dogasających stodół. Poczerniały krater w miejscu budynku, w którym znajdował się skład amunicji...

Zgrzyt silników ciężkich pojazdów konwoju wojskowego rozbrzmiewał echem wśród wypalonych ceglanych skorup.

Don z trudem przeprowadził dżipa przez gąszcz samochodów i zatrzymał się obok regulującego ruch żandarma.

- Hej, przyjacielu! - zawołał. - Czy „Wysunięta Góra Lodowa” nadal stacjonuje w Schwarzenfeld?

- Przenieśli się do Viechtach o piątej rano! - odchrząknął żandarm. Wskazał kierunek. - Cały czas prosto. Kilka mil za rogatkami przekroczycie most, potem skręcicie w lewo. Traficie na sto procent.

Don podziękował żandarmowi i warknął wściekle do Erika:

- Niech to piorun trzaśnie. Znowu pięćdziesiąt mil!

Wkrótce ujrzeli niewielki kamienny mostek przerzucony nad rzeczką. Wjazd blokowały półciężarówka żandarmerii i ambulans. Don zahamował. Zbliżył się żandarm.

- Bardzo mi przykro, panowie - oznajmił. - Za parę minut droga będzie wolna.

- Co się stało?

- Dwóch facetów... - Wskazał za siebie. - Tam, w rzece.

Erik wyskoczył z dżipa.

- Pójdę i rozejrzę się - powiedział.

Na brzegu stała milcząca grupka żołnierzy. Erik przystanął obok. W płytkiej wodzie brodziło dwóch żandarmów. Holowali do brzegu zwłoki mężczyzny. Ponad powierzchnię wynurzyło się ramię. Przez moment błysnęły w słońcu dwie srebrzyste belki.

Żandarmi wyciągnęli ciało na brzeg. Okazało się, że martwy oficer ma poderżnięte gardło. Świeża rana ziała ohydnie w bladym, bezkrwistym ciele. Erik podszedł do sierżanta. Ten spojrzał na niego. Miał wściekłość w oczach.

- Poderżnęli mu gardło - wycedził gniewnie. - Oporządzili jak wieprza! - Wskazał na jakiś kształt spoczywający na trawie i okryty kocem. - Tam leży drugi. Dostał kulę w brzuch.

Erik odwrócił wzrok. Śmierci nie sposób patrzeć w twarz. Kiedy sierżant wstał z klęczek, Erik okazał mu swoją kartę tożsamości.

- Musimy dostać się do „Wysuniętej Góry Lodowej”. Jak najszybciej! - powiedział z naciskiem.

- Tak jest. - Sierżant zawołał do żandarma na mostku: - Hej, Wilson! Ruszże tę trzyczwartówkę! Przepuść dżipa!

Erik usiadł obok Dona. Unikał wzrokiem Plewiga. Nie mógł na niego patrzeć. Nie teraz.

- Żołnierze? - zapytał Don.

- Dwóch - rzucił Erik ponuro. - Zaszlachtowani!

Zmusił się do spojrzenia na Niemca. Ten siedział sztywny. Twarz mu poszarzała, patrzył wprost przed siebie.

On wie, pomyślał gniewnie Erik. Ten sukinsyn dobrze wie, że to robota jego pierdolonych kumpli!

- Jedźmy stąd - rzucił ochryplym głosem. Don włączył bieg.

Niewielki pojazd skoczył jak wyrzucony z procy i ruszył przez wolny mostek.

Viechtach

Godzina 10.29

Chaos panujący na przedmieściach małego bawarskiego miasteczka Viechtach wzbudzał z całą pewnością cichą pogardę w sercach cywilnych Niemców, nawykłych do porządku i dyscypliny Trzeciej Rzeszy. Dobiegało końca instalowanie w budynkach wysuniętego punktu dowodzenia XII Korpusu - czyli „Wysuniętej Góry Lodowej”. Między domami było tłoczno od rozładowywanych ciężarówek, których opony wyżłobiły w trawie głębokie koleiny. Przenoszono tablice identyfikacyjne jednostek, przeprowadzano przewody telefoniczne, wszędzie biegali żołnierze niczym zagonione mrówki.

Don minął duży znak stojący opodal jednego z budynków. Ponad „wiatrakowym” godłem XII Korpusu widniały słowa: PUNKT ROZ-LOKOWANIA. Zatrzymał dżipa obok najbliższego domu. Erik wyskoczył z samochodu i skierował się ku wejściu. W połowie drogi zatrzymał go żandarm.

- Przepraszam, ale nie może pan...

Erik nie pozwolił mu dokończyć.

- Czy w tym budynku przebywa zastępca szefa sztabu G-2? - zapytał.

- Tak, panie oficerze. Ale...

- Świetnie. Mamy w dżipie jeńca. To ktoś bardzo ważny. - Odwrócił się w kierunku dżipa. - Okay, Don! - zawołał. - Dopilnujcie, żeby naszemu pojazdowi nic się nie przytrafiło - nakazał żandarmowi.

- Ale...

- I niech ktoś odprowadzi go do punktu postojowego.

Nadszedł Don z Plewigiem.

- Co zrobimy z naszym przyjacielem? - zapytał Don.

- Niech poczeka na wartowni. - Spojrzał na żandarma. - Zajmiecie się tym?

Żołnierz nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Proszę wybaczyć - powiedział. - Czy mogę zobaczyć pańską kartę identyfikacyjną?

- Oczywiście.

Erik i Don wyciągnęli dokumenty.

- Kontrwywiad, oddział 212. Musimy jak najszybciej dostać się do G-2.

W korytarzu roilo się od oficerów i żołnierzy. Przy biurku opatrzonym napisem INFORMACJA siedział w towarzystwie starszego szeregowca wyglądający na zagonionego kapral. Za ich plecami rozpięto na ścianie duży plakat, na którym kuszącą dziewczynę w tyrolskiej spódnicy i bluzce z głębokim dekoltem mierzył łakomym spojrzeniem wilk w żołnierskim mundurze. „Wygrałeś tę wojnę. Nie kładź podwalin pod następną!” - głośił podpis.

- Gdzie znajdę zastępcę szefa sztabu G-2, pułkownika Streetera? - zapytał Erik kaprala.

- Chyba na drugim piętrze - odpowiedział podoficer przepraszającym tonem. - Właśnie się wprowadzamy.

Pułkownik Richard H. Streeter cieszył się opinią rozumnego człowieka. Nigdy nie obawiał się podejmowania decyzji i brania na siebie odpowiedzialności. Tego samego wymagał również od swoich oficerów - jego personel wywiadowczy pracował na okrągło przez całą dobę. Krążyły pogłoski, iż pułkownik nigdy nie sypia. Była to jedynie lekka przesada, w rzeczywistości bowiem opanował do perfekcji sztukę ucinania sobie drzemek - gdziekolwiek, kiedykolwiek, w każdych okolicznościach. Potrafił zamknąć oczy, całkowicie się odprężyć i spać przez kilkanaście minut. Oddawał się takim drzemkom, ilekroć tylko mógł. Właśnie dlatego był osiągalny o każdej porze dnia i nocy. Sztuki szybkiego zasypiania nauczył też podległych mu oficerów i podoficerów.

W biurze G-2, w którym dominowała ogromna mapa sytuacyjna pokrywająca całą ścianę, nieustannie uaktualniana przez podoficera wywiadu, dwaj ludzie spali jak zabici w śpiworach w rogu pomieszczenia; ze snu nie wyrwał ich nawet panujący wokół ruch.

Streeter, jeden z jego oficerów major Henry Roberts oraz Erik i Don stali przed mapą. Erik wskazywał na niej niewielki zalesiony obszar.

- O, tutaj, panie pułkowniku - wyjaśniał. - Dokładnie na północ od Schönsee. Kwadrat P 4812. Tuż przy granicy z Czechami.

Streeter skrzywił się sceptycznie.

- Cztery mile w głąb naszych linii? - Zwrócił się do majora Roberta: - Nie było żadnych meldunków o niemieckich jednostkach na tym obszarze, prawda, Henry?

- Nie, nie było.

Streeter spojrział w zamyśleniu na Erika.

- To wszystko brzmi trochę jak bajka, nie sądzi pan? Mieliby się przygotowywać na wypadek przegrania wojny już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, na długo przed inwazją w Normandii? - Popatrzył na mapę. - Ilu werwolfowców ma tu przebywać? - Wydawał się lekko rozbawiony. Ton jego głosu dawał dobitnie do zrozumienia: „przekonajcie mnie, panowie”.

- Jednostka pod rozkazami generała Kruegera liczy od czterdziestu do sześćdziesięciu ludzi, w tym sztab generała. Nazywa się Kampfgruppe Karl - od jego imienia. Stacjonuje tutaj, w Schönsee.

- A reszta?

- Nasz informator wie o trzech innych jednostkach na terenie Bawarii. To jednostki operacyjne, każda liczy stu pięćdziesięciu ludzi. Znajdują się w trójkącie, którego centrum stanowi główna kwatera Kruegera. Wszystko już za naszymi liniami. Nie wiemy dokładnie, gdzie.

- Kim są ci ludzie?

- Stanowią trzon organizacji „Werwolf, panie pułkowniku. - Erik dobrze wiedział, jak ważne jest udzielenie właściwej odpowiedzi. Należało powiedzieć wystarczająco dużo - ale nie za wiele. Inaczej można by uznać to wszystko za opowieść szaleńca. A Erik musiał przekonać Streetera, że jego informacje są prawdziwe. - Jest to kadra instruktorska oraz ostatni rocznik z ośrodka szkoleniowego Kruegera w Thürenbergu - wyjaśniał powoli, starając się mówić jak najbardziej przekonująco i sensownie. - Na początku tego miesiąca niemieckie naczelne dowództwo nakazało zwinąć ośrodek i zająć przygotowane pozycje w Schönsee.

- A jakież oni działania mają podejmować - oprócz tego histerycznego zawodzenia przez radio?

- Mają trzymać się poza linią frontu i niszczyć amerykański potencjał ludzki, sprzęt oraz zapasy paliwa. - Erik patrzył Streeterowi prosto w oczy. - Panie pułkowniku, oni naprawdę mogą dokonać znacznych spustoszeń.

Streeter spoglądał badawczo na gorliwego młodego agenta kontrwywiadu. Jego rozbawienie zniknęło. Skinął głową w zamyśleniu.

- Jeśli w ogóle tam są - zauważył sceptycznie. Usłyszeli głos podoficera obsługującego centralkę.

- Pułkowniku Streeter! Generał Canine. Na siódemce.

Streeter podszedł natychmiast do przenośnego telefonu na biurku. Major Roberts zwrócił się do Erika:

- A ta historia z zamordowaniem Eisenhowera?

- Planowali to od dawna. Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z „dżipowymi rajdami” Skorzenyego podczas styczniowej kontrofensywy Niemców w Belgii. Roberts rozważył to, co usłyszał. Skinął głową.

- Teraz, gdy już wszystko stracone, mogliby chyba rzeczywiście usiłować dostać Ike'a... * Bezgłowy wąż...

Eisenhowera (przyj. tłum.).

- Słucham - Erik zdziwił się.

Roberts sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego. Uśmiechnął się.

- To ze starej książki, którą niegdyś czytałem. W szkole. *Ethos morderstwa politycznego*. Utkwiło mi w pamięci takie zdanie: „Państwo bez przywódcy przypomina węża z odciętym łbem. Może miotać się i tłuc ciałem, ale na nic się to nie zda”. - Spoważniał. - Tyle że tutaj to nie ma sensu. Wąż wojskowy ma wiele łbów.

- Nie lekceważyłbym tego - oświadczył Erik. - Werwolfowcy są podobno opoką, jądrem oporu, oporu do ostatniego człowieka, jaki Niemcy mają stawić w Reducie Narodowej...

- A Goebbels wciąż mówi o Twierdzy Alpejskiej - wtrącił Don.

- Gdyby Niemcom udało się dostać Ike'a, podniosłoby to bardzo morale ich żołnierzy, zwłaszcza jeśliby rozpoczęli jednocześnie kampanię propagandową.

- Oczywiście, Eisenhower uważa Redutę za cel wojskowy zdecydowanie ważniejszy od Berlina - potwierdził w zadumie Roberts.

Pułkownik Streeter zakończył rozmowę. Miał poważną minę i śpieszył się.

- Muszę się zgłosić do szefa sztabu. Załatwmy więc tę sprawę. Jak ci werwolfowcy są uzbrojeni? - zapytał Erika.

- Nie dysponują ciężką bronią. Karabiny maszynowe, pistolety maszynowe i moździerze. Mają też materiały wybuchowe, zapasy amunicji i żywności - wszystkiego przynajmniej na pół roku działań.

Streeter zastanawiał się krótko.

- Musieli przewozić to sporym taborem - zauważył. - Gdzie się podziały te pojazdy?

- Nie mieli ich zbyt wiele, panie pułkowniku. Ładowali sprzęt i broń na furmanki. Ciągnęło je jakieś sto dwadzieścia koni, które rozdali potem okolicznym rolnikom.

Streeter skinął głową. Widać było, iż wywarło to na nim wrażenie. Całkiem niezłe wykombinowane, pomyślał.

- Ciekawe - mruknął. - I co panowie teraz zamierzają? - zapytał.

- Chciałbym ich dopaść, nim uderzą nas boleśniej niż dotychczas.

- Więc naprawdę wierzy pan temu pańskiemu informatorowi?

- Wierzę!

Erik spojrzał Streeterowi prosto w oczy. Nadszedł czas na zagranie asem.

- Panie pułkowniku - zaczął - chyba posiadam informację, która świadczy o prawdziwości całej hipotezy. Ustaliłem istnienie niezaprzeczalnego związku między werwolfowcami i hitlerowskim funkcjonariuszem wysokiej rangi, Reichsamtsleiterem von Eckdorfem. Ten człowiek wolał się zastrzelić, niż wpaść w nasze ręce. Na folwaraku, niecałe dziesięć mil od Schönsee!

Streeter spojrzał pytająco na Roberta. Major potwierdził skinieniem głowy.

- No dobrze - zgodził się Streeter. - Pańskie na wierzchu! Wobec tego niech pan działa. - Odwrócił się do mapy. - Spójrzmy. To

obszar operacyjny dziewięćdziesiątej siódmej dywizji. Jakiego wsparcia taktycznego pan od nas oczekuje?

- Potrzebuję dwóch kompanii.

Streeter spochmurniał.

- Cóż... Trzeba będzie zabrać je z frontu. Połączcie mnie z dowództwem dziewięćdziesiątej siódmej dywizji - polecił operatorowi centrali. - Otrzyma pan swoje dwie kompanie - obiecał. - Wyślijcie z nimi Evansa - nakazał Robertsowi. - Major Evans pozostanie z wami jedynie jako obserwator. To wy będziecie rozgrywać ten mecz, ale chcę znać jego wynik.

- Tak, panie pułkowniku. - Erik, gdy otrzymał już wszystko, czego potrzebował, poczuł wyczerpanie.

Streeter popatrzył badawczo na obu agentów.

- Mam nadzieję, że znajdziecie panowie tych waszych werwol-fowców - dodał cicho. - Bo inaczej może się to dla was źle skończyć.

Wychodził już, ale przed drzwiami przystanął jeszcze i zapytał:

- Jak się nazywa ten wasz informator?

- Plewig - odpowiedział Erik. - Joseph Plewig.

Weiden

Godzina 13.16

- Plewig! - wysyczał Krauss. - Joseph Plewig! - W jego głosie zabrzmiała lodowata pogarda.

Niemiec opierał się od niechcenia o wysoki na ponad metr ceglany murek zwieńczony drewnianą kratą, oplecioną grubołodogową nagą winoroślą. Dzięki roboczym spodniom upstrzonym cętkami świeżo zaschniętego cementu oraz poplamionej skórzanej czapce, którą nasunął głęboko na czoło, wtopił się niemal bez reszty w szarzyzną per-ryferyjnej uliczki. Uliczka była pusta. Jak zwykle zresztą.

Z kieszeni zniszczonej kurtki wyłowił odrapane metalowe pudełko na tytoń. Zdawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością, a jednak wsłuchiwał się uważnie w słowa ukrytego za murem człowieka. Wiedział, że to Heinz. Jakby go widział: przepaska na oku, pusty rękaw prążkowanej bluzy mundurowej Wehrmachtu złożony w pół i

przypięty do ramienia. Kaleka godny współczucia. Krauss zachowywał się tak, jakby za murkiem nikogo nie było.

Dochodzący spoza dzikiego wina stłumiony głos Heinza kipiał ledwo powstrzymaną wściekłością:

- *Verdammt nochmal!* Kiedy?

Krauss otworzył swoje pudełko i starannie wybrał jeden z sześciu niedopałków.

- Cztery dni temu - odpowiedział, nie przerywając swojego zajęcia.

- W jakim kierunku?

- Do Viechtach.

- Czyli do ich dowództwa! Dlaczego nie zawiadomiłeś nas wcześniej?

Krauss niespiesznie włożył za ucho niedopałek, po czym schował pudełko i wyciągnął zapalki.

- Ostrożność przede wszystkim - wycedził powoli. - Jeśli się o niej zapomina, zostaje się nieboszczykiem. - Sięgnął po niedopałek i zapalił go.

- Czy coś im powiedział?

Krauss zaciągnął się kilkakrotnie. W skupieniu obserwował dym.

- Nie zawoziłiby go do dowództwa, gdyby nic nie powiedział - zauważył, kierując słowa w przestrzeń.

- Zajmiemy się nim - oświadczył Heinz. Powiedział to zimnym, beznamiętnym tonem, który oznaczał wyrok śmierci. - I tymi dwoma Amerykanami. Nie wiemy, ile im wyśpiewał, ale obaj muszą umrzeć.

- A Krueger? - Krauss osłonił dłonią żarzący się niedopałek. Papieros niemal parzył go w usta.

- Zostanie ostrzeżony.

- To ryzykowne.

- Musi się dowiedzieć. Na pewno podejmie jakieś kroki. Skorzystamy z przekaźnika monachijskiego. Zażądaj instrukcji.

- Radiostacja w Monachium jeszcze działa?

- Działa. Monachium będzie utrzymywane tak długo, jak tylko się da. SS już się postara, żeby mieszkańcy nawet nie myśleli o kapitulacji.

Przy drogach prowadzących do miasta nie zawisną białe prześciera-
dła. Amerykanie będą musieli walczyć o każdą piędź ziemi - i płacić
za nią życiem! Idź już. Nie ma czasu. Musimy dziś ruszać.

Po drugiej stronie murku rozległ się niewyraźny szelest. Krausso-
wi wydało się, iż słyszy cichnące stopniowo kuśtykanie Heinza. Ale
może tylko mu się tak zdawało. Z niedopałka pozostał tłący się ko-
niuszek. Zdusił go dwoma stwardniałymi od pracy palcami i wytarł
popiół o spodnie.

Spojrzał na spowity winoroślą murek, po czym odszedł.

Droga do Monachium Godzina 16.08

Co mam teraz robić, do ciężkiej cholery? - pytał sam siebie Slater,
cierpiąc męki niezdecydowania.

Do licha, przecież nie po raz pierwszy znalazł się w krytycznej sy-
tuacji. Kapitan Robert Slater, dowódca plutonu czołgów, często wą-
chał proch. Ale z czymś takim jeszcze się nie zetknął. Jeszcze nie...

Oczyrna wyobraźni ujrzał biuletyn służb wywiadowczych G-2
siódmej armii, a w nim odnośny raport. W punkcie „Działania prze-
ciwnika - przypadki stawiania zacieklego oporu” znajdzie odnośnik:
„w pobliżu Heidendorfu (Q8714)”. Ani słowa o krwi, oderwanych
członkach, o śmierci. Ani słowa o cuchnącym pocie strachu. Ani sło-
wa o udręce towarzyszącej podejmowaniu decyzji - w sytuacji, gdy
każda decyzja będzie błędna. Przełknął gromadzącą się w gardle pa-
lącą, gorzką żółć. Zrobiło mu się zimno. Poczul, jak spod pach ciekną
mu strużki potu.

Stał w otwartej wieżycze czołgu. Jego sherman zajmował pozycję
opodal wąskiej leśnej dróżki, ukrytej za naturalną zasłoną drzew i
zarośli. Poszukując gorączkowo odpowiedzi na swoje pytanie, odpo-
wiedzi, która nie istniała, ponownie dokonał przeglądu sytuacji.

Dróżka biegła iglastym laskiem w odległości trzech mil od nie-
wielkiej miejscowości o nazwie Heidendorf, leżącej przy drodze do
Monachium. W pobliżu zniszczonego obejścia na skraju lasu dróżka

skręcała, a potem prowadziła na przełaj przez pola w kierunku pierwszych zabudowań. Pozostałe czołgi plutonu S latera stały ukryte w lasku. Niedaleko zrujnowanego gospodarstwa tłoczyli się wśród drzew żołnierze z jednostki piechoty wsparcia.

Podniósł do oczu lornetkę i zaczął lustrować leżący na wprost teren.

Pola po obu stronach wąskiej dróżki usiane były dziesiątkami tablic pochylonych pod dziwnym kątem, przedstawiających czaszki i piszczele na czarnym tle, opatrzonych napisem: ACHTUNG! MİNNEN! Miękkie pobocza zostały rozjechane kołami licznych pojazdów. Nieco dalej majaczyło kilkanaście zapór przeciwczołgowych wykopanych w gliniastej mokrej ziemi. Opopadał stał w polu zrujnowany i wyopatroszony szkielet niemieckiej ciężarówki wojskowej. Mała miejscowość, jak wiele podobnych w Bawarii, przypominała wyglądem fortecę. Sąsiadujące z polami domy i budynki gospodarcze wzniesiono z masywnych bloków kamiennych. Wszystkie zabudowania połączono wysokimi, grubymi kamiennymi ścianami, toteż całość przypominała od zewnątrz długi mur obronny. Sam wjazd przegrodzono ogromną barykadą.

W połowie drogi, nieco na uboczu, tkwił sherman. Rozerwany wybuchem, wciąż się dopalał.

Był to przedni czołg grupy Slatera.

Nie dalej niż przed godziną pocisk wystrzelony z niemieckiego tygrysa ukrytego wśród zabudowań uderzył dokładnie przed nim, wzbijając w powietrze gejzer ziemi. Z przeraźliwym zgrzytem gąsienic czołg skręcił na pobocze, wjeżdżając na błotniste pole - i niemal w tej samej sekundzie trafił go drugi pocisk Niemca. Sherman stanął w płomieniach. Załodze udało się wydostać - zeskoczyli na ziemię, po czym skuleni zaczęli posuwać się skokami w kierunku lasu. Przebyli już niemal sto jardów, gdy natrafili na miny przeciwpiechotne. Powykręcane ciała leżały teraz w błocie - tam, dokąd odrzucił je podmuch. Bob Slater widział to wszystko przez lornetkę, ujrzał nawet wyraz niedowierzania na ich twarzach...

Do jego czołgu podbiegł żołnierz. Slater spojrział w dół. Rozpoznał sierżanta Barkera.

- Nie da rady - oświadczył podoficer. - Tamtędy się nie przedostaniemy.

Kapitan znów spojrzał przez lornetkę.

- Co ja mam teraz robić, do ciężkiej cholery? - rzucił w przestrzeń głuchym głosem.

Od strony budynków dobiegał trzask serii z pistoletu maszynowego.

Slater usłyszał nagle warkot i zgrzyt ciężko pracujących silników: dochodził z tyłu. Obejrzał się. Wąską dróżką posuwała się kolumna pojazdów. Kilku żołnierzy już ją zatrzymywało. Wśród drzew przystanął wąż ciężarówek.

Z gąszczy samochodów wyłonił się dżip i podjechał skrajem dróżki do czołgu kapitana. Miał tabliczkę z pojedynczą gwiazdką. Jeszcze na dobre nie przystanął, kiedy wyskoczył z niego oficer, generał brygady.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - zapytał ostro. - Skąd ten zator? - Spojrzał w górę na Slatera. - Teren powinien być już dawno oczyszczony - warknął gniewnie. - Mam w samochodach całe cholerne dowództwo. Muszę przejechać!

Slater odwrócił ku niemu ściągniętą twarz.

- Panie generale - zaczął tłumaczyć - napotkaliśmy zaciekły opór. - Ni stąd, ni zowąd poczuł nieprzeparte pragnienie śmiechu. Oto sam zaczął mówić „biuletynowym” językiem! - Miasteczko przed nami jest w rękach oddziałów SS - dokończył.

- No to wykurzcie ich stamtąd!

- Mają broń pancerną. Oni...

- Czołgi?

- Tak, panie generale. Ale nie...

- Czy zażądaliście wsparcia artylerii? Lotnictwa?

Slater robił wrażenie przygnębionego.

- Nie, panie generale. Ja...

- Dlaczego nie, do cholery?

Slater przełknął ślinę.

- Tam stoi tygrys...

- Ile mają tych tygrysów?

- Jeden.

- Jeden! - Generał wybuchnął gniewem. - Kurwa mać, człowieku, całą waszą jednostkę zatrzymuje jeden czołg! Rozwalcie go!

- Panie generale...

- Możecie go stąd dosięgnąć, prawda?
- Tak, ale...
- Co za „ale”?! Walnijcie w niego!

Slater spojrział na generała i zacisnął zęby tak mocno, że na szczękach wystąpiły mu węzły napiętych mięśni. Wręczył tamtemu lornetkę.

- Proszę, może pan sam spojrzy - powiedział.

Generał zmierzył młodego oficera wściekłym wzrokiem i wspiął się na pancierz czołgu. Podniósł lornetkę do oczu gniewnym gestem i przez chwilę lustrował cały teren. Zmartwiał porażony grozą.

- Dobry Boże! - wyjąkał. Głos miał chrapliwy z przerażenia.

Slater wiedział, co zobaczył generał... wyrwę w masywnej ścianie oraz wysunięty z niej ohydny, długi ryj tygrysa, przesuwający się powoli tam i z powrotem. A także ludzi. Starców, kobiety, dzieci - dużo dzieci - przerażonych i słoczonych przed murem; setki ludzi. Zagnano ich tam i wystawiono na pociski nieprzyjaciela. Ludzka tarcza chroniąca obrońców-esesmanów schowanych po drugiej stronie, rozrzucone ciała rozciągnięte w błocie...

- Tygrys stoi za murem, generale - wyjaśnił cicho. - Tam, gdzie wyrwa. Widać go. - Zerknął na tamtego, wciąż patrzącego na upiorną scenę. Niech sobie patrzy, pomyślał, aż go oczy rozboleją. Chce tutaj strugać waźniaka? Świetnie! Niech sam podejmuje decyzję!

- Musieli tam spędzić całą ludność tej cholernej dziury - zaopiniował generał. - Jeśli ktokolwiek będzie chciał uciec, zastrzelą go. - Nie potrafił ukryć oburzenia. - A przecież to ich rodacy!

Opuścił szkła i zasępił się.

- Nie możemy ominąć tego miejsca, generale - zauważył Slater. - Nie ma innej drogi. Na polach postawili mnóstwo zapór przeciwczołgowych. Min tam też od cholery.

Generał skinął głową. Przyglądał się zabudowaniom ze zmarszczonym czołem, rozważając coś w duchu.

- Kurewska sytuacja, panie generale. Albo tu utkniemy, albo - wskazał głową Heidendorf- zmasakrujemy tych nieszczęśników!

Generał oddał lornetkę Slaterowi. Przyjrzał się badawczo młodeму oficerowi. Nieoczekiwanie zapytał cicho:

- Jak się nazywasz, synu?
Slater był zaskoczony.

- Slater, panie generale. Robert Slater.

- No cóż, Bob - westchnął generał. - Jeśli znajdziesz się w sytuacji „albo-albo”, zawsze szukaj trzeciej możliwości.

- Słucham?

- Trzeciego wyjścia, Bob. Zawsze jest trzecie wyjście. - Nagle odzyskał animusz. - Czy mówi pan po niemiecku, kapitanie?

Slater potrząsnął głową.

- Niestety nie, generale. - Pytanie zaintrygowało go. Zachodził w głowę, o co tamtemu chodzi.

- A może któryś z pańskich żołnierzy?

- Obawiam się, że nie.

- Rozumiem - westchnął zrezygnowany generał. - Ale ja mówię. - Spojrzał w kierunku Heidendorfu. - Pójdę tam.

Slater rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Pan nie może! - zaprotestował. - W żadnym wypadku. - Zawałał się. - Ja pójdę, panie generale. Jeśli powie mi pan, co mam robić...

- Wykluczone, Bob. Nie potrzebujemy bohaterów. Do specjalnych zadań zawsze wysyłam najlepszego. Ja nim jestem. Potrzebuję dwóch żołnierzy, żeby mnie osłaniali ogniem. - Wskazał na pole. - Spoza tamtego czołgu. To blisko, więc strzały będą celne. Szybko!

Slater zawołał do Barkera:

- Sierżancie! Dajcie mi dwóch ludzi z tomiganami. Natychmiast!

- Okay, panie kapitanie. - Barker odwrócił się w kierunku grupy szeregowców siedzących opodal na ściółce leśnej.

- Kowalski! Davis! - rzucił. - Ruszyć dupy!

Dwie pary oczu wpatrzyły się w niego.

- Taajest, sierżancie!

- Tylko migiem!

Poderwali się. Generał spojrzał uważnie na Slatera.

- Pilnuj tego tygrysa, Bob. Nie wiem, co zrobią. Będę musiał improwizować. Ale szybko się zorientujesz, kiedy nadejdzie twoja chwila. Nie zmarnuj okazji!

- Tak, panie generale. Spróbuję.
- Do cholery, żołnierzu! Co to znaczy „spróbuję”?! Postarajcie się lepiej!

Znów popatrzył w kierunku zabudowań i uśmiechnął się smutno.

- Mówią, że do moich zadań należy „popychanie spraw do przodu”. - Zerknął na kapitana. - Cóż, zobaczę, Bob, co będę mógł dla ciebie zrobić.

Zeskoczył z pancerza czołgu i skinął na stojących w pogotowiu dwóch żołnierzy.

- Trzymajcie się drogi. Kryjcie się w rowie i za czym się da. Poruszajcie się biegiem, ale uważajcie, żeby wam te miny na polach tyłków nie porozrywały. Gdy osiągniecie czołg, strzelajcie. Strzelajcie jak wszyscy diabli. Tak, żeby tamci pochylili głowy.

Zrozumiano?

Obaj żołnierze przytaknęli.

- Zrozumiano, panie generale.

Pobiegli. Slater uruchomił radiostację czołgową.

- Armadillo Trzy, Tu Armadillo Jeden... Joe, trzymasz tego tygrysa na celowniku, prawda? W odbiorniku zatrzeszczało.

- Pewnie, że trzymam, ale...

- Żadnych „ale” - przerwał mu Slater. - Gdy ja wystrzelę, ty też dasz ognia. Tylko żebyś się ani na chwilę nie zawahał. Koniec!

- Zrozumiałem. Koniec.

Od strony pola zaterkotała seria z pistoletu maszynowego. Slater chwycił lornetkę i spojrzął.

Generał oraz dwóch szeregowców osiągnęli już dymiący czołg. Kowalski i Davis okładali teraz ogniem szczyty murów i okna budynków, kierując serie ponad głowy przypadających do ziemi cywilów. Oślaniali generała, który biegł ku wrakowi niemieckiego pojazdu.

Sierżant Barker podszedł do generalskiego dżipa, spojrzął w stronę zabudowań i zagadnął kierowcę:

- Kim on jest, u diabła? - Wskazał w dal. - Przecież to nie oficer liniowy. - W jego głosie zabrzmiał niechętny podziw.

Kierowca poczuł się nagle ważny.

- To generał Thurston. Howard Thurston z korpusu zaopatrzenia. - Zrobił pauzę dla uzyskania lepszego efektu. - Thurston „Trzecie Wyjście” we własnej osobie.

- Kto taki? - zapytał zdziwiony Barker.

- Thurston „Trzecie Wyjście”. Tak go nazywają. Postawią go pod ścianą - a on zawsze znajdzie trzecie wyjście!

Strzałom żołnierzy osłaniających generała odpowiedział ogień Niemców. Barker i kierowca spojrzeli w tamtym kierunku.

- Tym razem wybrał sobie cholernie zabawne trzecie wyjście - zauważył cierpko sierżant.

Slater uważnie obserwował teren. Generał Thurston, który osiągnął już wrak ciężarówki, wyskoczył raptownie spoza osłony i rzucił się ku zaporze przeciwczołgowej, znajdującej się poza zasięgiem ognia z flanki. Esesmani za wszelką cenę usiłowali wymacać go pociskami.

- Armadillo Trzy! - rzucił Slater podniesionym głosem. - Mike! Daj ognia ponad ich głowami! Niech sukinsyny klapną na ziemię!

Armata czołgu odpaliła niemal natychmiast - tygrys odpowiedział ogniem, a jego pocisk, skierowany na ślepo ku ukrytemu shermanowi, wyładował w pobliskiej kępie drzew. Slater przywarł do szkielec lornetki.

Thurston wykorzystał wymianę ognia i znalazł się u podnóża ściany, poza zasięgiem broni esesmanów. Kowalski i Davis nadal strzelali. Slater skierował lornetkę wprost na generała. Ujrzał jak ten, gestykulując gorączkowo, tłumaczy coś starszemu mężczyźnie oraz kilkunastu innym cywilom.

Nagle z tyłu dobiegł go grzmot wybuchu.

Barker natychmiast rzucił się na ziemię.

- Moździerz! - wrzasnął. - Padnij!

Slater obejrzał się szybko. Jeden z ostatnich pojazdów w zatrzymanej kolumnie dostał i płonął teraz gwałtownie, buchając kłębam ciemnego dymu. Żołnierze rozbiegli się w poszukiwaniu osłony. Po obu stronach leśnej drogi rozerwały się dwa kolejne pociski. Slater usłyszał basowy pomruk zapuszczanego silnika czołgowego. Spadły trzy następne pociski - tym razem z przodu. Kapitan poczuł gorącą falę strachu. Obramowują nas! - pomyślał z rozpaczą. Wstrzelali się w drogę! Zostaną z nas strzępy!

Jeszcze jeden czołg zapuścił silnik. Slater krzyknął do mikrofonu:
- Zostań na miejscu, łajzo! Pilnuj tego tygrysa, Joe! Nie zmieniaj pozycji!

Zerknął przez lornetkę. Dalej, generale, przynaglił tamtego w duchu. Nie mam pojęcia, co zamierzasz zrobić, ale do diabła - zrób to!

Do czołgu podbiegł sierżant Barker.

- Musimy stąd spieprzać! - wrzeszczał. - Ładują akuratnie jak cholera!

Zatrzeszczała radiostacja.

- Bob! Mam im dołożyć?

- Spokój! - rzucił Slater do mikrofonu.

W ruinach gospodarstwa rozerwały się dwa moździerzowe pociski. Rozległo się stamtąd wołanie o sanitariusza. Na końcu kolumny też zadudniło kilka razy. Barker krzyknął:

- Ten konwój jest jak na patelni! Przyblokowało ich z tyłu!

Kapitan odwrócił się z wysiłkiem. Droga była czarna od dymu. Jedna z ciężarówek, ugodzona pociskiem, płonęła i dymiła na środku drogi; inna, usiłująca skręcić na wąskiej przestrzeni, utknęła w rowie. Przejazd został zablokowany.

Slatera zdjął paniczny strach. Poczul się zdradzony. Diabli nadali tego generała! Kiedy Thurston wziął sprawy w swoje ręce, poczul ulgę, ale teraz i tak sam musi podjąć ostateczną decyzję - tyle że będzie mu jeszcze trudniej ją podjąć. Rozwścieczyła go niesprawiedliwość tego świata. Jak przez mgłę usłyszał krzyk Barkera:

- Musimy stąd wiać!

Było tylko jedno wyjście. Trzeba rozwalić tego tygrysa, bo inaczej nie dostanie się do Heidendorfu i nie uciszy moździerzy. Aza chwilę rozstrzelają cały konwój. Musiał otworzyć ogień. Zabić cywilów. Kobiety. Dzieci. No i na dokładkę - generała...

Z poszarzałą twarzą spoglądał na małą miejscowość, która stała się jego prywatnym piekłem. Rozerwały się dalsze pociski. Poczul lodowaty dreszcz. Wiedział, co musi zrobić. Spojrzał przez lornetkę na swój cel. Groźny ryj tygrysa sterczał ohydnie przez wyrwę w murze. Poniżej tłoczyli się sparaliżowani strachem zakładnicy, wśród nich był generał.

Z zaciśniętych na lornetce palców Slatera odpłynęła krew.

- Przygotować się do otwarcia ognia! - rozkazał. Odniósł wrażenie, iż z gardła wydobyło mu się ochryple krakanie. Zimne, obojętne soczewki lornetki polowej obejmowały scenę rozgrywającą się u stóp odległego muru. Slater poczuł przemożną ochotę odrzucenia precz szkieł, jakby ten gest mógł wymazać ze świadomości obraz potwornej rzezi, jaka - dobrze o tym wiedział - zaraz rozpocznie się na ich oczach. Otwierał już usta, żeby wydać rozkaz, i nagle ujrzał, że generał podrywa się na równe nogi. Jego wyprostowana sylwetka rysowała się wyraźnie na tle postaci skulonych Niemców. Szybko machnął kilkakrotnie nad głową zaciśniętą pięścią. Cywile zaczęli natychmiast wstawać. Rozproszeni na dwie grupy, przywierając instynktownie do muru, rozbiegli się w przeciwnych kierunkach, pozostawiając przed czołgiem, nieoczekiwanie pozbawionym żywych tarcz, pustą przestrzeń.

- Udało mu się! - wrzasnął Slater. Głos aż mu wibrował z radośnego uniesienia. - Ognia! Ognia! Damy teraz popalić tym sukinsynom!

Jego ostatnie słowa utonęły w łoskocie salw. Pociski przeciwpancerne rozdzierały raz po raz tygrysa pozbawionego osłony. Po sekundzie niemiecki czołg eksplodował w kuli ognia.

Shermany wyłoniły się z lasu. Ze szczękiem, klekotem i dudnieniem zmierzały w triumfalnym orszaku wprost ku ogrodzonej barykadami osadzie. Za czołgami szli żołnierze. Pociski rozrywały odsłonięte ściany budynków.

Nietknięci niemieccy cywile tłoczyli się po obu stronach muru.

Heidendorf Godzina 17.12

Stojący przy drodze wylotowej z Heidendorfu, pomalowany w czarno-białe spiralne pasy drogowskaz głosił: MONACHIUM 37 KM.

Bitwa dobiegła końca. Esesmani stawiali zaciekły opór, ale ostatecznie ulegli czołgom i piechocie.

Jednostka pancerna Slatera dokonywała przegrupowania opodal biegnącej dalekimi peryferiami drogi. Po przeciwnej stronie leżeli na polu odpoczywający po walce ludzie Barkera. Droga wiodąca ku stolicy Bawarii była zapchana amerykańskimi żołnierzami i pojazdami.

Mieszkańcy Heidendorfu rozpoczęli już pobitewne porządki. Niektórzy rolnicy zajęli się bydłem na polach, inni zaś najpilniejszym obrządkiem przerwany przez działania wojenne. Wojna weszła w życie tych ludzi gwałtownie i okrutnie - ale o gospodarstwa, zapewniające egzystencję, należało dbać zawsze.

Niewielka gromadka starszych rolników, posuwających się ostrożnie poboczem, podeszła do czołgu Slatera. W postawie Niemców była jakaś siła i godność. Wszyscy zatrzymali się przy czołgu i zadarli głowy, spoglądając na stojącego w wieżyczce Slatera. Jeden z przybyłych, trzymając kapelusz w ręku, wystąpił krok naprzód.

- *Ich bin Ortsbauernführer Tiemann, Herr Offizier* - powiedział drżącym z przejścia głosem. Jego oczy, głęboko osadzone w ogorzałej, pomarszczonej twarzy, lśniły od łez. - *Ich... ich möchte...*

Drogą przejeżdżał dżip generała Thurstona. Generał zawołał do Slatera:

- Dobra robota, Bob! I pamiętaj: zawsze szukaj trzeciego wyjścia! Slater zasalutował.

- Tak jest, panie generale! - krzyknął z szerokim uśmiechem na twarzy.

Dżip odjechał. Slater zajął się Niemcami. Usłyszał słowa starca:

- *Wir danken Ihnen, Herr Offizier. Sie haben uns das Leben gerettet! Bitte, wir...*

Kapitan pokręcił głową.

- Nie mówię po niemiecku - odparł. - Nie wiem, czego chcecie. - Wskazał w kierunku zabudowań. - Wracajcie do domów!

Niemiec skłonił się. Inni poszli w jego ślady.

- *Vielen Dank, Herr Offizier! Sehr vielen Dank!* Z godnością odwrócili się i odeszli w kierunku swoich gospodarstw.

Slater zawołał do sierżanta:

- Barker! Za kwadrans ruszamy!

Sierżant Barker skinął głową. Dokonał krótkiego przeglądu swoich ludzi. Byli w dobrej formie. Rozejrzał się. Z tyłu sunął powoli po polu dziwaczny wóz zaprzęzony w dwa perszerony. Był to wóz z gnojówką wypełniającą duży drewniany zbiornik; przypominał wyglądem potężną wydłużoną baryłkę piwa osadzoną na kołach. Na koźle siedział starszawy rolnik. Uderzał leniwie długim batem stare szkapy wlokące ciężki pojazd, za którym po świeżo zaoranym polu ciągnęła się wąska strużka płynnego nawozu.

Chłop obserwował beznamiętnie ruch wojska na drodze. Swoją postawą wyrażał całkowitą obojętność. Nawożenie gleby, to było najważniejsze. Przerwało mu je najpierw SS, a potem Amerykanie, którzy starli się z esesmanami - ale wreszcie mógł podjąć swoje zajęcie. Do zmierzchu pozostała jeszcze godzina. Wykorzystają, choćby waliło się i paliło. Choćby nawet działania wojenne znów się zaczęły.

Barker przyglądał się spod oka wozowi. Lekko poirytował go zupełny brak zainteresowania rolnika jego żołnierzami. Przecież dopiero co przejechali się solidnie po rodakach tego szkopa! Zawołał na dwóch szeregowców leżących na zboczach rowu.

- Hej! Kowalski! Davis! Sprawdźcie no tę landarę!

Żołnierze niechętnie unieśli głowy.

- No nie, sierżancie, niech pan da spokój! - zaprotestowali obaj jednocześnie.

- Ruszyć dupy, do cholery! - rzucił Barker. Nie był w nastroju do pertraktacji. Szeregowcy poderwali się na równe nogi. Kowalski spojrział na sierżanta. Na jego twarzy odmalowało się obrzydzenie. Barker łypnął złym okiem.

- I zmień ten wyraz buźki, bo jak nie, to ja ci go zmienię. A teraz biegiem!

- Okay, okay - mruczał gderliwie Kowalski. - Jaja panu z nerwów odpadną, sierżancie.

Ruszyli w kierunku wozu z gnojówką.

Barker odprowadził ich wzrokiem i pociągnął z manierki. Żołnierze podeszli bokiem do wozu, który właśnie się zatrzymał.

Nie spuszczał z nich oka. Ot tak, na wszelki wypadek. Kowalski obszedł wóz dokoła, podczas gdy Davis przyjrzał się woźnicy. Po chwili dwaj żołnierze rozpoczęli pośpieszny odwrót.

Gdy znaleźli się obok Barkera, padli na ziemię.

- Żałuję, że nie mam maski gazowej - oznajmił Kowalski. - Ta landara jest pełna gówna!

- To nie gówno, baranie - poprawił go Davis. - Nazywają to „naturalnym użyźniaczem”.

- Taa? Co mnie obchodzi, jak to nazywają. Cuchnie jak sto diabłów! Jakby cała kompania popuściła w spodnie!

Barker spojrział na nich spode łba.

- Sprawdziliście dokładnie? - zapytał.

- Pewnie. Nic tam nie ma. - Kowalski popatrzył niechętnie na sierżanta. - A co by pan chciał tam znaleźć? Tajną broń Hitlera? - Zerknął w kierunku wozu i prychnął ironicznie.

Barker już miał przywołać go do porządku, gdy dobiegł ich głos Slatera:

- Ruszajcie, sierżancie! Zerwał się.

- Okay, panowie. Jedziemy!

Niemiec siedzący na koźle gnojownika patrzył beznamyślnie na odchodzących żołnierzy. Podrapał się w lewe ramię. Pragnął to zrobić już od dawna - ramię zaczęło nagle swędzieć, kiedy podeszli do niego ci dwaj Amerykanie. Im dłużej czekał, tym mocniej swędziało. Powstrzymywał się z drapaniem na oczach żołnierzy, choć wiedział, że nic by nie wykryli. W Thürenbergu wykonali doskonałą robotę. Nie pozostała najmniejsza blizna, tatuaż zniknął bez śladu. Nie miał powodów do obaw.

Na dużej „cebuli” sprawdził, która godzina.

Verflucht! - pomyślał gniewnie. Był już spóźniony.

Kilkakrotnie uderzył konie długim batem.

- *Kür! Kür!* - zawołał.

Konie naprężyły się w jarzmie i ruszyły z miejsca wóz, który powoli zaczął posuwać się po polu. Rolnik wyłowił z kieszonki kamizelki jakiś przedmiot i spojrział nań.

Był to kompas.

Ściągnął lejce, zmieniając nieco kierunek jazdy. Spojrzął ponownie na kompas, po czym schował go do kieszeni i zatrzymał wóz.

Pieczołowicie umocował bat w dwóch metalowych uchwytach z boku kozła, zeskoczył na ziemię, zbliżył się od tyłu do gnojownika

i zakręcił kran spryskiwacza. Ze schowka wydobyl parę płóciennych worków z obrokiem i trzymając je w dłoniach podszedł do koni, które obserwowały go z wyczekiwaniem w oczach.

Mijając zbiornik z płynnym nawozem kilkakrotnie mocno zapukał w deski.

Kiedy Pitterman usłyszał to pukanie, ogarnęła go fala ulgi. Tym razem oznaczało, że wszystko jest w porządku i może zacząć działać. Dopiero teraz zauważył, jak silnie napiął mięśnie.

Gdy kilka minut wcześniej dobiegło go ostrzegawcze stukanie, natchmiast zamknął dopływ światła i znalazł się w całkowitych ciemnościach. Wiedział, że coś poszło nie tak, i natężył słuch - słyszał jednak tylko szybkie, rytmiczne pulsowanie krwi w uszach.

Czekał w napięciu, zdenerwowany i samotny.

Odór panujący w ciasnym wnętrzu zbiornika nagle zaczął go dusić. Zbierało mu się na torsje. Naszła go przemożna chęć wyjścia z tej cholernej beczki. Czyżby wpadli? Może za chwilę przedziurawi zbiornik seria z pistoletu maszynowego? Byłaby to paskudna śmierć - wewnątrz śmierzącego wozu z gównem!

Nieoczekiwanie zdjął go gniew. Pomyśl był świetny - umieścić przenośną polową radiostację wewnątrz gnojownika. Komu przyjdzie ochota zajrzeć do środka? Wspaniale - pod warunkiem, że to nie pomysłodawca musi kulić się w tej beczce przez kilka godzin.

Cóż tam się dzieje, u diabła? Jeszcze bardziej natężył słuch. Nic jednak nie usłyszał.

Wóz powoli ruszył. Dobiegł go chłopot płynnego nawozu w tylnej części zbiornika. Zaciśnął zęby i skupił całą uwagę na odgłosach z zewnątrz.

Skręcili. Czy woźnica zmieniał pozycję, żeby umożliwić mu nadawanie kierunkowe? A może tylko odprowadzano wóz gdzieś na bok, by go przeszukać?

Zatrzymali się i usłyszał, jak człowiek na koźle mocuje bat w uchwytach. Wiedział, że metalowa obsada tego przedmiotu stanowi część anteny kierunkowej podwieszanej na izolatorach i biegnącej wzdłuż obu wewnętrznych ścian zbiornika. Oba uchwyty tworzyły zakończenie obwodu. Urządzenie było gotowe do nadawania. Czy

jednak woźnica naprawdę przygotował się do nadawania? Może tylko słuchał poleceń wroga?

Usłyszał, jak tamten schodzi z kozła i zakręca kran, po czym dobiegło go stukanie oznaczające: „wszystko gotowe”.

Pitterman włączył pojedynczą żarówkę. Światło odbiło się od metalowej płytki izolującej jego osobliwą kabinę radiooperatora od ścianki zbiornika.

Spojrzał na zegarek. Mieli już dwie minuty opóźnienia, jeszcze minuta i nawiązanie łączności stanie się niemożliwe. Szybko przebiegł spojrzeniem spis czynności: akumulatory podłączone, azymut prawidłowy - trzeba tylko ustawić właściwą częstotliwość i nadać sygnał wywoławczy. Nałożył słuchawki, sprawdził tablicę rozdzielczą i zaczął wysyłać litery sygnału. Zaraz potem w słuchawkach rozległo się słabe popiskiwanie.

Słuchał w napięciu, zapisując nadawaną wiadomość w oświetlonym blaskiem żarówki notatniku. Kiedy zakończył odbiór, natychmiast rozpoczął przekazywanie.

Weiden

Godzina 17.39

Gdy Erik i Don powrócili z dowództwa korpusu, nad małym miasteczkiem Weiden zapadał już chłodny zmierzch.

Weszli do budynku więzienia i natychmiast udali się do pokoju przesłuchań. Erika rozpierało podniecenie. Wraz z Donem przedstawili swój plan w dowództwie, powodując puszczenie w ruch całej maszyny. Wszystko poszło nadspodziewanie gładko. Kiedy wychodzili, Erik poradził przyjacielowi:

- Lepiej zabierz również kilka racji K*. Nie wiadomo, jak długo to potrwa.

- Dobra.

Racja K - połowa racja w armii amerykańskiej, złożona z trzech pudełek kartonowych rozmaitej wielkości. Pudełka te zawierały zestaw śniadaniowy, obiadowy i kolacyjny. Każdy z nich składał się z małej puszkki pożywienia wysokobiałkowego, sucharów, batonu czekoladowego albo prasowanych suszonych owoców, kawy instant lub sproszkowanego koncentratu soku owocowego, cukru, gumy do żucia, papierosów oraz papieru toaletowego (przyp. tłum.).

Otworzył drzwi i obaj weszli do pokoju.

Dziewczyna płakała. Poczul współczucie - wyglądała tak bezbronie. Przy biurku siedział sierżant Murphy. Erik wlepił w niego wzrok bazyliuszka.

Sierżant rozpiął się na krześle jak basza, palił papierosa i bawił się ołówkiem, strugając arcyważną personę. Jednak kiedy ich zobaczył, skoczył na równe nogi.

- Och! Dzień dobry! - Uśmiechnął się głupawo. - Ja, tego... ja...

Gwałtownie szukał wymówki, dzięki której mógłby uratować twarz. Wskazał na Anneliese.

- Ma pan gościa - oznajmił radośnie. - Na pewno pan ją pamięta. Ale są jakieś kłopoty - zakończył zagadkowo.

Erik milczał, mierząc sierżanta jadowitym spojrzeniem. Ten zaczął się wycofywać w stronę drzwi.

- Cóż, jeśli nie jestem już potrzebny, to może... Myślałem, że mógłbym... w czymś pomóc.

- Dziękujemy wam, sierżancie Murphy - skwitował Don z naciśkiem. Murphy'ego jakby wymiotło. Erik podszedł do Anneliese. Powrócił mu już spokój.

- Co się stało? - zapytał łagodnie dziewczynę. - Myślałem, że jest pani dawno w drodze.

Anneliese popatrzyła na niego wielkimi, mokrymi od łez oczyma.

- Tak, tylko że... tylko że ja... - Jej głos się załamał. Opuściła głowę i zaczęła cicho łkać.

- Erik, pozwól tutaj! - zawołał od drzwi Don. Kiedy Erik podszedł do niego, Don wskazał dziewczynę.

- W nic się teraz nie wplątuj. Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Wiem! - powiedział Erik ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Ogarnęło go zmieszanie. - Musimy być na tym folwarku dopiero za dwie godziny. Zdażymy.

- Ale jeśli zaczniesz teraz zgrywać błędnego rycerza, na pewno nie zdażymy. Ona może nam zdrowo namieszać.

Erik poczuł nagły przypływ gniewu.

- Na litość boską! - prychnął. - Czy ty zawsze musisz krakać?

Don wzruszył ramionami.

- Okay, stary - odparł pojednawczo. - To twój problem. Odwrócił się, zamierzając wyjść z pokoju. Erik zatrzymał go.

- Słuchaj, Don... - zaczął. - Spojrzał w stronę dziewczyny. Przeszła płakać i suszyła oczy chusteczką. Do diabła, co się ze mną dzieje? - wyrzucał sobie w duchu. - Ta mała ma kłopoty.

- Któż ich nie ma?

- Boi się. Być może mógłbym ją szybko uspokoić.

- O, pewnie, że tak!

- A może byś tak zaczął zbierać graty? Zaraz po ciebie przyjdę.

- Jasne, że przyjdiesz! - Don potrząsnęła głową. - Okay. Ratuj swoją damę. Ale nie spieprz roboty!

Kiedy wyszedł, Erik zbliżył się do dziewczyny i spojrzał jej w oczy.

- Już wszystko w porządku, Anneliese - uspokoił ją. - Powiedz mi teraz, co cię spotkało?

- Odmówili mi przepustki w waszym urzędzie wojskowym - wyjaśniała płaczliwie dziewczyna. - Na podróż do domu, do Ratyzbony. Powiedzieli, że droga jest zamknięta dla cywilów. Na wiele dni. Ale ja nie mogę tu zostać. Nie znam tu nikogo. Ten drugi oficer powiedział mi, że mogę wrócić do domu. Sam pan słyszał. A mówił pan, że...

Erik przerwał jej:

- Spokojnie. Nie martw się. Jakoś temu zaradzimy.

Popatrzyła na niego z nadzieją w oczach. Ruszył w stronę drzwi.

- Chodź ze mną. Pójdziemy do zarządu. Dowiemy się, o co chodzi.

Opodal więzienia spostrzegli na ulicy jedynie kilku cywilów śpieszących do domów przed zapadnięciem zmroku i godziną policyjną.

Erik zobaczył zapaloną zapalkę spadającą ukośnym lotem na chodnik. Jego wzrok zarejestrował wprawdzie niewielki rozbłysk, ale nie zwrócił na niego uwagi, zbyt zaabsorbowany obecnością Anneliese. A już z pewnością nie skojarzył tego błysku ze swoją własną osobą.

Stojący w głębokim cieniu zabitej deskami sieni osobnik zapalił ułomek papierosa. Zapalenie zapalki i zbliżenie jej do niedopałka odbyło się płynnie, choć mężczyzna był pozbawiony jednej ręki.

Płomyk oświetlił na sekundę jego twarz. Jedno oko zakrywała przepaska.

W bocznej uliczce opodał budynku więzienia drugi Niemiec kłęzczał przy starym, zdezelowanym rowerze, poprawiając łańcuch. Oparty o ścianę domu wehikuł załadowany był stertą sprzętu domowego oraz powiązаныmi sznurkiem kartonowymi pudłami. Do zarzewiałej kierownicy przyczepiono podarty plecak.

Kiedy zapalka poszybowała na chodnik, mężczyzna wstał z kłęczek, pociągnął daszek wybrudzonej skórzanej czapki i odstawił rower od ściany. Popychając go mozolnie, okrążył narożnik budynku i znalazł się na ulicy, za Erikiem i Anneliese. Stary rower pozbawiony był opon, nagie obręcze pobrzękiwały metalicznie na płytach chodnikowych. Mężczyzna ani na chwilę nie spuszczał oka z poprzedzającej go pary. Był to Krauss.

Jeden z domów stojący opodał więzienia otrzymał bezpośrednie trafienie. Zwały pyłu i gruzu leżały na chodniku i na jezdni. Dwóch mężczyzn torowało wśród nich wąską ścieżkę dla pieszych. Gdy Erik i Anneliese się zbliżyli, obaj ładowali właśnie na drewniany wózek narzędzia oraz kilka ocalałych desek. W zapadającej ciszy wyraźnie dawał się słyszeć klekot roweru. Czyściciele rumowiska podnieśli głowy.

Erik przepuścił dziewczynę przed sobą i ruszył w ślad za nią. Był już w połowie dróżki, kiedy mężczyzna składający narzędzia na wózek udał, że potyka się na cegle. Runął, a upadając uderzył ciałem w nogi Erika.

Erik zwałił się na ziemię i znalazł się u stóp drugiego mężczyzny. Spojrzał w górę.

Twarz tamtego wykrzywił grymas zacieklej nienawiści, zaciśnięty w dłoniach kilof uniósł wysoko i wymierzył cios prosto w głowę Amerykanina. Erik wykonał błyskawiczny unik, choć był przekonany, że nie zdąży. Ostrze kilofa wbiło się w gruz tuż obok jego ucha, zasypując mu twarz deszczem ostrych odłamków.

Sięgnął do kabury pod pachą po rewolwer.

Widział Niemców jak na dłoni. Ten, który zwałił go z nóg, gramolił się z ziemi, człowiek z kilofem odyskiwał równowagę.

Palce Erika dotknęły chłodnego, masywnego chwytu broni.

Nagle usłyszał okrzyk Anneliese:

- *Pass auf.*

Natychmiast wykonał obrót całym ciałem. Musiał przy tym puścić rewolwer. Za plecami miał Kraussa, który właśnie przymierzał się do kopnięcia go podkutym butem w skroń.

Ręce Erika wystrzeliły w górę i chwyciły zbliżającą się nogę przeciwnika. Wprawdzie nie mógł już zatrzymać uderzenia, ale udało mu się odchylić ciężki bucior. Jego okuty czubek trafił go w kark, cios nie miał już jednak impetu. Amerykanin pociągnął z całej siły za but i Krauss runął ciężko w rumowisko.

Erik przeturlał się w stronę jezdni i przykleknął na jedno kolano, trzymając w dłoni rewolwer.

Jeden z napastników umykał w głąb ulicy, kryjąc się za grupką ludzi, którzy nadeszli podczas utarczki. Drugi również stał na nogach; wymierzył Anneliese potężne pchnięcie, które powaliło dziewczynę w gruzy, po czym rzucił się do ucieczki. Erik skierował instynktownie rewolwer w jego kierunku, ale podnosząca się dziewczyna znalazła się na linii ognia.

Błyskawicznie odwrócił się w stronę Kraussa, Niemiec zniknął już jednak za resztkami zwałonej ściany. Erik wprawdzie wystrzelił, jednak wiedział z góry, że pocisk chybi celu.

Nagle zobaczył, że na ulicy pozostali już tylko on i dziewczyna. Gapie znikali pośpiesznie w mroku, zobaczywszy, iż z daleka biegnie w ich kierunku kilku żołnierzy.

Anneliese stała nieruchomo i wpatrywała się w Erika wylęknionymi oczami, drżąc na całym ciele.

Erik schował broń do kabury. Podeszedł do dziewczyny i położył dłonie na jej drżących ramionach.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Dziękuję ci, Anneliese. Dziewczyna podniosła wzrok i ich spojrzenia spotkały się na kilkanaście sekund. Potem zacisnęła powieki, osunęła się w jego objęcia i złożyła mu głowę na ramieniu. Jej cichy szloch wyrażał jednocześnie strach i ulgę.

Erik objął drżącą dziewczynę. Poczł kruchość jej ciała i jego ciepło. Owionął go świeży zapach jej włosów, zmieszany z kwaśno-słodką wonią strachu. Anneliese bez reszty opanowała jego myślami...

Incydent w gruzach trwał dokładnie dwadzieścia trzy sekundy. Nadbiegli Don i Murphy. Sierżant trzymał gotowy do strzału karabinek.

- Co tu się dzieje? - wypytywał Don. - Do diabła, co to za strzelanina?

Erik wypuścił dziewczynę z objęć.

- Już po wszystkim - wyjaśnił spokojnie.

- Co się stało?

- Jakiś pieprzony pomyleniec chciał dziabnąć mnie w głowę kilofem. - Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, Erik poczuł nagły przyływ gniewu. - Niech go jasna cholera!

Don przeniósł spojrzenie z Anneliese na Erika. Stwierdził z ulgą, że przyjacielowi nic się nie stało, ale zirytowała go jego nieostrożność.

- Nie poszłoby im łatwo - zauważył sarkastycznie - ze względu na grubość twojego ciężkiego łba.

Erik popatrzył na niego zaskoczony. Jeszcze nie widział swojego kumpla tak wzburzonego. Wciąż nie mogąc się uspokoić, Don dodał:

- Powinieneś uważać. Wychodzić samotnie o tej porze i jeszcze holować jakąś cholerną Fräulein! Może wydaje ci się, idioto, że jesteś w Brooklynie?

Zbliżył się Murphy.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał.

Erik odwrócił się do sierżanta. Anneliese stała w milczeniu obok, ale jemu wciąż się wydawało, że trzyma ją w ramionach. Nadal miał w nozdrzach jej zapach.

- Tak, Jim - powiedział. - Zajmij się dziewczyną. - Nie martw się - zwrócił się łagodnym tonem do Anneliese. - Zabierzemy cię do Ratzbony.

- Gdybyście panowie byli tak uprzejmi... - odezwała się cicho.

Erik rzucił Murphy'emu:

- Powiecie porucznikowi Howardowi, żeby pozwolił jej zabrać się ciężarówką z zaopatrzeniem do Ratzbony. Jutro o świcie. Jasne? Na moją odpowiedzialność.

- Tak jest.

Sierżant podszedł do dziewczyny, uśmiechając się szeroko.

- Widzisz, dziecinko - oznajmił poufałym tonem - mówiłem ci, że wszystko załatwię.

Erik nie odrywał od nich spojrzenia.

- Przepraszam, że się wtrącam - zauważył Don - ale...

Jego przyjaciel otrząsnął się z zamyślenia.

- Tak. Lepiej ruszajmy.

Skierowali kroki ku więzieniu. Murphy wraz z dziewczyną podążali za nimi. Don obserwował kątem oka swojego kompana. Doszedł do wniosku, że coś go gryzie, i to już od dawna. Chyba powinien mu pomóc.

- Erik, brachu - zaczął - jak tak dalej pójdzie, to możesz wpaść w nieliczne tarapaty.

Erik puścił to mimo uszu.

- Jednego nie rozumiem - stwierdził. - Dlaczego mnie nagle zaatakowali? A może to nie było przypadkowe? - Zerknął na Dona. - Czy sądzisz...

- Nietrudno się domyślić, dlaczego. Szkopy nie lubią, gdy „Amerykaniec” paraduje z którąś z ich pięknych Fräulein. Zwłaszcza jeśli pracuje w „amerykańskim gestapo”. Zdenerwowałeś ich, to wszystko.

- Może masz rację - przyznał Erik, myśląc już o czymś innym. Mieli teraz ważniejsze sprawy na głowie. - Czy wszystko przygotowałeś?

- Taa. Ale muszę tu zostać i czekać na potwierdzenie z dywizji. Jeszcze nie ruszyli dup i niczego nie załatwili.

- Okay. Wyruszam w takim razie na folwark sam. Puszczę w ruch cały interes.

- Dobra. Zajmiemy się tu całą resztą wraz z Jimem. - Don uśmiechnął się pod wąsem. - Nie zapomnimy też o kwitku TS* dla twojej przyjaciółki!

W oryg. „TS slip” - w ówczesnym amerykańskim slangu żołnierskim terminów oznaczał „zły los”, „pecha”, „niepowodzenie”; jeśli ktoś uskarżał się na coś itd., oznajmiano mu, iż nic nie może wskórać, ponieważ prześladuje go zły los (przyp. tłum.).

Znaleźli się kilka kroków od więzienia. Na ulicy było pusto, jeśli nie liczyć samotnego mężczyzny w cywilu, zmierzającego pośpiesznie w ich kierunku. Do godziny policyjnej brakowało zaledwie kilku minut. Mężczyzna kulał, jeden pusty rękaw jego wojskowej cętkowanej bluzy był złożony i przypięty do ramienia, a oko przykrywała mu

gruba czarna przepaska.

Kiedy zbliżył się do Amerykanów i dziewczyny, zбочył na jezdnię, ustępując im miejsca.

Schönsee

Gospodarstwo Zollnera

Godzina 19.13

Wybierając folwark Zollnera na punkt dowodzenia operacją, Erik i Don kierowali się kilkoma przesłankami. Gospodarstwo leżało dokładnie na północ od Schönsee, przy drodze prowadzącej do Eslarn, i jego północne grunty graniczyły z lasem, w którym według Plewiga kwaterowała jednostka Werwolfu; ponadto jego budynki stały puste. Zollner sprawował funkcję lokalnego Ortsbauernführera i przezornie wolał pozostać w swej urzędowej siedzibie, by tam przywitać Amerykanów.

Zabudowania folwarku otaczał od strony lasu szpaler drzew, a składały się na nie budynek mieszkalny, stodoła, stajnia oraz kurnik. Choć na samym środku podwórka wznosiła się sterta ciekącego obornika, wciąż jednak pozostawało sporo wolnej przestrzeni, której znaczną część odgrodzono drutem kolczastym. Ośmiu albo dziesięciu szeregowców urządziło tam tymczasowy obóz jeniecki: wyładowywali z ciężarówki zwoje drutu, wznosili narożne stanowiska karabinów maszynowych oraz słupy, na których miały zawisnąć reflektory.

Wieczór był świeży i pogodny, a żołnierze nie mitrężyli czasu. Naramienniki i „łapki” na kołnierzach świadczyły o tym, że należą do żandarmerii 97 dywizji.

Erik był zadowolony. Przygotowania postępowały w dobrym tempie. Z oddalonego lasu nikt nie mógł niczego zauważyć. Podszedł do sierżanta zajętego instalowaniem oświetlenia.

- Jak idzie, sierżancie?
- Okay. Za kilka godzin powinniśmy skończyć.
- Świetnie. Byłoby dobrze, gdyby pańscy żołnierze poszli potem spać. Jutro czeka ich pracowity dzień. - Wskazał na stodołę. - Jest pełna siana. Tam się możecie rozłożyć.
- Niezły pomysł.

Sierżant Sammy Klein łypnął podejrzliwie na agenta CIC. Komuś

jak zwykle coś się popieprzyło. Obóz jeniecki pod gołym niebem dla werwolfowców? Wiedział wprawdzie, że ci faceci z kontrwywiadu są trochę *meszuge*, ale żeby zaraz wilkołaki? Dowodzone, ma się rozumieć, przez Frankensteina i Draculę! Jednak to on odpowiadał za swoich jedenastu chłopaków, powinien więc wiedzieć jak najwięcej o tej operacji. Teraz nadarzała się dobra okazja. Podsunął Erikowi przewody reflektorów.

- Czy mógłby pan potrzymać je przez chwilę? - poprosił. - Tak, żeby nie przeszkadzały? Muszę umocować ten słup.

Erik chwycił druty.

- Oczywiście.

- Proszę mi powiedzieć, kim są te, hm, wilkołaki, na które pan poluje?

- To organizacja fanatyków.

- Taa?

- Przysięgli, że będą terroryzować ludzi nawet po zakończeniu wojny.

- Czy to oni tak urządzili tych dwóch w rzece?

Erik potwierdził.

- Najprawdopodobniej.

Klein splunął na kocie łby dziedzińca.

- Draństwo - oznajmił z obrzydzeniem. Skończył przytwierdzanie słupa do starej pompy ręcznej i odebrał przewody od Erika.

- Dzięki.

Zaczął okręcać kabel wokół słupa.

- Skąd ta kretyńska nazwa „wilkołaki”?

- Ze średniowiecznego zabobonu, głoszącego, iż niektórzy ludzie mogą zamieniać się w krwiożercze wilcze bestie.

Klein parsknął śmiechem.

- To samo dzieje się z każdym żołnierzem na trzydniowej przepustce!

Erik uśmiechnął się.

- Nie o takie wilki chodzi, Klein. - Spoważniał. - Tamte bestie trzymały w strachu całą okolicę za pomocą bestialskich morderstw i niszczenia wszystkiego wokół. Właśnie to samo zamierzają robić hitlerowskie „wilkołaki”.

Klein wskazał ruchem głowy las na horyzoncie.

- I podobno gdzieś tam się ukrywają?
- Na pewno. Nie wiemy tylko dokładnie, gdzie. Możliwe, że nawet tuż za ostatnim polem.

Klein spojrział na Erika lekko zaniepokojony.

- Wielkie dzięki! Chyba wystawię na noc wzmocnione posterunki. Skończył robotę i cofnął się o krok, żeby podziwiać swoje dzieło.

- No, to byłoby na tyle.

Erik zerknął na zegarek.

- Muszę wracać do Weiden po mojego partnera. Sprowadźcie dżipa z kierowcą, dobrze?

- Sam pana zawiozę.

- Możecie opuścić teren?

- Pewnie. Już prawie skończyliśmy. Zastąpi mnie Simmons. I tak zresztą mam coś do załatwienia w dowództwie dywizji.

- Okay. Wrócimy za kilka godzin.

- Dobrze.

Erik ruszył w stronę domu, gdy nagle zatrzymał go warkot nadjeżdżającego pojazdu. Na podwórko wjechał kolebiący się dżip o reflektorach zaciemnionych kapturami z wyciętymi podłużnymi szczelinami. Zahamował z piskiem opon, z przedniego siedzenia dziarsko wyskoczył major i zbliżył się do Erika.

- Jestem major Evans - przedstawił się. - Gdzie mogę znaleźć agenta CIC, który dowodzi operacją?

- To ja, majorze. Nazywam się Larsen. Erik Larsen. Witamy w naszym małym domku.

Major zmierzył Erika uważnym spojrzeniem.

Erik nie pozostał mu dłużny. Pierwsze określenia, jakie przysły mu na myśl, to „apodyktyczny” i „wyniosły”. Naszywki żandarmerii oraz oznaki stopnia wydawały się jakies zbyt wielkie. Poczul lekką niechęć, lecz zaraz się zmytygował. Miał przecież pracować z tym człowiekiem. Lepiej powstrzymać się od powierzchownych sądów.

- Przepraszam, że przybyłem dopiero teraz - oznajmił Evans. - Musiałem załatwić kilka ważnych spraw przed odjazdem.

Erik uśmiechnął się. Być może jego uśmiech nie miałby żadnych szans w konkursie serdecznych uśmiechów, niemniej jednak się uśmiechnął.

- Cieszymy się z pańskiego przybycia.
- Major Roberts z korpusu G-2 udzielił mi informacji o tej pańskiej eskapadzie...

Erik z trudem powstrzymał się od zbyt jawnie nieprzyjaznej reakcji na ostatnie słowa majora.

- Świetnie - zdobył się na zdawkową uprzejmość. - Wobec tego poznał pan już całą sprawę.

Evans westchnął.

- Taaa. Jednak z przykrością muszę panu oznajmić, że nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do tego całego przedsięwzięcia...

Dziwne, gdyby było inaczej, ty zarozumiała sukinsynu, pomyślał Erik, czując, iż jego dobre intencje rozwiewają się jak dym.

- ...ale pułkownik Streeter zażądał, żeby na miejscu przebywał, eee, kompetentny oficer... - dokończył Evans. - Jako bezstronny obserwator.

- Wiem.

Evans wyłowił z kieszeni paczkę lucky strike'ów.

- Papierosa?

- Dziękuję, nie.

- Jeśli chodzi o mnie, to powiem panu, panie, hm, że... - Evans daremnie szukał wzrokiem oznaki stopnia swojego rozmówcy. Wzięła go nagła złość. To cholernie denerwujące, że tym facetom z CIC pozwalają nosić tylko naszywki oficerskie, nie zdradzające rangi. Do diabła, jaki ten tutaj ma stopień? Skąd, do jasnej cholery, ma wiedzieć, jak go traktować?! Doprowadzało go to do szewskiej pasji. - Nie wydaje mi się, żeby pańscy tak zwani werwolfowcy w ogóle istnieli - dodał. - Nawet mimo tych komicznych bzdur w radio.

Zaciągnął się głęboko z widocznym zadowoleniem i wypuścił dym. Te primadonny z CIC należy czasem nieco usadzić.

- Żandarmeria nigdy nie miała z nimi żadnych problemów - zauważył po chwili.

- Miło mi to słyszeć - odparował cierpko Erik. - Macie szczęście.

- Och, wydarzyło się kilka odosobnionych incydentów - przyznał Evans. - Ale naprawdę drobnych. Nie ma mowy o żadnej zorganizowanej działalności terrorystycznej.

- Rozumiem - stwierdził Erik.

Nie ufał swemu opanowaniu, toteż nie chciał wdawać się w dyskusję. Pragnął jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Tymczasem Evans kontynuował:

- Mimo to musimy chyba sprawdzić, ile prawdy kryje się w tych pańskich opowieściach, co? - Roześmiał się ironicznie. - Mimo iż szansa na osiągnięcie czegoś konkretnego jest naprawdę znikoma.

- Jutro to pokaże.

- Oczywiście - zgodził się Evans. Strzasnął popiół z papierosa, zerwał starannie bibułkę niedopałka i rozsypał resztki tytoniu na ziemię. Następnie skręcił bibułkę w niewielką kulkę, którą pstryknął w powietrze. - O której godzinie zamierza pan rozpocząć ten... spektakl?

- Kompanie piechoty będą gotowe do wymarszu o piątej trzydziści.

- Znakomicie.

Evans wyprostował się, jakby chciał oznajmić Erikowi, że jest już wolny.

- No to dobrej nocy, panie, hm...

Znów poszukał wzrokiem oznaki stopnia rozmówcy. Wyraz dezaprobaty na jego twarzy mówił wszystko. Był poirytowany nie na żarty.

Podjechał do nich dżip prowadzony przez sierżanta Kleina. Erik spojrzał na Evansa.

- Dobrej nocy, majorze - powiedział, po czym odwrócił się na pięcie i wsiadł do samochodu.

Evans był dotknięty do żywego. Uznał sytuację, w jakiej się znalazł, za niesłychaną - oto on, major Evans, zmuszony jest do matkowania kilku policjantom-amatorom i patronowania ich szalonym przedsięwzięciom. Na dobitkę nie dowodził operacją. Tego było za wiele. Stanowczo za wiele. Zwłaszcza że nawet nie wiedział, czy agent CIC przewyższa go stopniem! Szedł o zakład, że nie przewyższa.

Harold J. Evans był w cywilu sierżantem policji w Chicago. Był dobrym policjantem. Niezawodnym i nieprzekupnym. Równocześnie jednak konserwatywnym i upartym. W wojsku wcale się nie zmienił.

Odwrócił się raptownie i pomaszerował ku swojemu dżipowi.

Droga Schönsee-Weiden
Godzina 20.34

Krauss zmienił ostrożnie pozycję ciała. Suche liście, na których leżał, cicho zaszeleściły.

Wybrał to miejsce bardzo starannie. Las podchodził aż do głębokiego rowu biegnącego wzdłuż drogi; dookoła rosły gęste zarośla. Leżał nie dalej niż piętnaście metrów od drogi, lecz wiedział, że nikt go nie dostrzeże.

Znów się przesunął. Im dłużej wyczekiwał, tym bardziej było mu niewygodnie. Jeszcze pół godziny. Jeśli w tym czasie nic się nie zdarzy, będzie musiał wracać do Weiden. Sześć kilometrów z okładem. Możliwe, iż zajdzie konieczność zmiany planów. Zdecyduje o tym Heinz albo oficer od Kruegera - ten, który miał do nich dołączyć wraz z grupą ludzi.

Usłyszał ten dźwięk, gdy jeszcze brzmiał jak słabiotkie brzęczenie komara. Natężył uszy. Dźwięk powoli narastał. Samochód. Pojedynczy samochód jadący od Schönsee. Krauss przywarł mocniej do ziemi, choć wcale nie musiał tego robić.

Pojazd zbliżał się szybko.

Spojrzał na drogę. Noc była czysta i bezchmurna. Nie będzie problemów z widocznością. Zresztą leży już w tych liściach tak długo, że jego oczy zdążyły przywyknąć do słabego światła. Odległy żółty punkcik urósł i zaczął się rozdawać. Samochód miał na reflektorach ochraniacze ze szczelinami.

Krauss wpatrywał się w nadjeżdżający pojazd. Był to dżip. Widział go wyraźnie tylko przez sekundę, w następnej chwili samochód przemknął mu przed nosem, po czym znikł w ciemnościach. Ale Kraussowi to wystarczyło.

W dżipie siedziało dwóch mężczyzn. Za kierownicą sierżant, a obok pasażer - agent amerykańskiego CIC. Ten sam, który już raz mu się wymknął.

Miał rację twierdząc, że będą tędy jechać.

Podniósł się z kryjówki i podszedł pośpiesznie do roweru. Rozgarnął maskujące go liście, wsiał i natychmiast ruszył przez ciemny las ścieżką prowadzącą na peryferie Weiden, do Heinza.

Będą musieli szybko działać.

Weiden

Godzina 20.47

Gdy Erik wraz z sierżantem zajechali pod więzienie, dochodziła dziewiąta wieczór. Klein odebrał swoje rozkazy. O godzinie 23.30 mieli wyruszyć we czwórkę z powrotem na folwark Zollnera.

Erik wszedł do budynku i skierował kroki wprost do swojego pokoju. Miał dwie i pół godziny na odpoczynek. Bardzo go potrzebował. Teraz, gdy wreszcie mógł się wyciągnąć w łóżku, ogarnęło go nagle ogromne zmęczenie. Załatwi z Donem co trzeba i przekima te kilka godzin. Taka sposobność może się szybko nie powtórzyć.

Na drzwiach widniał wykonany czarnymi literami napis: UNTERSUCHUNG UND HAFTFRAUEN: „Pokój śledczy i areszt - kobiety”. Pod spodem Murphy dopisał kredą: CIC 212 - PRYWATNA KWARTERA.

Erik otworzył drzwi i wszedł do środka.

Zdziwił go widok palącego się światła. Zerknął szybko na okna - ochronne zasłony były zaciągnięte. Podeszedł do łóżka. Ilekroć na nie spojrział, zawsze zachodził w głowę, skąd Murphy je wytrzasnął. Wielki ozdobny stelaż z brązu nie pasował żadną miarą do niegościnnego i ponurego policyjnego aresztu. Wojskowa prycza stojąca w przeciwnym rogu stanowiła znacznie odpowiedniejszy element całości. Ogromna brązowa landara była jednak wygodna, choć zardzewiałe sprężyny skrzypiały przeraźliwie, a stary materac był okropnie wyboisty. Mimo wszystko Erikowi wydawało się, że w pomieszczeniu panuje rozkoszna i przytulna „domowa” atmosfera. Do czego to człowiek może przywyknąć! Czy istnieje bardziej względne pojęcie niż „wygoda”?

Nieoczekiwanie z niewielkiej wnęki, osłoniętej sfatygowanym parawanem i ukrywającej prymitywną umywalnię wyposażoną w popękaną miskę i dzban bez ucha, dobiegł Erika plusk wody.

- Hej, Don! - zawołał. - Czy wszystko załatwiłeś? Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

- Don? - Erik zmarszczył czoło i podszedł do parawanu. - Za kilka godzin jedziemy na folwark. Chciałbym się nieco zdrzemnąć. Co tam, ogłuchłeś? - Odsunął parawan.

Nie wierzył własnym oczom.

- Anneliese!

Dziewczyna znieruchomiała. Spoglądała na niego wielkimi, wystraszonymi oczami, usiłując zasłonić swoją nagość ciemno-oliwkowym wojskowym ręcznikiem, który zaciskała przed sobą w dłoniach. Jej tyrolska bluzka wisiała na wbitym w ścianę gwoździu.

Erik nie spuszczał wzroku z dziewczyny.

Była piękna. Spiętrzyła niedbale jasne włosy na szczycie głowy, delikatna skóra na karku lśniła wilgocią. Wydawała mu się taka bezbronna. Utkwiła w nim spojrzenie wielkich, wypełnionych strachem oczu.

- Anneliese - powtórzył miękko.

Przesunęła nerwowo koniuszkiem języka między wargami.

- Sierżant - zaczęła wyjaśniać niepewnie - powiedział mi... że nie będziecie panowie tu dziś nocować. Pozwolił mi zostać do jutra rana. Bardzo przepraszam. *Bitte, ich...*

Erik uśmiechnął się.

- Spokojnie. Wszystko jest okay - zapewnił. - Właśnie szykujemy się do wyjazdu. Możesz tutaj zostać, jeśli chcesz.

Dziewczyna trochę się uspokoiła. W jej oczach zajaśniał lekki uśmiech, który rozchylił również usta.

- Dziękuję - wyszeptwała.

Opuściła spojrzenie i uświadomiła sobie, że jej ciało okrywa jedynie ręcznik. Podtrzymując go jedną ręką, drugą sięgnęła za siebie po bluzkę.

- Czy mógłby pan...? - poprosiła.

Erik uśmiechnął się. Już się odwracał, gdy nagle ręcznik opadł nieco z jej ramienia. Jedwabistą, lśniącą skórę szpeciła brzydka rana. Na jej widok Erik skrzywił się.

- Co ci się stało? - zapytał. Anneliese zamarła. Stężały jej mięśnie.

- To... to tylko zadrapanie.

- Musiał cię ktoś uderzyć - Erik przyjrzał się kontuzji. - Skóra została naruszona. Powinnaś uważać, żeby nie wdało się zakażenie.

- Zagoi się.
- Poczekaj chwilkę, mam tu coś.

Otworzył kieszonkę na pasku i wyjął z niej mały zestaw pierwszej pomocy.

- Jak to się stało?
- Upad... upadłam.

Wyciągnął z paczuski torebkę zasyпки sulfamidowej.

- Powinnaś być ostrożna. Słuchaj...

Nagle przerwał w pół zdania. Spojrzał uważnie prosto w oczy dziewczyny.

- To stało się tego wieczoru - powiedział cicho. - Tam w gruzach. Prawda?

Potwierdziła.

Rozerwał torebkę i posypał proszkiem skaleczenie. Anneliese stała spokojnie; obserwowała go.

- To sulfamid - wyjaśnił. - Najlepsze lekarstwo. Nagle poczuł, jak narasta w nim pragnienie, tkliwość, wreszcie - pożądanie.

Anneliese...

Nieoczekiwanie delikatny żółty proszek opadający na jej złocisto-brązową skórę przywołał na myśl niezwykle wyraziste wspomnienia. Erika ogarnęła fala gwałtownego podniecenia. Pozwolił, żeby go uniosła.

Spojrzał dziewczynie prosto w oczy. W jej prześliczne, poważne, patrzące pytająco oczy...

A potem znalazła się w jego ramionach. Spletli się w nagłym, mocnym uścisku. Ich usta zwarły się namiętnie.

Ręcznik opadł na podłogę. Niecierpliwe dłonie Erika zaczęły szukać piersi dziewczyny. Ujął je i pieścił z bolesnym pożądaniem. Chwycił ustami sterczącą brodawkę i ssał łapczywie jej ciepły, sztywny koniuszek. Gładził językiem nabrzmiałą sutkę. Ścisnął ją lekko zębami, wywołując u dziewczyny jęk rozkoszy.

Wziął Anneliese na ręce i przeniósł na wielkie, szpetne, brązowe łóżce. Sam nie wiedział, w jaki sposób jego ubranie znalazło się na podłodze.

Patrzył na jej młode, nagie ciało. Nigdy nie widział czegoś równie doskonałego, równie godnego pożądania.

Jego spojrzenie powędrowało niżej, w kierunku czarującej kępki gęstych jasnych włosów u zbiegu zgrabnych ud.

Zagłębił twarz w aksamitnym puchu.

Odczuwał ukojenie, choć jednocześnie wrzała w nim krew.

Wypełniła wszystkie jego zmysły. Woń jej podniecenia i pożądania lechtała jego nozdrza; jej ciche, kocie pojękiwanie doprowadzało go niemal do szaleństwa; słono-słodki smak jej prężnych, młodych piersi oszołamiał go; każdy skrawek jego pobudzonego ciała dosłownie płonął w zetknięciu z jej jedwabistą, ciepłą skórą; jego wzrok chłonał niewypowiedziane piękno jej twarzy, wilgotnych, rozchylnych ust, przymkniętych z rozkoszy oczu, głowy odrzuconej do tyłu w skupionym oczekiwaniu na dopełnienie aktu, złocistych włosów rozrzuconych w dzikim nieładzie...

Im dłużej tak trwali, tym mocniej jej pożądał. Docierał do każdego zgięcia i do każdego ukrytego zakamarka jej żywo reagującego na pieśszczoty ciała.

Doznał dreszczu rozkoszy pod delikatnym dotykiem dłoni dziewczyny, nie ustających w pieśszczotach i odkrywaniu jego własnych, intymnych tajemnic.

Anneliese. Anneliese...

Wszedł w nią.

Wyprężyła się, pragnąc go przyjąć i przywarła do niego z całej siły.

Pchnął. Jeszcze raz. I jeszcze. Każdą cząsteczką jego ciała wstrząsał gwałtowny paroksyzm namiętności. Opanowało go nagle niepostrzymane pragnienie niszczenia, zadawania gwałtu, burzenia. Poczuli, że odpływa gdzieś daleko. A potem wzniósł się jeszcze wyżej...

Przestał istnieć czas i wszystko dokoła.

Anneliese...

Nie wiadomo skąd, z odległości tysięcy lat, wychynęła lodowa igła złych wspomnień, która przeszła mu umysł, ale natychmiast szczyła gdzieś w płomieniu ekstazy.

Leżeli obok siebie w błogim nasyceniu. Anneliese otarła się o niego zmysłowym ruchem.

- Eriku - szepnęła - nigdy nie było mi tak dobrze.

Objął ją mocniej ramieniem.

Boże, pomyślał. Gdybyś tylko wiedziała, jak mnie było dobrze...

Było to dla niego coś więcej aniżeli zaspokojenie seksualne. Znacznie więcej. Czuł, że wreszcie ostatecznie pokonał koszmar, który tak długo go nawiedzał. Nie dociekał, dlaczego tak się stało. Nie musiał. Już nie musiał...

Poczuł przyływ bezmiernej czułości dla dziewczyny. To jej zawdzięczał wszystko. Wiedział, że nigdy o niej nie zapomni. Nigdy.

Anneliese poruszyła się.

- Eriku... czy znasz jakieś inne niemieckie dziewczęta? Takie jak ja?- zapytała.

Cofnął się myślami do Berlina w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. Był tam wtedy na olimpiadzie. Zobaczył tamtą dziewczynę w sklepie przy Kurfürstendamm i zakochał się od pierwszego wejrzenia. Szedł za nią od sklepu do sklepu, nim wreszcie zdobył się na odwagę, by ją zagadnąć. Nigdy wcześniej nie robił czegoś takiego. Zaczął mówić do niej po francusku - sądził, że przyda mu to światowości. Zresztą pragnął za wszelką cenę czymś jej zaimponować. Pomagał nieść jej zakupy i nastawał, żeby podała mu swój numer telefonu. Gdy go otrzymał, był wniebowzięty i ani mu przez myśl nie przeszło, że może być fałszywy. Okazał się jednak prawdziwy. Zaprosił ją do Tiergarten . Café, gdzie zachowywał się tak nerwowo, że wyłał na jej białą suknię filiżankę czekolady. Ale i tak przeżyli przygodę. Piękną przygodę, którą hołubił we wspomnieniach. Był to jego pierwszy raz. Miał wtedy osiemnaście lat...

Westchnął.

- Nie - zaprzeczył.

- Jestem taka szczęśliwa - szepnęła.

Pogłaskał jej nagie ciało, a ona przytuliła się do niego. Poczuł, że znów zaczyna pobudzać jego zmysły. Usiadł na łóżku. To nie ma sensu. Nie teraz. Do pokoju w każdej chwili mógł wejść szukający go Don. Wyskoczył z wielkiej brązowej landary. Cóż to za wspaniałe łóżko!

- Hej, dziewczyno - powiedział rześko. - Wynocha z mojego łóżka! Zmitrężyłaś tu mnóstwo czasu. - Zaczął naciągać spodnie.

Anneliese zachichotała.

- Nie - odmówiła, kuląc się pod kocem. - Już tu zamieszkałam. To moje łóżko. Na dzisiejszą noc.

- Dobrze - zgodził się skwapliwie. Podniósł jej spódnicę wiszącą na oparciu krzesła. - W takim razie zabieram to ze sobą. Żeby mieć pewność, że będziesz tutaj, kiedy powrócę.

- Nie!

Anneliese usiadła na łóżku.

- Eriku, oddaj to. *Bitte*.

Erik potrząsnął głową z udaną irytacją.

- Ech, wy kobiety - westchnął. - Co chwila zmieniacie decyzję... Okay - trzymaj!

Rzucił jej spódnicę. Uderzyła w jeden z brązowych słupków łóżka. Rozległo się ciche, stłumione „tonk” i z niewielkiej kieszonki naszytej w pasie wyleciał mały, twardy przedmiot. Spadł na podłogę, potoczył się obok łóżka i znieruchomiał.

Anneliese skamieniała, jej twarz przybrała kredowobiały kolor.

Erik pochylił się i podniósł ów przedmiot. Zmartwił. Poczul w duszy przerażającą pustkę. Odezwał się ochrypłym głosem:

- Skąd to masz?

Nie odpowiedziała. Siedziała nieporuszona, przyciskając do siebie spódnicę, jakby nieoczekiwanie zawstydzona swoją nagością.

- Odpowiedz!

Był to okrzyk gniewu, wściekłości - i bólu. Dziewczyna patrzyła na niego z poszarzałą twarzą. Powiedział zdławionym, ale spokojnym głosem:

- To esesmański pierścionek z trupa główką! Powiedz mi, do jasnej cholery, skąd go masz?

Anneliese nadal nie odpowiadała. Wydawała się przerażona. Odsunęła się od niego, niemal niedostrzegalnie potrząsając głową.

Erik zaczął oglądać pierścionek. Po wewnętrznej stronie odkrył napis. Odczytał go:

- „Standartenführer Kurt Leubusher”...

Spojrzał na dziewczynę kulącą się pod jego wzrokiem.

- Kim jest ten esesowiec o twoim nazwisku, Anneliese? Twoim mężem? - zapytał zimno. Anneliese wyszeptała zbielałymi wargami:

- Nie! Proszę, Erik... Nie!
Zbliżył się do niej i chwycił za rękę.

- Odpowiadaj! Kim on jest?

Krzyknęła z udręką w głosie: - To mój ojciec!

Puścił ją. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Erik obserwował Anneliese, uspokajając się powoli. Dławił się odrazą do samego siebie. Rozumiał, jak bardzo musi być przerażona. Zareagował zbyt gwałtownie. Ale, do diabła, jakże mógł inaczej zareagować po... A niech to wszystko piorun trzaśnie!

Spojrzał ponuro na dziewczynę, czując się rozdarty między swoje uczucia a obowiązek, który musiał spełnić.

- Już dobrze, Anneliese - powiedział cicho. - Uspokój się. Opowiedz mi o tym.

Rzuciła mu nieufne spojrzenie. Wyglądała niezwykle ponętnie, ale Erik narzucił sobie obojętność.

- Mój ojciec jest dobrym człowiekiem. - Powiedziała to niepewnym głosem, ale z jej słów przebijała niespodziewana siła. - Nie zasługuje na... - Stłumiła dłonią szloch.

- Gdzie on jest, Anneliese? - zapytał Erik. - Gdzie teraz przebywa?

Kolejne szybkie spojrzenie. Nie odpowiedziała.

- Anneliese, wiesz, że będziesz musiała mi to powiedzieć. Prędzej czy później.

Spojrzała mu prosto w oczy. W jej wzroku był strach i wyzwanie. Zaczęła mówić pospiesznie:

- Wiem, że będziesz próbował zmusić mnie do mówienia! Wiem, że będziesz mnie torturował i usiłował skłonić do zdradzenia ojca. Ale zapewniam cię, że to na nic! - Jej oczy płonęły gorączkowym blaskiem. - Choćbyś nie wiem co mi zrobił, i tak ci nic nie powiem!

Erika zamurowało.

- Torturować cię?! - wykrzyknął z niedowierzaniem.

- Mówili nam, co robicie z każdym schwytanym oficerem SS. I z jego rodziną. Pokazywali nam fotografie... - Na samo wspomnienie tych zdjęć jej oczy wypełniły się przerażeniem. Wybuchnęła wzburzona: - Nie zrobicie tego mojemu ojcu! Nie pozwolę wam!

Gniew wprowadzonej w błąd dziewczyny był niewątpliwie szczery. Uwagi Erika nie uszła jednak pośrednia informacja zawarta w jej słowach. Tak, pomyślał. On musi być tutaj!

- Twój ojciec jest w Weiden. Prawda, Anneliese? - zapytał.

Głos miał spokojny, lecz twardy.

Dziewczyna zadrżała. Spojrzała na niego z lękiem. Odwzajemnił jej spojrzenie. W gardle czuł wzbierającą gorycz.

- Domyślałam się - dodał zimno, że właśnie dlatego jakoś nie mogłaś dotrzeć do Ratzbony. Czekając na okazję, żeby jego też wydość. - Trudno mu było utrzymać na wodzy gniew i odrazę.

- I właśnie dlatego cholernie zależało ci, żeby wylądować dziś ze mną w łóżku!

Anneliese opuściła głowę.

- Nie, Eriku - wyszeptała. - Nie. Nie tej nocy...

- Nie tej nocy, też coś! - wykrzyknął. Runął jego świat. Poczucie straty było dojmujące. Wojna! - pomyślał z goryczą. To także jest tylko wojna. Seks jest straszliwą bronią!

Anneliese znów się rozplakała. Sięgnął po koszulę i zaczął ją wkładać.

- Okay. Dość już o tym! - powiedział. Mówił beznamytnym, bezosobowym tonem. - Gdzie on jest?

Dziewczyna milczała. Erika poniósł nagły gniew.

- Czego oni ci, do diabła, naopowiadali?

Westchnęła głęboko. Nie podniosła głowy.

- Że... zabijecie ojca, jeśli wpadnie wam w ręce. Ponieważ jest esmanem - wyjaśniła ledwie słyszalnym głosem. - Albo wtrąćcie go do obozu koncentracyjnego, gdzie też umrze, ale powoli. Że nie cofniecie się przed niczym, bylebym tylko powiedziała wam, gdzie on jest.

Erik popatrzył na nią zdumiony.

- Gówno prawda! - rzucił gwałtownie. - To wierutne brednie!

Wykrzywiła twarz. Boże, powiedział sobie, udało się tym sukinsynom. Napełnili jej głowę makabrycznymi opowieściami, żeby tylko była posłuszna. Ale czy kiedykolwiek mogła postąpić inaczej? Poczul nagłe współczucie dla dziewczyny.

- Nikt nie wyrządzi ci krzywdy, Anneliese - zapewnił ją.

Podniosła spojrzenie.

- A więc wypuścicie mnie? - Nie wierzyła, że usłyszy słowa potwierdzenia.

Odwrócił się. Miał posepny wyraz twarzy.

- Nie. Nie mogę tego zrobić. Nie teraz...

Z Anneliese jakby uszło powietrze, jakby skurczyła się w sobie. Poszarzała na twarzy, ściągnęły się jej rysy. Stało się to, co przewidywała.

- Nic nie powiem - powiedziała cicho głosem, który drżał z bezsilnej rozpacz. - Róbcie ze mną, co się wam podoba, ja i tak nic nie powiem.

- Przestań!

Był zmęczony. Śmiertelnie zmęczony.

- Powiedziałem ci już, że nikt nie tknie cię palcem.

Anneliese podniosła powoli głowę.

- A co będzie z moim ojcem? Co z nim zrobicie?

- Będę go musiał aresztować, Anneliese. Zostanie internowany. Na pewien czas...

Milczała. To milczenie było aż nadto wymowne. Oslaniając się spódnicą, wstała z łóżka.

- Chciałabym się teraz ubrać.

Cofnął się o kilka kroków. Dziewczyna podeszła do niszy i zniknęła za parawanem. Erik usiadł na wielkim brązowym łożu. Spojrzał na nie. Jeszcze przed chwilą... - pomyślał. Ogarnęło go uczucie bezsilności, wiedział, że stracił jakikolwiek wpływ na bieg wydarzeń. Nienawidził takich sytuacji. Nienawidził siebie, swojej pracy i całej tej przeklętej wojny.

Ale musiał spróbować coś zrobić.

- Anneliese... - zaczął. - Spróbuj mnie zrozumieć. Wiem, że to brzmi banalnie, ale to naprawdę dla twojego dobra i dla dobra twojego ojca. Czy nie rozumiesz? Jeśli ja go sprowadzę, jeśli odda się w moje ręce, będzie wam łatwiej - i tobie, i jemu. Obiecuję, że nie zostawię was bez pomocy.

Zerknął w kierunku parawanu. Z niewielkiej niszy nie dobiegał żaden odgłos. Zmarszczył brwi.

- Nie mogę puścić go wolno, Anneliese. Do licha, muszę wykonać swój obowiązek. Twój ojciec jest pułkownikiem SS, więc musi zostać zweryfikowany...

Przerwał i zaczął nadśłuchiwać. Cisza.

- Obiecuję ci, że jeśli okaże się w porządku, puszcza go wolno. Nikt nie wyrządzi mu krzywdy. Ale musi mieć dokumenty. Przecież o tym wiesz. Tylko w ten sposób może je otrzymać. Wstał i postąpił krok w stronę niszy.

- Zrozum - kontynuował - jeśli to nie ja zatrzymam twojego ojca, zrobi to ktoś inny. Ktoś, kto nie będzie miał dla niego żadnych względów. Nie pojmujesz? On przecież nie może stale się ukrywać. Spróbuj to zrozumieć, Anneliese. Postaraj się mi pomóc. Wszystko będzie okay...

Znów przerwał i czekał na słowa dziewczyny.

Odpowiedziała mu tylko cisza - nagle brutalnie przzerwana brzękiem rozbijanego naczynia.

Spod zniszczonego parawanu sypnęły się błękitno-białe odłamki.

Erik jednym skokiem znalazł się przy niszy i odepchnął parawan.

Anneliese leżała na podłodze wśród ostrych odłamków rozbitej miednicy. Spokojna, blada - i nieruchoma. W jej gardło wrzynał się głęboko mocno zaciśnięty ściągacz bluzki.

Błyskawicznie chwycił w palce węzeł i gorączkowo usiłował go rozsupłać. Okazał się jednak zbyt ciasny, zbyt silnie zawiązany. Spróbował wcisnąć palce między sploty sznura, chcąc go rozerwać. Nic z tego.

Rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem. Na umywalce dostrzegł brzytwę. Jednym ruchem odgiął jej ostrze i ciął sznur wrzynający się w skórę na szyi dziewczyny, starając się nie patrzeć na krew płynącą z ran, które musiał jej zadać. Ściągacz pękł.

Uniósł głowę Anneliese i zawołał ją po imieniu. Jeszcze raz. I jeszcze. Nie odzywała się. Jej szkliste oczy patrzyły na niego obojętnie.

Przywarł ustami do jej ust w rozpaczliwym wysiłku tchnięcia w nią własnego życia. Ale Anneliese była martwa.

Usiadł na podłodze i ujął w dłonie jej głowę.

- Anneliese - szeptał z bólem. - Anneliese... nie musiałaś tego robić! Nie musiałaś tego robić...

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadli Don i Pierce. Stanęli jak wryci.

- Co tu się stało? - rzucił Don przerażonym, zdławionym głosem.

Erik powoli złożył ciało dziewczyny na podłodze, na odłamkach porcelany. Wstał.

- Nie uwierzyła mi - stwierdził beznamiętnie. Skierował te słowa w przestrzeń. - Uwierzyła tej przekłętej gestapowskiej propagandzie.

Podszedł do łóża, podniósł esesmański pierścień z trupa czaszką i oglądał go przez chwilę, a potem przeniósł spojrzenie na wielkie brązowe łóżo. Ależ to szpetota, pomyślał z nagłym dreszczem obrzydzenia. Szpetota!

Poczuł na ramieniu dłoń Dona.

- Erik... ja...

- Daj spokój! - przerwał przyjacielowi. - Nic nie wymyślisz... Nikt tu niczego nie wymyśli. Odwrócił się do Pierce'a. - Mam dla ciebie wiadomość z pierwszej ręki. - Jego głos brzmiał chrapliwie. - Efekt mojego ostatniego przesłuchania. - Rzucił mu pierścień. - Tu jest nazwisko. Trzeba tego człowieka natychmiast aresztować. Ukrywa się tutaj, w Weiden.

Spojrzał na ciało Anneliese. Nic nie jest tak doskonale nieruchome jak śmierć, skonstatował. Nawet przedmioty martwe mogą się poruszać. Ale umarli ludzie - nie...

Droga Schönsee-Weiden

Godzina 23.43

Willi pochwalił miejsce, które Krauss wybrał na zasadzkę. Mieli dobre pole ostrzału, a oświetlone promieniami księżyca drzewa rzucały na drogę długie cienie, które dobrze maskowały ich stanowisko. Teraz pozostało im tylko czekać...

Choć Willi był na nogach niemal dwadzieścia bitych godzin, nadal czuł podniecenie. Operacja zatrzymania kuriera została wykonana bez zarzutu. Willi wiedział, że generał był zadowolony. Zastanawiał się, co zawierała torba oficera. Miał nadzieję, że było to coś naprawdę ważnego. Może nawet informacje, które mogą doprowadzić do wyeliminowania Eisenhowera?

Gdy Kruegerowi doniesiono o Plewigu i amerykańskich agentach, Willi namówił generała, by ten powierzył mu dowodzenie planowaną operacją. Zabrał ze sobą tylko dwóch ludzi, w tym Steinera, który po pozbyciu się kuriera i kierowcy towarzyszył mu ze zdobycznymi

dokumentami do Sonderkampfgruppe Karl. Tym razem jednak dysponowali pistoletami maszynowymi Schmeissera.

Zerknął na pozostałych ludzi leżących pod osłoną zarośli. Krauss, Leib z werwolfowskiej jednostki Sicherungsstaffel, no i oczywiście Steiner.

Byli gotowi.

Nagle ogarnęło go napięcie. Gdzieś z oddali usłyszał słaby pomruk silników zbliżających się pojazdów. Co najmniej dwóch. Jechały od Weiden...

Odbezpieczył broń.

Oba dżipy jechały szybko. Ich reflektory zostały częściowo osłonięte, ale noc była wystarczająco jasna, a droga doskonale widoczna.

Don i Murphy siedzieli w pierwszym samochodzie, prowadzonym przez jowialnego sierżanta. Kierowcą drugiego dżipa był Klein, a pasażerem Erik. Oba pojazdy zostały przysposobione do walki: zdjęto im dachy, przednie szyby spoczywały płasko na maskach, żeby w razie potrzeby nie przeszkadzały w szybkim otwarciu ognia.

Erik siedział sztywno obok Kleina, nie odzywając się ani słowem. Sierżant usiłował go zagadywać, ale on zbył go milczeniem. Nie był w nastroju do pogaduszek. Jeszcze nie.

Nagle uprzytomnił sobie, że bolą go dłonie. Z niejakim zdziwieniem zauważył, iż tak mocno ściska leżący na kolanach pistolet maszynowy, że aż odczuwa kurcze w palcach. Z wysiłkiem rozgiął je i wpatrzył się w drogę. Jechali tuż za dżipem Dona.

Zauważył to nagle, zupełnie nieoczekiwanie. Błysk metalu nad drogą...

Po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Otworzył usta, chcąc ostrzec krzykiem jadących z przodu, jednak w tej samej chwili prowadzący dżip nadział się na przeszkodę - cienką, mocną linkę przywiązaną do drzew po obu stronach szosy i umieszczoną dokładnie na wysokości gardła kierowcy, pod lekkim kątem - tak, by cięła jak brzytwa.

Kiedy Murphy i Don nadziali się na nią Erik nie zdążył nawet krzyknąć.

W niesamowitym świetle księżycy wydało mu się, że głowa Murphy'ego została w jednej chwili odcięta - a może w powietrzu poszybował tylko jego hełm? Dona wyrzuciło gwałtownie z dżipa. Erik nie dostrzegł spadającego ciała. Przez ułamek sekundy widział, jak przygarbiony, najwyraźniej pozbawiony głowy tułów Murphy'ego opada na kierownicę, gdy tymczasem pierwszy pojazd wykonał karłowaty skręt i wpadł do rowu.

Instynktownie pochylił głowę.

Byłby się spóźnił, jednak impet dwóch ludzi zerwał naprężoną linkę. Po obu stronach drogi zawirowały wściekle dwa zwoje, wydając mrozący krew w żyłach wysoki dźwięk.

Klein wcisnął hamulec i zatrzymali się gwałtownie, uderzając w prowadzącego dżipa. Erik, pchnięty siłą bezwładności, grzmotnął czołem w tablicę rozdzielczą.

W tej samej chwili z lasu naprzeciw otworzyło do nich ogień kilka pistoletów maszynowych.

Erik wyskoczył z pojazdu i padł plackiem na ziemię. Ołowiana śmierć przeryła nawierzchnię piekielnym ściegiem tuż za nim. Przeturlał się za dżipa. Uświadomił sobie z zaskoczeniem, iż wciąż ścisnął w dłoniach tomigana, i zaczął okładać las po przeciwnej stronie drogi krótkimi, kąśliwymi seriami. Widział jak przez mgłę, że ukryty w rowie Klein również strzela.

Kiedy wyciągnął nieco szyję w stronę pierwszego dżipa, rozległa się nieoczekiwana eksplozja. Pociski napastników ugodziły w zbiornik paliwa; samochód w jednej chwili przeistoczył się w kulę ognia. Na ułamek sekundy stanął mu przed oczami obraz przygarbionej nad kierownicą postaci Murphy'ego.

Szukał spojrzeniem blasku ognia wylotowego: dostrzegł płomień i posłał serię w cieniste zarośla. Wydawało mu się, że widzi jakiś mroczny kształt poruszający się gwałtownie, toteż ponownie nacisnął spust.

Nagle wszystko ucichło.

Przeraźliwy terkot peemów był tak donośny, że nie ustał nagle, tylko odpływał niczym dalekie grzmoty burzy.

Zapadła martwa cisza, przerywana jedynie trzaskiem płonącego samochodu.

Erik opuścił ostrożnie swoją kryjówkę. Zobaczył, jak z rowu wychodzi Klein. Skupił uwagę na lesie po przeciwległej stronie drogi.

Tamci jednak zniknęli.

Podbiegł do dżipa. Murphy wyleciał z pojazdu i leżał teraz w zielisku na poboczu. Erik spojrzął na niego.

Mordercza linka dobrze spełniła swoje zadanie.

Ciepła krew wciąż płynęła z otwartego karku sierżanta.

Usłyszał za sobą wymiotującego Kleina. Zwalczył u siebie odruch torsji i odwrócił się.

Don! Gdzie jest Don?!

Zobaczył go leżącego nieruchomo na ziemi opodal pojazdu, zasłoniętego do połowy przez pień drzewa.

Pokuśtykał do przyjaciela i upadł przy nim na kolana.

Don jęknął i poruszył się.

Erik aż się zachwiał, czując nagłą ulgę. Ostrożnie przewrócił przyjaciela na plecy. Na jego czole ujrzał krwawopurpurową krechę.

Podszedł Klein. Trzymał karabinek w dłoniach i wciąż przepatrywał oddalony las.

Don powoli odzyskiwał przytomność. Spojrzął na Erika, po czym dotknął ręką głowy. Dostrzegł leżący obok hełm i podniósł go. Z przodu, tam gdzie uderzyła linka, biegło teraz wyżłobienie.

Popatrzył pytająco na Erika.

- Drut-gilotyna?

Erik skinął głową. Don rozejrzał się dookoła, tknięty nagłym niepokojem. - Jim...? Erik i Klein milczeli. Don cisnął hełmem o ziemię.

- Skurwysyny! - ryknął chrapliwym, nabrzmiałym furją głosem. - Cholerne, wszawe skurwysyny!

Erik pomógł mu wstać. Przez kilka minut obaj spoglądali na siebie pogrążeni w mrocznej otchłani grozy i rozpacz. Potem Erik podniósł niespiesznie wzrok i spojrzął na las i na drogę.

- W co myśmy się wdali? - zapytał powoli. Odwrócił się do przyjaciela. Po jego twarzy widać było, że podjął jakieś postanowienie. Wycedził:

- Bóg mi świadkiem, że jutro im stokrotnie odpłacimy!

Część IV

30 kwietnia 1945

Schonsee
Folwark Zollnera
Godzina 5.11

Szare światło brzasku spowijało folwark Zollnera oraz położone za nim lasy i pola.

Na dziedzińcu gospodarstwa odgrodzona drutem kolczastym przestrzeń wciąż jeszcze nie była wypełniona; stalowe lufy karabinów maszynowych strażników celowały w pustkę. Sterta obornika była jakby mniej wyczuwalna węchem o tak wczesnej porze, co miało zmienić się w ciągu dnia, gdy zacznie przygrzewać słońce. Dwóch żandarmów pilnowało bramy. Opodal zabudowań stały dwa gotowe do drogi dżipy. Z przodu jednego z nich siedział major Harold J. Evans. Sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

Erik, Don i sierżant Klein wyszli z budynku mieszkalnego i podążyli żwawym krokiem ku oczekującym dżipom.

Na widok Evansa Erik poczuł lekkie rozdrażnienie. Cholerny pracuś! I taki usiadł w jego dżipie! Przypomniał Kleinowi:

- Don będzie z kompanią A batalionu na wschodnim krańcu - powiedział. - Ja z kompanią B - na zachodnim. - Spojrzał na zegarek.
- Przechesanie lasu nie powinno zająć dłużej niż dwie godziny.

Klein potwierdził.

- Jeśli tam ktoś się ukrywa, dostaną go na pewno.

Erik i Don parsknęli jednocześnie:

- Jeśli!

- Na ich miejscu byłbym tam, bo jak nie... - dodał Don z zaciętym wyrazem na twarzy.

- Wrócimy tu, gdy tylko żołnierze rozpoczną przeczesywanie - rzucił Erik sierżantowi.

- Okay. Będziemy czekać.

Don podszedł do swojego dżipa, Erik przystanął przy swoim.

- Dzień dobry, majorze - pozdrowił chłodno Evansa. - Jedzie pan ze mną?

Evans spojrzał na niego z ukosa.

- Sądzę, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

Erik nie odpowiedział. Wskoczył na tylne siedzenie dżipa. Major odwrócił się do niego.

- Słyszałem, że miał pan... małe problemy ostatniej nocy.

Erik nie potrafił ukryć goryczy w głosie.

- Tak, majorze - potwierdził. - Jeden z pańskich „incydentów o niewielkim znaczeniu”.

Evans potrząsnął poważnie głową.

- Niedobrze.

- Tak. Niedobrze... - Erik wpatrywał się przez chwilę w blade światło poranka. Miał zmęczone, pozbawione wyrazu oczy. W jego umyśle otworzyła się mroczna pustka. Z premedytacją wtłoczył w nią wszelkie myśli o Anneliese i Murphym, wydarł je z pamięci. Na razie...

Skiął na kierowcę.

- Jedźmy - nakazał mu beznamiętnym tonem.

Dwa dżipy ruszyły. Klein osłonił usta dłońmi i krzyknął za nimi:

- Pomyślnych łowów!

Evans prychnął ironicznie. Nie mógł się zdecydować, czy jest zadowolony, czy zirytowany. To prawda, pokazał temu zbyt pewnemu siebie agentowi CIC, gdzie jest jego miejsce. Oficerowie jeżdżą z przodu. Niemniej jednak uwikłał się w tę godną pożałowania, bezcelową eskapadę.

Znów prychnął, tym razem głośniej.

Werwolfowcy! Też mi coś, pomyślał pogardliwie.

Weiden

Godzina 5.26

Krauss czuł jakiś nieokreślony niepokój.

Była jeszcze wczesna godzina, ale Weiden pulsowało już ruchem. Nawet podczas wojny członkowie społeczności rolniczej wstają z kurami.

Zmierzając ku zrujnowanemu bombami domowi, poczuł się jak na tarczy strzelniczej, mimo iż doskonale wiedział, że wtapia się w tłum śpieszących gdzieś przechodniów. Gdy przed wejściem do piwnic ruiny rozejrzał się dokoła, rozmyślnie uczynił to powoli i spokojnie - nikt nie może podejrzewać w nim konspiratora.

Zaczął schodzić po ciemnych schodach zasłanych gruzem. Zwolnił kroku.

Cała ta sprawa bardzo mu się nie podobała. Zbyt wiele kontaktów zawsze grozi wpadką. Ale to Heinz znał system łączności, on nie.

Doszedł do piwnicy i przez chwilę stał w milczeniu, nadsłuchując. Wokół panowała cisza.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek i zapalił jedną. Blask płomyka wydał mu się przeraźliwie jasny, a chrobotanie łąbka o draskę wprost ogłuszające. Wpatrzył się w cienie majaczące poza kręgiem bladego światła i dostrzegł, jak kilka metrów dalej odrywa się z mroku jakiś niewyraźny cień. Zapalka zgasła.

- Heinz? - zapytał szeptem.

- *Ja.*

Postąpił krok naprzód. Zaczął już coś niecoś dostrzegać. W ciemności rysowała się słabo postać człowieka, z którym miał się spotkać.

- Dostaliśmy tylko jednego - oznajmił bezbarwnym tonem.

- *Verflucht!* - zaklął tamten.

- Steiner został ranny. Musieliśmy go wycofać.

- Przed wykonaniem zadania?

Krauss poczuł zimny dreszcz, słysząc zjadliwy, zimny ton tego pytania. Nic nie odpowiedział.

- Kto o tym zdecydował?

- Oficer z dowództwa. Porucznik Richter. - Krauss uznał nagle, że powinien bronić honoru grupy. - Nie mogliśmy zostawić Steinera - przekonywał. - Mogliby go zmusić do mówienia. Musieliśmy go wy dostać, dopóki była sposobność.

Na chwilę zapadła lodowata cisza.

- Wasze zadanie było najwyższej wagi - oznajmił zimno Heinz. - Powinniście go zlikwidować.

Krauss zadrżał. Ma rację, powiedział sobie. Ma rację.

- A co z Plewigiem? - zapytał Heinz.

- Jest w ich dowództwie. Nie możemy się do niego dostać. Na razie. - Krauss nagle uświadomił sobie, że mówi zbyt głośno. Ponownie zniżył głos: - Ale i tak jest już za późno. Na pewno wszystko wyśpiewał.

- Zapłaci za to - syknął jadowicie Heinz. - A co z tymi amerykańskimi agentami?

Krauss poczuł nagły lęk. Mogli go obarczyć odpowiedzialnością. Ale to przecież ten młody oficer od Kruegera, Richter, dowodził operacją. Właśnie z jego winy nie wyeliminowali wszystkich Amerykanów. A jednak to on, Krauss, wybrał miejsce na zasadzkę. Mogli go również obwiniać...

Do diabła. Nie zamierzał kapitulować.

- Są na folwarku Zollnera - odpowiedział.

Heinz wciągnął ze świstem oddech.

- Folwark Zollnera! - syknął. - Ależ to... - urwał w połowie zdania.

Krauss głęboko odetchnął.

- Wiem - rzucił nerwowo. - Ale możemy jeszcze zdążyć...

Schönsee

Folwark Zollnera

Godzina 7.35

GRÜSS GOTT! TRITT EIN!

BRING GLÜCK HEREIN!

Erik siedział przy wielkim drewnianym stole w Bauernstube domu Zollnera i patrzył na starą makatkę z wyhaftowanym porzekadłem, poplamioną tłuszczem i rozpiętą na drewnianych ramkach nad drzwiami. Patrzył, ale niczego nie widział. Na stole leżało przed nim kilka arkuszy czystego papieru, w dłoni trzymał ołówek, nic jednak nie pisał. Błądził spojrzeniem po izbie.

Ogromny, osmalony, opalany drewnem piec, a obok stos opału, grubo ciosane ławy i kłocowate krzesła, nierówne i chropowate klepki podłogi, w których każdą szparę i każde pęknięcie zatykał wdeptany brud; szerniałe i popękane ściany z bielonego kamienia; splamione i wypłowiałe zasłony w typowe bawarskie wzory. Wszystko zapuszczone i sfatygowane.

Nagle poczuł, że zupełnie tu nie pasuje.

Co ja tu robię? - pytał sam siebie w duchu. To wszystko tutaj... Przecież nie mam z tym nic wspólnego.

Popatrzył na arkusze papieru. Uznał, że należy spożytkować czas oczekiwania, sporządzając raport dla G-2, ale nie napisał jeszcze ani słowa.

Czuł, jak w miarę zamieniania się minut oczekiwania w godziny narasta w nim napięcie.

Może dobrze mu zrobi, jeśli wreszcie zacznie pisać. Najpierw data. O, właśnie. Mógłby przynajmniej zacząć od postawienia daty...

30 kwietnia 1945 - napisał.

Nieoczekiwanie uświadomił sobie, że wyteża słuch, usiłując złowić uchem choćby najśłabszy odgłos z zewnątrz. Poczul złość do siebie. Weź się w garść, do jasnej cholery! Skoncentruj się na tym, co powinieneś zrobić.

Do pokoju wszedł Don. Erik spojrzał pytająco na przyjaciela.

- Dali znak życia? - zapytał pośpiesznie. Don pokręcił głową.

- Jak dotąd nie. - Zmarszczył czoło. - Co ich, u diabła, zatrzymało? Jest ósma. Upłynęło już dwie i pół godziny.

- Może coś im przeszkodziło?

- Nie słyszałem żadnych wystrzałów.

Erik westchnął i znów wlepił wzrok w arkusz papieru. *30 kwietnia 1945...* Don oglądał haftowaną makatkę nad drzwiami.

- Ciekawe, czy to odnosi się również do nas - mruknął. Erik podniósł spojrzenie.

- Co?

- Napis na płótnie. - Głośno przetłumaczył: - „Niech Cię Bóg błogosławi! Wejdz, Gościu! Przynieś ze sobą szczęście!”

- Nie przynieśliśmy im zbyt wiele szczęścia.

- Cóż, jeśli nawet, to ich wina. Sami tego chcieli. - Don rozejrzał się. - Przecież właśnie tutaj jest kolebka nazizmu! Dokładnie tu, w Bawarii. Właśnie tu się wszystko zaczęło...

Zaczął w zamyśleniu spacerować po pokoju.

- Wiesz co, doprawdy tego nie rozumiem. - Potrząsnął głową. - Większość ludzi, z którymi mamy do czynienia, nie sprawia wrażenia bandytów.

- Bo też i większość nimi nie jest.

- Taa... Ale jak, do ciężkiego licha, zajrzeć im do głów, żeby dowiedzieć się, co naprawdę myślą?

Don podjął spacer. Zaczął pogwizdywać fałszywie „Lilii Marlene”.

Erik spojrzął z irytacją na spacerującego i pogwizdującego przyjaciela. A niech to diabli! - pomyślał. Jak mogę się skoncentrować, kiedy ten brzęczy mi nad uchem?

Już otwierał usta, chcąc przywołać Dona do porządku, nagle jednak jakiś dźwięk odwrócił jego uwagę. Czy mu się zdawało, czy też naprawdę usłyszał coś na zewnątrz? Nie, nic. Wszystko zagłusza to cholerne gwizdanie. Wpatrzył się w datę.

30 kwietnia 1945...

Don przestał gwizdać.

- No proszę - powiedział. - „Lilii Marlene” to chyba jedyna dobra piosenka tej pierdolonej wojny. Znow zaczął spacerować i pogwizdywać. Erik podniósł głowę.

- Chryste, czy ty nie możesz gdzieś usiąść? - prychnął. - I przestań wreszcie gwizdać, do jasnej cholery!

- Co cię napadło? - zdziwił się Don.

- Nic! Usiłuję tylko napisać raport!

- A pisze sobie, do jasnej cholery! Nie musisz zwracać na mnie uwagi!

Rozżłoszczony, odwrócił się tyłem do przyjaciela. W tej samej chwili w drzwiach stanął major Evans. Don i Erik spojrzeli na niego wyczekująco.

Major wszedł do pokoju powolnym krokiem.

- No cóż - zauważył. - Wygląda na to, że chłopcy gonią w tej chwili za własnym ogonem, tak jak ostrzegałem, prawda?

- Co pana skłania do takiego wniosku? - zapytał lodowatym tonem Erik.

- A może wie pan coś, czego my nie wiemy? - Don nawet nie starał się ukryć niechęci do Evansa. Major wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- No, no, panowie - wycedził. - Są w terenie już bardzo długo. I nic jak dotąd nie znaleźli.

- To wcale nie znaczy, że nie znajdują - uciął Don.

Evans spojrzął na jednego agenta, potem na drugiego. Przypominał dobrotliwego ojca strofującego swoich krnąbrnych i nieco opóźnionych umysłowo synów.

- Proszę panów - zaczął z wystudiowaną cierpliwością - szesnaście lat służby w formacjach policyjnych i żandarmerii daje doświadczenie, wiedzę oraz specyficzny węch... - zrobił znaczącą pauzę i pociążył po ich twarzach surowym spojrzeniem. - A wy go, panowie, nie macie! - zakończył z naciskiem.

Erik zdusił w sobie gniew. Wstał od stołu i podszedł do majora. Stał twarzą w twarz.

- Jesteśmy innego zdania, majorze - powiedział spokojnie.

- Cóż, to wy nadstawiacie głowy, moi panowie. Was będą rozliczać, nie mnie.

- Nie mam nic przeciw pokutowaniu, majorze - wycedził Erik. - Ale pod warunkiem, że to ja będę sobie szyć wór pokutny.

Evans spurpurowiał.

- Wy, chłopaki z CIC, najwidoczniej nie zdajecie sobie sprawy z tego, o czym my, zawodowcy, przekonaliśmy się już dawno na własnej skórze. Rozwiązanie problemu to dziewięćdziesiąt procent zmuśnionej rutynowej pracy, a dziesięć procent szczęścia.

Erik nie spuszczał wzroku z majora.

- A my, chłopaki z CIC, nauczyliśmy się, że można zapewnić sobie te dziesięć procent szczęścia dzięki odrobinie wyobraźni i wytrwałemu dążeniu do celu. Próbował pan tego kiedykolwiek?

Don parsknął śmiechem. Wykrzywił się niedwuznacznie do przyjaciela.

- Z ust mi pan to wyjął, generale! - oświadczył chichocząc.

Evans był wściekły. Okpiono go. I to kto go okpił - jakiś zakichany „agencja”, który najprawdopodobniej ma niższy stopień od niego! Ale należało za wszelką cenę zachować twarz.

- Obawiam się, że tym razem pańska wyobraźnia wyprowadziła pana w pole. - Uśmiechnął się nieprzyjemnie. - „Wilkołaki”? Cóż, jak mówią mądrzy ludzie, „nie ma takiego zwierzęcia”.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do Bauernstube wpadł jak bomba sierżant Klein.

- Są! - zawołał podniecony. - Prowadzą ich drogą!

Erik i Don niemal natychmiast znaleźli się przy furtce. Obaj stanęli jak wryci.

Do obejścia zbliżała się osobliwa procesja. Otwierali ją trzej obzarpani żołnierze Wehrmachtu z rękami złożonymi na karkach. Choć ich mundury były brudne i podarte, na twarzach całej trójki malowało się zadowolenie. Za nimi człapali trzej starszawi cywile, bez wątpienia chłopcy; ich ogorzałe twarze wyrażały niepokój i zaskoczenie. Eskortę więźniów stanowiło dwóch żołnierzy - jeden z nich, kapral, zamykał pochód.

Erik poczuł nagły skurcz w gardle. Przełknął z trudem ślinę.

To niemożliwe, wmawiał sobie gorączkowo. Przecież to nie mogą być wszyscy!

Ruszył szybkim krokiem na spotkanie kolumny. Za nim podążył Don. Kiedy kapral ich dojrzał, zatrzymał kolumnę.

- Szkopy, stać! - nakazał jeńcom. - Stać i ani kroku dalej! Zbliżył się do agentów. Uśmiechnięty szeroko, zasalutował Erikowi swobodnym gestem.

- Melduje się kapral Lawton. Z sześcioma werwolfowcami.

- Czy to wszyscy?

- Tak. Wszyscy, których capnęliśmy.

Erik z niedowierzaniem spoglądał na żalosną gromadkę jeńców. Nie odważył się spojrzeć Donowi w oczy. Nie chciał dostrzec na twarzy przyjaciela własnego głębokiego zawodu, frustracji i przygnębienia.

- Czy to naprawdę wszyscy, jakich udało się wam znaleźć? - zapytał powtórnie.

Lawtona nie opuszczał dobry humor. Bawił się setnie.

- Pewnie, że tak. - Kiwnął głową i wskazał na trzech niemieckich żołnierzy. - Można by nawet powiedzieć, że to oni sami nas znaleźli! Włoczyli się po okolicy i najwyraźniej szukali kogoś, komu mogliby się poddać - no i napatoczyliśmy się im my. A te dziadki - wskazał na cywilnych Niemców - rąbały w lesie drzewo. Jakoś nie wyglądają mi na werwolfowców - dodał kpiąco. - Ale mieliśmy rozkaz brać każdego...

- W porządku, kapralu! - Erik powiedział to ostrzejszym tonem, niż zamierzał. - Zaprowadźcie jeńców na folwark i przekazcie ich sierżantowi Kleinowi. Powiedzcie mu, żeby umieścił ich za drutami.

- Za drutami? - Lawton uniósł brwi. - Tak jest. A czy możemy dołączyć potem do naszej jednostki?

- Tak.
- Dziękuję.

Lawton zasalutował niedbale, po czym odwrócił się ku swej kolumnie Niemców.

- Ruszać się! - nakazał władczy tonem. - *Vorwärts! Schnell... schnell!*

Kolumna obszarpańców powlokła się w stronę folwarku Zollnera. Erik i Don stali nieruchomo, odprowadzając ponurym wzrokiem odchodzących.

- Myślisz, że Plewig wpuścił nas na fałszywy trop? - zapytał Don po dłuższej chwili milczenia.

- Nie, na pewno nie.

- Ja też tak sądzę. - W głosie Dona zabrzmiała złość. Wskazał na oddalającą się grupę. - Ale popatrz na nich. Jak my teraz wyglądamy?

Ruszyli powoli w stronę folwarku, każdy zajęty własnymi niewesołymi myślami. Pierwszy przerwał ciszę Don:

- Nie możemy udawać, że nic się nie stało...

- Nie, nie możemy. Zbyt sobie cenię własną skórę. - Erik rozmyślał nad czymś intensywnie. - Poza tym nie zmienilem zdania: to wcale nie jest kręcenie się w kółko za własnym ogonem, jak to określił nasz przyjaciel z żandarmerii.

- Jeśli już, to kręcimy się w kółko za ogonem wilkołaka! - zaśmiał się Don.

Znów przez jakiś czas szli w milczeniu, jednak ich umysły otrząsnęły się już z chwilowego letargu. Ponownie zaczęli rozważać dręczący ich problem - problem, który nie tylko nie został rozwiązany, ale w ciągu kilku ostatnich minut jeszcze bardziej się skomplikował.

Erik z wysiłkiem uporządkował rozbiegane myśli. Nieoczekiwanie przypomniał sobie dwa wersy ze starego duńskiego hymnu kościelnego. Śpiewał go wielokrotnie z rodzicami w starej świątyni protestanckiej w Rochester. Zawsze był przekonany, iż te dwie linijki zawierają głęboką prawdę. *Giv aldrig tabt, först da er du en slagen Mand!* - „Nigdy się nie poddawaj, bo gdy ulegniesz - przegrałeś!” Cóż, święta prawda. Przyszły mu na myśl wydarzenia ostatnich dni. Czyżby wyprowadzono go w pole? Czyżby ci przekłęci werwolfowcy

byli jedynie mistyfikacją? Nie. Nadal wierzył własnemu nosowi. Musiało istnieć jakieś rozwiązanie, jakaś droga do prawdy. Należało dojść do niej krok za krokiem. Musiał więc teraz postawić ów następny krok...

- Okay - stwierdził. - Pokazaliśmy im nasze karty. Jeśli tu rzeczywiście coś się święci, dobrze się zastanowią, nim zaczną.

- Możemy nie zawracać sobie głowy tymi żołnierzami - zauważył Don.. - To zwykli dezernerzy, którym udało się dać nogę. Ale co tu robili ci cywile?

- Nie wiem. Nie sądzę, żeby należeli do Werwolfu. Najprawdopodobniej ścinali tylko drzewo na opał albo...

Don mu przerwał:

- Jednak mogą utrzymywać jakieś kontakty z tą organizacją. Mogą o niej coś wiedzieć. Pamiętaj o tych stu dwudziestu koniach.

W oczach Erika błysnęło zainteresowanie.

- Masz rację! Warto spróbować.

- To nasza jedyna szansa.

Przyświecał im teraz nowy cel, toteż ich kroki znów nabrały energii.

- Musimy działać szybko - dodał Erik. - Nie ma czasu na długie śledztwo. Trzeba będzie...

- Już wiem! - wykrzyknął nieoczekiwanie Don.

- Co takiego?

- Pamiętasz sprawę Salzmanów? Pamiętasz, jak zmusiłeś ich do mówienia? Ten twój gwiazdorski popis?

Erik przystanął.

Zmarszczył brwi.

- Pamiętam.

- Tych facetów powinniśmy zażyć tak samo.

- To brutalny sposób.

- Pewnie, że brutalny! - skwitował gniewnie Don. - Ale jak gościa wrzucają do rzeki z rozprutym brzuchem albo z poderżniętym gardłem, to czy nie jest to brutalne?! - Rzucił Erikowi ponure spojrzenie. - Zresztą czy mamy inny wybór? A co będzie, jeśli tamci naprawdę są w okolicy? Jeśli pozwoli się im działać, mogą naprawdę zająć nam za skórę.

Erik spochmurniał, zamyślił się.

- Musimy zastosować ten trick wobec wszystkich trzech - powiedział powoli.

- Dobra. Do roboty!

Podeszli szybko do furtki. Oczekiwał ich tam nieco ogłupiały Klein.

- Jeńcy już są za drutami - zameldował.

Spojrzeni w kierunku ogrodzonego placyku. W jednym narożniku kulili się trzej wystraszeni starcy, w drugim trzej dezertery gapili się na wartowników strzegących powierzonego im obozu. Wszystkie stanowiska karabinów maszynowych były obsadzone.

Toż to scena jakby żywcem wycięta ze starej, zwariowanej komedii, w której nic nikomu się nie udaje, pomyślał Erik. Energicznym głosem wydał Kleinowi polecenie:

- Weź sześciu ludzi i zabierz stąd tych trzech cywilów. Zaprowadź ich na pole.

Klein jakby go nie zrozumiał.

- Sześciu ludzi...?

- Ruszaj się!

- Rozkaz! - odparł sierżant i oddalił się biegiem.

Spoza drutów wyłonił się major Evans. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Z fałszywym uśmiechem współczucia spoglądał to na Erika, to na Dona.

- Cóż, zrobiliście panowie, co tylko leżało w waszej mocy - zauważył protekcyjnym tonem. - Bardzo żałuję, że zakończyło się to taką kłapą. Choć z drugiej strony nie zaprzeczycie, że was ostrzegalem!

Zerknął w kierunku placyku i jeńców, po czym nieoczekiwanie przeszedł do spraw formalnych:

- Zabieram teraz swoich żandarmów i wracam natychmiast do korpusu. Nie warto tracić więcej czasu. Zabiorę też waszych, hm - uśmiechnął się ironicznie - werwolfowców... - Pokiwał głową z udaną dobrotliwością. - Zamelduję pułkownikowi Streeterowi, że wedle mojego przekonania działaliście panowie w dobrej wierze. - Promieniał. Wielkoduszność to szczytne uczucie. Stać go było na nią. Wyszło w końcu na jego. Uśmiechnął się do agentów. Teraz, gdy ich upokorzył, odczuwał do nich nieomal sympatię.

Erik rzucił mu spojrzenie bez wyrazu.

- Jeszcze się wstrzymamy z odesłaniem żandarmów, majorze Evans - oświadczył cicho.

Major zbaraniał.

- Co takiego?

- Jeszcze nie skończyliśmy - wyjaśnił cierpliwie Don.

- Ależ to śmieszne! - Evans nie potrafił ukryć głębokiego oburzenia. Cóż to, u licha?! Czy go specjalnie prowokują? Przecież to wbrew wszelkiej logice. Pokpili sprawę na sto dwa. Poczul gorącą falę gniewu.

- Będziemy ich potrzebować nieco dłużej - kontynuował Erik.

- Po co?

- Jeszcze nie spasowaliśmy, majorze.

- Bzdury! Dlaczego nie chcecie przyznać się do błędu? Uwierzcie mi, tylko jeszcze bardziej się pograżycie, ciągnąc tę... farsę!

- Zaraz, zaraz! - rozgorączkował się Don.

Erik natychmiast pospieszył mu z odsieczą:

- Nie uważamy naszych powinności za farsę, majorze. Gra idzie o zbyt wielką stawkę, żebyśmy nie spróbowali wszystkiego.

- Czy nie macie dosyć? Dwie pełne kompanie piechoty, zdjęte na cały ranek z linii frontu, gonią za jakimiś wyimaginowanymi werwol-fowcami! - zawołał wściekły Evans.

- To nasza sprawa i nasza decyzja - wycedził zimno Don.

- Nie zgadzam się z tą decyzją.

- Nie zgadza się pan?

- Będę musiał zakończyć tę głupią komedię - oświadczył major nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Zabieram swoich ludzi do korpusu. Natychmiast!

- Majorze Evans - powiedział Erik łagodnie, lecz z naciskiem - muszę panu przypomnieć, iż pełni pan rolę jedynie obserwatora. A dowodzę ja! Żandarmi pozostaną dopóty, dopóki ja ich nie zwolnię!

Evans łypnął wściekłym okiem na Erika, jego twarz nabiegła purpurą.

- Jest pan tego pewien? - W jego głosie zabrzmiała złowróżbna nuta. Widać było, że panuje nad sobą jedynie z najwyższym trudem.

- Jestem pewien.
- Złożę oficjalny protest.
- Ma pan do tego prawo - zgodził się Don.
- Oczywiście zdajecie sobie panowie sprawę z tego, że pułkownik Streeter otrzyma pełny raport o całym incydencie? Erikowi nawet nie drgnęła powieka.

- Po to pan tu jest, panie majorze.
- Znakomicie! Jeśli tak panowie chcecie...

Evans odwrócił się na pięcie i odmaszerował majestatycznym krokiem. Erik i Don odprowadzili go spojrzeniem. Don potarł kark.

- Bierzmy się do roboty - ponaglił go przyjaciel. Z kabury pod pachą wydobyl colta i obejrzał go.

- Mam nadzieję, że to nam pomoże - powiedział.

Trzej starsi wieśniacy stali wylęknieni na środku pola, tuląc się do siebie. Ich wielkie, stwardniałe od pracy ręce zwisały wzdłuż ciał, na twarzach malowały się strach i niepewność. Otaczało ich kołem sześciu czujnych żandarmów z czterdziestkami piątkami w otwartych kaburach. Cała grupa - Niemcy i Amerykanie - przypominała postacie z rysunku satyrycznego wykpiwającego sytuację „Jednego pilnuje stu wartowników”, jednak postronny obserwator łatwo mógł dostrzec, iż wszystko rozgrywa się na serio.

Sierżant Klein rozmawiał z jednym z żandarmów. Ujrzawszy Erika i Dona wychodzących szybkim krokiem z gospodarstwa, przerwał rozmowę i poszedł im naprzeciw.

- Okay, Sam - odezwał się Erik. - Wyprowadzić ich! - polecił żandarmom.

Żołnierze natychmiast podeszli do jeńców, złapali ich z obu stron pod pachy i poprowadzili kilka kroków dalej. Wieśniacy zostali ustawieni w wierzchołkach trójkąta o bokach liczących około piętnastu stóp długości tyłem do jego środka; nie widzieli się wzajemnie, ale mogli się słyszeć; każdego trzymało w mocnym uchwycie dwóch żandarmów.

Erik obserwował te przygotowania. Wydało mu się nagle, że jest aktorem oczekującym na wejście na scenę - w sztuce, której zakończenia nie znał.

Popatrzył uważnie na trzech Niemców i na sekundę otworzył zaporę, za którą czaiły się mroczne wspomnienia uwiecznione gdzieś w otchłaniach umysłu:

...widok obozu koncentracyjnego, nieopisany ogrom ludzkich cierpień. Więzień leżący na wznak na pokrytej brudem podłodze, trzydziestolatek, lecz postarzały o pięćdziesiąt lat - tak wychudzony, że kręgosłup niemal przebijał mu skórę; jego ręce spoczywały nieruchomo nad głową, płonące oczy zapadły się w głąb czaszki - był ofiarą nieludzkiej zasady, głoszącej, iż „kto nie pracuje, ten nie je”, obowiązującej w obozie; z jego ust o spróchniałych zębach i gnijących dziąsłach dobywało się z sykiem jedno słowo: „cukier, cukier, cukier” - powtarzał je, dopóki nie umarł...

...rozdzierająca serce radość i wdzięczność wyzwolonych więźniów, którzy ostatkiem sił odbili na obozowej drukarce małą ulotkę dziękczynną: „Wspaniali Amerykańscy Wyzwoliciele położyli kres naszej niedoli i poniżeniom w Untermassfeldt. Promienne słońce wolności wlewa nadzieję w nasze wdzięczne serca”. Gdy otrzymał taką ulotkę, odwrócił głowę, bo zwilgotniały mu oczy.

...okaleczenie Tani...

...zmasakrowani żołnierze w rzece...

...Anneliese...

...Murphy...

Wziął głęboki oddech i podszedł zdecydowanym krokiem do pierwszego jeńca. Stanął za jego plecami.

- Nazwisko? - zapytał ostro. Niemiec przestąpił z nogi na nogę.

- Obermann - odpowiedział drżącym głosem. - Alois. - Chciał odwrócić się do przesłuchującego, żandarmi jednak brutalnie osadzili go w miejscu.

- Nie odwracać się! - warknął Erik. - Patrzeć przed siebie i odpowiadać na pytania!

Mówił donośnie, głosem pełnym gniewu. Nie ulegało wątpliwości, że dwaj pozostali Niemcy słyszeli każde słowo.

- Czy wiecie, dlaczego tu jesteście? - rzucił.

- Nie, *Herr Offizier*. Nie wiem.

- Ponieważ jesteście werwolfowcem! - stwierdził Erik. - Choler-
nym niemieckim werwolfowcem!

Wieśniak gwałtownie poderwał głowę i znów usiłował się odwrócić, ale żandarm ponownie temu zapobiegł.

- *Nein! Nein, Herr Offizier!* - powtórzył zachrypłym ze strachu głosem. - Nie jestem werwolfowcem!

- Nie? To co w takim razie robiliście w tym lesie?

- Jestem gajowym, *Herr Offizier*. Rąbałem drzewo na opał. Proszę, proszę... niech mnie pan wypuści. Jestem zwyczajnym gajowym. Z Schönsee. Mam żonę i dzieci, *Herr Offizier*. Jaki tam ze mnie werwolfowiec...

Erik przerwał mu gniewnie:

- Milczeć. Wiem, że należycie do Werwolfu.

Starszy mężczyzna zamilkł.

- Gdzie są pozostali?

Obermann oblizał wysuszone wargi. Drżał na całym ciele.

- Nic nie wiem o werwolfowcach, *Herr Offizier*. Niech mi pan uwierzy! *Bitte, bitte*, niech mi pan uwierzy! Ja nic nie wiem...

- Kłamiecie! - warknął Erik.

- Nie! Przysięgam! Nic nie wiem!

Erik niespiesznie wyciągnął z kabury swojego colta.

- Może to odświeży ci pamięć, staruchu! - Szturchnął lufą rewolweru w plecy Obermanna. Niemiec drgnął, po czym zeszywniał.

- Lepiej, żebyś gadał! I to natychmiast! - W głosie Erika zabrzmiały złowieszcze tony.

- Proszę, *Herr Offizier*. Ja nic nie wiem! Proszę! - Żalodne błagania Obermanna zamieniły się pod wpływem przerażenia w skrzeczący półskowyt. Wreszcie zamilkł.

- Jak chcesz, dziadu. Sam wybrałeś! - powiedział Erik podniesionym, ochrypłym głosem.

Odwrócił się i podszedł do drugiego jeńca. Przystanął za jego plecami. Starzec zaczął drżeć. Żandarmi wzmocnili chwyt.

- Nazwisko?

- Weber. Franz Weber.

- Wy też jesteście werwolfowcem!

Weber trzął się ze strachu.

- Nie! - W jego głosie słyhać było paniczny lęk. - Nic o nich nie wiem!

Erik niemal opierał się o Niemca. Zbliżył twarz do jego karku.

- Czy wiecie, dlaczego tu jesteście, Weber? Stoicie przed sądem! Przed moim sądem! A wyrok zadecyduje o waszym życiu!

- *Mein Gott in Himmel! Mein lieber Gott...*

Ale Erik był bezlitosny.

- Odpowiadajcie na pytania! Gdzie są werwolfowcy?

- Nie wiem... nie wiem...

- Kłamiecie!

- Nie! Nie!

- Już rzygam od tych łgarstw! - Erik świadomie wprowadzał się w furię. - Nie chcę tego więcej słyszeć!

- *Bitte, bitte, bitte* - ja mówię prawdę!

Erik podniósł rewolwer i wcisnął lufę w plecy Webera. Stary zmarł z przerażenia.

- Gadaj! - krzyknął Erik. - Gadaj, albo zastrzelę cię na miejscu!

- Ja nic nie wiem... nie wiem... nie wiem...

Erik poczuł niepokój. Ostatecznie stary mógł mówić prawdę. Ale teraz nie miał wyboru. Nie mógł ot tak sobie przerwać przedstawienia, które sam przygotował. Trzeba odegrać jego ostatni, okrutny akt...

- Gadaj! - wrzasnął.

Weberowi strach niemal odebrał mowę. Mamrotał tylko:

- Nic... nic... nic...

Wystrzał zabrzmiał niczym nagłe uderzenie dzwonu śmierci. W tej samej chwili jeden z żandarmów trzymających Webera zacisnął dłoń na jego ustach. Niemiec wyprężył się konwulsyjnie, po czym opadł zemdlny w ramiona żołnierzy.

Pocisk zarył się w ziemię tuż obok stóp wieśniaka.

Erik postąpił kilka kroków i znalazł się za plecami trzeciego jeńca. Niemca sparaliżowało przerażenie, oddychał płytko, urywanie; był przekonany, że jego poprzednik leży martwy.

- Nazwisko?

- Rudolf Gruber - wyszeptał trwoźnie jeńiec.

Erik podniósł broń i wycelował w jego kark. Odwiódł kurek. Rozległ się nienaturalnie głośny trzask.

- No więc? - głos Erika kipiał wściekłością.

- *Ja! Ja!* - Gruber kiwał pośpiesznie głową. - Zaraz! Już mówię! Niech pan nie strzela! Powiem wszystko! Niech pan nie strzela!

- Gadaj w tej chwili!
- Pracowaliśmy dla nich, *Herr Offizier*. Nie jesteśmy werwolfowcami. - Zacinał się. - My tylko dla nich pracowaliśmy.
- Wszyscy trzej?
- Tak! Tak! Dostarczaliśmy im świeżego prowiantu. Jarzyn, chleba, mleka. Oni tam są. Ale ja do nich nie należę. Ja...
- Gdzie są?
- W lesie. Nie wiem dokładnie, gdzie. Kazano nam pozostawiać worki z prowiantem pod wielkim drzewem. Zabierali je po naszym odejściu. Ale wiem, w której części lasu się ukrywają.
- Zaprowadzicie nas tam.

Gruber nagle umilkł.

- Zabijają mnie - wyszeptał po chwili.

Erik odwrócił głowę.

- Sierżancie Klein! - zawołał.

- Na rozkaz!

W spojrzeniu, jakim sierżant obrzucił Erika, malował się nowy, inny niż poprzednio rodzaj szacunku.

- Ilu mamy ludzi?

- Dwunastu, łącznie ze mną.

- Zbierzcie ich. Zostawcie dwóch wartowników na folwarku, a pozostali - zbiórka tutaj. Biegiem! Poszukamy tych werwolfowców!

- Tak jest!

Klein zniknął. Erik odwrócił się do Grubera.

- Wskażecie nam, gdzie ich szukać.

Niemiec z pośępną rezygnacją skinął głową. Zbliżył się do niego Don.

- Kiedy ostatnio mieliście z nimi kontakt? - zapytał.

- Widziałem ich tej nocy... - wyjąkał Gruber.

Nagle zeszytniał. Patrzył osłupiały, jak żołnierze odprowadzają Obermanna i Webera. Obaj Niemcy mierzyli go nienawistnym, pogardliwym spojrzeniem.

- Tej nocy, było już późno, widziałem... widziałem - mówił jakby w oszołomieniu - widziałem, jak do lasu wchodzi sam generał...

Las opodal Schönsee
Godzina 9.09

Grupa poszukiwawcza posuwała się ostrożnie wąską leśną ścieżynką. Na szpicy szedł Don, poprzedzany przez pobladłego, przerażonego Grubera. Za nimi ciągnęło gęsiego dziewięciu żandarmów;; stąpali cicho i czujnie z karabinkami gotowymi do strzału. Pochód zamykał nachmurzony major Evans, Erik i sierżant Klein.

Większość niemieckich lasów jest dobrze utrzymana i las otaczający Schönsee nie stanowił wyjątku. Rosły w nim przeważnie drzewa iglaste - sosny, jodły, świerki. Składał się z kwadratowych kwater, przedzielonych szlakami i ścieżkami. Ponieważ jednocześnie wycinało drzewa i sadzono nowe, w każdej kwaterze były one mniej więcej tej samej wielkości.

Erik i Klein szli obok siebie.

- Nie wie pan, ilu ich tutaj ma być? - zapytał sierżant.
- Od czterdziestu do sześćdziesięciu. Może więcej.
- A niech to diabli! - Klein spojrział zaskoczony na oficera. - A nas dwunastu! - przełknął ślinę. - Jak są uzbrojeni?
- Podobno mają karabiny maszynowe i moździerz.
Klein cicho gwizdnął i machinalnie zacisnął mocniej palce na karabinku. Wpatrzył się w gęstwinę drzew okalających ścieżkę.

- Może by tak wezwać posiłki? - podsunął z nadzieją w głosie.

Erik spochmurniał.

- Mieliśmy szansę, Sam, ale ją zmarnowaliśmy - odpowiedział apatycznym tonem. - Dziś rano żołnierze przeczesali dokładnie ten las. Nie znaleźli nawet jednego cholernego guzika. Nikt nie da nam znów posiłków. A gdyby nawet przybyły, będzie za późno.

Klein zastanowił się.

- Tak, chyba ma pan rację.
- Nie mamy nawet pewności, czy oni w ogóle są tutaj. Bez względu na to, co naopowiadał ten stary.
- Żartuje pan! - Klein był zaskoczony. - Myśli pan, że nas okłamał? Pod lufą rewolweru?

- Możliwe, że powiedział nam to, co jego zdaniem chcieliśmy usłyszeć - zauważył spokojnie Erik.

- Taa... Rozumiem. - Klein umilkł i pogрузzył się w ponurych rozmyślaniach.

- Ale jeśli rzeczywiście są w tym lesie, będziemy musieli zablokować.

- Zablokować? - Klein sądził, że się przesłyszał.

- Pewnie. Urządzimy wielkie przedstawienie, by ich przekonać, że jest nas tu więcej, że nie wyruszyła przeciw nim jedynie garstka szaleńców.

- To doskonały pomysł - stwierdził z entuzjazmem Klein.

Szli dalej w milczeniu. Wokół było cicho i spokojnie.

Nagle Don i Gruber przypadli do ziemi. Don szybko zatrzymał ludzi gestem dłoni; żołnierze stanęli, po czym natychmiast ukryli się w zaroślach. Erik i Klein podbiegli pochyleni ku czołu kolumny.

Don wskazał na dużą sosnę rosnącą opodal zbiegu dwóch ścieżek. Dawno temu ktoś odkształcił młody pień drzewa i teraz sosna pochyłała się nad drózką.

- To tutaj - szepnął Don. - Tu składali zaopatrzenie.

Erik rozejrzał się po okolicy. Kwatera naprzeciw została obsadzona gęsto świerkami wysokimi na dwanaście, piętnaście stóp, u podnóża których rosły gęste krzewy. Sąsiadowały z nią kwatery zalesione wysokimi sosnami. Biegące między nimi ścieżki porastało zielsko i trawa. Widać było na pierwszy rzut oka, że od dawna z nich nie korzystano.

- To właśnie jest to drzewo, pod którym nasz przyjaciel Gruber i jego kumple składali prowiant - wyjaśnił cicho Don. Wskazał na kwaterę świerków. - Według tego szkopa baza Werwolfa ukryta jest gdzieś tutaj.

Erik spojrział spode łba na świerki, a potem powiódł wzrokiem po garstce żandarmów skulonych po obu stronach ścieżki.

- Będziemy musieli otoczyć teren. Najszybciej, jak nam się uda. Zanim rozpoczniemy przeszukiwanie.

- Tak jest.

- Sam - zwrócił się Erik do Kleina - posłuchaj uważnie. Ten kwadrat obsadzony świerkami to typowa niemiecka kwatera leśna.

Długość każdego jego boku wynosi tak na oko od trzystu do trzystu pięćdziesięciu stóp. Otoczymy go.

- Dwunastką ludzi? - Klein spojrział na niego z niedowierzaniem.
- Tak.

Erik zdawał sobie sprawę ze śmieszności swojego zamierzenia. Ale, do ciężkiego diabła - jaki miał wybór? Znaleźli się w cholerniej sytuacji, sytuacji bez wyjścia. Musiał podjąć jakieś działania. Albo przyznać się do porażki.

Tego jednak nie mógł zrobić. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę.

Nagle ogarnęły go wątpliwości. Czy rzeczywiście odmówił wycofania się powodowany przeświadczeniem, iż zagraża im prawdziwe niebezpieczeństwo? A może po prostu nie chciał przyznać się do porażki? Zirytowany tym, że w ogóle dopuścił do siebie takie myśli, podjął beznamietnym tonem zawodowca:

- Zabierzcie wszystkich ludzi. Będzie was razem dziesięciu. Pójdziecie tą ścieżką w prawo i przeszukacie cały ten kwadrat. Rozmieście żołnierzy tak, żeby każdy widział swojego sąsiada. Wy sami zajmiecie pozycję na końcu - wskazał przed siebie na skrzyżowanie ścieżek - tutaj. My będziemy w tych jodłach sąsiadujących z kwaterą świerków. Dajcie znać, gdy będziecie gotowi.

Zrozumiano?

- Tak jest!
- Okay. Do roboty.

Erik spojrział na zegarek. Była 9.27. Gdzie podziewa się Klein? Popatrzył na skrzyżowanie ścieżek z lewej strony. Nic.

Przycupnął za sterczącymi w górę korzeniami powalonego drzewa. Opodal, po prawej stronie, czaił się Don, a obok niego Gruber, usiłujący zniknąć w leśnym poszyciu. Za nimi, za grubym pniem wyniosłej sosny, znalazł schronienie major Evans.

Erik jeszcze raz spojrział na zegarek. 9.28.

Co u diabła zatrzymało Kleina? Przecież na pewno nie mieli żadnych problemów! A jeśli mieli?

Wbił wzrok w skrzyżowanie ścieżek. Nic.

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ukradkowy ruch. Jego dłoń powędrowała machinalnie ku kaburze. Wpatrzył się aż do bólu powiek

w zarośla na skrzyżowaniu, usiłując przeniknąć je wzrokiem. Zauważył pochyloną postać.

Był to Klein.

Sierżant pokiwał mu dłonią, Erik odpowiedział tym samym gestem. Zobaczył, że Klein odwraca się i daje podobny sygnał stojącemu obok żołnierzowi. Czekał. Wiedział, że ludzie tworzący tyralierę przekazują sobie umówiony znak. Wszyscy mieli zająć pozycje i wymierzyć gotową do strzału broń w kwaterę świerków.

Po paru minutach zerknął na Dona. Przyjaciel skinął głową.

Erik wyjął z kabury rewolwer i wstał. Poczłł nagle wilgoć pod pachami. Wziął głębokł oddech.

- Ge-ne-ra-le Krue-ger! - krzyknął ile sił w płucach. - Generale Krueger! *Ihre Stellung ist umzingelt!* Jesteście otoczeni! Złóżcie broń i wychodźcie!

Odczekał chwilę nadśłuchując, ale spoza świerków nie dobiegł żaden dźwięk. Krzyknął ponownie:

- Generale Krueger! Jesteście otoczeni! Wychodźcie! Daję wam dwie minuty. Opór jest bezcelowy!

Ponownie zaczął nadśłuchiwać. Nikt nie odpowiadał, nic się nie poruszyło. Wokół panowała cisza, przerywana od czasu do czasu jedynie bzyčeniem jakiegoś owada i szelestem zeschnętych liści, poruszanych powiewami wiatru. Nakazał gestem Kleinowi, żeby pozostał na miejscu, po czym pochyliwszy się podbiegł do Dona.

- Spróbuję jeszcze raz - powiedział. - Jeśli się nie odezwą wiesz, co robić. Don kiwnął głową.

- Taa... Ale niezbyt mi się to podoba.

- Mnie też nie - odparł Erik ponurym głosem. Odwrócił się w kierunku świerków i jeszcze raz zawołał:

- Krueger! Niech pan wyjdzie! Wiemy, gdzie jesteście! Wiemy o waszej organizacji! Wychodźcie! Jesteście otoczeni!

Znów kilka minut oczekiwania... i cisza. Obok nich pojawił się Evans. Na zadowolonej twarzy miał wypisane słowa: „A nie mówiłem?”

- I cóż? - zapytał z fałszywą wyrozumiałością. - Czy jesteście panowie skłonni do wysłuchania głosu rozsądku i do spasowania?

Erik odwrócił się do niego plecami. Nie ufał zbyt swojemu nerwowi. Nie w tej chwili. Don również zignorował majora. Evans poczerwieniał.

- Wciąż panom zależy, żeby ciągnąć ten... nonsens?

Don spojrzał na Erika.

- Coś mi się zdaje, że to my o tym decydujemy - zauważył.

Erik przytaknął. Evans opanował się z widocznym wysiłkiem.

- Jak panowie chcecie - wycedził zjadliwie. - Ale uprzedzam, przejadą się za to po was, sami zobaczycie.

Odwrócił się na pięcie i odmaszerował sztywnym krokiem do swojej kryjówki. Don wstał.

- Lepiej ruszmy dupy - powiedział. - Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś coś osiągnął wysiadując na tyłku.

Przywołał najbliższego żandarma i wskazał mu skulonego Grubera.

- Miej oko na tego wszarza - nakazał. - Zaraz wrócimy. Idziemy? - zapytał Erika.

- Prowadź, mości hrabio!

Erik wyciągnął rewolwer. Broń wydała mu się nagle śmiesznie mała i nieskuteczna. Pomyślał, że dobrze byłoby wymienić ją na karabinek, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Znał swój rewolwer i wiedział, co potrafi.

Doszli na skraj kwatery, spojrzeli po sobie i zniknęli wśród drzew.

Gajowy Gruber patrzył na nich ze swojego schronienia w zaroślach. Jakby oczekiwał, iż lada chwila wylecą w powietrze na minie...

Cholera jasna, już pół godziny! Za dwie minuty upłynie pół godziny od chwili, gdy dwaj agenci CIC zapuścili się w świerki. Klein zmienił pozycję. Nie dlatego, że poczuł się niewygodnie; zaczynał się po prostu martwić. Z kwatery nie dochodził żaden dźwięk, nic się tam nie poruszało. Oderwał na chwilę wzrok od drzew i spojrzał na ścieżkę po lewej stronie. Widział wyraźnie kłęczącego za krzakiem najbliższego żołnierza. Wśród sosen po prawej stronie dostrzegł starego szkopa, którego pilnował jeden z żandarmów. A także majora Evansa.

Oficer stał oparty o pień wielkiej sosny i spoglądał na zegarek. Wydawał się zniecierpliwiony.

W głowie Kleina zaświtała niewesoła myśl. Major był w tej chwili najwyższy rangą. Co będzie, jeśli zechce przejąć dowództwo? On i ci faceci z CIC z pewnością się nie kochają. Co zrobi, jeśli Evans rozkaże mu zwołać ludzi i odprowadzić ich do dowództwa korpusu, bo uzna, że całe to cholerne przedsięwzięcie zakończyło się kląpą? Pozostawi tych dwóch gości z CIC na pastwę losu? Nie może przecież odmówić wykonania rozkazu, ale jednocześnie nie może teraz stąd tak po prostu odejść. *Oj, sztarb!* Dlaczego nie siedzi w dowództwie i nie wypisuje wykazów dyżurów? Och, jaki byłby szczęśliwy!

Nagle błyskawicznie odwrócił głowę w stronę świerków i spojrzał uważnie w gęstwinię. Coś zauważył. Jakiś ruch.

Zacisnął dłonie na karabinku.

Tam! Znów.

Podniósł karabinek i wycelował go w źródło tajemniczego ruchu. W celowniku dojrzał jakąś postać przedzierającą się przez świerki. Poznał Erika.

Odetchnął z ulgą. Poczuł, że po plecach spływa mu zimny pot. Opuścił broń i czekał. Erik zbliżył się. Na jego twarzy malował się zawód.

- Nikogo tam chyba nie ma - oświadczył bezbarwnym głosem.

- To dobrze! - Klein uśmiechnął się promiennie, ale kiedy spojrzał na agenta, spoważniał. - Niedobrze? - zapytał.

- Musimy uzyskać całkowitą pewność. - Erik jakby nie dosłyszał słów sierżanta. - Niech żołnierze wejdą do lasu - zarządził. - Chcę, żeby przeszli przez całą kwaterę i zebrali się na środku. Mają zachować ostrożność, ale niech sprawdzą każde drzewo, każdą kępę krzaków!

- Tak jest.

Erik spojrzał na zegarek.

- Wejdziecie tam za dziesięć minut.

- Okay.

Klein oddalił się truchtem. Erik zerknął na zbliżającego się majora Evansa, po czym odwrócił się i ponownie zagłębił w świerczynie.

Kwaterna Werwolfu

Godzina 10.12

Steiner pocił się. Drażnił go ten ostry, kwaśny zapach. Pozostali też go musieli czuć, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Na dobitkę bolała go ta przekłeta noga. Pocisk przeszedł na wylot przez mięśnie uda. Miał szczęście, że nawet nie drasnął kości. Tyle że bolało straszliwie.

Pokuśtykał do pomieszczenia radiostacji. Niech to diabli - był tu najwyższym stopniem podoficerem. Stał zbyt mocno na kontuzjowanej nodze i ostry ból przeszył mu bok. *Verflucht!*

Kiedy tamtego dnia poczuł tępe uderzenie pocisku i zrozumiał, że został trafiony, zdał sobie sprawę z tego, że właściwie już umarł. Jego towarzysze nie mogli obarczać się rannym - takie były zasady działania Werwolfu.

Wtedy jednak młody Willi Richter rozkazał Kraussowi i Leibowi ująć go z obu stron pod ramiona - i jakoś doszli do kryjówki.

Zawdzięczał Willemu życie. Był mu za to wdzięczny, choć jednocześnie lekko nim gardził. Młody oficer podjął ogromne ryzyko. Naraził na szwank całą operację. Mieli szczęście, że ich nie schwytali. Zmarszczył czoło. Co on sam by uczynił w takiej sytuacji?

Stał w drzwiach i oparł się ciężko o framugę. Radiotelegrafista spojrzął na niego.

- Zanotujcie wiadomość - polecił krótko. Zwilżył wyschnięte usta.
- „Do wszystkich jednostek i placówek: nieprzyjaciół przeszukuje teren pod Schönsee. Na razie nie grozi niebezpieczeństwo, ale nie należy wychodzić z ukrycia. Odłożyć wszelkie zaplanowane operacje”...

Przerwał. Nagle pojął doniosłość decyzji, jaką musiał podjąć. Dlaczego, do ciężkiej cholery, właśnie jemu przyszło ją podejmować?! Zakręciło mu się w głowie. Znow uderzył go w nozdrza silny odór własnego potu.

Nie, nie mógł podjąć tej odpowiedzialności. Nie nadawał się do tego, po prostu nie mógł. Operacja, którą przygotowywała jednostka C, była ostatnią szansą. Musieli ją bezwarunkowo przeprowadzić. Nie mógł jej wstrzymać. Nie teraz.

Spojrzał na czekającego radiooperatora.

- „Odłożyć wszelkie zaplanowane akcje” - powtórzył z naciskiem w głosie, po czym wziął głęboki oddech. - „Tylko w okolicy dowództwa, powtarzam: tylko w okolicy dowództwa. Czekać na dalsze rozkazy. Potwierdzić odbiór”.

Zaczekał, aż radiooperator skończy notować.

- Zaszifrować i natychmiast wysłać. Przez Monachium.

- *Sofort!*

Radiooperator zaczął dostrajać aparat.

- Ilu ich tam jest teraz? - zapytał.

Steiner wzruszył ramionami.

- Ze trzydziestu, może czterdziestu. Nieważne.

Radiooperator podniósł wzrok.

- Jeśli tylko tyłu, możemy łatwo... Przerwał mu szorstko:

- Działamy według rozkazów. Dopóki nas nie odkryją, sami ich nie zaczepiamy.

- A jeśli odkryją?

- Wtedy zginą - powiedział zimno Steiner.

Chciał już odejść. Ból w nodze stał się nie do zniesienia.

- Należy ostrzec generała - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Może trzeba będzie skorygować jakieś plany. - Dotknął nogi.

Nawet przez opatrunek czuł gorąco. - Po wysłaniu wiadomości nawiążcie łączność z Weiden.

Pot zalewał mu oczy. Nic więcej nie mógł uczynić. Muszą teraz przywarować, uzbroić się w cierpliwość.

Być może nie ma żadnych powodów, żeby się martwić. Nigdy ich nie odkryją. Wykluczone.

A jednak... *Sicher ist die Mutter der Porzellankiste!* Lepiej dmuchać na zimne.

Las opodal Schönsee

Godzina 10.41

Erik czuł na plecach miękkiej, chłodny dotyk grubego mchu obrastającego duży głąz, o który się opierał. Zerknął na Dona, przykucniętego w odległości kilku kroków i wpatzonego w drzewa.

Upłynął już bez mała kwadrans, odkąd znalazł się obok przyjaciela pośrodku świerkowej kwatery i odkąd usłyszeli trzy ostre gwizdki Kleina wzywające żołnierzy do wkroczenia w wyznaczony kwadrat.

Próbował przeniknąć spojrzeniem świerki naprzeciw. Wiedział, że Klein wraz z żandarmami przedzierają się teraz w jego kierunku, przetrząsając każdą piędź lasu.

Natężył słuch. Nic.

Spojrzał na zegarek. Szesnaście minut.

Kiedy oderwał wzrok od zegarka, dojrzał pierwszego żołnierza. Kroczył ostrożnie z karabinkiem gotowym do strzału, przetrząsając każdą kępę zarośli.

Potem dostrzegł drugiego. I następnego.

Schodzili się cicho ze wszystkich stron i spoglądając w milczeniu na Erika i Dona zatrzymywali się niepewnie.

Erik westchnął.

Nic, pomyślał w bezsilnej złości. Jedno wielkie pieprzone nic!

Nagle jego myśli rozproszyła ostra eksplozja, której uderzenie odczuł w uszach niczym cios.

Wszyscy żołnierze padli natychmiast na ziemię, trzymając broń w gotowości.

Nadbiegł Klein.

Erik czuł, jak do żył wlewa mu się energia. Nareszcie!

Sierżant zbliżył się do agentów.

- Przepraszam - tłumaczył się z głupim uśmiechem. - To znów Warnecke i te jego wielgachne stopiska. Potknął się o korzeń. Mało brakowało, a miałbym dziurę w czaszce!

Erik wstał. Nagle poczuł wyczerpanie. Popatrzył po twarzach stojących dookoła żołnierzy, którzy obserwowali go uważnie. Wiedział, co myślą.

- Słuchajcie! - zawołał. - Chyba nie ma tu nikogo. Chcę się jednak dokładnie upewnić. Chcę, żebyście jeszcze raz dokładnie przeszukali każdą kępę poszycia, wszystkie zarośla. Jeszcze raz dobrze się rozejrzyjcie. Jeśli znajdziecie cokolwiek, choćby nawet był to używany kondom, zabierzcie go. Zbiórka pod wielką pochyłą sosną za trzydzieści minut. Ruszajcie!

Nagle z ukrytej norki wyskoczył królik i pomknął zygzakiem znikając w zaroślach.

- To jeden z nich! - krzyknął któryś z żołnierzy. Odpowiedział mu tylko sztuczny, wymuszony śmiech. Erik wraz z Kleinem i Donem patrzyli na zagłębiających się w gęstwinie ludzi. Don nagle coś sobie przypomniał.

- Hej - zwrócił się do sierżanta - a co z naszym głównym bohaterem?

- Z majorem Evansem? - Klein wyszczerzył zęby. - Sądzi, że jemu przypadnie chwała, ale nic z tego - wyjdzie na wała! Dowcip nie był pozbawiony sensu, jednak nikt się nie roześmiał.

Sudetenland, Czechy

Droga prowadząca do Jednostki C

Godzina 11.03

Willi Richter zmarszczył czoło. Nie podobał mu się zgrzytliwy dźwięk dochodzący z silnika volkswagena. Określenie tego samochodu mianem gruchota stanowiłoby komplement. Pojazd był poharatany odłamkami, jeden z przednich błotników był wgnieciony, a przypominający żabie oko reflektor oderwany. Górna część nadwozia nie istniała. Willi cieszył się, że nie pada deszcz. Siedział za kierownicą już kilkanaście godzin, a ów przekłety dźwięk usłyszał jakieś piętnaście minut temu. Wyglądało na to, że ten cholerny silnik lada chwila wypadnie na drogę.

Zum Teufel damit! - zaklął w duchu. Do diabła z całym tym wra-kiem! Zresztą i tak wkrótce będzie musiał go porzucić.

Przeniósł się myślami w przeszłość.

Opuścił kwaterę generała Kruegera o 4.30 rano, dobrze przed świtem, chciał bowiem wykorzystać zmrok, żeby opuścić teren bez narażania bezpieczeństwa dowództwa. Nie miał żadnych problemów z przekroczeniem linii amerykańskich posterunków, potem granicy, i wreszcie z wjazdem na teren Czech.

Zarekwirował volkswagena pierwszej napotkanej jednostce niemieckiej, powołując się na nadzwyczajne uprawnienia otrzymane od generała, po czym skierował się ku najbliższemu punktowi dowodzenia.

Wywołanie monachijskiej stacji przekaźnikowej i uzyskanie drogą radiową potwierdzenia w kwestii środków transportowych dla grupy uderzeniowej z Jednostki C zabrało sporo czasu. Ciężarówka wyruszą drogą do Salzburga, na południe od Pasawy, i znajdują się u celu za kilka godzin.

Poczuł nagły przypływ podniecenia. Weźmie udział w grze o grubą stawkę!

Mimowolnie nacisnął pedał gazu.

Kiedy volkswagen nabrał szybkości, z silnika dobył się złowieszczy dźwięk. Po sekundzie rozległo się ostre, metaliczne „ping” - w tej samej chwili zablokowała się skrzynia biegów, samochód zatoczył łuk, zjechał na pobocze i stanął.

Willi wysiadł i obrzucił złym wzrokiem wehikuł.

- *Scheissdreck!* - zaklął. - Gówno, nie samochód!

Rozeźlony, kopnął tylne koło i ruszył piechotą w kierunku granicy i znajdującemu się tuż za nią obszarowi działania Jednostki C.

Las opodal Schönsee

Godzina 11.14

Erik i Don siedzieli pod wielką pochyłą sosną, żandarmi rozłożyli się wygodnie na trawie dokoła, a major Evans usadowił się nieco na uboczu. Wciąż miał taki wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem?”. Słońce stało wysoko na pięknym, błękitnym niebie. W koronach drzew świergotały wesoło ptaki, ważki brzęczały ścigając maleńkie owady, wśród gałęzi sosen poszeptywał cicho łagodny zefirek. Cała ta sielankowa sceneria stanowiła krańcowe przeciwieństwo niewesołego nastroju dwóch agentów CIC, spoglądających ponuro w głąb lasu.

- Dwie godziny. Przez dwie godziny złaziliśmy ten cholerny kawałek gruntu wzdłuż i wszerz. I nic. Ani śladu nikogo. - Don wyglądał na rozgoryczonego. - Cóż, jak to mówią, jeśli wszystkie inne środki zawiodą, zawsze możemy skapitulować.

- Ale śmieszne!

Zbliżył się Klein.

- Powrócili ostatni żołnierze - zameldował. - Co teraz? - Zerknął na niebo. - Niedługo południe.

- Chyba wrócimy na folwark - mruknął Don. - Co ty na to, Erik?
- Taa... Erik spoglądał w przestrzeń, marszcząc w skupieniu czoło.

- Jak pomyślę, że trzeba się będzie tłumaczyć przed Streeterem, żyć mi się odechciewa. - Don spojrzął z ukosa na majora. - I ryzygać mi się chce na myśl o zadowolonej mordzie tego kutasa Evansa.

Erik wstał.

- Jeszcze nie wypadliśmy z gry - oświadczył i stanowczym głosem zaczął wydawać Kleinowi polecenia: - Sam, weź ludzi i zabierzcie zatrzymanych na folwarku do korpusu. Żołnierzy przekaz wydziałowi przesłuchań jeńców, a cywilów - wskazał ruchem głowy Grubera - chłopcom z kontrwywiadu. Spróbujemy z Donem jeszcze jednego sposobu.

- Rozkaz. - Klein wyprężył się słuźbiście.

- Chodźcie tu wszyscy! - zawołał do żandarmów. - Wracamy. - Wskazał Grubera. - Dajcie tu tego szkopa.

Żandarmi wstali i zaczęli gromadzić się wokół Kleina. Do Erika i Dona podszedł spacerowym krokiem Evans. Starannie kruszył w palcach niedopałek, rozsypując na ziemię tytoń. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

Don spojrzął na przyjaciela.

- Wiedziałem, że tak będzie - mruknął.

Evans stanął obok nich.

- Myślę, że wrócił panom rozsądek - oświadczył z ironicznym uśmiechem. - Rozumiem, iż obecnie jesteście panowie skłonni przyznać mi rację?

Erik podniósł się powoli.

- Ach, więc tak pan to rozumie, majorze? - odparował. - No cóż, jeszcze nie skończyliśmy.

- Czyżby? - Evans uśmiechnął się ironicznie. Powiódł spojrzeniem po otaczających Kleina żandarmach. - No, ale teraz przynajmniej nie będziecie już mitrzyć niczyjego czasu, wyłącznie swój własny.

Don wstał.

- Nie sędzę, majorze, żeby miał pan prawo określać nasze przedsięwzięcie jako „mitrzenie czasu” - powiedział cicho.

Evans spojrzął nań spod oka.

- Nie?

- Nie! Słyszał pan na własne uszy potwierdzenie naszych domysłów.

Major wskazał na Grubera.

- Chodzi panom o tego starca?

- Właśnie!

Evans uśmiechnął się wyrozumiale.

- Chyba nie biorą panowie poważnie jego bajdurzeń.

- Dlaczego nie? Przecież powiedział, że są tu werwolfowcy.

- Owszem. Zapewne. - Evans wyduł wargi, udając głęboką zadumę. Bawiła go niezmiernie cała ta sytuacja. Nadszedł chyba czas, żeby pokazać tym nieznośnym zadufkom, gdzie jest ich właściwe miejsce. Skręcił bibułkę z niedopałka w małą kulkę. - Jednakże - kontynuował - wydaje mi się, iż zapominacie panowie, w jakich okolicznościach ów człowiek to powiedział.

Don spojrzał koso na majora.

- Do czego pan właściwie zmierza?

- Nie zapominajcie, Johnson, że w Stanach ja również pracowałem w aparacie ścigania. - Pokręcił głową. - Mam poważne wątpliwości, czy ktokolwiek uwierzy zeznaniom tego Niemca, jeśli się dowie, w jaki sposób zostały uzyskane.

Don rzucił Erikowi szybkie spojrzenie. Jego przyjaciel sposepniał. Milczał.

- Wystraszyliście tego biedaka nie na żarty - ciągnął Evans. - Powiedziałałby wszystko, żeby tylko ocalić skórę. - Popatrzył znacząco na obu agentów. - Obawiam się, panowie, że gonicie w piętę.

Cisnął kulką niedopałka i dodał tonem wymówki:

- Ostrzegąłem panów. Istnieje tylko jedna fachowa metoda prowadzenia przesłuchań. Ale trzeba doświadczenia, żeby wiedzieć, jak to się robi. A wam, panowie, brakuje tego doświadczenia.

Erik odezwał się spokojnie:

- Niemniej jednak, majorze, mamy zamiar kontynuować tę sprawę.

- Jak panowie chcecie - Evans wzruszył ramionami. - Co do mnie, zajmę się jakąś poważniejszą robotą.

- Chwileczkę! - wybuchnął Don. - Jeśli pan myśli, że może pan...

Major Evans gwałtownie odwrócił się ku niemu.

- Nie warcz, przyjacielu, jeśli nie możesz ukąsić - wycedził. Przez chwilę wpatrywał się badawczo w twarz Dona, delektując się własną przewagą; w oczach zapłonęły mu złe ogniki. - Nie lubi mnie pan, agencie Johnson, prawda? - rzucił.

- Zgadza się, majorze - odparł zimno Don.

Evans uśmiechnął się promiennie.

- Pewnie uważa pan, że kawał sukinsyna ze mnie, ale widzi pan - właśnie za to pobieram żołąd.

Don spojrział wprost w uśmiechniętą twarz majora.

- Chyba muszą sporo przepłacać - odparował.

Evans spurpurowiał z wściekłości. Zmierzył obu agentów nienawistnym wzrokiem.

- Okay - wysyczał jadowicie. - Balansujecie panowie na cienkiej linie. A ja z największą przyjemnością osobiście tę linę przetnę.

Odwrócił się i oddalił majestatycznym krokiem. Don odprowadził go wściekłym spojrzeniem.

- Ten sukinsyn ma we łbie beton - warknął. - Dobrze zmieszany i ścięty!

Ruszyli obaj w ślad za żandarmami.

Erik odczuwał osobliwe podekscytowanie, graniczące niemal z uniesieniem. Zastanawiał się przez chwilę, czy to nie reakcja na załamanie, jakie przeżył, gdy poszukiwanie kryjówki Werwofu nie przyniosło żadnych wyników. Nie, to nie było to. Nagle zrozumiał, że Evans obchodzi go tyle co zeszłoroczny śnieg. Dotyczyło to również ewentualnych następstw kroków, jakie tamten mógł podjąć. Nie może dać za wygraną, ponieważ mocno wierzy w doniosłość całej sprawy i jest święcie przekonany, iż należy doprowadzić ją do końca.

- Słuchaj, Don - zwrócił się do przyjaciela - nie wywieszamy białej flagi! Nie, do cholery! Dopóki tego nie zrobimy, dopóty mamy jeszcze szansę.

- Jasne - zgodził się Don. - Ale co masz na myśli?

- Czy pamiętasz, co Plewig mówił o zaopatrzeniu, jakie podobno otrzymuje Werwolf?

- Tak. Mają wszystko, czego dusza zapagnie. No i co?

- Na pewno przechowują część tego zaopatrzenia w wielu rozmaitych skrytkach, rozlokowanych gdzieś w pobliżu głównej bazy.

- Może i tak...
- Przecież jeśli nie znaleźliśmy ich w tej pieprzonej świerkowej kwaterze, gdzie zdaniem Grubera mają kryjówkę, muszą być gdzieś w okolicy. - Spojrzał na przyjaciela. - Nie chcę, żebyśmy wyszli w oczach Streetera na puste łąby. Może więc poszukamy ich składu zapatrzania?
- Taa... Gdybyśmy zdołali udowodnić, że ci cholerni werwolfowcy tu byli, wyjęlibyśmy Evansowi kilka argumentów z gęby.
- Jeśli udowodnimy, że werwolfowcy naprawdę istnieją, będziemy mogli podjąć jakieś działania... Weźmiemy dżipa i pojeździmy sobie wokół tej kwatery świerków. Może wreszcie na coś się natkniemy...

Weiden

Godzina 11.29

Zdezelowany i pozbawiony opon rower stał oparty o ścianę zbombardowanego domu, upstrzoną setkami otworów po odłamkach. Przez jedno z kół i ramę przewleczony był ciężki łańcuch zamknięty solidną kłódką. Z kamiennych stopni prowadzących z ruin do piwnic usunięto częściowo gruz, tworząc wąską ścieżkę wiodącą w ciemności. Dwaj mężczyźni naradzali się w piwnicy gorączkowym szeptem.

- Wiesz, co masz robić - powiedział cicho Heinz.

Przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. Kontuzjowana kończyna bolała. Zbyt wiele chodził. Wszystko przez tego przekłętego Plewiga.

- Jednostka B - kontynuował. - Pięciosobowa grupa operacyjna. Nadzwyczajne rozkazy.

Jego lewe ramię przeszył nagły ból. Znowu. Mimo iż jego ucięta ręka gniła gdzieś w ziemi w Afryce Północnej. Zdrowym okiem wpatrywał się bacznie w swojego rozmówcę.

Krauss czuł się niepewnie. Miał niejasne wrażenie, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Wszystko z powodu tych dwóch agentów amerykańskiego gestapo. Miał ochotę splunąć na ziemię, ale Heinz mógłby niewłaściwie zrozumieć jego intencje.

- Zrób to jak najszybciej. Krueger musi zostać ostrzeżony.

- A co z tymi amerykańskimi agentami?
- Nic. Na razie nic. W lesie i na folwarku roilo się od ich żołnierzy.

Obawy Kraussa wzrosły.

- Więc nie sposób przewidzieć... Oni mogą...

Heinz uciął ostrym tonem:

- Mogą szukać ile chcą. Nic nie znajdują. Przerwał. Stał na obu stopach i wyprostował się, patrząc wprost w twarz Kraussa.

- Reszta należy do was. Wy będziecie odpowiedzialni.

Las opodal Schönsee

Godzina 12.27

Erik miał wrażenie, że leśne kwatery rosą w oczach, gdy mijali je jadąc dziupem po wąskich ścieżkach. Wiedział, iż przyczyną tego złudzenia jest rosnące w nim zniechęcenie.

Prowadził Don. W kilku miejscach koleiny były gęsto zarośnięte, toteż włączył napęd na cztery koła. Krążyli tak od ponad półgodziny i wedle obliczeń Erika przebyli już od trzech do czterech mil. Zatrzymywali się we wszystkich miejscach mogących służyć jako ukryte magazyny zaopatrzenia, jakiego bądź zaopatrzenia - były to powalone drzewa, głązy, wzniesienia i wklęsnięcia terenu, gęste kępy zarośli, stopy konarów; nie przepuścili niczemu, co nadawałoby się na kryjówkę.

Niczego nie znaleźli.

Ścieżka obniżała się przed nimi na krótkim odcinku. Poniżej, na niewielkiej przestrzeni, drzewa rosły rzadziej. Erik wskazał palcem przed siebie, po czym uczynił gest naśladujący podrzynanie gardła. Don zgasił silnik. Zjechali bezszelestnie z wzniesienia i zatrzymali pojazd niemal na obrzeżu otwartego terenu. Obaj wysiedli i podeszli ostrożnie do skrajnych drzew, szukając ochrony za krzakami.

Ujrzeni leśne pastwisko obsiane lucerną. Otaczał je drewniany płot domagający się rychłej naprawy. W odległości około pięćdziesięciu stóp od skraju lasu, gdzie przycupnęli w ukryciu, stała niewielka drewniana chata. Ściana wychodząca w kierunku lasu pozbawiona była zarówno okien, jak i drzwi, wystawała z niej jedynie tylna

obudowa prymitywnego kamiennego komina, biegnąca w górę i zakończona przysadzistym dymnikiem. Obok ułożono stertę polan, z dużego pokiereszowanego pniaka sterczała siekierka. Zakątek wydawał się sennym odludziem.

Przez kilka minut obserwowali chatę w milczeniu.

Nagle Erik zeszytniał. Dotknął ramienia przyjaciela i wskazał na domek.

Don zmrużył oczy. Spojrzał na Erika.

- Komin! - szepnął tamten. - Popatrz na komin!

Z dymnika unosił się strumień gorącego powietrza. Nie było dymu, ale przedmioty widoczne z drugiej strony strumienia zdawały się drżeć i falować niczym pustynny miraż.

- A, tak! - szepnął Don. - Gorące powietrze! Ktoś jest w środku!

- Albo był. I to niedawno.

Don wpatrywał się badawczo w chatę. -Może chłopci...

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Erik przytaknął. Namyślał się przez chwilę, a potem wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Zrobimy to metodą Dicka Tracy'ego, co?

- Czemu nie? Hej, Pruneface*, nadchodzimy!

Przeciwnik amerykańskiego komiksowego detektywa, Dicka Tracy'ego (przyp. tłum.).

Obaj agenci wyciągnęli rewolwery i odbezpieczyli je. Don spojrzał pytająco na Erika. Ten krótko skinął głową.

Wyskoczyli z ukrycia i pobiegli bezszelestnie ku chatce, klucząc na otwartej przestrzeni; Erik z lewej strony, Don z prawej.

Erik zorientował się, że chata znajduje się dużo dalej, aniżeli im się wydawało. Mignął mu Don dopadający narożnika i znikający z pola widzenia. Schylony przebiegł pod zasłoniętym okiennicami oknem i znalazł się przy sąsiednim narożniku. Miał szaleńczą nadzieję, iż zastaną w domku tłum werwolfowców, choć rozsądek podpowiadał mu, że to niemożliwe.

Skreślił i znalazł się przed chatą. Don. Gdzie się podział Don?! Po chwili zobaczył, jak przyjaciel wyłania się spoza swojego narożnika.

Jeszcze jedno okno zasłonięte okiennicami. Potem drzwi. Zamknięte. Agenci zatrzymali się. Nadsluchiwali.

Panowała cisza jak makiem zasiał.

Erik ścisnął mocniej rewolwer. Zerknął na Dona i skinął głową.

Don kopnął potężnie drewniane drzwi. Ustąpiły z ogłuszającym łomotem.

Erik natychmiast znalazł się w środku.

Objął szybkim spojrzeniem wnętrze izby: motyki, łopaty i grabie tkwiące w wielkiej, brudnej beczce ustawionej w kącie pod zbitą z sękatych desek ścianą, żelazny sagan kipiący na ogniu kominka, jasny, nie dający dymu płomień; duży, toporny stół - a przy nim pięć osób usadowionych na taboretach i jedzących zupę z prostych chłopskich misek.

Poczuł, że obok staje Don. Uspokojony, obejrzał dokładnie siedzących przy stole. Wszyscy mieli na sobie zwyczajne bawarskie ubrania. Trzy młode dziewczyny w tyrolskich bluzkach i spódnicach. Kaleka z prawą ręką i prawą nogą w stalowych szynach, umocowanych rzemieniami. Starszy mężczyzna w szarych krótkich spodniach zapiętych pod kolanami, zgrzebnej zielonej koszuli i szarej bawarskiej kurtce z kościanymi, rzeźbionymi guzikami.

Chłopi...

Coś się w nim załamało. Mieli ostatnią szansę. Teraz już koniec. W którymś momencie sfuszerowali sprawę. Wprawdzie nadal wierzył w istnienie werwolfowców, ale obecnie...

Poczuł ogromne znużenie. Gotów był już poddać się, jednak coś nie dawało mu spokoju, jakiś drobiazg drażnił pamięć, coś, czego nie potrafił określić...

Coś, o czym mówił Plewiga...

Popatrzył jeszcze raz na zebranych w izbie - i już wiedział. Przypomniał sobie słowa Plewiga: „Niektórzy z nich są inwalidami wojennymi”. Inwalidami wojennymi...

Kaleka!

A ten starszy mężczyzna?

Upłynęła zaledwie chwila. Niemcy wciąż wpatrywali się osłupiałym wzrokiem w niespodziewanych gości. Erik ostrym, władcym tonem powiedział:

- Generale Krueger! Pójdzie pan z nami. Proszę wstać!

Zgrzytnięcie drewnianego stołka na chropowatej podłodze zabrzmiało niczym grzmot potężnego osuwiska, kiedy starszy bawarski rolnik zaczął odruchowo wstawać - i zamarł w pół drogi.

Przez cztery długie sekundy osobliwy *tableau vivant* trwał w bezruchu; dwie grupy osób patrzyły na siebie w konsternacji.

Potem Krueger opadł ciężko na stołek, zrozumiałwszy, iż mimowolnie ujawnił swoją tożsamość.

Serce Erika waliło jak młot, jakby pragnąc tysiącrotnie nadrobić króciuteńką chwilę, gdy zamarło, kiedy starszy rolnik podnosił się z miejsca. Wpadł w ich ręce sam generał Werwolffu! Wszystko dzięki fortelowi! Zerknął na przyjaciela. Znakomicie. Don patrzył na Niemców z gniewnym, zawziętym wyrazem twarzy.

Udało się! Ich było na wierzchu. Znaleźli werwolffowców dokładnie tam, gdzie przewidywali! Jako żywy dowód posłuży sam ich generał!

Ale jeśli ten bawarski rolnik jest rzeczywiście generałem Karlem Kruegerem - to werwolffowcy z pewnością są w pobliżu. Czterdziestu? Sześćdziesięciu? Co powiedział Plewig? Doborowi żołnierze. Fanatycy. Uzbrojeni po zęby.

Znajdowali się więc w samym środku ukrytego legowiska Werwolffu. Sami, pozbawieni jakiegokolwiek pomocy.

Tylko jedno mogło ich ocalić. Musiał ciągnąć dalej swój blef. Musiał trzymać się swojej roli.

Wyschły mu wargi, zwilgotniały dłonie. Z trudem pohamował pokusę oblizania warg. Wiedział doskonale, że takie drobne, podświadome czynności zdradzają napięte nerwy i niepewność.

- Wstać! - warknął. - Wszyscy!

Machnął rewolwerem.

- Pod ścianę. Założyć ręce na kark! Ruszać się! Posłuchali.

Najpierw Krueger, potem trzy dziewczyny, wreszcie inwalida, ustawili się pod ścianą obok drzwi, nie spuszczać ani na moment wzroku z dwóch Amerykanów trzymających ich na muszce. W oczach Niemców tliła się nienawiść. Tylko błękitne źrenice Kruegera, patrzącego spokojnie na Erika i Dona, wydawały się pozbawione emocji.

- Odwrócić się! - nakazał Erik. - Oprzeć się dłońmi o ścianę. Nogi w rozkroku.

Piątka Niemców wykonała posłusznie polecenie.

Inwalida miał trudności, na moment stracił równowagę, lecz stojąca tuż obok dziewczyna szybko ujęła go za ramię, pomagając przyjąć niewygodną pozycję. Odwracając się do ściany, popatrzyła pogardliwie na dwóch agentów.

Spojrzenie Erika i Dona na kilka sekund powędrowało w bok.

Ale to wystarczyło.

Dziewczyna sąsiadująca z Kruegerem i stojąca najdalej od kaleki wykonała kilka szybkich ruchów przy pasku spódnicy. Z kieszonki ukrytej pod materiałem wydobyła zrecznie maleńkiego „liliputa”, zamknęła go w dłoni, po czym oparła ręce o ścianę i zastygła w nakazanej pozycji.

Don przystąpił do przeszukiwania jeńców. Dziewczyny poddały się rewizji w nienawistnym milczeniu. Po paru minutach Don cofnął się i stanął obok przyjaciela.

- Są czyści - oznajmił.

Przeszedł wraz z Erikiem w kierunku paleniska, gdzie nie mogli ich słyszeć stojący pod przeciwległą ścianą Niemcy.

- Okay - szepnął Erik. - A teraz zjeżdżaj!

- Czyś ty zgłupiał? - Don odwrócił na moment wzrok od zatrzymanych i spojrzał zdumiony na Erika. - Wdepnęliśmy w gniazdo Werwolfu! Przecież nie zostawię cię tutaj samego!

- Jeden czy dwóch, to i tak niewielka różnica!

- Możemy ich zaprowadzić...

- Nie wyszlibyśmy stąd żywi. Idź i sprowadź pomoc, do jasnej cholery! Tylko biegiem! Ja zostanę i będę dalej prowadził tę grę.

Don przez kilka sekund wpatrywał się w niego takim wzrokiem, jakby ujrzał go pierwszy raz w życiu. Poczul się osaczony. Wiedział, że Erik ma rację i wiedział, że trzeba sprowadzić pomoc. Nie władał niemieckim tak dobrze, żeby zastąpić przyjaciela. Ta rozgrywka musiała należeć do Erika.

Odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Erik pozostał sam.

Obserwował stojących pod ścianą Niemców. Pięcioro. Pięć par pleców. Piątka werwolfowców... Nigdy nie myślał, że pięcioro to tak wiele.

Opierając się o ścianę, zdawali się wyczekiwać w napięciu, gotowi w każdej chwili do natychmiastowego działania.

Rzucił okiem na swój rewolwer. Colt 38 special. Jedyna jego przewaga nad tamtymi. Choć nie, niezupełnie. W rękawie chował asa, którym mógł wspomóc fortel. Informacje o Werwolfie. Chyba nadszedł najwyższy czas, żeby je wykorzystać, odniósł bowiem wrażenie, iż werwolfowców zaczynają ponosić nerwy...

Nagle ciszę przerwał daleki odgłos zapuszczanego silnika dżipa i warkot odjeżdżającego pojazdu.

Wielki Boże! - pomyślał Erik z trwogą. Czyżby Don był jeszcze tutaj? Przecież opuścił izbę dobrych kilka minut temu! Co się, do diabła, wydarzyło?

Dostrzegł reakcję Niemców na nieoczekiwany dźwięk. Zdawał sobie sprawę, że nie może pozwolić im zacząć się zastanawiać. Musi temu przeciwdziałać. Natychmiast!

Narzucił sobie spokój. Od wyjścia Dona upłynęło przecież tylko kilkanaście sekund. Z wysiłkiem przybrał spokojny wyraz twarzy i rozluźnił palce zaciśnięte na kolbie rewolweru. Wiedział, że musi być opanowany i pewny siebie.

- W porządku - rzucił lekko. - Możecie się odwrócić. Ale nie wolno wam zdejmować rąk z karków.

Cała piątka odwróciła się powoli. Przeszywali go wściekłym wzrokiem. Przysiadł na skraju kamiennego paleniska.

- Mam nadzieję, że nie chodzą wam po głowach żadne głupie myśli - oświadczył przyjaznym tonem. - Cały teren jest otoczony żołnierzami, którzy zaraz tu będą.

Uśmiechnął się do Kruegera i dodał po chwili:

- Wiedzieliśmy, że pana tu zastaniemy, generale.

Sprawdzał, jak zareagują. W ogóle nie zareagowali. Czuł, że oceniają jego możliwości - oraz sytuację. Musiał do nich mówić, dać im do zrozumienia, że wie o nich bardzo dużo. Żeby odnieśli wrażenie, iż wie znacznie, znacznie więcej.

- Wiemy o panu całkiem sporo - kontynuował. - O panu i o całym Unternehmung Werwolf. Długo pan był związany z tą organizacją,

prawda, generale? A propos: czy wolał pan kwaterę w Polsce, czy w Thürenbergu? A może bardziej podobało się panu w Czechosłowacji?

Nie przerywał monologu i wciąż ich obserwował. Słuchali go. Nie mogli nie być zdumieni. Ale i oni dobrze grali. Zachowali kamienne twarze.

- Wie pan, generale - ciągnął Erik, tym razem wpadając w konfidencjonalny ton - że zarekwirowaliśmy wasze konie? Ogółem sto dwadzieścia sztuk. Ponieważ należały do Wehrmachtu, przeszły na własność Armii Stanów Zjednoczonych.

Jedna z dziewcząt rzuciła Kruegerowi szybkie spojrzenie, ale po chwili znów patrzyła prosto przed siebie. Wyraz twarzy generała nie uległ zmianie.

- To chyba bolesny cios dla pańskiego zwierzchnika, Obergruppenführera SS Hansa Adolfa Prützmana - zauważył Erik. - Cóż, utrata Sonderkampfgruppe Karl...

Popatrzył wprost na Kruegera.

Generał odparował spojrzenie. Przywołał na usta wymuszony, nikiły uśmiech. Niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Gratuluję panu - powiedział pewnym, mocnym tonem. - Nie liczyliśmy na to, że będziemy działali wiecznie, jednak nie spodziewałem się tak szybkiej wpadki. - Spojrzał na Niemca-inwalidę, a potem znów na Erika. - Czy pozwoli pan usiąść mojemu oficerowi operacyjnemu, Hauptmannowi Schmidtowi? Ma kontuzjowaną nogę i długo nie ustoi.

Erik skinął głową.

- Oczywiście. Siadajcie, kapitanie.

Schmidt przyciągnął sobie taboret i usiadł, wyciągając przed siebie usztywnioną kaleką nogę. Dziewczyna stojąca obok Kruegera poruszyła trzymaną na karku dłoń.

- Czy pańskie dziewczyny wchodzą w skład personelu administracyjnego? - zapytał Erik. - A może wyszkolono je do zadań bojowych?

Krueger nie odpowiedział. Erik skinął głową na Niemki.

- Możecie panie opuścić ręce - powiedział. - Trzymajcie je złożone przed sobą. Dziewczyny popatrzyły nań wyzywająco.

Żadna nie drgnęła.

Droga do Schönsee

Dżip pędził jak strzała wąską leśną dróżką. Don nie zwalniając wziął ostry zakręt przy wjeździe na szosę, po czym pognął w kierunku miasteczka Schönsee.

Ścisnął kurczowo kierownicę. Dodając gazu, nie zwrócił uwagi na niewielką grupę zmierzającą poboczem w kierunku, z którego jechał. Mężczyźni nieśli narzędzia rolnicze. Jeden z nich, w brudnej skórzanym czapce na głowie, prowadził rower, do którego kierownicy przytwierdzony był stary plecak. Rower nie miał opon.

Dżip pokonał ostry wiraż. Szosa biegła teraz prosto. Z oddali zbliżała się kolumna pojazdów.

Don wcisnął do oporu pedał gazu. Nie zauważył, że grupa z rowerem skręca w ścieżkę prowadzącą do lasu...

Chata w lesie

Erik uśmiechnął się pogodnie do dziewcząt.

- Jak panie uważają - wzruszył ramionami. - Chciałem tylko, żeby było wam wygodnie.

Jedna z dziewcząt splunęła na podłogę, chcąc dać dobitny wyraz swej pogardzie. Była to melodramatyczna, infantylna manifestacja nienawiści - i zarazem gest wyzwania.

Krueger uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że amerykańscy oficerowie nie cieszą się zbyt estymą mojego personelu biurowego - zauważył.

- Cóż, widocznie upodobania pana pracownic nie są tak wyrafinowane jak pańskie, generale. O ile mi wiadomo, uwielbia pan różę...

Krueger popatrzył uważnie na swojego przeciwnika. W jego oczach pojawił się błysk zastanowienia.

Erik rozpoznał go nieomylnie. Wyrażał myśl: „jak dużo wie ten gość?” Zaczął gorączkowo szukać w pamięci choćby najmniejszych skrawków informacji, które wyciągnął z Plewiga. Co on tam jeszcze gadał?

- I oczywiście armagnac - dodał konwersacyjnym tonem. - Po dzielam pańskie upodobania, generale. To znakomity trunek. Tak się

niestety składa, że przez jakiś czas będzie się pan musiał bez niego obyć.

Krueger obserwował go z bladym uśmiechem.

- Widzę, że ma pan dobre informacje - zauważył.

Niemal niedostrzegalnie poruszył głową.

Erik zauważył to. Nadsluchuje, pomyślał. Zaczyna dociekać, dlaczego tu stoję i pieprzę te głupoty. Nie może mi się teraz wysłiznąć z rąk!

Usadawił się wygodnie na skraju kominka.

- To bagatela. Inne moje informacje są znacznie bardziej interesujące. Ostatnio przeprowadzałem fascynującą rozmowę z pewnym dzentelmenem. Sądzę, że jego nazwisko nie jest panu obce. Reichsamtsleiter Manfred von Eckdorf.

Po raz pierwszy Krueger nie potrafił ukryć błysku zaskoczenia w oczach.

- Von Eckdorf?

- Tak. Rozmawiałem z nim tuż przed jego śmiercią.

Droga do Schönsee

Don zatrzymał dżipa w poprzek drogi, blokując przejazd i zatrzymując nadjeżdżającą z przeciwka kolumnę pojazdów. Skonstatował z zadowoleniem, że ma przed sobą pluton wywiadu i rozpoznania. Samochody opancerzone. Ogromna siła ognia. Z tyłu konwoju nadjechał dżip i zahamował z piskiem opon. Jeszcze na dobre nie przystanął, gdy wyskoczył z niego porucznik i pomaszerował w kierunku Dona. Oslaniali go dwaj żołnierze z tomiganami.

- Co ty, kurwa, wyrabiasz? - wrzasnął wściekle. - Cofnij zaraz tego pierdolonego grata! Don zwrócił się do niego z naciskiem:

- Poruczniku, jestem agentem do zadań specjalnych. CIC, kontrwywiad. Zostawiłem przyjaciela w opałach. Potrzebuję pańskich ludzi. Jedźcie za mną. Natychmiast!

Porucznik spiorunował go spojrzeniem, po czym uśmiechnął się ironicznie.

- A, CIC? Chłopcy, co to „Chaos i Improwizację Czynią”? Tym razem też chaos i improwizacja, co?

- Skończcie tę błazenadę! Ruszajcie się!

Porucznik ani drgnął.

- Wolnego! Najpierw zobaczymy, kto tu może komu rozkazywać! Pokażcie no papiery! - zażądał ostro i wyciągnął dłoń.

Don poczuł gorzki bezsilnej złości. Zaklął pod nosem, ale wiedział, że tamten ma prawo go wylegitymować.

Chata w lesie opodal Schönsee

Pięcioro werwolfowców stało nieruchomo i wpatrywało się w Erika.

Jemu zaś coraz trudniej przychodziło zachować pewność siebie i opanowanie. Ile już upłynęło czasu? Chyba całe wieki. Czuł, jak pod wpływem zdenerwowania tworzą mu się pod pachami obfite krople potu i spływają strużkami wzdłuż ciała. Wiedział, że zdradzieckie kropelki pojawią się wkrótce także na jego czole, a on nie odważy się ich zetrzeć. Czynił wysiłki, żeby zachować normalne brzmienie głosu.

- Reichsamtsleiter był niezwykle rozmowny - ciągnął. - W tej chwili, generale, nasi żołnierze otaczają wasze jednostki operacyjne. Oznacza to koniec Werwolfu.

Krueger patrzył na niego spokojnie, coś rozważając.

- Może tak - powiedział. Odwrócił nieco głowę, nad słuchując. Tym razem nawet nie usiłował ukryć tego gestu. - A może nie...

Erik obrzucił jeńców baczny spojrzeniem. W ich zachowaniu zaszła pewna zmiana. Bez trudu ją zauważył. Oswoili się już z całą tą cholerną sytuacją, pomyślał. Za chwilę zaczną się zastanawiać, czy...

Jedna z dziewczyn zdjęła powolnym ruchem dłoń z karku i spłótła je przed sobą. Patrzyła przy tym na Erika z otwartym wyzwaniem w oczach. Rozwagał, czy powinien ją zganić, ale dał sobie spokój. Czuł jednak, że reguły gry zaczynają się zmieniać.

Gdzie u diabła podziewa się Don?

Usłyszał cichy głos Kruegera:

- Pańskiego kolegi coś długo nie widać, prawda?

W uszach Erika pytanie to zabrzmiało przerażająco złowieszczo. Doznał wrażenia, iż traci kontrolę nad wypadkami. Nadszedł czas ostatecznej rozgrywki.

Droga do Schönsee

Porucznik Larry James obejrzał dokumenty agenta CIC. Wydawały się bez zarzutu. Zwrócił je Donowi. Cóż za parszywa przygoda, pomyślał poirytowany.

Don podążył w kierunku swojego dżipa.

- Jedziemy!

- Hola, hola! Jesteśmy plutonem wywiadu i rozpoznania, mój panie. Skierowano nas przeciwko jednostce Waffen SS. Musimy...

- Cóż to, kwestionujecie moje uprawnienia? - warknął Don.

- Do diabła, skądże. Ale mamy na głowie całą cholerną dywizję pancerną, uciekającą w góry. Nie możemy pojechać z panem. Otrzymałem wyraźne rozkazy.

- Zmieniam te rozkazy! Od tej chwili!

- Słuchaj pan... hm... jaki jest pański stopień?

- Nie mogę tego ujawnić. Zapewniam was jednak, poruczniku, że nikt tu nie przewyższa mnie rangą. Jedziemy! To rozkaz! Odwrócił się na pięcie i pośpieszył do swojego dżipa.

- Okay, to pan nadstawia karku - mruknął porucznik.

Don zawołał przez ramię:

- Skontaktujcie się przez radio z majorem Evansem, Haroldem J. Korpus żandarmerii. Zawiadomcie go, dokąd jedziemy. Włączył silnik i ruszył z powrotem w stronę lasu.

Chata w lesie opodal Schönsee

Atmosfera w ciasnej izbie była naładowana nerwowym oczekiwaniem. Źrenice Kruegera zwięzły się.

- Na co właściwie czekamy? - w jego pytaniu dał się słyszeć nowy, zjadliwy ton.

- Mój kolega rozmawia w tej chwili z jednym z pańskich ludzi, generale. Z Plewigiem. Josephem Plewigiem, pańskim osobistym ordynansem - rzucił Erik. Musiał ich znów zmusić do słuchania. Nie miał wyboru. - Nie chcemy niczego przeoczyć przed opuszczeniem tej okolicy.

Na dźwięk nazwiska Plewiga generał pociemniał na twarzy. Pozostali Niemcy spojrzeli po sobie. Krueger powtórzył cicho:

- Plewig...

- *Verräter!* - zgrzytnął Schmidt. - Zdrajca!

- Więcej wyrozumiałości, kapitanie - pohamował go Erik. - On po prostu uświadomił sobie całkowitą bezsensowność waszego przedsięwzięcia i...

Przerwał mu ostry, władczy głos Kruegera:

- Schmidt! Czy w ciągu kilku ostatnich minut słyszeliście jakieś odgłosy z zewnątrz?

Erik poderwał się, zaalarmowany. Wycelował rewolwer wprost w generała.

- Żadnych rozmów! - rozkazał.

Schmidt zignorował go.

- *Nein, Herr General.*

- Tak też myślałem.

Erik odwiódł kurek. Rozległ się głośny trzask. Musiał postawić wszystko na jedną kartę. Nie było odwrotu. Kości zostały rzucone.

- Ostrzegam was - wycedził. - Nie ruszać się!

Jeńcy zamarli w napięciu. Erika świdrowało pięć par wypełnionych nienawiścią oczu. Dziewczyna stojąca obok generała poczerwieniała. Krueger spojrzął na rewolwer.

- Ile naboju mieści się w colcie? - zapytał zgryźliwie. - Sześć? Nie zdąży pan nas wszystkich powystrzelać, zanim...

- Pan pierwszy dostanie kulę!

Krueger wzruszył ramionami.

- To nieważne.

Zaczął powoli opuszczać ręce. Inni poszli w jego ślady, ani na chwilę nie spuszczać oka z Amerykanina.

Erik podniósł broń i wycelował w Kruegera. Już nie blefował. Teraz chodziło o przeżycie.

Nagle dziewczyna ukrywająca w dłoni pistolet gwałtownie wkroczyła do akcji.

Z dzikim okrzykiem opuściła ręce, wymierzyła małe pistolecik w Erika i wystrzeliła.

Zaciśnięcie dłoni na rękojeści „liliputa” i wycelowanie go zabrało Niemce zaledwie ułamek sekundy; w tej samej jednak chwili Erik

błyskawicznie przykleknął na jedno kolano, przez cały czas trzymając Kruegera na muszce. Lewą ręką chwycił niski drewniany taboret używany podczas dojenia krów, po czym tym samym płynnym ruchem pchnął go wprost w nogi dziewczyny. Pocisk z jej broni gwizdął mu obok skroni, uderzył w palenisko rozpryskując dokoła odłamki kamienia, zrykoszetował i utkwił w ścianie za Erikiem; tymczasem ciężki stołek uderzył w łydki dziewczyny. Upadła z głośnym jękiem bólu - drugi pocisk z „liliputa” zarył się w podłodze.

Wszystko to trwało tak krótko, że pozostała czwórka nie zdążyła zareagować. Erik, nie spuszczać oczu i lufy colta z Kruegera, zawołał:

- Nie ruszać się! - Głos miał opanowany, spokojny. - Wasz generał zginie! - Przeniósł na moment spojrzenie na skuloną na podłodze dziewczynę, wciąż ściskającą w dłoni pistolet. - Ty będziesz winna jego śmierci, jeśli nie rzucisz tej zabawki! *Sofort!* Natychmiast!

Dziewczyna posłała krótkie spojrzenie Kruegerowi.

Przez sekundę, która wydawała się wiecznością, grupa werwolforców stała nieruchomo. Jeśli teraz rzucą się na mnie, to koniec, pomyślał Erik. W chwilę później, z ledwie słyszalnym przekleństwem wyrażającym rozgoryczenie i bezsilną wściekłość, dziewczyna rzuciła „liliputa” na podłogę. Dźwięk towarzyszący upadkowi broni zabrzmiał niczym huknięcie piorunu.

Podniosła się powoli na nogi.

- Kopnij go daleko od siebie - rozkazał Erik. - Tylko bez żadnych kawałów!

Niemka usłuchała. Małeńki pistolecik przeokoziółkował po nierównych deskach.

Amerikanin wstał.

Pięcioro jeńców utkwilo w nim nienawistne spojrzenie. Przypominali teraz sprężone do ataku złowrogie węże. Wyczekiwali. Wyczekiwali chwili, gdy bez słów rzucą się jednocześnie na niego. Było to tylko kwestią czasu. Cholernie krótkiego czasu.

- Założyć z powrotem ręce na karki - polecił Erik ostro. - Wszyscy! Odwrócić się twarzami do ściany!

Nawet nie drgnęli.

Erik nie przestawał celować w Kruegera. Podniósł drugą rękę, ujął colta oburącz, wysunął go nieco do przodu i wymierzył lufę wprost w czoło generała.

- Natychmiast!

Odpowiedziało mu milczenie. Nikt się nie poruszył - a potem cała piątka zaczęła odsuwać się od siebie, nie spuszczać oczu z Erika. Powoli, lecz nieustannie rozszerzali przestrzeń, nad którą musiał panować.

Nieoczekiwanie do jego świadomości dotarł odległy głuchy warkot wielu pojazdów, wciąż przybierający na sile. A potem hałas zatrzymujących się samochodów, szczęk pojazdów półgąsienicowych, turkot ciężarówek zmieszany z wykrzykiwanymi rozkazami i głosami wielu żołnierzy.

Dla Erika zabrzmiało to jak najwspanialsza symfonia.

Obniżył broń i oparł ją o brzuch, przez cały czas trzymając jednak Kruegera na muszce.

Generał jakby skurczył się w sobie. Ręce mu opadły, zwiesił głowę w ponurym zrezygnowaniu.

Nagle drzwi otwały się z trzaskiem i do izby wpadł Don wraz z porucznikiem Jamesem. Natychmiast stanął u boku przyjaciela. Erik zdobył się na uśmiech.

- I jak tu nie wierzyć, że w ostatniej chwili zawsze przychodzi z pomocą kawaleria! - zażartował.

Schował rewolwer do kabury. Czuł drżenie rąk i ścisnęło go w gardle, jakby miał zaraz zapłakać. Bał się, że nie zdoła zachować do końca takiej ostentacyjnej nonszalancji, jak zamierzał.

- Poczekajcie... poczekajcie minutę... - wykrztusił z trudem i wyszedł z chaty.

Znalazłszy się na zewnątrz, oparł się o ścianę. Przymknął na chwilę oczy. Kilkakrotnie odetchnął głęboko i poczuł, jak stopniowo uchodzi z niego napięcie. Przeżył wieczność. Wieczność, która trwała wszystkiego dziewięć minut...

Dookoła pluton wywiadowczo-rozpoznawczy rozwijał szyki i otaczał teren. W cichym leśnym zakątku nieoczekiwanie zawrzało. Pojazdy wojskowe wjeżdżały jeden za drugim na nie obsiane pole - dżipy, transportery półgąsienicowe, samochody opancerzone, półciężarówki. Żołnierze z bronią gotową do strzału błyskawicznie

zajmowali pozycje. Przypadali do ziemi w regularnych odstępach, nieustannie obserwując las, gotowi otworzyć ogień. Inni otaczali chatę. Cała operacja odbywała się z ogromną szybkością.

Erik obserwował to wszystko uważnie - nie dostrzegł jednak, co dzieje się na jednej z kilkunastu ścieżek prowadzących od strony leśnej łąsinki...

Uchodziła nią niewielka grupa wieśniaków, zaskoczona i spłoszona tłumem wojska na lucernowym pólku.

Jeden z rolników, pchający przed sobą pozbawiony opon i obciążony starym plecakiem rower, miał na głowie brudną skórzaną czapkę.

Był to Krauss.

Niemiec popychał szybko stary rower wąską ścieżką, na jego twarzy malowały się zaaferowanie i lęk.

Nagle zza zakrętu wyłoniły się dwa wojskowe pojazdy, kierujące się wprost na grupę uciekinierów. Pierwszy jechał dżip, obok kierowcy siedział oficer; za nim posuwała się półciężarówka pełna żołnierzy.

Wieśniacy ustąpili im z drogi. Krauss wypuścił z rąk kierownicę starego roweru, który wpadł pod koła dżipa. Rozległ się dźwięk miażdżonego metalu, a potem spod samochodu wysunęły się dwa zniekształcone rowerowe koła. Dżip i półciężarówka przystanęły z piskiem opon. Krauss podbiegł do szczątków roweru i leżącego obok sfatygowanego plecaka. Tuż przy nim stanął amerykański oficer. Jednocześnie spojrzeli na plecak. Był szeroko otwarty, wypadło z niego kilkanaście sztuk amunicji i dwa lugery...

Erik wciąż stał przy ścianie chaty.

Otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Don. Zbliżył się do przyjaciela.

- Stary, ależ się cieszę, że cię widzę! - Ogarnęła go chęć uściskania Erika, powstrzymał się jednak.

- Ja cieszyłem się co najmniej dwa razy tyle - odparł Erik.

- Jak ty to, do diabła, zrobiłeś? Co tu się działo?

- Poczekaj minutę... daj mi tylko minutę. Zaraz dojdę do siebie. Don pokręcił głową, udając zdziwienie.

- I to jest facet, który podobno nigdy nie wygrywa w pokera! Roześmiał się, zaraz jednak spowaźniał i dodał: - Co teraz? Mamy generała, ale wciąż nie wiemy, gdzie podziewa się reszta towarzystwa. Nie mam zielonego pojęcia, skąd zacząć poszukiwania.

- Chyba wiem, co robić - zauważył w zamyśleniu Erik. - Cała ta sprawa polegała od samego początku na jednym wielkim blefie. Warto ta pociągnąć. Skłonię Kruegera, żeby sam nam podpowiedział rozwiązanie.

- Zwariowałaś? Ten stary sukinsyn nie powie ci nawet, która godzina!

- Wiem, że nic mi nie powie. Pod warunkiem, że będzie wiedział, czego ma mi nie powiedzieć. - Ruszył w stronę drzwi chaty, ale nagle przystanął. Spojrzał w kierunku odległego krańca leśnej łysiny. - Niech mnie kule biją! - zawołał. - Popatrz, kogo tu mamy.

Na leśnej ścieżce ukazał się dżip, a za nim półciężarówka załadowana żandarmami. Na tylnym siedzeniu dżipa leżał pogięty rower. Obok kierowcy stał w pozie triumfującego Cezara major Evans, trzymający na muszce kilku mężczyzn idących z dłońmi na karkach przed pojazdem.

- Ach, to on - uśmiechnął się Don. - Cóż, sam go tu zaprosiłem.

- Miło z jego strony, że wpadł do nas. I że przyprowadził swoich wieśniaków.

Weszli do chaty. Porucznik James i kilku jego ludzi pilnowali jeńców. Erik zbliżył się do oficera.

- Okay, poruczniku - odezwał się energicznym tonem - teraz możemy wylapać resztę. Proszę zebrać swoich ludzi i pójść z nami. - Odwrócił się w kierunku werwolfowców. - Proszę również wyznaczyć czterech ludzi, którzy odwiozą jeńców do korpusu. - Spojrzał na Kruegera. - Pana to nie dotyczy, generale. Pójdzie pan z nami. - Dobył rewolweru i wskazał nim drzwi: - Idziemy!

Krueger spojrział na niego, po czym odwrócił się i podążył w nakazanym kierunku. Mimo prostego chłopskiego ubioru w jego obejściu była duma i godność. Erik zatrzymał go w progu:

- Proszę pamiętać, generale - ostrzegł. - Żadnych sztuczek. Będziemy szli za panem!

Krueger ruszył bez słowa. Nawet nie odwrócił głowy, żeby sprawdzić, czy ma eskortę. Gdyby to uczynił, dostrzegłby, jak Erik posyła Donowi szelmowskie mrugnięcie.

Grafenheim

Obszar działania Jednostki C

Godzina 13.09

Czarna i biała farba, którą namalowano ukośne pasy na słupie drogowskazu, łuszczyła się wielkimi płatami. Na topornej drewnianej strzale widniał napis: GRAFENHEIM 4 KM.

Willi stał na szlaku wiodącym do lasu. Przed sobą miał zbocze wzniesienia przechodzące w niedużą dolinkę, w której leżało kilka pól uprawnych: ich jasna zieleń ustępowała ciemniejszym barwom lasu iglastego porastającego dolne partie wzgórz. Szlak, który doprowadził go tutaj przez czeską granicę, rozwidlał się teraz. Strzałka drogowskazu wskazywała na zachód, czyli w lewo. W oddali, u wylotu dolinki, Willi widział wieś Grafenheim. Górską dolina nie miała więcej niż kilometr szerokości. Gdzieś w lasach po drugiej stronie stacjonowała Jednostka C.

Miał za sobą długą drogę. Kwatera generała Kruegera znajdowała się jakieś sto, sto pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Schönsee, ale Willi był przekonany, że przebył przynajmniej dwa razy tyle, zanim nawalił ten przekłety volkswagen.

Pomyślał, że osiągnięcie punktu, w którym się teraz znajdował, było dziecinnie proste. Nie było mowy o ryzykownym przenikaniu na obszar wroga, ot, po prostu coś w rodzaju miłej przechadzki pięknym czeskim lasem. Trzymał się oczywiście z daleka od głównych dróg. Był zadowolony z siebie, jednocześnie jednak przerażały go oznaki upadku ducha w niemieckich oddziałach błakających się w Czechach na coraz bardziej kurczącym się obszarze pomiędzy nacierającymi Amerykanami i Rosjanami. Zbliżał się koniec.

Odruchowo dotknął kieszeni na piersiach bluzy i usłyszał delikatny szelest papieru. Rozkazy dla dowódcy Jednostki C. Ostatnie polecenia, jakie zdążył wydać generał Krueger.

Ogarnęła go fala dumy. Za kilka godzin, powiedział sobie, zmieni się bieg historii!

Jeszcze raz przyjrzał się bacznie drogowskazowi. Sprawdził słup. Był luźno osadzony. Tak, jak mu powiedziano...

Ujął mocno drewniany pał i obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni. Strzałka pokazywała teraz kierunek wschodni.

Spojrzał w dolinkę. Wiedział, że go obserwują.

Usiadł, wspierając się plecami o odwrócony drogowskaz. Czekał. Niedługo ktoś przyjdzie po niego.

Las opodal Schönsee

Godzina 13.17

Generalmajor Karl Krueger stąpał pewnym krokiem leśną ścieżką. Miał tylko kilka minut na rozważenie sytuacji, jej ocenę, wyciągnięcie wniosków i podjęcie odpowiedniego działania. Bez żadnych zbędnych i zajmujących czas „jeśli” i „gdyby” przeszedł do porządku dziennego nad tym, iż dostał się do niewoli. Zastanawiał go tylko sposób działania wywiadu nieprzyjaciela. Czuł się nieswojo. Wyglądało na to, że Amerykanie dysponują wieloma informacjami, z drugiej jednak strony postępowali jakoś dziwnie, bez planu. Na razie uznał tę kwestię za mało ważną i przestał zaprzętać nią umysł. Z Amerykanami nigdy nic nie wiadomo, tłumaczył sobie. Najważniejsza stała się odpowiedź na pytanie, jak powinien działać, by zmniejszyć do minimum konsekwencje wpadki i zapewnić nie zakłócony przebieg operacji największej wagi. On sam został wprawdzie odsunięty od bezpośrednich działań, zachował jednak możliwość wpływu na poczynania nieprzyjaciela. Jego jednostka dowódcza została wyeliminowana z akcji, ale przecież w innych jednostkach też są kompetentni oficerowie. Poza tym Richter wiózł szczegółowe rozkazy. Nie było więc żadnych przeszkód, żeby doprowadzić zadanie do pomyślnego końca. Redutę wciąż jeszcze mogło obsadzić ogromne wojsko. Ale niezbędny był czas. Liczyła się każda godzina. Podjął decyzję. Będzie wykonywać polecenia oficerów nieprzyjacielskiego wywiadu. Uda, że się pogodził z porażką, skupi na sobie ich zainteresowanie i spróbuje ograniczyć strefę ich działań jedynie do

podlegającego mu obszarowi - tak długo, jak tylko się da. Tu już wszystko przepadło, lecz operację o kluczowym znaczeniu wciąż jeszcze można przeprowadzić.

Dotarł do rozwidlenia ścieżek i bez wahania skręcił w lewo. Już wiedział, co ma robić...

Tuż za generałem postępowali Erik i Don. Za nimi kroczył porucznik James, jeszcze dalej, w szyku bojowym, jego żołnierze. Na skrzydle przedzierał się przez las major Evans z żandarmami.

Po wejściu w gęstszy las Krueger skierował kroki tą samą ścieżką, którą dwaj agenci dotarli do chaty. Erik zaczął rozglądać się dokoła, rozpoznając coraz więcej szczegółów. Okolica wydawała się niepokojąco znajoma. Ot, choćby piętrzący się po tamtej stronie stos drzewa, który on sam, Erik, rozrzucił nogą nie dalej niż godzinę temu. Zerknął na Dona. Krueger ponad wszelką wątpliwość zmierzał do tej części lasu, którą przeszukiwali całymi godzinami wzdłuż i wszerz - bez żadnych rezultatów. Był tego pewien.

Czyżby generał ich przechytrzył? Czyżby wyczuł, że oni nie mają zielonego pojęcia, gdzie jest kryjówka Werwolfa i świadomie wodził ich za nos, prowadząc w znane sobie „czyste” miejsce i umożliwiając swoim ludziom ucieczkę?

Erik powiódł spojrzeniem dokoła. Tak, znajdowali się na tym samym obszarze. Tam na prawo, na skrzyżowaniu ścieżek, stoi wielka pochyła sosna. Drzewo „prowiantowe”. Zbliżali się do kwatery porośniętej gęsto świerkami, kwatery, którą wcześniej tego samego dnia drzewo po drzewie przeszukały dwie kompanie piechoty, żandarmi Evansa - oraz on wraz z Donem!

Krueger prowadził ich do jedyne go miejsca w całym tym cholernym lesie, co do którego mieli absolutną pewność, że jest czyste!

Przeblefował bleferów!

Umysł Erika pracował na przyspieszonych obrotach. Wiedział, że musi doprowadzić tę grę do końca. Ale na razie nie mógł nic zdziałać. Zupełnie nic.

Odwrócił się i nakazał gestem porucznikowi Jamesowi, żeby otoczył swoimi ludźmi świerkową kwaterę.

Dobry Boże - znowu to samo!

Ujrzał, jak żołnierze rozbiegają się na boki. Wszedł wraz z Donem pomiędzy świerki, kilka kroków za generałem Kruegerem.

Głazy na niewielkiej polance w środku kwatery wyglądały dokładnie tak samo, jak niespełna trzy godziny temu. Erik dostrzegł nawet splaszczanie grubej warstwy mchu w miejscu, gdzie opierał się o skałę.

Generał przystanął. Przez chwilę trwał w milczeniu, spoglądając nieruchomo w przestrzeń.

- No i co? - Głos Erika zdradzał napięcie.

Krueger westchnął.

- Jesteśmy u celu - oświadczył spokojnie.

- Bez dowcipów! - warknął ze złością Erik. - Znamy to miejsce. Nic tu nie ma, do licha ciężkiego!

Generał znieruchomiał, a potem odwrócił powoli głowę i popatrzył na dwóch agentów z niedowierzaniem.

- A więc naprawdę nic nie wiedzieliście! - wyszeptał ze zgrozą. Pociemniał na twarzy i przygarbił się lekko. - Nic nie wiedzieliście...

Erik przerwał mu ostro:

- O czym pan właściwie mówi?

Krueger rozejrzał się dokoła. Pośród drzew widać było porucznika Jamesa, majora Evansa oraz kilkunastu żołnierzy otaczających teren. Generał kiwnął powoli głową, jakby przytakując swoim myślom. Spojrzał twardo na Erika.

- Feldwebel Steiner! - Zawołał. - Feldwebel Steiner! *Antreten!*

Stał nieruchomo i czekał.

Nie odpowiedział mu żaden dźwięk. Wszyscy dookoła zamarli, wpatrując się w wyprostowaną, wyniosłą postać Niemca.

Erik nie spuszczał oka z generała. Natężył słuch. Nic nie usłyszał, ale na karku poczuł mrowienie, nieomylny znak ostrzegawczy.

Krueger zmarszczył brwi i powtórzył okrzyk:

- Steiner! - Tym razem jego głos zabrzmiał ostro i rozkazująco. - *Antreten! Sofort!*

Erik i Don spojrzeli ponuro po sobie.

Nic...

Erik skonstatował, że został nabity w butelkę. Zaledwie przed kilkunastoma minutami wszystko szło jak z płatka, ale teraz... Gra była daleka od zakończenia.

Nagle zeszytniał. Nie dalej niż sześć stóp od niego ziemia zaczęła się poruszać.

Kwadrat darni podniósł się powoli o kilka cali, a potem przesunął, odsłaniając otwór o powierzchni nie większej niż dwie stopy kwadratowe.

Wyłoniła się z niego jakaś postać w mundurze feldfebla Wehrmachtu. Żołnierz postąpił kilka kroków w stronę Kruegera. Wprawdzie kulał, ale strzelił obcasami, stanął na baczność i elegancko zasałutował.

- *Zu Befehl, Herr General!*

Nie wierząc własnym oczom, Don patrzył to na otwór w darni, to na żołnierza prężącego się przed Kruegerem, to znów na wylot tunelu.

- Pod ziemią! - wyszeptał, nie mogąc ukryć podziwu pomieszanego z grozą. - Więc ta ich cholerna kwatera znajduje się pod ziemią! - Odwrócił się w kierunku Steinera i wykonał krótki gest rewolwerem.

- Ręce do góry! Założyć je na głowę! Szybko!

Steiner rzucił swojemu dowódcy pytające spojrzenie. Jego prawa dłoń przesunęła się nieznacznie ku klamrze pasa. Ale Krueger stał nieruchomo. Milczał. Unikał wzroku sierżanta. Ten spojrzał wilkiem na agenta. Powoli założył obie ręce na głowę. Walczył o każdą sekundę, musiał jednak postępować ostrożnie, żeby Amerykanie nie nabrali podejrzeń. Opóźniał wyjście, dopóki wystarczyło mu odwagi. Zdążył wydać parę pośpiesznych poleceń radiooperatorowi. Musieli poinformować o sytuacji Berlin oraz stację przekaźnikową w Monachium. Była to powinność najwyższej wagi. Należało zaalarmować inne jednostki, spowodować uruchomienie nowych struktur dowodzenia i zabezpieczyć operację wykonywaną przez Jednostkę C. Nie wolno dopuścić Amerykanów do podziemnego bunkra, nim zakończy się nadawanie. Popatrzył zimno na zbliżającego się nieprzyjacielskiego oficera.

Erik, ubezpieczony przez Dona, przeszukał dokładnie sierżanta. Nie znalazł żadnej broni, ale z kieszeni na piersiach mundurowej

bluzy tamtego wydobył kilka złożonych kartek. Zabrał je, chcąc pokazać Donowi. Rozwinął jedną z nich i aż gwizdnął.

- Hej, trafiłem główną wygraną! - Pokazał dokument przyjacielowi. - Popatrz tylko na to. Pełny skład osobowy jednostki! - Zaczął czytać: *Sonderkampfgruppe Karl. Gliederung des Führungsstabes.*

- Czy to wasza jednostka? - zapytał Steinera.

Feldwebel zerknął na Kruegera, ale generał milczał.

- No? - przynaglił go Erik.

Steiner nie odpowiadał. Amerykanin podniósł głos:

- Ogłuchliście?!

- Skąd mogę wiedzieć, czy moja, *Herr Offizier* - oświadczył. W jego głosie zabrzmiała lekka ironia. - Nie wiem, na jaki dokument pan w tej chwili patrzy.

Erik podsunął mu kartkę pod nos.

- Dobra, popatrzcie sobie! - warknął. - I gadajcie!

Steiner spojrział na dokument.

- Tak, *Herr Offizier*. - Jest to skład osobowy jednostki dowództwa.

Zbliżył się Don.

- Znakomicie! - ucieszył się. - W ten sposób dowiemy się, czy wszystkich capnęliśmy. Nie przeoczymy nikogo!

Erik podszedł do Kruegera.

- Generale Krueger - powiedział cicho. - Proszę rozkazać swoim ludziom, żeby wyszli nie stawiając oporu. Chciałbym uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Sądzę, że pan również.

Krueger stał nieporuszony, sztywny jak struna. Nie odpowiadał. Wydawało się, że w ogóle nie słyszał żądania Erika. Ten kontynuował:

- Chyba pan rozumie, że nie mają szans. Widać było, że w duszy generała toczy się walka. Potrząsnął głową, ciężko i powoli.

- Nie... nie mogę tego zrobić - oświadczył. Powiedział te słowa twardo, choć niemal szeptem.

W pierwszym odruchu Erik chciał wydać generałowi wyraźny, dobitny rozkaz - gdyby odmówił jego wykonania, to... Kiedy jednak spojrział na oficera, wyczuł jego wewnętrzne zmagania. Zrozumiał.

Popatrzył na Steinera.

Sierżant łypnął na niego spode łba. *Er kann mich am Arsch lecken!* - pomyślał jadowicie. Grubo się myli, jeśli sądzi, że to zrobię! Niech mnie w dupę pocałuje!

Erik zignorował podoficera. Ostatecznie jemu samemu też za coś płacą. Rozejrzał się. Dookoła stali w pogotowiu żołnierze. Podniósł głos:

- *Achtung! Achtung! Kampfgruppe Karl!* - krzyknął. - Zajęliśmy wasze stanowisko! Jesteście otoczeni! - Nagle doznał szalonego uczucia *deja vu*; był już chyba wcześniej w takiej sytuacji... - Wasz dowódca dostał się do niewoli - kontynuował. - Złóżcie broń i wychodźcie!

Przez chwilę wokół panowała cisza, nic się nie poruszyło - jak gdyby cała leśna kwatera wstrzymała oddech.

W następnej chwili z tego samego otworu ostrożnie i bojaźliwie wysunęło się dwóch mężczyzn. Drugi z nich był radiooperatorem. Zerknął na Steinera i niedostrzegalnie skinął głową.

Napięte mięśnie barków sierżanta rozluźniły się, jego rumiana twarz przybrała wyraz zadowolenia. Mimowolnie spojrzął w głąb tunelu, jakby w oczekiwaniu, iż jeszcze ktoś stamtąd się wyłoni.

Ciemny otwór ział jednak pustką.

Zmarszczył lekko brwi, po czym z demonstracyjną obojętnością odwrócił spojrzenie.

Była to kiepska sztuczka, łatwe do przejrzania usiłowanie odwrócenia uwagi od otworu. Nikt nie dałby się na nią złapać.

Erik i Don rozglądali się dokoła. Nie zwracali uwagi na Steinera.

Niebawem wokół zaczęły się poruszać małe kwadraty darni, niektóre niemal u stóp zaskoczonych Amerykanów. Rozpoczęło się osobliwe widowisko. Jeden za drugim otwierały się kwadratowe otwory, z których wychodzili posepni, zrezygnowani werwolfowcy, odziani w dziwaczne, pół wojskowe, pół cywilne ubrania.

Wychodzili na powierzchnię powoli, niechętnie, z ociąganiem. Niczym bańki powietrza wydobywające się na powierzchnię beczki ze smołą, pomyślał Erik.

Kilku żołnierzy zaczęło zgarniać opornych Niemców i odprowadzać ich na środek polanki; reszta pozostała na swoich stanowiskach.

Starszy szeregowiec Warnecke stał na skraju polany, odwrócony tyłem do świerków. Był cały spięty. Nie pozwolono mu zapomnieć ostatniej wizyty w tym miejscu. Jego kumple z żandarmerii wciąż wlepiali mu kuksańce za to, że się wtedy potknął i przypadkowo wystrzelił z karabinu. Cholera by to wzięła! Ale drugi raz coś takiego mu się nie przytrafi. Jeśli już da ognia, to jakiś parszywiec po drugiej stronie lufy poczuje kulkę w żebrach!

Z ponurą zawziętością wpatrywał się w rozgrywającą się na jego oczach scenę, gotów natychmiast wkroczyć do akcji.

Nagle tuż za nim ziemia zaczęła się poruszać. Po chwili kwadrat darni podniósł się niepostrzeżenie i bezszelestnie zaczął odsłaniać wylot ukrytego tunelu.

Warnecke tego nie widział.

Z ciemnego otworu wysunęła się ostrożnie głowa, następnie barki. Wypełzający z ziemi człowiek dzierzył ostry jak brzytwa bagnet. Stał na nogach nie czyniąc najmniejszego hałasu. Wpatrywał się w plecy Warnecke'a.

Uwęę starszego szeregowca bez reszty pochłaniały rozgrywające się opodal wydarzenia. Oficer plutonu wywiadowczo-rozpoznawczego - zaraz, zaraz, jak on się nazywał? James, porucznik James - prowadził kilku werwolfowców w kierunku wciąż rosnącej grupy jeńców. Warnecke ujrzał, jak się odwraca i spogląda w jego kierunku - i nagle podnosi karabin, mierząc wprost w niego.

Mimo przerażenia i zaskoczenia jednocześnie z hukiem wystrzału porucznika rzucił się na ziemię.

Poczuł, że coś ciężkiego spada mu na plecy, a obok jego twarzy wbiło się w ziemię błyszczące ostrze bagnetu.

Leżał przez chwilę nieruchomo, zdjęty przerażeniem. Poczuł na ramieniu i na dłoni ciepłą wilgoć. Uwolnił rękę i spojrział.

Krew...

Z obrzydzeniem wydostał się spod martwego werwolfowca. Patrzył na jego zwłoki, sparaliżowany grozą i zdziwieniem. Zadrzał. Odwrócił się w stronę Jamesa.

- Dzięki, poruczniku! - Bardzo chciał dodać coś jeszcze, ale bał się, że nie zapanuje nad głosem.

- Trzymajcie oczy otwarte, żołnierzu! - zawołał James. - To samo dotyczy wszystkich pozostałych! Uważajcie! Ci faceci znają różne sztuczki. Patrzcie im na łapy. Podzielić się na dwójki! Stańć tyłem jeden do drugiego.

Żołnierze natychmiast przystąpili do wykonywania polecenia. Erik zawołał do Steinera:

- Hej, ty! Czy są tu jeszcze jakieś wejścia do podziemi?

Steiner wzruszył ramionami.

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie możecie? A może nie chcecie?

- Znam tylko to i tamto wejście. - Steiner wskazał na sąsiedni odsłonięty otwór. - Każdy z nas zna tylko dwa. To dla bezpieczeństwa.

Erik obrzucił go krótkim, uważnym spojrzeniem, po czym odwrócił się.

- *Achtung! Achtung!* - zawołał. - Za dziesięć minut zostanie odczytana lista członków Kampfgruppe Karl. Każdy, kto po jej odczytaniu pozostanie w ukryciu, zostanie zastrzelony. Powtarzam: ktokolwiek pozostanie w ukryciu, zostanie zastrzelony!

Z otworu znajdującego się tuż obok Dona wyłonił się werwolfowiec. Rozejrzał się, położył dłonie na głowie i spojrzał na Amerykanina z szerokim uśmiechem.

Sukinsynowi chyba się wydaje, że to wszystko jest zabawą, pomyślał Don. Zirytował się.

- Co was tak śmieszy, do diabła? - warknął. Niemiec odpowiedział toporną angielszczyzną, najwyraźniej dumny z tego, że mówi w obcym języku:

- Bo to właśnie pan...

Don łypnął na niego złym okiem.

- A kogoście tu chcieli? Adolfa Schickelgrubera? - rzucił cierpko.

- Ma pan szczęście, że pan żyje!

- Ogólnie rzecz biorąc, macie rację. Ale konkretnie dlaczego tak uważacie? - Werwolfowiec stracił na moment rezon.

- Niezbyt dobrze pana rozumiem - powiedział. - Ale to właśnie pana widziałem. Tutaj. Dziś rano. - Don słuchał z zainteresowaniem.

- Widzieliśmy pana i pańskich ludzi. Tylko dlatego, że nie kazano

nam strzelać, jeśli nie zostaniemy odkryci, nie zabiliśmy was wszystkich. Mieliście szczęście, że nas nie znaleźliście. Gdyby tak się stało...

Don mu przerwał:

- „Gdyby” jest bardzo zwodniczym słowem, kolego. Nigdy nie wiadomo, co się za nim kryje.

Wokół roilo się od werwolfowców. Z podziemnych schronów wciąż wychodzili następni. Dwóch żołnierzy wywlekało kogoś za kołnierz. Zaciekawieni zajrzeli w głąb tunelu.

- Patrzcie no tylko! - zawołał jeden z szeregowców. - Mają tam nawet motocykl. Niech ich gęś kopnie!

Erik skończył przeglądać papiery, które znalazł przy Steinerze. Podeszedł do przyjaciela.

- Toż to dynamit - powiedział, nie mogąc ukryć emocji w głosie. - Czysty dynamit! Znalazłem tu wzmianki o trzech innych jednostkach operacyjnych. A, B i C. Wykaz agentów oraz obszarów ich działania. Ich standardowe procedury operacyjne, zabezpieczenia. Wszystko!

- Najlepiej będzie, jeśli zaraz zawieziemy ten majdan do korpusu.

Erik skinął głową.

- Zabierzemy także generała. Evans z Jamesem dadzą tu sobie radę. Podeszli do Kruegera.

- Proszę z nami, generale - powiedział Erik. - Wyruszamy.

- Mam pewną prośbę... - zatrzymał ich Niemiec.

- O co chodzi?

- Zostawiłem mundur w bunkrze. - Spojrzał z lekkim niesmakiem na chłopską odzież, którą miał na sobie. - Proszę o pozwolenie na zmianę ubioru.

Don pociągnął Erika na stronę.

- Uważaj - ostrzegł go pośpiesznie. - Schwytaliśmy go w cywilnym ubraniu. Znasz przepisy.

- Znam.

- Drań jest kuty na cztery nogi!

- Posłuchaj, facet będzie się chyba lepiej czuł stając przed naszymi wyższymi szarżami w mundurze, a nie w jakichś chłopskich, zgrzebnych łachach. Co nam za różnica? W raporcie i tak

napiszemy, że został ujęty po cywilnemu. A jeśli spełnimy jego prośbę, może być później bardziej skłonny do współpracy.

Don nie był przekonany. Wzruszył niechętnie ramionami.

- Okay, twoja sprawa. - Wyszczерzył zęby w uśmiechu. - Tak już przywykłeś do nadstawiania karku, że nie możesz przestać!

Erik również się uśmiechnął.

- Zejdę z nim na dół. I tak chciałem się tam rozejrzeć, zanim stąd odjedziemy.

- Warnecke! - zawołał. - Do mnie!

Starszy szeregowiec podbiegł truchtem. Zbliżył się również major Evans. Erik zwrócił się do żołnierza:

- Pójdziecie ze mną. Wejdziemy do generalskiego bunkra.

Ruszył ku wejściu do tunelu.

- Jeśli schodzi pan na dół, to chciałbym panu towarzyszyć - oświadczył Evans. - Chcę obejrzeć kryjówkę Werwolfa.

Erik i Don spojrzeli na niego.

- Ależ majorze! - wykrzyknął Erik z udanym zaskoczeniem. - Sądziłem, że pan nie wierzy w istnienie Werwolfa.

Evans spurpurowiał, nic jednak nie odpowiedział. Erik skinął na Kruegera.

- Okay, generale. Idziemy.

Krueger ruszył żwawo ku otworowi.

Schodząc w ślad za generałem, Erik ani na chwilę nie spuszczał z niego oka, mimo to udało mu się obejrzeć przemyślną konstrukcję bunkra.

Na kwadratowym „inspekcje” tworzącym pokrywę otworu wejściowego rosła taka sama trawa i takie samo zielsko jak na całej polanie. Spoczywając na czterech masywnych narożnych wspornikach i tworząc z powierzchnią darni idealną płaszczyznę, pojedynczy „inspekt” stawał się całkowicie niewidoczny.

W ścianę tunelu zostały wpuszczone stopnie drabinki. Pionowy korytarz, oszalowany surowymi deskami, miał jakieś dziesięć stóp głębokości.

Erik dołączył do Kruegera u podnóża zejścia. Wysoki na siedem stóp schron oświetlało kilka nagich żarówek zamocowanych pod wyłożonym drewnem sufitem. Amerykanin rozejrzał się dokoła.

Znajdował się w pomieszczeniu o wymiarach, jak to oceniał, osiem na sześć stóp. Wejście znajdowało się w narożniku. Tuż na lewo stało niedbale zbite piętrowe łóżko. Pod ścianami z surowych desek piętrzyły się stosy pojemników z bronią, amunicją i granatami.

Do innych pomieszczeń prowadziły dwa otwarte, sięgające sufitu otwory wejściowe. Krueger skierował się ku dalszemu, znajdującemu się z lewej strony wylotu tunelu. Erik podążył za generałem. Usłyszał kroki schodzących po drabince Evansa i Warnecke'a.

Mijając otwarte drzwi, spojrzął do pokoju na prawo. Był takich samych rozmiarów jak pierwsze pomieszczenie. Również stało tam piętrowe łóżko, a przy przeciwległej ścianie zainstalowano urządzenie odbiorczo-nadawcze o profesjonalnym wyglądzie. Także tutaj w każdym wolnym miejscu piętrzyły się skrzynki i pudła. Pod jedną ze ścian ustawiono kilka rzędów ciężkich akumulatorów, zasilających radiostację i skąpą sieć oświetleniową.

Krueger wszedł do trzeciego pomieszczenia. Miało ono rozmiary dwóch poprzednich izb i najwidoczniej służyło za kwatery generałowi oraz członkom jego najbliższego personelu.

W prawym narożniku ustawiono ukośnie dwa piętrowe łóżka. Jedno z nich, pod ścianą po prawej stronie, zostało zaopatrzone w zaciąganą zasłonkę. Ciekawe, czy ta intymność była potrzebna Kruegerowi, czy też może jakiejś członkini jego żeńskiego personelu, zastanawiał się Erik.

Naprzeciw otwartych drzwi stał stolik zarzucony papierami i książkami. Za nim, po lewej stronie, piętrzył się na podłodze stos dużych map terenowych. Nawet tutaj każdy skrawek wolnej przestrzeni zajmowały skrzynie i pudła. O jedno z łóżek opierało się kilkanaście sztuk broni automatycznej.

Krueger podszedł do otwartego stelaża na ubrania, stojącego przy najdalszej ścianie pomieszczenia. Jego kroki dudniły głucho na deskach podłogi.

Pod spodem biegnie system ściekowy, zanotował w myśli Erik. Prawdopodobnie połączony ze zbiornikiem na zewnątrz.

Spojrzał w górę. Na suficie, tam gdzie otwarte drzwi łączyły dwa pomieszczenia, dostrzegł otwór odpowietrzający, a pod nim wentylator. Był wyłączony. Erik nie mógł powstrzymać uczucia podziwu.

Tunele odpowietrzające tego bunkra oraz innych musiały prowadzić poprzez pnie drzew rosnących na „dachu” z poszycia leśnego. Tylko takie rozmieszczenie zapewniało ich niewykrywalność.

Erik usiadł na brzegu stołu. Do pokoju wszedł Evans. Rozejrzał się, nieco zbyt demonstracyjnie udając obojętność. Zaczął studiować jedną z map ściennych, gdy tymczasem Warnecke zajął pozycję w drzwiach, opierając się o framugę i ściskając w dłoniach karabinek.

Krueger odwrócił się do Erika. Czekał.

- Proszę, generale - zachęcił Erik Niemca. - Przykro mi, ale nie mogę zapewnić panu większej intymności. - Wskazał na broń przy łóżku. - Nie chciałbym narażać pana na pokusę.

Krueger uśmiechnął się kwaśno. Lekko pochylił głowę.

- Oczywiście.

Odwrócił się plecami do Erika, wybrał ze stelaza mundur i położył go na łóżku. Zaczął ściągać bawarską kurtkę.

Erik był w dobrym nastroju. Operacja w końcu przyniosła efekty. Zaczął przerzucać od niechcienia papiery leżące na biurku generała. Postanowił je zabrać i przekazać do korpusu. Nigdy nie wiadomo, na co można natrafić.

Krueger zaczął rozpinać kamizelkę. Erik powiódł wzrokiem po pomieszczeniu.

- Proszę mi powiedzieć, generale, czy wasze pozostałe jednostki też stacjonują w podziemnych bunkrach?

Krueger uśmiechnął się lekko, jednak lekko zeszywniał.

- Dalibóg, generale - żachnął się Amerykanin. - Przecież mamy wszystkie wasze dokumenty!

Krueger ściągał grubą chłopską koszulę. Przysiadł na łóżku i przystąpił do zzuwania butów. Spojrzał na Erika z lekkim uśmiechem.

- Tak. Stacjonują - przyznał.

- Aha, więc wasi agenci dostarczają informacji, a potem pan określa cele i przekazuje rozkazy najbliższej jednostce operacyjnej. Oni z kolei organizują grupę szturmową werwolfowców, która dokonuje uderzenia, po czym znika w swoich przytulnych domkach z daleka od podziemnej bazy.

- Takie były nasze plany.

Krueger ściągał teraz grubo tkane wełniane skarpety.

- A Ike? - padło obojętne pytanie.

Generał znieruchomiał na ułamek sekundy, zaraz jednak podjął przerwana czynność.

- Ike? - W jego głosie zabrzmiał ton jakby uprzejmego zdziwienia.

- Naczelnym Dowódcą Sił Sprzymierzonych. Generał Eisenhower.

- Nie wiem, o czym pan mówi - stwierdził zimno Krueger.

Erik uśmiechnął się. Był rozbawiony.

- Ależ panie generale, dobrze pan wie, co mam na myśli. Spojrzał na Kruegera.

- Likwidacja - podsunął usłużnie. - Ale czy naprawdę sądziliście, że uda się wam do niego dostać?

Krueger nic nie odpowiedział. Wstał i odwrócił się tyłem do Amerykanów. Erik czekał cierpliwie. Postanowił, że da swojemu jeńcowi nieco czasu. Tamten musi zrozumieć, że kierowana przez niego operacja zakończyła się całkowitą klapą. Spojrzał spod oka na Niemca. Rozbawił go widok długich kalesonów na nogach generała Werwolfu. Zreflektował się jednak: w wilgotnym, nie ogrzewanym pomieszczeniu musiał panować chłód. Nic dziwnego, że zapragnął zjeść miskę gorącej zupy i posiedzieć przy ciepłym piecu. Zatrzymał się myślą na scenie, jaką ujrzeli w chacie. Generał musiał czuć się całkowicie bezpiecznie, gdy pierwsze przeszukanie lasu przez żołnierzy nie doprowadziło do wykrycia kryjówek Werwolfu. Tak dalece bezpiecznie, iż przeniósł się z podziemi do chaty.

Krueger niemal skończył wciągać mundur. Erik zaczął zbierać papiery z generalskiego biurka. Składał je na stos, przeglądając tylko pobieżnie.

Generał akurat zapinał bluzę. Stał odwrócony tyłem. Nad prawą górną kieszenią bluzy w kolorze *feldgrau* połyskiwał srebrny *Hohheitsabzeichen*, hitlerowski orzeł trzymający w szponach swastykę; nad lewą kieszenią widniała imponująca kolekcja baretok - zarówno odznaczeń wojskowych, jak i państwowych. W drugiej od góry dziurce od guzika pyszniła się biało-czarna baretka Krzyża Żelaznego.

Przemiana bawarskiego chłopca w generała Wehrmachtu była zadziwiająca.

Spojrzał na Erika i przez jego twarz przeleciał nagły skurcz. Stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w Amerykanina i trzymane przezeń papiery, zapominając o guzikach munduru.

Erik podniósł wzrok - Krueger umknął w bok ze spojrzeniem i powrócił do zapinania munduru.

Amerykanin dostrzegł jednak błysk w oczach jeńca. Natychmiast stał się czujny. Coś zaszło. Coś, co przeoczył!

Próbował złapać spojrzenie generała, ale tamten unikał jego wzroku.

Erik był zaintrygowany. Coś się działo. Musiał wiedzieć, co. I to szybko! Jego umysł pracował gorączkowo. Krueger wyprostował się i spojrzał mu prosto w twarz.

- Jestem gotów - oświadczył spokojnie.

Erik wstał. Odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie Kruegera. Doznał wrażenia, że bierze udział w pojedynku, w którym każdy z uczestników pragnie dowieść, iż lepiej od przeciwnika panuje nad emocjami, pojedynku milczących akcji i ripost; pojął jednak nagle, że właściwie nie zna stawki. Wiedział tylko, że jest to pojedynek, w którym musi zwyciężyć.

Uświadomił sobie, że nerwowo zgniata papiery w dłoni. Spojrzał na dokumenty - i o mały włos nie zdradził się przed generałem z domysłem, który mu zaświtał.

Opuścił ramiona w geście odprężenia.

- Okay, idziemy.

Z teatralną obojętnością rzucił papiery na stół.

Jednocześnie zerknął spod oka na Niemca.

Spojrzenie Kruegera pobiegło błyskawicznie ku papierom, w następnej jednak chwili generał skierował ironiczny wzrok na agenta. Napięcie widoczne przed chwilą na jego twarzy nieco opadło. Wydawało się, że Krueger doznał ulgi.

A więc chodziło o dokumenty!

Erik błyskawicznie znalazł się z powrotem przy biurku. Chwycił papiery i wyciągnął je w stronę Kruegera.

- Co znajduje się w tych dokumentach, generale? - rzucił ostro.

Żrenice Niemca lekko się rozszerzyły, twarz odrobinę pobladła, zniknął zgryźliwy uśmiezek. Odpowiedział jednak spokojnie i nieśpiesznie:

- Proszę, może pan je zabrać. Niech pan przeczyta. - Wzruszył obojętnie ramionami. - To raporty. Codzienne raporty... Rutynowe sprawy.

Ruszył ku wyjściu.

- Wolnego, generale! - zatrzymał go Erik. - Proszę pozostać na miejscu! Mam ochotę sprawdzić, jakimi to rutynowymi sprawami zajmuje się generał Werwolfu. Najlepiej będzie, jeśli wezmę się do tego tutaj, teraz!

Czytał dokumenty po kolei. Czytał szybko, ale nie pomijał ani jednej linijki. Był pewien, że prędzej czy później coś znajdzie.

Krueger wbił w niego nienawistne spojrzenie. Jego chłodne oczy płonęły lodowatym ogniem pod krzaczastymi brwiami. Zaciśnął mocno zęby. Wodził wzrokiem od Erika do stojącego przy mapie ściennej Evansa. Oficer żandarmerii obserwował go uważnie. Generał zerknął szybko na Warnecke'a. Starszy szeregowiec stał w otwartych drzwiach. W rękach trzymał gotową do strzału broń.

Nagle oczy Kruegera rozszerzyły się. Odwrócił spojrzenie w kierunku Erika, a potem, pozorując znużenie połączone z irytacją, zbliżył się do łóżka i oparł o narożnik. Warnecke całą swoją uwagę skupiał na generale. Nie zauważył za sobą bezszelestnego, ukradkowego ruchu...

Na najodleglejszej ścianie pomieszczenia wejściowego ktoś powoli i bezgłośnie wyjmował od zewnątrz niewielki fragment oszalowania, którego prostokątny zarys był niemal niewidoczny wśród naturalnych pęknięć i połączeń nierównych desek; po chwili drewniany prostokąt znalazł się na ziemi.

Skulony w odsłoniętym otworze mężczyzna wydostał się cicho i zręcznie jak wąż. Zza pasa dobył czarno oksydowanego lugera 08 i wymierzył go w plecy Warnecke'a.

Spojrzenie Kruegera pobiegło ku ciemnemu pomieszczeniu za niczego nie spodziewającym się żołnierzem. Zastygł. Jego myśli zaczęły pędzić jak oszalałe.

Żeby go piorun strzelił! Jeśli naciśnie spust, zniweczy nasze wszelkie szansę na ucieczkę zapasowym tunelem - pomyślał z rozpaczą. Trzeba go jakoś powstrzymać!

Zmusił się do spojrzenia na Erika. Narzucił sobie niedbały ton głosu.

- Czy pańscy przyjaciele tam na górze - powiedział szybko, patrząc w sufit - nie zniecierpliwia się, jeśli pan będzie tu siedział i czytał te wszystkie raporty? Powiedziałem już panu, że nie zawierają nic ważnego.

Erik nie odpowiedział. W miarę lektury doznawał coraz głębszego zawodu. Dokumenty dotyczyły rzeczywiście rutynowych kwestii. Wykazy dyżurów. Rejestry. Regulaminy. Ale do licha, ten Niemiec nie będzie mu przecież dyktować, kiedy ma skończyć! W porywie złości odłożył czytaną kartkę, po czym zagłębił się zawzięcie w tekście następnego dokumentu.

Nagle poczuł gwałtowny przypływ podniecenia. Znalazł! Miał przed oczami to, czego istnienia tak bardzo był pewien! Pochłaniał wzrokiem słowa tekstu.

Werwolfowiec, który kulił się za niczego nie podejrzewającym amerykańskim żołnierzem, natychmiast zrozumiał ostrzeżenie generała. Odłożył szybko pistolet i sięgnął do daszka wojskowej czapki polowej. Szarpnął energicznie za obrzeże. Materiał ustąpił i po chwili Niemiec trzymał w dłoni stalową zakrzywioną klingę.

Erik podniósł roziskrzone spojrzenie znad dokumentu.

W tej samej chwili werwolfowiec ruszył. Rzucił się od tyłu na Warnecke'a i jednym ruchem poderżnął mu gardło.

Śmiertelny wrzask żołnierza ustąpił ohydnemu bulgoczącemu jękowi; spazmatycznie wyrzucanemu powietrzu towarzyszyła fontanna jaskrawo-purpurowych kropli krwi z ziejącej rany zwalonego z nóg Amerykanina.

Uzbrojony Evans odwrócił się błyskawicznie w kierunku napastnika, lecz werwolfowiec to przewidział. Celnym kopniakiem posłał karabinek majora na podłogę.

Kiedy Warnecke został zaatakowany, Krueger rzucił się na całkowicie zaskoczonego Erika. Z niewiarygodną, płynącą z desperacji siłą założył agentowi bolesny chwyt judo. Trzymał go teraz niczym w imadle, uniemożliwiając wydobycie rewolweru i udzielenie pomocy Evansowi, który stał bezbronny naprzeciw zbliżającego się doń nieubłaganie werwolfowca-mordercy.

Erik wił się rozpaczliwie w uścisku Kruegera. Poczuł, że trzeszcza mu kości w ramieniu.

- *Erledigen! Schnell!* Zabij go! - polecił generał.

Evans wsparł się o stolik. Rzucił szybkie spojrzenie poza siebie, szukając jakiejś broni.

Znalazł ją.

Porwał ze stołu leżący wśród papierów ołówek, po czym, trzymając go jak nóż, zaostrozonym końcem do góry, wymierzył mocny cios w żołądek atakującego Niemca. Ten błyskawicznie się uchylił. Cofnął brzuch i jednocześnie przechylił się lekko do przodu.

Ale cios był markowany. Tym samym płynnym i mocnym ruchem Evans wbił ołówek głęboko w odsłoniętą żyłę szyjną napastnika.

W płonących nienawiścią oczach tamtego zagościł na chwilę wyraz niedowierzania, zaskoczenia i upokorzenia.

Siła ciosu majora była tak wielka, że ołówek złamał się w ciele jego przeciwnika. Sztywniejące palce chwyciły okrwawiony koniuszek, umierający Niemiec wydał charkot agonii.

Zanim zwałił się na podłogę, Evans miał już w ręku swój karabinek. Okręcił się i wycelował broń w Kruegera.

- Dość tego! - rzucił ostro. Spojrzał na ciało Warnecke'a. - Ty sukinsynu, z przyjemnością ubiłbym cię na miejscu!

Krueger natychmiast puścił agenta.

Erik patrzył na martwego werwolfowca i czuł, jak w gardle wzbiera mu żółć. Przelknął z wysiłkiem ślinę.

- Dzięki! - powiedział do Evansa. - Chwalić Boga, że znał pan tę starą dobrą metodę.

Evans spojrzał z ukosa na ciało na podłodze.

- Sposób z ołówkiem? - Wzruszył ramionami. - Cóż, przechodzimy przecież jakieś tam podstawowe przeszkolenie... nawet w żandarmerii - odparł sarkastycznie.

Erik głęboko odetchnął.

- Tak czy owak, dziękuję.

Evans rzucił mu chłodne spojrzenie.

- Nie musi pan dziękować, panie Larsen. Ratowałem własną skórę.

Erik zebrał dokumenty ze stołu, a potem popatrzył na Kruegera.

Generał Werwolfu stał sztywny, wyprostowany. Powrócił mu na usta ironiczny uśmiezek, spojrzenie nabrało z lekka szyderczego wyrazu. Ze spokojem wytrzymał pochmurny wzrok Amerykanina.

Erik wskazał głową drzwi.

- Ruszać się!

Krueger skłonił się nieznacznie. Był teraz doskonałym pruskim junkrem. Podeszedł do drabinki.

Erik śledził go ponurym wzrokiem.

Gra, pomyślał rozgoryczony. Zachowuje się, jakby uczestniczył w jakiejś cholernej grze. Uczynił ruch i przegrał. Ale nikt go nie ma prawa za to obwiniać, czyż nie tak? Oczywiście ponowi próbę. Czyż nie na tym polega gra? Wielka, wspaniała gra oficerów-dżentelmenów. Jedno wielkie gówno!

Podchodząc do drabinki w ślad za Evansem i Kruegerem, starał się nie patrzeć na dwa ciała.

Kiedy znaleźli się na powierzchni, zbliżył się Don.

- Mam czterdziestu siedmiu żołnierzy wraz z podoficerami oraz siedmiu oficerów - oznajmił radośnie. - Myślę, że to cała banda.

Wskazał szerokim gestem na polanę. Liczna grupa werwolfowców, niektórzy w mundurach, inni w cywilnych ubraniach, otaczała kołem oficera. Ten odczytywał nazwiska z trzymanej w dłoni listy. Niemcy odpowiadali ponurymi głosami. Don popatrzył badawczo na przyjaciela. Spoważniał.

- Co tam się stało na dole? - zapytał.

- Na razie nieważne - odpowiedział Erik niecierpliwie. Patrzył, jak Evans wraz z kilkoma ludźmi ponownie znika w wylocie tunelu. Odwrócił spojrzenie i pokazał Donowi jeden z dokumentów pochodzących z biurka Kruegera.

- Spójrz na to.

- Co to jest?

- Werwolfowcy mają przeprowadzić jakąś operację. Jednostka C. Termin: dziś wieczór.

- Cel?

Erik rzucił mu posępne spojrzenie.

- Główna stawka, Don. Zadanie priorytetowe. - Ike!

Don wpatrzył się w dokument.

- W jaki sposób?

Przebiegał oczami treść kartki.

- Oszczędź sobie trudu. Nie ma tu szczegółów. Tylko tyle, że grupa szturmowa zostanie sformowana z członków Jednostki C. Podane jest jej miejsce stacjonowania. Około siedemdziesięciu dwóch mil stąd, jeszcze na obszarze działań korpusu. W lasach na wschód od Grafenheim. Nie wiadomo jednak dokładnie, gdzie. Jest tu informacja o punkcie spotkania, ale nie podano miejsca. Transport. Powołują się na poprzedni rozkaz, którego tutaj nie ma. - Spojrzał przejęty na Dona. - Słuchaj, to wszystko brzmi tak przekonująco, że może im się udać!

- Musimy wracać do korpusu! I to szybko!

- Wyślemy Evansa.

- Evansa?

- Jego i żandarmów. Mogą zabrać Kruegera i pozostałych jeńców.

- Erik mówił cicho, ale z naciskiem. - Don, nie mamy czasu. Nie mamy czasu na przekonywanie wyższych szarż, że potrzebujemy jeszcze dwóch kompanii. Nie mamy czasu na przygotowanie operacji z wykorzystaniem sił korpusu. Nawet nikogo nie możemy ostrzec. Nie wiemy, przed czym! Wyruszymy tylko z porucznikiem Jamesem i jego plutonem. Do Grafenheim. Tu jest napisane, że to ich punkt wypadowy.

Don spoglądał w dal zatroskanym wzrokiem.

- Sądziliśmy, że to koniec - powiedział do siebie. - Sądziliśmy, że zakończyliśmy raz na zawsze tę przeklętą sprawę... a to się wszystko dopiero zaczyna.

Grafenheim

Jednostka C

Godzina 15.19

Willi jeszcze nigdy nie był tak silnie podniecony. Plan był wariaczką, ale się uda!

A on, Untersturmführer Wilhelm Richter, weźmie w tym udział. Przyczyni się do zmiany biegu historii!

Dopiero co zakończono odprawę. Wszystko było jasne, zwięzłe, dokładne. Oficerowie dowodzący operacją oraz ich podwładni wywarli na Willim ogromne wrażenie. Krueger wiedział doskonale, co robi, dobierając z Jednostki C żołnierzy z komandoskim przeszkoleniem. To, iż jednostka znajdowała się najbliżej punktu wypadowego, nie miało specjalnego znaczenia. Generałowi chodziło głównie o ludzi. Kilku z nich brało wcześniej udział w brawurowej akcji odbicia Mussoliniego z alpejskiego odosobnienia, akcji, którą dowodził pułkownik Skorzeny*. Byli najlepsi!

Mussoliniego uwolniono 12.08.1943 z wysokogórskiego hotelu Imperatore na szczycie Gran Sasso w Apeninach (przyp. tłum.).

Przypomniął sobie dzień, w którym nadeszła wiadomość o wspaniałym wyczynie Skorzenyego...

Operacja była niewykonalna. Tak przynajmniej oświadczone Skorzenyemu. Ale on i tak ją przeprowadził. Posadził szybowce na małej półce skalnej tuż pod szczytem góry Gran Sasso, po czym z pomocą garstki spadochroniarzy uwolnił Duce i uciekł wraz z nim, dosłownie wpychając swojego storcha w przepaść: żeby wzbic się w powietrze, maszyna musiała najpierw zanurkować.

Był to wspaniały, podnoszący na duchu wyczyn. Willi przypomniał sobie uniesienie, jakie go wtedy ogarnęło, jego i wszystkich innych żołnierzy - każdego Niemca! Powodzenie akcji Skorzenyego nadało nowy sens wysiłkowi wojennemu kraju.

Tak, to było wielkie wydarzenie.

Tym razem jednak nastąpi jeszcze większe...

Wszystko szło jak w zegarku. Od Kruegera nie dotarły żadne uzupełniające rozkazy ani polecenia dokonania zmian w planie.

Operacja była w toku.

Operacja, która może zmienić przebieg wojny. Która skupi wokół wspólnej sprawy obrońców Alpenfestung, niezdobytej Twierdzy Alpejskiej: werwolfowców, Hitlerjugend, oddziały SS - ich wszystkich!

Godzina H przypadała po zmierzchu. Komandosi, niewielki doborowy oddział wyszkolonych spadochroniarzy, opuszczą obszar działania Jednostki C i przedostaną się na znajdujący się w niemieckich rękach i oddalony zaledwie o kilka kilometrów teren. Na drodze do

Salzburga, wprost na południe od Pasawy, będą oczekiwać ciężarówki.

Hasło: *Feuerkampf!* - odzew: *Siegreich!*

Potem dwugodzinna jazda do podziemnego lotniska leżącego na skraju obszaru Reduty, na południe od Salzburga.

Tam przesiądą się do oczekujących samolotów. Trzy amerykańskie transportowe C-47, złożone z fragmentów zestrzelonych maszyn i uzupełnione częściami innych rozbitych C-47. Proste. I sprytne.

Gdy znajdują się nad miejscem zrzutu, będzie panowała ciemna noc.

Wydobył z kabury lugera i po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny sprawdził broń. Usunął jakiś nie istniejący pyłek.

Już wkrótce...

Skorzenyemu się udało, uda się i im.

Przeprowadzą taką samą operację. Tyle że na opak.

Celem będzie nie odbicie - lecz zlikwidowanie!

Monachium

Godzina 16.03

Oberrechtsrat doktor Meister z monachijskiego Städtischen Ernährungs und Wirtschaftsamt stał na stopniach ratusza. Przypadł mu w udziale smutny obowiązek poddania stolicy Bawarii.

Monachium zostało straszliwie zniszczone przez wielokrotne naloty bombowe, wszystkie ulice były wymarłe.

Od wczesnych godzin poniedziałku 30 kwietnia przez śródmieście miasta przetaczał się złowrogi łoskot artylerii wielkiego kalibru, dochodzący z ciężko ostrzeliwanych przedmieść.

Teraz jednak panowała cisza.

Kilkanaście pojazdów Siódmej Armii Stanów Zjednoczonych wjechało na plac i zatrzymało się przed ratuszem. Z jednego z wozów wyskoczył major i zbliżył się do Oberrechtsrata.

Niemiec spojrział na zegar na wieży. Było dokładnie pięć po piątej po południu.

Monachium skapitulowało.

Niemal do ostatniej chwili miasto stawiało zacięty opór. Jednostki SS, które zgromadzono na peryferiach, miały za wszelką cenę

powstrzymać pochód wojsk amerykańskich. W dzielnicach centralnych plutony egzekucyjne rozstrzeliwały cywilów i oficerów opowiadających się za zaprzestaniem oporu. Wszędzie dookoła rozpościerały się zniszczenia będące w większości dziełem artylerii polowej; budynki wzdłuż wszystkich dróg dojazdowych do miasta stały w ruinie.

Na poboczu szosy z Heidendorfu, tuż obok oznaczonego lejami od bomb pola, rozrzucone były szczątki furmanki, wciąż jeszcze zaprzęzonej w dwa konie, których zniekształcone ścierwa leżały obok.

Przechodzące obok kolumny żołnierzy omijały rozbity wózek szerokim łukiem. Śmierdziało przeraźliwie, na furmance zainstalowano bowiem zbiornik na płynny nawóz. Nikt z Amerykanów nie odczuwał najmniejszej chęci sprawdzenia, co - lub kto - mogło tkwić w lśniącej wilgocią, cuchnącej masie. Porozrywane i pocięte odłamki metalu i szkła, zmieszane z rozłupanym drewnem, nie przykuły niczyjej uwagi...

Grafenheim Godzina 19.52

Noc była bezchmurna. Okolica okryła się ciemnością tak powoli, że Erik niemal nie zauważył, kiedy zapadł zmrok. Stwierdził jednak, że widzi wszystko nadspodziewanie wyraźnie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma. Gdzie oni się, do diabła, podziwiali? Czyżby coś źle skalkulował? Ta niepewność doprowadzała go do szału.

Powrócił do obserwowania terenu przed sobą. Widział jak na dłoni rozwidlenie wychodzącej z lasu ścieżki: jedna odnoga prowadziła do Grafenheim, druga omijała wieś i wiodła na północ; widział też pola po obu stronach drogi, niewielki gaj opodal północnego odgałęzienia, szczątki furmanki w rowie tuż przed rozwidleniem... A ludzie? Był pewien, że wszyscy są na swoich stanowiskach, choć dostrzegał tylko leżącego obok na ziemi Dona i porucznika Jamesa. Obaj milczeli, wpatrzeni w cichą opustoszałą ścieżkę.

Znów zerknął na zegarek. Zdziwił się: do ósmej wciąż jeszcze brakowało kilku minut. A może czekali w niewłaściwym miejscu?

Przybyli do Grafenheim, gdy słońce chowało się za niewysokimi górami łańcucha Bayrischer Wald na zachodzie, spowijając zalesione szczyty purpurą. Przeprowadzili dokładne oględziny terenu, po czym starannie wybrali miejsce na zasadzkę. Nic więcej nie mogli przedsięwziąć. Wszelkie próby wywabienia werwolfowców z ich podziemnych kryjówek, położonych gdzieś w oddalonym lesie, byłyby beznadziejnym szaleństwem. Zwłaszcza w ciemnościach. Musieli czekać, aż tamci uczynią pierwszy ruch.

Ścieżka, którą miał przed sobą, była jedyną drogą wychodzącą z leśnego obszaru, gdzie według mapy znajdowały się kwatery Jednostki C. A więc Niemcy na pewno nadejdą właśnie tędy. Chyba że...

Znów spojrzął na zegarek. Wciąż nie było ósmej. Czekali już blisko dwie godziny.

Ich plan wydawał się rozsądny. Na pewno przyniesie efekty.

Jeśli werwolfowcy nadejdą.

Cholera jasna, przecież muszą nadejść! Nie mieli innego wyjścia, mogli tylko jeszcze przekroczyć czeską granicę. Ale nie miałoby to sensu, skoro ich punktem wypadowym było Grafenheim. Jeśli jednak tak właśnie zrobią...?

Korpusowi nie pozwolono wejść pełnymi siłami na terytorium Czech i ryzykować zderzenia z prącymi od wschodu wojskami rosyjskimi. Po przecięciu na dwoje obszaru Rzeszy przez Amerykanów, wojska niemieckie mające obsadzić Fortecę Alpejską zostały zamknięte w kotle na terenie Czech. Nie pozostało im nic innego, jak tylko czekanie na coś, co spowoduje otwarcie kotła.

Spojrzął na zegarek. Z góry wiedział, co zobaczy, ale nie mógł się powstrzymać. Ósma.

No szybciej, sukinsyny!

Wyczuł, że leżącego tuż za nim Dona ogarnia napięcie.

Z lasu wyłoniły się dwa cienie. W pobliżu rozwidlenia znieruchomiała. Przez chwilę nic się nie działo.

Erik niemal wstrzymał oddech. Modlił się, żeby nikt się nie poruszył. Wiedział doskonale, jak daleko i wyraźnie niesie się głos nocą.

Jedna z postaci, trzymająca w ręku coś, co wyglądało z daleka na karabin, odwróciła się w kierunku lasu, a potem podniosła broń, kierując lufę wprost w rozgwieżdżone nocne niebo.

Erik odetchnął z ulgą, bo sygnał oznaczał: teren wolny od nieprzyjaciela. Nie odkryli ich.

Ujrzał na drodze następnych dwóch. I jeszcze dwóch. Niewyraźne sylwetki wylaniały się cicho z leśnego gąszczu, przechodząc na pola opodal drogi. Zaczął odruchowo liczyć. Dziesięciu. Czternastu...

Kilku popychało rowery z przytroczonymi tobołkami. W mroku majaczyły też jakieś paczki. Osiemnastu. Dwudziestu jeden...

Niektórzy byli dziwnie przygarbieni. Plecaki. Wydawało się, że wszyscy niosą jakieś narzędzia. Albo była to broń. Trzydziestu dwóch, trzydziestu czterech...

Mogli uchodzić za rolników. Ale stąpali inaczej. Pewnie. Czujnie. W ich ruchach było coś kociego. To ich zdradzało.

Niczym nocni drapieżcy, pomyślał Erik. Jak stado... wilków.

Kiedy naliczył czterdziestu, spochmurniał. Przewyższali liczebnie jego grupę.

Porucznik James powoli podniósł karabin, mierząc w nadchodzących Niemców. Jeszcze kilka sekund...

Huknął strzał.

Erik zaklął w duchu, ogarnięty nagłą złością. Za wcześniej!

Echo wystrzału jeszcze nie przetoczyło się przez pola, gdy nagle zrobiło się jasno jak w dzień. Tuzin pojazdów ustawionych w półkole na drodze nadchodzących werwolfowców zalało ich jednocześnie oślepiającym światłem reflektorów. Cała okolica została skąpana w jaskrawej bieli. Na ułamek sekundy przed zaciśnięciem powiek Erik dostrzegł, jak werwolfowcy, obezwładnieni okrutnym blaskiem, zniechęceni - i w następnej chwili padli na ziemię. Mieli ich! Erik odwrócił głowę. Musiał zachować zdolność widzenia.

Zamieszanie w szeregach Werwolfu trwało tylko kilka sekund; rozległo się kilka wystrzałów, dwie czy trzy serie ognia z broni automatycznej, a potem Erik usłyszał rozkazujący okrzyk:

- *Licht ausschessen!* Strzelać do światel!

Padła salwa. Usłyszał ostry brzęk tłuczonego szkła. W następnej chwili zorientował się, że wszystkie pojazdy wyłączyły reflektory.

Otworzył powieki.

Nie utracił zdolności widzenia. Dostrzegał wszystko jak na dłoni.

Niemcy natomiast, oślepieni jaskrawym światłem, leżeli bezradnie w ciemnościach, nie widząc niczego. Kilku poderwało się z ziemi i zaczęło uciekać, szukając schronienia w lesie. Stanowili łatwy cel dla żołnierzy.

Erik dostrzegł niewyraźnie pojedynczy snop światła przecinający przestrzeń ponad oddalonym polem po prawej stronie. Reflektory pojazdu nie zostały wyłączone. Ale działał tylko jeden. Pamiętał, że stał tam dżip porucznika Jamesa. Wewnątrz był tylko kierowca - widocznie został trafiony, nim zdążył wygasić światła.

Strzelanina przybierała na sile. Żołnierze oskrzydłali Niemców, chcąc odciąć im drogę do lasu. Werwolfowcy zostali zamknięci w kotle.

Nagle spoza ciemnego kształtu połamanej furmanki wysunęła się jakaś przygarbiona postać i pobiegła w kierunku dżipa. Na tle światła zamajaczyła ciemna sylwetka. Rozległ się pojedynczy wystrzał. W następnej chwili tamten znalazł się w samochodzie. Z dżipa wypadł na ziemię jakiś niewyraźny kształt. Erik usłyszał warkot zapuszczanego silnika i ujrzał fontanny ziemi strzelające spod kół pojazdu, gdy ten skręcił gwałtownie i pomknął drogą prowadzącą ku wsi.

Amerykanin poderwał się na nogi.

- Don! - wrzasnął. - Dawaj samochód! - Jedziemy za nim! - zawołał do porucznika Jamesa. - Zgarnijcie resztę werwolfowców. Co do jednego. I dajcie mi dwóch ludzi.

Porucznik nie tracił czasu na odpowiadanie. Skinął natychmiast na dwóch najbliższych żołnierzy.

Don zahamował tak raptownie, że dżipem aż zarzuciło. Do samochodu wskoczył Erik wraz z dwoma szeregowcami, a potem ruszyli śladem porwanego dżipa, który właśnie wjeżdżał do pograżonej w mroku wioski.

Don wcisnął do oporu pedał gazu. Dżip pruł jak strzała. Musieli ująć uciekającego werwolfowca. Nikt nie mógł wymknąć się z sieci..

Nagle światło pojedynczego reflektora samochodu jadącego przed nimi zgasło.

Dżip podskakiwał na brukowanej nawierzchni opustoszałej uliczki. Willi prowadził pojazd bez świateł najszybciej, jak mógł. Ryzykował, ale z wyrachowaniem. Liczył na to, że jego prześladowcy nie połapią się, w jakim kierunku pojedzie. Może uda mu się ich zgubić.

Musi się udać!

Jednostka C padła ofiarą zdrady. W jaki sposób? Kto zdradził? Ale nie to było teraz najważniejsze. Operację wciąż jeszcze można uratować. Wciąż jeszcze mogła się zakończyć sukcesem.

Musi dotrzeć do punktu spotkania. Otrzymał dokładne instrukcje. Mógł wprowadzić w życie wariant rezerwowy i ściągnąć zapasowy zespół z garnizonu Reduty. Wciąż mógł jeszcze doprowadzić operację do skutku.

Dojechał do skrzyżowania, niemal przegapiwszy je w ciemnościach. Przystanął. Przejechał kilka metrów, po czym znów się zatrzymał. Z oddali usłyszał narastający warkot silnika.

Wcisnął z całej siły hamulec i uruchomił silnik. Koła zaczęły się obracać, żłobiąc w ziemi koleiny i podnosząc obłoki pyłu. Zaraz potem szybko wycofał samochód i skierował się na Pasawę. Miał nadzieję, że ścigający go ujrzą w świetle reflektorów opadający kurz i pojadą fałszywym tropem.

Wiszący u pasa granat ręczny przeszkadzał mu w prowadzeniu. Odczepił go i położył na podłodze.

Nagle poczuł wilgoć na ciele. Zaskoczyło go to. Czyżby zsikał się w spodnie? Ale natychmiast pojął przyczynę i chwycił go torsje.

Fotel kierowcy był przesiąknięty krwią. Amerykanin musiał obficie krwawić. Willi cały się wygiął, usiłując nie dotykać mokrego fotela. Zaraz jednak przywołał się do porządku. Do licha! Nie jest przecież babą!

Zerknął przez ramię i dostrzegł światła ścigającego go dżipa.

Miał wciąż dużą przewagę. Ale wkrótce będzie musiał porzucić dżipa i przebyć pozostałą część drogi piechotą, a na to nie wystarczy mu czasu. Nie wystarczy, ponieważ ten dżip z tyłu wciąż się przybliża.

No tak. Nie da rady. Potrzebuje pomocy.

Ale skąd mógłby ją uzyskać?

Minął skrzyżowanie dróg i dostrzegł tabliczkę: WALDGRUBE. Już wiedział, gdzie ma szukać pomocy.

Stara kopalnia!

To tylko parę kilometrów stąd. Przejeżdżał tędy niedawno, powracając z eskortowania dostawy złota do Rattendorfu. Był wtedy z Kratzerem, majorem SS. Akurat kończyli tu prace konstrukcyjne.

Było to jedno z ukrytych umocnień na drogach dojazdowych prowadzących do Reduty. Tam mógł znaleźć pomoc. Amerykanie pojadą za nim, ale będzie to ostatnia cholerna jazda w ich życiu!

Włączył ocalały reflektor. Teraz wszystko zależało od prędkości.

Niebawem ujrzał sfatygowane i pokryte rdzą ogrodzenie z grubej siatki, zakończone na szczycie pasmem drutu kolczastego. Wielkie siatkowe wrota o masywnych metalowych ramach stały otworem; jedno z wieżei zwisało ukośnie na złamanym górnym zawiasie.

Wokół panowała głucha cisza. Stara kopalnia, dawno opuszczona i zapomniana przez ludzi, wyglądała ponuro i niegościnnie.

Willi zwolnił. Jechał teraz drogą prowadzącą ku wejściu do sztolni wydrążonej w skalistym górskim zboczu.

Jego oczom ukazał się jeden wielki śmietnik. Kilka baraków o przeżartych rdzą, pogiętych i poskręcanych blaszanych ścianach; drewniana szopa, której spaczone deski połamały się po jednej stronie i przegniły; jakieś pozbawione drzwi i okien chałupy, z których ścian zlaźła farba. U wejścia do sztolni piętrzyło się dziwaczne zbiorowisko porzuconego sprzętu górniczego: kruszarki, urządzenia wiertnicze, pompy.

Zatrzymał dżipa i wyskoczył. Dwoje potężnych stalowych drzwi tunelu stało otworem.

Zamaskowanie punktu oporu wywarło na nim duże wrażenie. Nie dostrzegł żadnych śladów prowadzonych tu niedawno prac. Było tak, jak być powinno. Chłopcy dołożyli starań...

Ruszył szybko ku wejściu. Patrzył pod nogi uważając, żeby nie potknąć się o szyny służące do przetaczania wózków z urobkiem. Zaklął.

Dołożyli starań, ale nie do końca. Rozpoznał nieomylnie odciski opon ciężkich niemieckich pojazdów wojskowych. Chyba büssingi. Obok widniało kilka świeżych śladów podkutych butów. Niewybaczalne przeoczenie. Ogarnęła go złość. Będzie musiał nakazać, żeby wszystko to zostało usunięte.

Nagle usłyszał zgrzytliwy warkot ścigającego go dżipa. Amerykanie wjeżdżali już chyba do kopalni.

Przebiegł kilka ostatnich metrów dzielących go od wylotu tunelu. Nie zdziwił się, że nikt go nie zatrzymał. Na pewno mieli rozkaz nie ujawniać się, dopóki ktoś ich nie odkryje.

Zatrzymał się przed zionącym pustką otworem, za którym rozpoczynał się labirynt kopalnianych korytarzy. Wziął głęboki oddech.

- *Hier Sonderkampfgruppe Karl!* - zawołał w ciemność. Jego głos zabrzmiał nienaturalnie ostro. - *Die Amis sind hinter mir her!* Ścigają mnie Amerykanie! Jestem sam! Wchodzę!

Zapуścił się w mroczny tunel. Poczуł, że serce wali mu jak młotem.

Czy mu uwierzą...? Czy nie zaczną strzelać...?

Nikt nie strzelał. Był bezpieczny.

Erik dał znak Donowi, żeby zatrzymał dżipa przy uszkodzonej bramie, i zgasił silnik.

Czarne litery na tablicy pokrytej niszczącą się bielą i wiszącej na płocie opodal bramy głośiły:

ZUTRITT VERBOTEN!

KREIS PASSAU GRAPHIT A/C

Grubekennkarte Vorzeigen

- Co tam jest napisane? - zapytał któryś z żołnierzy.

- To kopalnia grafitu - wyjaśnił Erik. - „Wstęp wzbroniony. Należy okazać specjalną górniczą przepustkę”.

- Całe szkopy - zakpił szeregowiec. - U nich wszystko jest albo zabronione, albo przymusowe.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, nadśluchując. Nie słyszeli już warkotu ściganego pojazdu.

Wyglądało na to, że celem uciekającego werwolfowca była stara kopalnia grafitu.

Miejsce wydawało się całkowicie opuszczone, czas nieubłagalnie niszczył budynki i urządzenia.

A jednak coś tu nie grało. Co to było? Erik doznał dziwnego uczucia, że choć patrzy, nie widzi.

Przyjrzał się dokładnie kopalni. Zanedbanie. Rozpad. Upadek. Ruiny i przyległy do nich teren porastały chwasty. Wszędzie zielsko, poza...

Wyteżył wzrok. Poczul nagle podniecenie. Gdyby kopalnia była rzeczywiście opuszczona, chyba droga również powinna być zarosnięta?

Wydał krótki rozkaz. Dwóch żołnierzy wyskoczyło z dżipa i szybko zajęło stanowiska po obu stronach wjazdu z bronią gotową do strzału. Erik dobył rewolweru i spojrzał na Dona. Ten skinął głową.

Ruszyli powoli pustą drogą, prowadzeni przez dwa przecinające przestrzeń snopy światła.

Kiedy dojechali do wyrobiska, zobaczyli porwanego dżipa, stojącego u wejścia do sztolni.

Don zatrzymał samochód. Światła reflektorów rozjaśniły mrok kopalni, ukazując oczom Amerykanów długi, szeroki, wykuty w skale tunel.

Erik rozejrzał się wokół. Przyjrzał się zdezelowanym maszynom górniczym ustawionym w pobliżu wylotu tunelu oraz torowi służącemu do holowania wózków z urobkiem, prowadzącemu w głąb kopalni i ułożonemu na drewnianych podkładach. Wózki były popękane i zniszczone, jednak niektóre, choć wyblakłe i pokiereszowane, wyglądały na nowe.

Agenci spojrzeli na siebie.

- No i co o tym myślisz? Jest tam? - zapytał Don.

- Musi być.

- To mi się nie podoba.

- Mnie też. - Erik wskazał na tor. - Ta cholerna kopalnia wcale nie jest tak niewinnym miejscem, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

- No i co? Co zrobimy? Jedziemy po pomoc?

- A kto tu zostanie? - zapytał Erik. - Coś ci powiem, Don. Jeśli chodzi o mnie, to mam dość wyczekiwania. - Wskazał w głąb tunelu.

- Musimy dostać tego faceta.

- No tak, ale...

- Słuchaj, Don, nasz klient nie będzie siedział z założonymi rękami. Jesteś pewny, że stąd nie ma drugiego wyjścia? Może nam zwać, podczas gdy obaj będziemy tu sterczeć. Przecież, do jasnej cholery, nie może być zbyt daleko. Nie możemy pozwolić sobie na wyczekiwanie.

Don zrobił kwaśną minę.

- Więc jeszcze raz nadstawiamy karków? - Wzruszył ramionami.

- Okay. Idę z tobą.

- Zostaniesz tu. Będziesz osłaniać nasze tyły. Pojadę tam z tymi dwoma - wskazał na przydzielonych mu przez porucznika Jamesa żołnierzy.

Don wyskoczył z dżipa, a Erik przesunął się i zajął miejsce kierowcy. Przyjaciel spojrzał na niego chmurnie.

- Hej! Jeśli na coś natrafisz, nie zgrywaj jakiegoś pierdolonego bohatera, zgoda?

- Okay, staruszk.

Erik ruszył.

Po sekundzie wchłonęła ich mroczna otchłań.

Prowadził powoli środkiem wyrobiska, trzymając się toru. Włączył napęd na cztery koła, chcąc uzyskać maksimum przyczepności. W płątaniu cieni po obu stronach dżipa dostrzegał chwilami niewyraźne sylwetki siedzących za nim żołnierzy. Szeroka, wykuta poziomo sztolnia była pusta. Wzdłuż sufitu nierównego, oznaczonego świdrem tunelu przebiegał gruby kabel elektryczny, z którego w równych odstępach zwisały wygaszone żarówki. Reflektory dżipa rzucały dwa snopy blasku drążące ciemności niczym dzidy. W oddali tunel skręcał w prawo.

Erik czuł się zupełnie odsłonięty, wystawiony na strzał. Każdy nerw jego ciała drżał od szalonego napięcia, każdy zmysł miał wyostrzony w oczekiwaniu na najśłabszy dźwięk oznaczający niebezpieczeństwo, na najmniejszy ruch w ciemnościach. Ale wokół panowała martwa cisza.

Don przykucnął kilka kroków od wejścia do tunelu. Widział stąd wyraźnie teren na zewnątrz. Z rewolwerem w dłoni nadśluchiwał z napięciem oddalającego się, coraz słabszego pomruku silnika dżipa.

Żałował, że to nie on wyruszył w głąb kopalni. Ale nie było innego wyjścia, wiedział o tym. Ilekroć zachodziło prawdopodobieństwo bezpośredniego kontaktu, decydowała znajomość niemieckiego i pałeczkę przejmował Erik. Niech to jasna cholera!

Natężył słuch, oczekując pierwszego sygnału niebezpieczeństwa, pierwszego wystrzału - żywiąc nadzieję, że go nie usłyszy, i jednocześnie wiedząc, że prędzej czy później padnie. Ale z tunelu dobiegał tylko niezmacony i wciąż słabnący brzęk silnika.

Erik dojechał do zakrętu. Z napięciem wodził wzrokiem za dwoma kręgami światła rzucanego przez reflektory samochodu, wędrującymi powoli po ścianie sztolni, nim pochłonęła je ciemność za zakrętem.

Nagle przez hałas pracującego mozolnie silnika przebił się ostry pobrzęk metalu uderzanego o metal: dźwięk dochodził gdzieś z mroku przed samochodem.

Natychmiast wyłączył reflektory i zgasił silnik. Wstrzymał oddech. Nadśluchiwał.

Słyszał szybkie pulsowanie krwi w uszach, ciche stukanie zamierającego silnika oraz ciężki oddech jednego z żołnierzy - i nic ponadto. Metaliczny brzęk już się powtórzył.

Przez chwilę siedział pogrążony w ciemnościach. Pomyślał z niechęcią o włączeniu świateł: będzie widoczny jak na strzelnicy.

Znów włączył silnik i zapalił reflektory. Światło prawie go oślepiło. Przesunął się na siedzenie pasażera i położył stopę na pedale gazu. Kierując lewą ręką, a w prawej ściskając broń, jechał powoli wzdłuż zakrętu. Komuś, kto ukrywał się w mrocznym tunelu, jaskrawe światło nie pozwoli dojrzeć jego postaci.

Wyjeżdżając spoza zakrętu, szarpnął ostro kierownicą. Dżip skręcił, a światło reflektorów zalało rozszerzający się w tym miejscu tunel.

Przed oczami Erika otworzył się niewiarygodny widok.

W wielkiej, pogrążonej częściowo w ciemnościach grocie, zalegały ogromne ilości sprzętu.

Stare, zardzewiałe wózki na urobek oraz narzędzia górnicze zepchnięto pod ściany, żeby zwolnić miejsce dla równo poukładanych stosów zamkniętych skrzyń i pudeł, opatrzonych napisami wskazującymi, iż wewnątrz znajduje się sprzęt wojskowy.

Zobaczył rzędy pustych stojaków na broń, a obok zwały drewna, dłużyc i belek, rozebranych na części koszarowych prycz. Na świeżo wymalowanych tablicach, opartych o pudła i skrzynie złożone opodal czarnego otworu bocznego przodka, były napisy: LAZARETT - Szpital... LAGER - Skład... RÜSTKAMMER -Zbrojownia... Łączność, Park Samochodowy, Stołówka...

Resztę powierzchni zapełniały sterty drewnianych krzeseł i taboretów, pudła narzędzi, elementów konstrukcyjnych i sprzętu elektrycznego. Całe niezbędne wyposażenie obiektu wojskowego.

Nagle na torze biegnącym środkiem grotty zauważył samotną postać, skuloną w strzeleckiej postawie, przygwożdżoną do ziemi promieniami światła...

Przerazony, oślepiony Willi zamarł w bezruchu.

Jego umysł odrzucał świadectwo zmysłów. Żył cichą nadzieją, że ukryci sojusznicy rozwalą nieprzyjacielskiego dżipa w drzazgi. Ale nadzieja ta natychmiast się rozwiąła.

Kopalnia nie została obsadzona. A on był sam.

Z cichym przekleństwem opadł na kolano i wystrzelił w kierunku znienawidzonego wroga.

Pierwszy pocisk roztrzaskał szybę samochodu po stronie kierowcy. Drugi rozbił jeden z reflektorów.

Żołnierze natychmiast odpowiedzieli ogniem.

Willi poczuł uderzenie w ramię. W jednej chwili dokonał oceny sytuacji: zbyt wielu przeciwników. Odrzucił pistolet.

- *Kamerad!* - zawołał. - *Kamerad! Nicht schiessen!* Nie strzelajcie!

Wstał i uniósł ramiona ponad głowę. Zdziwił go nagły ból powyżej łokcia. Czyżby go trafili?

Wpatrywał się bacznie w trzech nadchodzących mężczyzn, których sylwetki odcinały się ostro na tle snopów płynącego z tyłu światła. Dwóch żołnierzy piechoty. Szeregowcy. A trzeci? Chyba oficer.

Popęłił błąd wchodząc do kopalni. Ale jeszcze nie przegrał. Jeszcze nie. Musi tylko dopaść swojego dżipa, stojącego u wejścia do tunelu. Zostawił tam granat ręczny. Leży na podłodze. Jeśli jego prześladowcy będą go ścigać, po wyjściu z tunelu rozwalą ich tym

granatem. Przy odrobinie szczęścia wciąż jeszcze miał szansę przedarcia się za niemieckie linie... Podniósł ramiona jeszcze wyżej.

- *Kamerad* - powiedział. Uśmiechnął się.

Erik obserwował go uważnie.

- Pilnujcie go - polecił żołnierzom.

Szeregowcy stanęli po bokach werwolfowca. Erik podszedł bliżej i znalazł się z Niemcem twarzą w twarz.

Nagle Willi skrzywił się z bólu. Spojrzał na zranione ramię. Z rękawa ciekła mu krew.

Dwaj żołnierze odruchowo podążyli za jego wzrokiem. Willi należycie wykorzystał tę chwilę: opuścił szybkim ruchem rękę, chwycił najbliższego szeregowca i pchnął go gwałtownie na Erika. Ten cofnął się o krok i potknął o szynę. Upadł wraz z żołnierzem.

Willi zaczął uciekać. Gdyby tylko mógł znaleźć się w ciemnościach...

Drugi szeregowiec szybko otrząsnął się z zaskoczenia. Podniósł błyskawicznie karabinek.

- Nie strzelaj! - krzyknął Erik, ale było już za późno.

Willego ścięło z nóg. Postąpił kilka niepewnych kroków i zwałił się na ziemię.

Erik podbiegł do niego. Był wściekły na siebie. Cholera, nie chciał przecież śmierci tego człowieka! Ale powinien to przewidzieć. Przecież to werwolfowiec. Fanatyk. Powinien przewidzieć, że spróbuje jakiejś sztuczki.

Kiedy znalazł się obok leżącego, Niemiec jeszcze żył. Odwrócił go na plecy. Pocisk przebił płuco. Rana wylotowa w klatce piersiowej ziała ogromnym, postrzępionym na brzegach otworem. Ranny dusił się własną krwią.

Erik zdjął własną kurtkę i podłożył ją pod głowę młodego werwolfowca. Ukłękł przy nim.

Z ciemności wyłonił się Don. Spojrzał pytająco na przyjaciela.

Ten potrzęsął głową.

- Dostał. Chyba już po nim.

Willi usiłował zwalczyć ból, który czerwonymi falami zalewał jego świadomość. Operacja, pomyślał z rozpaczą. Muszę uratować operację... operację.

Poczuł, że opuszczają go siły. Nagle owionął go zapach młodych sosen. Uśmiechnął się. Już kiedyś doznał podobnego uczucia opadania z sił. Był wtedy z Gerti... *In Ordnung!* Ale teraz...

Musiał żyć. Dla syna i Gerti. Po to, żeby dla tego syna uczynić z Niemiec potężny i wspaniały kraj. Dla... operacji!

Jego myśli słaby i odpływały. Prześliznął się zamglonym spojrzeniem po zalanej jaskrawym światłem pieczarze.

Nagle z zakamarków pamięci wyłoniła się, niczym błyskawica, dewiza Werwofu. *Es gibt keine Kameraden!* „Nie istnieje ktoś taki jak przyjaciel! Jeśli twoje zadanie zostało przez niego zagrożone, zwróć się przeciw niemu - w razie potrzeby zabij!” Musiał uratować zadanie. Trzeba podsunąć im jakiś inny cel. Ważny cel. „Nie istnieje ktoś taki jak przyjaciel!”

Chwycił Erika za ramię.

- Jestem werwofowcem... - powiedział słabym głosem. - Przybyłem z dowództwa Werwofu. - Jego palce wpiły się mocniej w ciało Amerykanina. - Od... generała Kruegera!

Doznał ulgi. Już wiedział, co powinien uczynić. Krueger był przyjacielem... „Nie istnieje ktoś taki jak przyjaciel”...

- Poprowadzę was tam - wyszeptał. - Wydam wam generała Kruegera... Popatrzył rozgorączkowanymi oczyma w twarz Erika. -

Teraz... - dodał. - Teraz! Musimy tam pojechać. Teraz!

Czarne i szkarłatne, oslepiające i zarazem niosące mrok fale ogarnęły jego świadomość.

Usiłował się podnieść - ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Spojrzał w oczy pochylonego nad nim wroga. Zapytał szeptem:

- To... mogło się udać, prawda?

Błagał wzrokiem o potwierdzenie. Było to najważniejsze pytanie jego życia, pytanie o sens własnego istnienia.

- Tak, mogło się udać - powtórzył nieoczekiwanie silnym głosem. - Wszystko zostało przygotowane. Mogło się udać...

Ale jego oczy wpatrujące się w cienie starej kopalni nie dostrzegaly już niczego.

Erik spojrział na młodego werwofowca.

- Mogło się udać - potwierdził cicho.

Berlin

Godzina 20.17

Stojące w płomieniach, ostrzeliwane przez ciężką artylerię Rosjan miasto pustoszyła wojna. Daleko na północnym zachodzie na krwawoczerwonym nocnym niebie widać było las ruchliwych, krzyżujących się nieustannie snopów światła. Co pewien czas potężny łoskot wybuchów wzbijał się ponad kakofonię ognia artyleryjskiego, łomotu walących się domów i odległego wycia ambulansów oraz wozów strażackich.

W pobliżu ruin Kancelarii Rzeszy jakaś drobna postać posuwała się pośpiesznie niemal całkowicie zablokowaną ulicą, okrążając leje po bombach i kuląc się ze strachu po każdej eksplozji. Był to żołnierz Wehrmachtu.

Przebiegł na drugą stronę. Miał na sobie zbyt obszerny, zwisający z ramion i sięgający do kostek płaszcz, ręce tonęły mu w zbyt długich rękawach. Żołnierz był łącznikiem. Dwa dni wcześniej skończył czternaście lat.

W wypalone i opustoszałe ruiny pobliskiego budynku uderzył pocisk. Chłopiec poszukał błyskawicznie osłony za jakimś odłupanym fragmentem muru. Przyjrzał się stamtąd Kancelarii, jego usmolona twarzą spływała potem, a może łzami. Wydawał się śmiertelnie wystraszony, ale poczucie obowiązku okazało się silniejsze. Zaciśnął dłoń na przewieszanej przez ramię torbie, wstał i pomknął ku budynkom Kancelarii, znikając w mrocznych czeluściach kamiennego rumowiska.

Potężne stalowe drzwi zamykające wejście do blokhauzu stanowiącego przedsiónek bunkra Führera stały otworem. W pobliżu porzuconej w ogrodzie betoniarki wykopano w ziemi płytki rów. Strzelały z niego języki huczącego ognia, w purpurowe niebo wzbijał się tłusty dym. Tuż obok piętrzył się bezładny stos pustych kanistrów po benzynie.

W cieniu poharatanego pociskami muru stał pułkownik Hans Heinrich Stauffer i ponurym, zawziętym wzrokiem wpatrywał się w płonący rów.

U wejścia do bunkra stali sztywno obok siebie trzej oficerowie SS. Stauffer znalazł wszystkich trzech. Günsche, ochroniarz Führera, Kempka, jego kierowca, i Linge - kamerdyner.

Pułkownik patrzył w ogień z cynicznym półuśmiechem na ustach.

Więc tak wygląda chwalebny koniec wielkiego wodza? - ironizował w duchu. Na oczach ochroniarza, szofera i kamerdynera?

W jedną ze ścian muru okalającego ogród uderzył pocisk. Trzej oficerowie natychmiast zniknęli w bezpiecznym wnętrzu bunkra.

Stauffer pozostał.

Wszystko to wydawało mu się snem.

Jeszcze kilka godzin temu był święcie przekonany, iż Hitler zdecydowany jest na ucieczkę do Berchtesgaden, żeby osobiście kierować stamtąd działaniami zbrojnymi z Alpenfestung. Na początku miesiąca wysłał tam większość swojego personelu, gdy więc jego osobista pilotka, Hanna Reitsch, wylądowała w oblężonym Berlinie, był pewien, że zabierze Führera. Wiedział, że usiłowała skłonić go do natychmiastowego odlotu, jednak Hitler odwlekał opuszczenie miasta. Zupełnie jakby czegoś oczekiwał.

Pułkownik zastanawiał się, jaki przebieg miała zwołana w południe odprawa poświęcona sytuacji wojennej. On sam nie był na niej obecny. Wiedział jednak, że natychmiast po jej zakończeniu kurier przyniósł do bunkra wiadomość i że w chwilę później Obersturmbannführer Kempka, który sprawował nadzór nad parkiem samochodowym Kancelarii, otrzymał od Führera polecenie przygotowania dwustu litrów benzyny. Dwustu litrów!

Ponownie spojrzął na płonący rów. Wysokie płomienie oblewały szkarłatem jego bladą, posępną twarz. Nie słyszał nieustannej kandy rosyjskich dział. Wciąż jeszcze brzmiało mu w uszach tysięckrotne echo pojedynczego, rozstrzygającego wystrzału, który zakończył życie Führera.

Nagle zobaczył, że z ruin Kancelarii wbiega do ogrodu drobna postać. Łącznik.

- Żołnierzu! Tutaj! - zawołał.

Łapiący z wysiłkiem oddech kurier podbiegł i stanął na baczność. Jego dłoń wystrzeliła w powietrze.

- *Heil Hitler!*

Stauffer przyjrzał mu się. Niemal dziecko jeszcze. Ogarnęła go fala głębokiego współczucia. Współczuł temu małemu żołnierzycowi, sobie, zniszczonemu krajowi...

- Z czym przychodzie? - zapytał.

- Depesza, *Herr Oberst!* - Chłopiec wyprostował się dumnie. - Do rąk własnych Führera!

Stauffer odwrócił powoli głowę w kierunku piekielnego paleniska.

- Spóźniłeś się, chłopcze - powiedział drewnianym głosem.

Młodzutki kurier spojrział na szalejące płomienie. Strzelające w górę węzowe ognie skąpały w purpurze jego przerażoną twarz. Popatrzył na Stauffera z wyrazem pytania i niedowierzania w oczach.

Pułkownik wyciągnął dłoń.

- Daj mi to - rzekł cicho.

Chłopiec otworzył torbę i wręczył depeszę Staufferowi. Nagle w pobliski mur uderzył pocisk. Łącznik zadrzał gwałtownie, pozostał jednak na miejscu. Stauffer wskazał na blokhaus.

- Zejdź na dół! - polecił małemu. - Szybko!

Żołnierzyc pobiegł poszukać schronienia w bunkrze.

Stauffer wpatrywał się w trzymaną w dłoni depeszę. Podszedł powolnym krokiem do płonącego rowu, uniósł głowę i powiódł spojrzeniem po trawionym ogniem mieście. Jego mieście.

Ponownie spojrział na kopertę. Już miał ją otworzyć, ale zrezygnował.

Jakie to ma znaczenie? - pomyślał z goryczą. Być może depesza zawiera wiadomość o kolejnym wyimaginowanym zwycięstwie albo o niepowodzeniu ostatniego, desperackiego wysiłku - ale jakie to ma znaczenie?

Jego twarz przybrała kamienny, surowy wyraz - tylko w smutnych, zmęczonych oczach odbijały się tańczące płomienie. Powoli zmiął kopertę i cisnął ją do rowu.

Papier zapłonął gwałtownym, jasnym płomieniem i szczył w piekielnym ogniu.

Epilog

Stacjonujące opodal Schönsee dowództwo jednostki Werwölfu, Sonderkampfgruppe Paul, na którego czele stał generał Paul Krüger, zostało wykryte i zlikwidowane 30 kwietnia 1945 roku; wraz z tą datą ustały działania tej jednostki. Operacja rozpoczęła się o godzinie 6.00 rano, zakończyła zaś wczesnym popołudniem. Tego samego dnia Adolf Hitler popełnił samobójstwo w swoim berlińskim bunkrze.

Trzy dni później, czyli 3 maja 1945 roku, w „Okresowym Raporcie Tajnej Sekcji G-2 XII Korpusu” znalazł się aneks podający szczegółowy opis przebiegu operacji zakończonej ujęciem werwolfowców. Oto jego treść:

TAJNE

Do wyłącznej wiadomości
dowództwa operacyjnego XII Korpusu
Data: 3 maja 1945 r.

Dla: JHC

Od: 022000B
Do: 032000B
Dowództwo XII Korpu-
su
W terenie
032200B

Numer 262

Mapy: GSGS -4416, 1/100 000

Aneks nr 1 do „Okresowego raportu” G-2 (nr 262),

Dowództwo XII Korpusu

28 kwietnia 1945 roku Josef ZINGEL, żołnierz niemiecki noszący ubiór cywilny, oddał się w WEIDEN (Niemcy) w ręce dwóch agentów do zadań specjalnych: WILLIAMA G. HOCKA (XII Korpus, oddział CIC) oraz IBA J. MELCHIORA (425-G, wywiad wojskowy, wydział śledczy, XII Korpus). ZINGELA poddano wstępnemu przesłuchaniu, w trakcie którego oświadczył, iż należy do organizacji Werwolf, której kryjówka znajduje się na leśnym terenie położonym na północ od SCHÖNSEE (P 4812). Jego macierzystą jednostką dowodził

pułkownik KRÜGER. Liczyła około 250 osób uzbrojonych w moździerze, karabiny maszynowe oraz broń krótką, dysponowała też ukrytymi zasobami zaopatrzenia, wystarczającymi na ponad cztery miesiące. Członkowie tej grupy szkolili poprzednio ludzi w zakresie wojny partyzanckiej i nieregularnej, jednak obecnie, według słów przesłuchiwanego, ich zadanie polegało na prowadzeniu działań na tyłach wojsk amerykańskich. Kwatery wraz z całym zapleczem były ukryte pod ziemią i znakomicie zamaskowane. ZINGEL zaofiarował się doprowadzić Amerykanów na teren zajmowany przez dowództwo kompanii i udzielić pomocy we wzięciu do niewoli wszystkich werwolfowców.

Raport dotyczący tego przesłuchania został przedłożony zastępcy szefa sztabu G-2 XII Korpusu, który zarządził podjęcie natychmiastowych działań. ZINGELA przewieziono do dowództwa 97 Dywizji Piechoty, gdzie poddano go dalszym przesłuchaniom i sporządzono plan wskazanego przez niego obszaru. 30 kwietnia 1945 roku dwie kompanie piechoty 97 dywizji otrzymały rozkaz przeczesania terenu, na którym miało ukrywać się lokalne dowództwo Werwolfu. W wyniku tej akcji ujęto jednego oficera oraz sześciu podoficerów i żołnierzy - trzech z nich miało na sobie cywilne ubrania i udawało gajowych - nie natrafiono jednak na żadne instalacje o charakterze wojskowym. Jeńców przesłuchano i uzyskano informację o aktualnym miejscu stacjonowania dowództwa Werwolfu. Dwunastu ludzi przez dwie i pół godziny przeczesywało teren o powierzchni około stu jardów kwadratowych - z negatywnym skutkiem.

Poszukiwania odwołano, ale agenci HOCK i MELCHIOR postanowili je kontynuować. Pierwszy informator, ZINGEL, otrzymał polecenie wskazania grupie przeczesującej ukrytego zaopatrzenia. Zaprowadził żołnierzy do małej chaty, w której znaleziono dwóch mężczyzn i trzy kobiety - wszyscy mieli na sobie odzież cywilną. ZINGEL zidentyfikował jednego z mężczyzn jako pułkownika KRUGERA, dowódcę lokalnej jednostki Werwolfu. Drugi mężczyzna okazał się oficerem w stopniu porucznika, kobiety należały do personelu KRUGERA. Pułkownik został poinformowany, iż armia amerykańska wie o istnieniu jego organizacji i zgodził się poddać wszystkich podległych mu żołnierzy. Został następnie przewieziony do dowództwa 97

Dywizji Piechoty, gdzie sformowano nową grupę poszukiwawczą, którą miał doprowadzić do swojej kwatery. KRÜGER wykonał polecenie i wskazał dwukrotnie już przeczesany teren. Na rozkaz pułkownika z ukrytych pod ziemią kryjówek zaczęli wychodzić umundurowani niemieccy żołnierze. Po przeliczeniu jeńców okazało się, iż jest wśród nich sześciu oficerów oraz dwudziestu pięciu podoficerów i szeregowców. Przejęto również całość dokumentów organizacji, w tym szkice terenu, na których umiejscowiono podziemne magazyny prowiantu i broni, mapy planowanych operacji, jeden samochód cywilny, jeden motocykl oraz dwie niewielkie radiostacje.

Było to pierwsze podczas tej wojny odkrycie i zajęcie w całości siedziby dowództwa Werwoflu. Poniższe informacje dotyczące zlikwidowanej jednostki uzyskano w wyniku przesłuchań pułkownika KRUGERA i ZINGELA. Dane te mogą stanowić pomoc w wykrywaniu i likwidowaniu innych podobnych nieprzyjacielskich organizacji.

PRZEBIEG WYPADKÓW:

16 września 1944 roku pułkownik KRÜGER sprawował funkcję komendanta kursów zorganizowanych przez Wehrmacht w THÜRENBERGU; wykładano tam rozmaite przedmioty, w tym również taktykę wojny partyzanckiej. W lutym 1945 roku na polecenie HIMMLERA umieszczono w programie nauczania przedmiot „Sposoby działania Werwoflu”. 1 kwietnia 1945 kursy zostały rozwiązane, a kadra szkoleniowa (pod dowództwem pułkownika KRUGERA) przeniosła się do SCHÖNSEE w Niemczech. Zamierzano kontynuować tam szkolenie, jednak planu tego nie wykonano z powodu zbliżania się wojsk amerykańskich.

ZADANIA:

W pierwszych dniach kwietnia kadra szkoleniowa otrzymała z Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych (OKW) następujące rozkazy: „Trzymać się na zapleczu nieprzyjaciela, unikać niewoli; prowadzić przeciw amerykańskim siłom zbrojnym akcje nękające, niszczyć zapatrzanie przeciwnika. W tym ostatnim punkcie należy uwzględnić zwłaszcza paliwa - benzynę i ropę”.

ORGANIZACJA:

Otrzymaawszy ów rozkaz, pułkownik KRÜGER podzielił całą grupę na cztery jednostki: A, B i C. Każda liczyła od 60 do 100 ludzi. Rozmieszczono je w trójkącie, w którego centrum znajdowało się dowództwo; każda jednostka operacyjna utrzymywała z nim łączność radiową. Osobisty sztab KRÜGERA składał się z kapitana i trzech poruczników: wszyscy oni zajmowali wysokie stanowiska w partii hitlerowskiej i byli zdecydowani na prowadzenie walki do końca.

TAKTYKA:

Działania miały się rozpocząć kilka tygodni po zajęciu terenu przez wojska amerykańskie. Dowództwo miało wyznaczać cele dla każdej jednostki. Grupy operacyjne liczące od 10 do 20 ludzi niszczyłyby cel i wracały do bazy. Bezpieczeństwo takiej operacji miało polegać na tajności i kamuflażu. Wszyscy otrzymali kategoriyczny rozkaz ukrycia się, gdyby okolice ich siedzib zajęły wojska amerykańskie; pod żadnym pozorem nie wolno im było wtedy otwierać ognia do nieprzyjaciela. Nie przewidziano i nie wyznaczono tras ewakuacyjnych. Werwolfowcy nosili zwykle mundury Wehrmachtu, jednak niektórzy udawali gajowych - pełnili oni rolę czujek, ich obowiązkiem było informowanie o zbliżającym się niebezpieczeństwie.

SPRZĘT I ZAOPATRZENIE:

Jednostka Werwolu odkryta w lesie opodal Schönsee była wyposażona w przepisowe mundury Wehrmachtu, stroje maskujące, kurtki podbite futrem oraz inne artykuły odzieżowe przydziału zimowego. Niektórzy żołnierze nosili odzież cywilną.

Uzbrojenie składało się z moździerzy, karabinów maszynowych, pistoletów maszynowych, karabinów oraz rozmaitego rodzaju broni krótkiej. Wszystkim wydano również po pistolecie miniaturowych rozmiarów, który można było łatwo ukryć przy sobie. Dysponowano taką ilością amunicji do każdej broni, by wystarczyło jej na cztery miesiące przewidzianych planem operacji. Jednostka posiadała jeden cywilny samochód i jeden motocykl wojskowy - oba pojazdy dobrze ukryte wśród drzew- a także 120 koni, które rozlokowano po

okolicznych gospodarstwach. Na prowiant składały się konserwy mięsne i warzywne, biszkopty, suchary oraz czekolada. Ze źródeł lokalnych otrzymywano dodatkowo chleb, kartofle, świeże warzywa oraz wędliny.

Zaopatrzenie w wodę zapewniał strumień przepływający przez teren stacjonowania jednostki.

KRYJÓWKI I MASKOWANIE:

Kwaterna dowództwa oraz pozostałe kwatery jednostki zostały ukryte pod ziemią. Przygotowano je w taki sposób, żeby nie niszczyć drzewostanu. Podziemne bunkry leżały pod stokiem wzgórza pokrytego gęsto jodłami. Wejście do każdego bunkra znajdowało się zwykle pośrodku skupiska drzew.

Był nim tunel o przekroju około 24 cali, który na głębokości około dwóch stóp przechodził w poziomy korytarz długości ośmiu, dziesięciu stóp. W pojedynczym pomieszczeniu, wyposażonym w wyłożoną deskami podłogę oraz rów ściekowy, mogło przebywać trzech ludzi. Ściany i sufit oszalowano drewnem, a otwór wejściowy zakrywano mocną klapą pokrytą żywą darnią, nie różniącą się wyglądem od najbliższego otoczenia (patrz załączony szkic).

Maskowanie stanowiła wyłącznie naturalna szata roślinna. Dbano szczególnie o to, żeby nie wydeptywać w okolicy żadnych ścieżek. Podziemne bunkry były rozrzucone nieregularnie na rozległej przestrzeni. Oto przykład dowodzący doskonałości kamuflażu: podczas drugiego przeszukiwania terenu kilku żołnierzy odpoczywało na ziemi mniej niż pięć stóp od ukrytych wejść - niczego nie zauważyli. Niemcy siedzący w bunkrze widzieli przeszukujących i opowiedzieli później o tym w dowództwie.

W najbardziej gęstej partii lasu ukryto samochód, przynosząc go tam na pniach. Potem zamaskowano go jeszcze dodatkowo gałęzmi.

W przyszłych przeszukiwaniach terenów, co do których zaistnieje podejrzenie, iż są miejscem obozowania Werwolfu, należy brać pod uwagę następujące czynniki:

1. Gęstość zalesienia i rodzaj poszycia.
2. Bliskość strumienia jako źródła wody pitnej.
3. Ślady pozostawione przez osoby przebywające niedawno na danym terenie (choć należy podkreślić, iż werwolfowcy bardzo dbali o zacieranie takich śladów).
4. Odciski niemieckich butów wojskowych.

W przypadku stwierdzenia występowania powyższych elementów na jakimś obszarze, należy dokonać jego dokładnego przeszukania (zwłaszcza okolic najgęściej porośniętych zaroślami). Zaleca się stosowanie tych samych metod jak przy poszukiwaniu min, z uwagi na to, iż każdy bunkier podziemny zawiera broń.

INNE:

Organizacja wykorzystywała swoich członków udających pracowników leśnych do zdobywania prowiantu, który rozdzielano nocą między ukrytych w lasach żołnierzy. Fałszywi leśnicy dysponowali dokumentami świadczącymi o niedawnym zwolnieniu z armii niemieckiej, podpisanymi przez dowódcę jednostki, pułkownika KRÜGERA. Ludzie ci pełnili również rolę czujek i strażników.

Mieszkańcy okolicznych wsi musieli dostarczać organizacji świeże warzywa, mięso i chleb oraz zapewniać furaz stu dwudziestu koniom należącym do Werwolfu.

Wiele ważnych zadań przydzielono oficerom-inwalidom. Pełnili oni funkcje zwiadowców, lokalizując cele, likwidowane potem przez grupy uderzeniowe. Oficer operacyjny w stopniu kapitana miał jedną nogę unieruchomioną w ciężkim opatrunku, drugi oficer zaś, porucznik, miał również kontuzjowaną rękę. Obaj legitymowali się dokumentami świadczącymi jakoby o niedawnym zwolnieniu z wojska i noszącymi podpis pułkownika KRÜGERA

*Claybrook
by P.S.R.*

CLAYBROOK, G-2

Po wykryciu i likwidacji Kampfgruppe Paul oddział G-2 XII Korpusu podał w swoim raporcie: *Oznaki realnej działalności Werwolfo podczas okupacji przez XII Korpus części terytorium Niemiec wyraźnie ustały (...)* Wygląda na to, że werwolfowcy zniknęli.

Ów raport, napisany zwykłym, lapidarnym językiem wojskowym, został sporządzony przez ludzi, którzy nie uczestniczyli w operacji, stąd też w tekście znalazło się kilka drobnych nieścisłości. Choć przedstawiono w nim na ogół poprawny obraz sytuacji, niektóre szczegóły zostały pominięte.

Na przykład bunkier dowódcy był znacznie większy, aniżeli pojedyncze bunkry opisane w raporcie - mógł pomieścić od sześciu do siedmiu osób. Ponadto zaopatrzony był w peryskop zainstalowany wewnątrz pnia drzewa. Za pomocą tego urządzenia werwolfowcy obserwowali nasze bezowocne poszukiwania.

Z dokumentów odnalezionych w bunkrze dowódcy wynikało, iż pułkownik Paul Krüger został promowany do stopnia generała, choć oficjalny rozkaz nominacyjny nigdy do niego nie dotarł. Strzelającą kłamrę, której opis pojawia się w tekście, zaprojektowano i wykonano specjalnie dla potrzeb Werwolfo.

W G-2 zdecydowano, iż byłoby niewłaściwe poruszanie w raporcie kwestii rozkazu likwidacji zarówno generała Eisenhowera, jak również innych oficerów sił Sprzymierzonych. Uznano, że jest to sprawa zbyt delikatnej natury, toteż ją utajniono; klauzula tajności została zdjęta dopiero po latach.

Ib Melchior

Od wydawcy amerykańskiego

Za udział w operacji przeciw Werwolfowi, której przebieg opisała prasa całego świata, Ib J. Melchior otrzymał amerykańskie odznaczenie wojskowe; ceremonii wręczenia przewodniczył dowódca XII Korpusu, generał major S. LeRoy Irwin. Oto fragment z aktu nadania: *Podczas tropienia tej organizacji Melchior pełnił rolę głównego oficera śledczego, towarzysząc jednostkom prowadzącym poszukiwania (...) Entuzjazm Melchiora, jego trzeźwy osąd sytuacji, inicjatywa oraz oddanie służbie przyczyniły się w poważnej mierze do powodzenia operacji oraz likwidacji organizacji Werwolf, przygotowanej do zadania poważnych zniszczeń naszym liniom łączności i zaopatrzenia.*

Bibliografia

Oto książki i inne publikacje, które, obok własnych obserwacji i badań autora, a także dokumentów znajdujących się w jego posiadaniu, potwierdzają autentyczność faktów opisanych w „Operacja Werwolf”:

Allen, płk Robert S. *Lucky Forward: The History of Gen. George Patton 's Third Army*, New York: Vanguard Press.

Bullock, Alan. *Hitler: A Study in Tyranny*, London: Oldham Press, 1952 (wydanie polskie: *Hitler. Studium tyranii*. Warszawa, „Czytelnik”, 1969).

Carlova, John. *General Eisenhower 's Narrow Escape*, „The Reader's Digest”.

Delarue, Jacques. *The History of the Gestapo*, London: Macdonald, 1964.

Dulles, Allen. *The Secret Surrender*, Weidenfeld and Nicolson, 1967.

Dyer, George. *XII Corps-Spearhead of Patton's Third Army*, The XII Corps History Association.

Eisenhower, Dwight D. *Crusade in Europe*, London: William Heinemann, 1948 (wydanie polskie: *Krucjata w Europie*, Warszawa, Wydawnictwo MON, 1959).

Foley, Charles. *Commando Extraordinary*, London: Longmans, Green and Co, 1954.

Hauser, Richard. *The Most Dangerous Man in Europe*, „True Magazine”.

Havas, Laslo. *Hitler's Plot to Kill the Big Three*, London: Neville Spearman, 1967.

Havas, Laslo. *The Long Jump*, London: Neville Spearman, 1967.

Hunter, Jack D. *The Expendable Spy*, London: Muller, 1966.

Johnson, Thomas H. *The Most Dangerous Man in Europe*, „Argosy Magazine”.

Linge, Heinz. *The Private Life of Adolf Hitler*, The Philadelphia Bulletin, 1955.

Macklin, John M. *Nazi Underground*, PM, May 28, 1945.

Military Intelligence Services. *Order of Battle of the German Army* (do użytku wewnętrznego).

Morenz, dr. Ludwig. *München in Jahre 1945*, Münchener Stadtanzeiger nr 40/41.

Musmanno, Michael A. *Ten Days to Die*, London: Peter Davies, 1951.

National Archives. *Monographs*, U. S. Army Historical Division.

National Archives. Records: *International Military Tribunal - Trial of Major War Criminals*.

Ryan, Cornelius. *The Last Battle*, London: Collins, 1966 (wydanie polskie: *Ostatnia Bitwa*, Warszawa, Czytelnik, 1992).

Shirer, William L. *The Rise and Fall of the Third Reich*, London: Seeker and Warburg, 1960.

Skorzeny, Otto. *War Memories of the Most Dangerous Man in Europe*, New York: E. P. Dutton and Co., Inc.

Sondern Frederic, Jr. *Adolf Hitler's Last Days*, „The Reader's Digest”.

Speer, Albert. *Inside the Third Reich: Memoirs*, Weidenfeld and Nicolson, 1970 (wydanie polskie: *Wspomnienia*, Warszawa, Wydawnictwo MON, 1990).

Taylor, Geoff. *Court of Honour*, London: Peter Davies, 1966.

Toland, John. *The Last 100 Days*, London: Arthur Barker, 1966.

Trevor-Roper, H. R. *The Last Days of Hitler*, London: Macmillan and Co., 1947 (wydanie polskie: *Ostatnie dni Hitlera*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 1963).

Tully, Andrew. *Berlin: Story of a Battle*, New York: Simon and Schuster, Inc., 1963.

Whiting, Charles. *Gehlen: Germany 's Master Spy*, New York: Ballantine Books.

Wiesenthal, Simon. *The Murderers Among Us*, London: Heinemann, 1967.

Uzupełniają tę listę liczne wiadomości oraz artykuły w prasie światowej, które ukazały się w maju 1945 r., a dotyczyły pojmania przez autora dowódców Werwolfu oraz położenia kresu działalności tej organizacji.

Od tłumacza

Ostatni szaniec Rzeszy?

*Nawet na tych terenach Niemiec, które nieprzyjaciel uzna za opanowane - powiedział Reichsführer Heinrich Himmler 18.10.1944 roku w przemówieniu radiowym transmitowanym z Prus Wschodnich - niemiecka wola walki będzie nieustannie wybuchać płomieniem na zapleczu wroga; nasi ochotnicy nie znający lęku przed śmiercią nie ustaną, na podobieństwo wilkołaków, w niszczeniu przeciwnika i odcinaniu jego życiodajnych arterii. Nasi przekleci wrogowie muszą przekonać się na własnej skórze, iż przekroczenie granic Niemiec będzie kosztować ich ogromnie wiele ofiar**

Już wcześniej, o czym pisze obszernie w swoim wstępie Ib Melchior, a potwierdza to generał SS Jürgen Stroop cytowany przez Kazimierza Moczarskiego w książce „Rozmowy z katem”^{***}, SS-Obergruppenführer Hans Prützmann (urodzony w 1901 r. w Tolkmicku) otrzymał od Himmlera instrukcje dotyczące utworzenia i rozbudowania organizacji Werwolf. Z listu, który Heinrich Himmler naza jutrz po przemówieniu w Prusach skierował do dowódcy SS i policji w Dusseldorfie, wynika, iż to właśnie Werwolf miał likwidować Niemców-kolaborantów na okupowanych ziemiach Rzeszy. *Część ludności zachowuje się tam niegodnie, gdy zatem odzyskamy te tereny, ludzie ci muszą zostać natychmiast pociągnięci do odpowiedzialności*^{***} - pisał Reichsführer.

Informacje autora „Operacji Werwolf o genezie Werwolfu warto uzupełnić wypowiedzią generała Stroopa:

(...) Decyzję powołania Werwolfu podjęto po długich przygotowaniach i przeprowadzeniu naukowych studiów nad znanymi dotychczas organizacjami konspiracyjnymi, szczególnie w Europie.

^{*} Cyt. za: Peter Padfield, Himmler. Reichsführer-SS, Henry Holt and Company, New

York 1991. ^{***} Wszystkie cytaty za: Kazimierz Moczarski, Rozmowy z katem, PIW, Warszawa 1978.

Peter Padfield, op. cit.

Studia przeprowadzała supertajna komórka w SS. W jej skład wchodziła nie tylko naukowcy (...), ale i terenowi badacze związków konspiracyjnych aktualnie przeciw Niemcom. Ludzie ci, niezależnie od stopnia w SS, mieli jednakowe legitymacje, które byli obowiązani pokazywać naszym władzom policyjnym tylko w wyjątkowych okolicznościach. (...) Gdy członek tej (...) grupy dowiedział się o jakimś przestępcy politycznym przeciwko III Rzeszy (...), mógł go zwolnić nawet z celi śmierci (...), pod warunkiem, że ów przestępca pomoże mu w teoretycznych badaniach nad istotą swej macierzystej konspiracji.

Kazimierz Moczarski wspominał swoim towarzyszom z celi, iż podczas Powstania Warszawskiego zetknął się z członkiem takiej komórki, studiującym doświadczenia i metody konspiracji akowskiej:

(...) Jeniec w stopniu młodszego oficera SS (...) powiedział, że od roku działał w czymś, co można nazwać hitlerowskim biurem studiów Polski Podziemnej. Celem biura jest przejęcie doświadczeń i osiągnięć polskiej konspiracji na wypadek zorganizowania niemieckiego ruchu oporu po przegranej wojnie. (...) Twierdził (...), że dotychczasowa ocena berlińskiego sztabu biura przedstawia się następująco: Polacy mają największe ze wszystkich krajów europejskich doświadczenie w spiskowaniu. (...) Naukowa analiza polskiej organizacji konspiracyjnej, a przede wszystkim Armii Krajowej, wykazała (...), że przyszłą konspiracją niemiecką należy oprzeć na wzorach polskich.

Generał Stroop opisał następnie szkołę Werwofu założoną w klasztorze Tiefenthal, którą przeniesiono potem do Wiesbaden, i wreszcie do Wallrabenstein opodal Idstein. Z relacji tej wynikało jednak, iż Werwolf (przynajmniej na obszarach podlegających służbowo Stroopowi) był organizowany i nadzorowany przez działaczy NSDAP, członków SS i SA. Gdy generał Stroop wizytował szkołę w Tiefenthal, przedstawiono mu tam wszystkich dowódców przyszłych jednostek organizacji. Kazimierz Moczarski tak to skomentował:

Cóż to za konspiracja? (...) Pan znał, jako naczelny dowódca Werwofu w Rhein-Westmark, wszystkich głównych werwolfowców i oni znali osobiście pana, z nazwiska i tytułu, bo przecież pan tam jeździł w mundurze i bez maski na twarzy. Gdyby w przyszłości

okupacyjne władze śledcze natrafiły na jednego mięczaka wśród was, cała organizacja w ciągu trzech dni zostałaby wylapana. Muszę stwierdzić, że nie wyciągnęliście żadnych mądrych wniosków z badań nad polską konspiracją.

Na zachodnich terenach Niemiec, które znalazły się pod okupacją Sprzymierzonych, Werwolf wkrótce złożył broń, wypełniając rozkaz ostatniego kanclerza III Rzeszy, wielkiego admirała Karla Doenitza, następcy Hitlera. Jednakże na ziemiach, które miały wejść w skład odrodzonego państwa polskiego, działalność tej organizacji trwała do 1947 roku; szczególnie mocno dawała się ona odczuć na Górnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim, gdzie Werwolf posiadał naturalne zaplecze: niemiecką ludność cywilną broniącą się przed wysiedleniem. Nawiasem mówiąc, obok Werwolfu istniało na tych terenach, jak również w Gdańsku i na obszarze byłych Prus Wschodnich, kilkanaście innych, na ogół niezbyt licznych organizacji niemieckich. Prowadziły one walkę partyzancką z Polakami, dokonywały aktów dywersji i sabotażu, bądź czekały biernie na mającą rychło wybuchnąć III wojnę światową, następstwo widocznego już wtedy konfliktu między ZSRR i USA. Największa aktywność Werwolfu przypada na początki roku 1946, kiedy władze polskie wzmogły akcję wysiedleńczą.

Kazimierz Moczarski wspomina również o interesującym fakcie, o którym milczą biografowie Himmlera. Wiąże się on pośrednio z akcją „Operacji Werwolf: oto już po kapitulacji Niemiec Hans Adolf Prützmann, Generalinspekteur für den passiven Widerstand*, przedzierał się w kierunku Reduty Alpejskiej, torując jakoby drogę Himmlerowi, gdzie zdaniem generała Stroopa zamierzali podjąć dalszą walkę.

Gdy Heinrich Himmler stwierdził, że nie ma mowy o rozmowach z aliantami, postanowił przedzierać się na południe, gdzie w górach zamierzali umocnić twierdzę Werwolfu. (...) Wojna była przegrana, ale oni dwaj, SS-Reichsführer i naczelny dowódca Werwolfu (a więc przyszły führer nowego, młodego pokolenia) chcieli podjąć walkę konspiracyjną.

Bartłomiej Zborski

Tytuł przysługujący Prützmannowi jako organizatorowi i dowódcy Werwolfu.

Spis treści

| | |
|---------------------------|-----|
| Prolog | 9 |
| Część I | |
| 12-17 kwietnia 1945 | 17 |
| Część II | |
| 28 kwietnia 1945 | 95 |
| Część III | |
| 29 kwietnia 1945 | 133 |
| Część IV | |
| 30 kwietnia 1945 | 203 |
| Epilog | 291 |
| Od wydawcy amerykańskiego | 299 |
| Bibliografia | 300 |
| Od tłumacza | 303 |